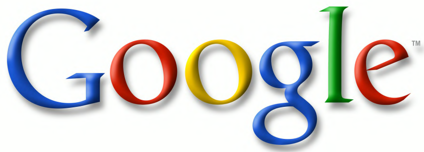
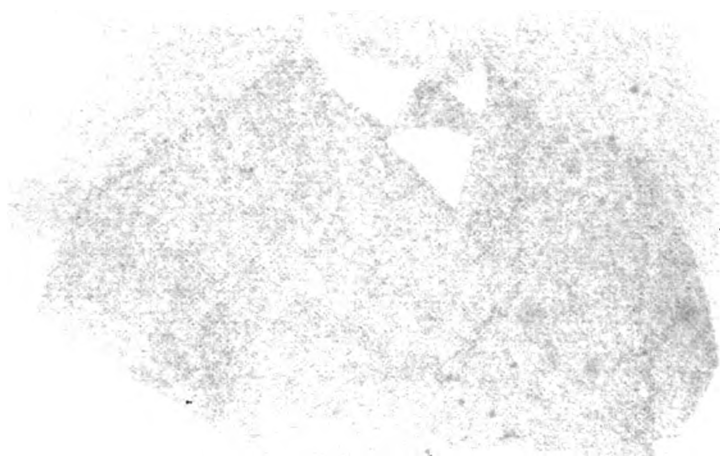



SIGILLUM ACADEMIAE HARVARDIANAE IN NOV·ANG·
CHRISTO ET ECCLESIAE
VE RI TAS



KOMEDYE PLAUTA

Aulularia — Mostellaria — Trinummus — Capteivei

przełożył

Dr. Jan Wolfram,
profesor Uniwersytetu Warszawskiego.

Dodano przedruk komedyi

Potrójny z Plauta Piotra Cieklińskiego w Zamościu 1597 r.

POZNAŃ.
Nakładem Biblioteki Kórnickiéj.
1873.

Drukiem J. I. Kraszewskiego (Dr. W. Łebiński) w Poznaniu.

SPIS RZECZY.



Pani Karolina z Dąbrowskich **Wolframowa**, ofiarując najbezinteresowniéj zarządowi Księgozbioru Kórnickiego do druku rękopism śp. Jana **Wolframa**, profesora uniwersytetu warszawskiego, wywołała pięknym przykładem troskliwości o pozostałe prace męża gotowość oddania pośmiertnéj przysługi zmarłemu. W chwili, kiedy Towarzystwo Pedagogiczne wraz z całym krajem obchodzi we Lwowie setną rocznicę ustanowienia Komisyi Edukacyjnéj, a w Poznaniu gimnazyum S. Maryi Magdaleny rozpoczyna uroczyście czwarty wiek swego istnienia, nie będzie może niestósowną dorzucona do powyższych obchodów pamiątka po zgasłym w Warszawie pedagogu, który życie poświęcił wychowaniu młodzieży, a w rzeczonéj szkole S. Maryi Magdaleny był uczniem a następnie nauczycielem.

Uczucie poszanowania dla autora i wyraźna wola Pani **Wolframowéj** włożyły na nas obowiązek wiernego ogłoszenia dzieła w pośmiertnem wydaniu.

Kórnik, w czerwcu 1873.

Zarząd Biblioteki Kórnickiéj.

Między usługami niesionemi bliźnim przez jednostki do najszczytniéjszych ale najtrudniéjszych należy zawód nauczycielski. Zaszczytnym jest, bo wychowanie i pomyślność narodu jest dziełem jego nauczycieli; trudnym, bo najprzód wymaga niepospolitéj pracy, aby przez przyswojenie sobie wszelkiego zarodu nauki stać się zdolnym zająć stanowisko nauczyciela; a następnie wymaga ciągłego odświeżania wiadomości, aby pozostać na wysokości najnowszych zdobyczy naukowych, co mianowicie dla najwyższego szczebla nauczycielstwa, dla profesora uniwersytetu jest rzeczą niezbędną. Lecz tu jeszcze nie koniec. Aby odpowiedzieć godnie swemu zadaniu, profesor nie może poprzestać na prostem wskazaniu nauki: jak nauka sama i rozwinięcie władz umysłowych, bez ukształcenia serca wątpliwéj bywa wartości; tak dobrze zrozumianem zadaniem profesora jest nie samo tylko przysposabianie uczonych

ale wychowywanie ludzi, którzyby w dalszym ciągu zdolni byli nieść światło nauki między potrzebujących jéj. Do tego potrzeba obok nauki i wartości moralnéj, bo charaktery wyrabiają się pod wpływem kierowników mających wyższość naukową i przewagę moralną. Gdzie nauka profesora trzyma na uwięzi uwagę słuchaczów, tam charakter profesora staje się pospolicie wzorem postępowania dla uczniów i na odwrót, gdzie charakter profesora nie zasługuje na poszanowanie uczniów, tam wpływ naukowy przyjmowany z nieufnością bywa niewielki.

Szczęśliwy, komu dano pod jednym i drugim względem zarówno wpływać na umysły młodzieży, jego kierunkowi powierzonéj: niestety szczęście to odpłaca się często starganemi siłami życia.

Do takich wybranych przewodników młodzieży zaliczyć można zgasłego przedwcześnie Jana Wolframa.

Połączony z śp. Wolframem przez lat kilkanaście stosunkami koleżeńskiemi i ściślejszemi od nich węzłami przyjaźni, miałem sposobność poznać w nim jasne pojęcie obowiązków, sumienne ich wykonywanie i wolę nieugiętą w przełamywaniu trudności, pokonywaniu przeszkód napotykanych na drodze życia. Kto nie zaznał przeciwności i w błogim pokoju przepędził dni swéj młodości, ten nie łatwo wyrobi w sobie jasny pogląd na życie i niezłomną wolę zmierzania do celów tym poglądem wytkniętych.

To téż cała młodość śp. Wolframa była twardą

szkołą życia, z której cało i zwycięzko wychodzą tylko umysły takiemi przymiotami obdarzone, jakiemi odznaczał się Jan Wolfram.

Urodzony z niezbyt zamożnych rodziców Pawła i Julianny z Szymańskich d. 26 grudnia 1824 w Poznaniu odbierał początkowe nauki w tem mieście w gimnazyum Panny Maryi. Na samym wstępie do życia spotkały go pierwsze przeciwności: rodzice dotknięci klęską ujrzeli się w niemożności łożenia na wychowanie syna. Trzeba było dziecku jeszcze prawie stanąć o własnych siłach i mozolną pracą nauczania młodszych kolegów zdobywać środki życia i własnego kształcenia. Wśród ciągłéj wycieńczającéj pracy i niedostatku nie zwątpił o swéj przyszłości, ale z ochotą i wesołą myślą pracował nad sobą i nad drugimi, aż do tego doprowadził, że mógł w r. 1853 przystąpić do egzaminu dojrzałości. Uzyskawszy przezeń prawo do wstąpienia do uniwersytetu, podążył do Berlina, gdzie w wydziale filologicznym pod kierunkiem Boekha, Trendelenburga, Haupta i innych przyswoił sobie te nauki filologiczne i tę metodę nauczania, które następnie postawiły go w możności chlubnego zajęcia Katedry w Szkole Głównéj Warszawskiéj a potem w Uniwersytecie, i pożytecznego działania na tem stanowisku.

Już po trzechletnim pobycie na uniwersytecie berlińskim złożył śp. Wolfram egzamin na doktora filozofii dnia 19 Marca 1856, i otrzymał ten stopień po obronieniu rozprawy De tribunis plebis nosque ad decem-

viralem potestatem. Była to tylko pierwsza część obszerniejszéj pracy o rzymskich trybunach ludu, któréj drugą część pozostawił w rękopisie zupełnie gotową do druku. Złożywszy tegoż roku 1856 egzamin rządowy dający kwalifikacyą do zawodu wyższego nauczyciela przy gimnazyum, rozpoczył z dniem 1 października t. r., rok próby przy temsamem gimnazyum Panny Maryi w Poznaniu, w którem sam pobierał niedawno nauki.

Pragnąc przez związki małżeńskie z Karoliną z Dąbrowskich ustalić szczęście domowe, którego mało zaznał w swéj młodości, a które słodzić mu miało trudy nauczycielstwa, przeniósł się w roku 1857 do nowo założonego gimnazyum w Inowrocławiu, lecz przekonawszy się, że stanowisko to mniéj odpowiadało jego widokom, powrócił po kilkomiesięcznéj przerwie do gimnazyum poznańskiego i tutaj wykładał nauki gimnazyalne aż do 1 kwietnia 1863. Gorące przywiązanie uczniów i szacunek niezmienny rodziców okazywane przy każdéj sposobności zacnemu profesorowi, dowodzą wymownie, jak pojmował swe zadanie śp. Wolfram i jak je wypełniał.

Powołany na katedrę filologii klasycznéj w Szkole Głównéj warszawskiéj od kwietnia 1863 zajął niezwłocznie nowe to chlubne dla siebie i pożyteczne dla swych słuchaczów stanowisko. Nowe pole działania nowéj téż wymagało i nieustającéj pracy; przekonanie o potrzebie podniesienia nauk klasycznych i gorliwość słuchaczów

garnących się do nich mimo niesprzyjających okoliczności, były bodźcem dla śp. Wolframa.

Dbały o podniesienie oświaty z nowego swego stanowiska, serdecznie troszczący się o przyszłość swych słuchaczów śp. Wolfram nie szczędził ani czasu, ani pracy, żeby się przyczynić do znaczenia zakładu naukowego, w którym działał, do pomyślności młodzieży, którą powołany był wychowywać.

Kiedy przy przemianie Szkoły Główncj na Uniwersytet pozostawiono Wolframa przy profesurze filologii klasycznéj, powstała dla profesora nowa praca przyswojenia sobie nowego języka wykładowego: podołał w krótce usilną pracą i temu zadaniu.

Ale nadmiar pracy od pierwszéj młodości bez przerwy podejmowanéj dla zapewnienia utrzymania dla siebie i rodziny, nadwątlił jego siły fizyczne, a w ostatnich latach często dostrzedz było można pewne znużenie; śp. Wolfram nie był przywykły poddawać mu się, ale energia, z jaką znużenie to pokonywał, tym bardziéj wyczerpywała jego siły; to téż nie starczyło ich do pokonania ciężkiéj choroby, którą był złożony w październiku r. 1870. Po kilkodniowéj niemocy powołała śmierć w dniu 15 października na wieczny spoczynek nieutrudzonego tego pracownika.

Smutnym nad wszelki wyraz był zgon niepospolitego tego człowieka w chwili, kiedy stanąwszy u kresu swych starań mógł z spokojniejszą nieco myślą patrzeć na przyszłość i swoję i czworga nieletnich dzieci, które

kochał nad miarę, jakby w przeczuciu wynagradzając im przyszłe ich sieroctwo staraniem około przyszłości i serdeczną ojcowską miłością.

Śmierć przedwczesna z troską o przyszłość nieodchowanych dzieci — oto smutna nagroda życia pełnego pracy dla oświaty, zachodów dla rodziny, poświęceń dla przyjaciół!

Pokrótce skreślone koleje życia zmarłego profesora z ciągłemi zmianami stanowiska działania i coraz nowemi zadaniami, okazują dowodnie, że mało mu pozostawało czasu do ogłaszania prac naukowych.

Nie był jednakże nieczynnym i w tym kierunku: wspomniana wyżéj rozprawa doktorska De tribunis plebis wyszła z druku w Berlinie w r. 1856. W Warszawie ogłosił przekład komedyi Plauta pod tytułem Jeńcy w 7 i 9 poszycie Biblioteki Warszawskiéj na r. 1865. W tymże roku wyszła w Warszawie prelekcya publiczna p. t. O widowiskach publicznych w starożytnym Rzymie, a następnie drugie studyum p. t. Rzymianka, w Warsz., r. 1869. Wszystkie te prace świadczą o dokładnéj znajomości świata starożytnego i bystrem ocenianiu źródeł, na których się ta znajomość zasadza.

Bez porównania ważniejsze i obszerniejsze prace naukowe pozostawił śp. Wolfram w rękopisie. Są to wykłady z dziedziny filologii miewane w Szkole Głównéj, a w znacznéj części przygotowane do druku.

Znajdują się między niemi:

1. Historya literatury rzymskiéj.
2. Historya sztuki u Rzymian.
3. Starożytności rzymskie.
4. Ziemiaństwo Wirgiliusza z polskim komentarzem.
5. Niewiasta z Andros, komedya Terencyusza, przełożona wierszem miarowym.
6. Horacyusza sztuka rymotwórcza, przekład polski, komentarz łaciński.
7. Życie Agrykoli przez Tacyta, w przekładzie polskim z objaśnieniami.

W rękopisie także pozostał przekład niniejszy Plauta, którego ogłoszenie zawdzięczamy hojnemu poparciu JW. hr. Jana Działyńskiego.

Zbyteczną jest rzeczą mówić o naukowéj wartości tych prac: sumienne pojmowanie stanowiska profesora nakazywało śp. Wolframowi korzystać z najlepszych źródeł, a wrodzona bystrość umysłu wskazywała mu, które źródła i o ile mogą posłużyć do zrozumienia i rozjaśnienia zamierzchłéj przeszłości starożytnéj Romy.

Józef Przyborowski.

I.

O DRAMACIE RZYMSKIM.

W Grecyi powstał dramat wtenczas dopiero, kiedy po epice doszła była liryka już do najwyższego szczebla doskonałości i świetności; czekał więc niejako na wydoskonalenie się tych dwóch poprzedników swoich, aby z nich wyrósł jako poezya nowa, najdoskonalsza i najzupełniejsza, łącząca w sobie zewnętrzną i wewnętrzną stronę życia, a mająca za podstawę czyn oparty na życiu i płynący z życia.

W Rzymie było inaczéj. Rzymianin nie miał przymiotów duszy koniecznych dla wyrobienia sztuki w ogóle, a w szególności dramatu. Całe jego życie było przeciwnem téj delikatności uczucia i łagodności serca, która charakteryzuje Greka i czyni go artystą; sztukę, a więc i poezyą pojmował on tylko jako środek prowadzący go do jakiego celu, uprzyjemniający mu życie. Dla tego nie postępuje w niéj stopniowo, nie kształci jéj i nie rozwija dążąc do coraz większéj doskonałości, ale ją bierze, jak mu się nasuwa, byle tylko mógł z niéj korzystać i spożytkować ją jak najlepiéj. To też pojawia się w literaturze rzymskiéj dramat prawie przed wszystkiemi innemi rodzajami poezyi.

Początki dramatu rzymskiego upatrują w ludowéj, dawnéj bardzo poezyi, zwanéj Fescenninami. Lud wiejski

bowiem bawił się przy uroczystościach religijnych, obchodzonych na cześć bogów leśnych i polnych, albo przy uroczystościach familijnych, a mianowicie weselnych, dialogami, w których występowali najsprytniejsi i najdowcipniejsi ludzie z gminy, a przyjąwszy charakter ludowi znany, zabawiali go szyderstwami i uszczypliwemi żartami. Ta zabawa była ogólną w całych Włoszech i powtarzała się wszędzie i przy każdéj sposobności; dla tego przechodziły pewnie dialogi tradycyonalnie z rodziców na dzieci, zmieniając się tylko wedle okoliczności, dowcipu występujących, czasu, a szczególniéj wedle miejsca.

Horacyusz tak je opisuje w Listach II. 1. 139.

Dawni i dzielni rólnicy zadowoleni z małego,
Kiedy po żniwie skończonem dawali w dniu uroczystym
Wytchnienie ciału i duszy, znoszącéj trudy cierpliwie
W nadziei końca bliskiego, składali ze swoją służbą,
Z uczciwą żoną i z dziećmi, Ziemi w ofierze proszczaka;
A Sylwan dostawał mleko; pamiętny krótkiego życia
Geniusz odbierał w ofierze kwiaty i wina obficie.
Z tego zwyczaju powstała pomiędzy ludem pustota
Fescenninami nazwana, w któréj na przemian wierszami
Robiono sobie zarzuty w sposób rubaszny i prosty.

Ale co Horacyusz mówi daléj:

I tak przyjęta swoboda bywała u nich co roku
Miłą, niewinną zabawą; aż wreszcie żart uszczypliwy
Począł się w jawną zamieniać wściekłość i groźnie zaglądać
Do domów cnych i szanownych, szarpiąc i gryząc bezkarnie.
Tak krwawym zębem szczypani czuli to bardzo dotkliwie;
A inni, których nie tknięto, tegoż się losu lękali.
Więc nawet prawo wydano, i zabroniono w niem karą,
Ażeby nikt złośliwie wierszami innych nie szarpał —

zdaje się wyraźnie dowodzić, że sposób ten zabawy był znany nie tylko ludowi wiejskiemu, kiedy praw zabra-

niających było potrzeba, ale że go znano i po miastach a więc i w Rzymie, tylko że może w Rzymie zmieniło się nazwisko i to wtenczas dopiero, kiedy Fescenniny przez wpływ widowisk etruskich i widowisk Osków rozwinęły się więcéj i inny pewnie nieco przybrały charakter.

Etruskie widowiska dostały się do Rzymu w r. 390 od zał. Rz., a 360 prz. Chr. za konsulatu T. Sulpicyusza Petika i C. Liciniusza Stolo, kiedy dla oddalenia gniewu bogów objawiającego się w morowem powietrzu, grasującem w mieście, wprowadzono aktorów z Etruryi. Było to dla ludu, przywykłego tylko do widowisk publicznych w cyrku, zupełnie nowe widowisko; a miało charakter religijny na téj zasadzie, iż podobnie jak Grecy sądzili i Rzymianie, że bogów mogą ludzie najłatwiéj przebłagać przez uroczystości wesołe, a najwdzięczniéj uczcić przez zabawy.

To widowisko nie było jednak wcale jeszcze rzeczywistym dramatem, jaki w Grecyi i w Sycylii już był dawno pospolity, ale jak powiada Liwiusz VII. 2. był to pewnie tylko taniec wykonany przy głosie fletu i połączony z ruchami ciała myśl jaką wyrażającemi.

Z tym to rodzajem scenicznego przedstawienia publicznego połączyła młodzież rzymska swoję ojczystą poezyą t. j. żartobliwe i uszczypliwe Fescenniny, które z pewnością już inny musiały mieć charakter, niż Fescenniny wiejskie i może już dawniéj, albo też dopiero po owem połączeniu tańca i ruchów ciała z żartami i satyrą — odkąd widowiska te więcéj publicznemi się stały — przybrały nazwisko Atellan.

Wspominają jeszcze o Ludicrum Oscum, które miało być rodzajem jakiejś komedyi ludowéj przyswojonéj sobie przez Rzymian z Kampanii od Osków. Ale i ta niby komedya Osków niczem pewnie innem nie była, jak Fescenninami, a różniła się od nich tylko charakterem miejskim, więcéj może żartobliwym i wesołym.

Ten więc zawiązek pierwszy dramatu powstał z żywiołów włoskich i miał charakter narodowy, a doskonalił się daléj i zmieniał wedle okoliczności pod nazwiskiem

Attelan, utrzymując się przez długi bardzo przeciąg czasu na scenie rzymskiéj.

Nazwisko Atellan miały te utwory sceniczne nie dla tego pewnie, iż pochodziły z miasta Atella w Kampanii — dziś zwanem Aversa — ale iż mieszkańcy Atelli byli Rzymianom znani dla jakich śmieszności, które na scenę wprowadzano.

Że te pierwsze widowiska sceniczne powstały z Fescenin, jest dowodem to, iż w nich występuje młodzież rzymska bardzo długo jako aktorowie, nie narażając się na infamię i utratę praw obywatelstwa.

Te więc Atellany są, jeżeli je tak nazwać można, pierwszemi dramatami łacińskiemi. Oprócz nich znane są jeszcze z bardzo dawnych czasów Exodia, które stawiają niektórzy na równi z Atellanami. Były to, jak się zdaje, tylko zwyczajne dialogi żartobliwe nie mające cechy prawdziwego dramatu, a odgrywane w późniejszych przynajmniéj czasach po dramatach poważniejszéj treści, celem rozweselenia publiczności. Jako takie utrzymały się one jeszcze w czasach cesarstwa.

Satury, również znane z dawnych czasów, powstały z Fescennin, albo raczéj były to pewne Fescenniny miejskie, które zmieniwszy swój charakter pierwotny, zmusiły władzę do wydania prawa zabraniającego nadużycia, o którem mówi Horacyusz.

Od pierwszego wystąpienia aktorów etruskich w Rzymie przeminęło lat 120, nim się zjawił pierwszy łaciński dramaturg w Liwiuszu Androniku. Wystąpił on równocześnie jako poeta dramatyczny i jako aktor przy pomocy śpiewaka, który liryczną część dramatu odmawiał wedle rytmów fletnisty. Od niego to pochodzi zwyczaj, iż na teatrach rzymskich występował aktor — histrio — którego zadaniem było: główną treść sztuki przedstawiać w opowiadaniu i dialogu — diverbia — i kantor, śpiewak, który miał liryczną część sztuki — cantica — uzupełnianą przez aktora akcyą i mimiką. Rzymianie bowiem, przyjmując dramat

grecki, wyrzucili z niego prawie najgłówniejszą jego część i największą ozdobę t. j. chóry.

Chór grecki był reprezentantem ludu, obywateli greckich. Ponieważ bohaterami w dramatach, a mianowicie w tragedyach greckich są zwyczajnie królowie, dla tego przedstawia chór bezpośrednio, czy pośrednio naród i jako taki jest on bierny. Ale ponieważ nie może być zupełnie bez udziału w sprawach przedstawianych w dramacie, gdyż inaczéj byłby zbytecznym, dla tego jest jego zadaniem: zachęcać, odradzać, albo przynajmniéj reflektować. Z czasem jednakże weszło w zwyczaj, że chór, jakoby nie należąc wcale do całości dramatu, występuje ze śpiewem odrębnéj zupełnie treści. W każdym atoli razie musi mieć chór przynajmniéj tyle udziału w tem, co się dzieje na scenie, ile go mają widzowie, lud przyglądający się. Tak więc jest on świadkiem tego, co się dzieje, a poeta może przez niego wypowiadać jakoby myśl ogółu; może go uczynić sędzią objawiającym swoje zdanie o tem, co się dzieje i o osobach działających; może przezeń wypowiadać zasady moralności, uczucia serca ludzkiego i może nakoniec wyciągnąć wnioski i naukę na przyszłość.

Poeta rzymski wyrzucając chór ze swoich dramatów tracił zarazem najdzielniejszy środek wyrażania uczuć i namiętności i najbogatsze źródło dla szlachetnego poetycznego uniesienia. A jednak czuł, że dramat jego nie mógł się właściwie obyć bez tak ważnego czynnika i dla tego wziął kantora w miejsce chóru, dając mu w usta canticum jako wyraz namiętnego uniesienia. Pod tę liryczną część dramatu podkładał melodyą muzyk, który także na scenę rzymską występował.

Rzymianie nie mieli wielkiego usposobienia do widowisk dramatycznych i zrazu przyjmowali je tylko jako nowość. Największe poparcie znalazły one w tem, że je przedstawiano podczas uroczystości kościelnych i religijnych jako Ludi plebei, Ludi Romani albo Magni, Ludi Megalenses, Ludi Apollinares, że więc znalazły
państwie i nareszcie w tych Rzymianach, którzy, wy-

kształceni na wzorach greckich, urządzali dla ludu prywatnie sceniczne przedstawienia.

W rzymskiéj literaturze mają następujące rodzaje dramatu reprezentantów swoich.

1. Tragedya.

Tragedya rzymska powstała przez naśladowanie tragedyi greckiéj. Ze szczupłych jéj resztek, jakie się przechowały, możemy twierdzić z pewnością, że ją naśladowała więcéj pod względem treści, niż pod względem formy i to nawet do tego stopnia, że miała często bardzo cechy i charakter tylko przekładu. Ale przez to, że poeci wierni narodowemu charakterowi kładli w usta bohaterów swoich przynajmniéj zasady rzymskie, a postacie ich przybierali w majestatyczność i powagę narodowo-rzymską, przez to więc, że bohaterów swoich robili rzymskimi Grekami, którzy rozprawiali o interesach państwa, i wypowiadali potrzeby rzeczypospolitéj, nadawali oni tragedyom swoim przynajmniéj w części charakter narodowy.

Pod względem wartości stoi tragedya rzymska niżéj pewnie, niż wszystkie inne rodzaje poezyi, chociaż ma kilku znakomitych reprezentantów. Ale miała też ona bardzo tylko krótki czas do wydoskonalenia swego, czas od Liwiusza Andronika aż do cesarstwa; gdyż późniéj była swoboda, jakiéj tragedya potrzebuje, już zbyt małą, aby mogła poetów zachęcać. Dla tego znika ona już prawie zupełnie za cesarstwa. Lud rzymski, który dawniéj znajdował jakieś upodobanie w tem, iż czyniła ona niejako zadosyć narodowéj jego dumie, rozbestwiony późniéj w wojnach domowych, patrząc na krew współobywateli przez siebie rozlewaną, na okropne spustoszenie kraju, mógł nie być usposobionym do pojmowania piękności w sztuce i więcéj podobał sobie w widowiskach cyrkowych i amfiteatralnych. Pisano więc wprawdzie

za cesarstwa jeszcze tragedye, ale tylko do czytania. Treść w nich jest jak dawniéj grecka, ale to, co stanowiło jéj siłę, co ją pod pewnemi przynajmniéj względami czyniło narodową t. j. siłę myśli politycznych, która występowała dawniéj w kantykach, zastąpiła retoryczność.

Najdawniejsze tragedye rzymskie były przekładami Euripidesa tragedyi; późniéj zwrócono się do Sofoklesa, do Eschylosa i do innych. A kiedy tragedya wyrobiła już sobie styl właściwy, samodzielny, do czego bardzo była przydatną siła i majestatyczność języka łacińskiego, kiedy wystąpili Pakuwiusz i Attiusz, odbiło się w niéj życie, zasady i usposobienie państwa i obywateli, znajomość mytów greckich rozpowszechniała się przez nię, i wpływała na pojęcia religijne, moralne i t. d.

Najznakomitszymi reprezentantami tragedyi rzymskiéj są: L. Liwiusz Andronicus. Pochodził on z Tarentu, i urodził się około r. 186 przed Chr. Do Rzymu dostał się jako niewolnik i jako taki uczył tu dzieci Liwiusza Salinatora, który mu wolność darował. Wystąpił on na scenę z pierwszym dramatem roku 512 od zał. Rz. Przyznają mu 20 tragedyi, z których drobne tylko przechowały się kawałki. Z nazwisk wnosząc, możemy twierdzić, że treść w nich była grecka. Liwiuszowi należy się wielka chwała, iż on pierwszy odważył się wystąpić w ogóle jako poeta w obec narodu, któremu nic wtenczas jeszcze mniéj obcem nie było, jak poezya, i że innym więc toruje drogę. Na tę drogę wstępuje zaraz Cn. Naevius, pochodzący z Kampanii, żołnierz z pierwszéj wojny Punickiéj. W roku 235 prz. Chr. wystąpił on z dramatami swemi; ale dla wolnomyślności, która się możnym Rzymianom nie podobała, został wtrąconym do więzienia; następnie posłany na wygnanie umarł w Utyce r. 202. I on naśladował w tragedyach Greków, chociaż był z pewnością samodzielniejszym od Liwiusza, gdyż nie pomijał spraw bieżących państwa, dając przez to dramatom swoim charakter choć w części narodowy. Nazwiska jego tragedyi znane nam są greckie, ale przyznają mu także tragedyą: Romulus.

Q. Ennius był podobnie jak dwaj poprzednicy pochodzenia greckiego, urodził się w Rudiae r. 239 prz. Chr. Jest on z pewnością najznakomitszym z poetów rzymskich przedoktawiańskich. Pomiędzy Rzymianami zażywał wielkiéj czci i poważania; najznaczniejsi obywatele z rodziny Scipionów, Fabrycyuszów, Flaminiuszów, byli jego przyjaciołmi, uznając jego naukę i zacność charakteru. Enniusz umarł w Rzymie r. 169. W dramatach naśladował najwięcéj Euripidesa. Z nazwisk znamy dość znaczną liczbę jego tragedyi; a opierając się na Cyceronie*, możemy o nim powiedzieć, że był nie tylko samodzielniejszym od poprzedników, ale że nadto uwiecznia imię Rzymu i pojedyńczych jego obywateli.

M. Pacuvius, siostrzeniec Enniusza, urodził się w Brundisium r. 534. Do dramatów swoich malował sam dekoracye. Umarł w Tarencie mając lat 90. Jako tragik jest on obok Attiusza największym w literaturze rzymskiéj. Bierze on do t agedyi swoich treść z Euripidesa i Sofoklesa, ale nie trzyma się ani ich rozkładu, ani nawet przebiegu mytologicznego opowiadania, lecz odbiega od nich i tworzy w ten sposób tragedye sobie właściwe. Szczególniéj stara się o większe zawikłanie, niż jest w oryginale. Myśli jego są wzniosłe, wspaniałe, pełne powagi i siły, a odpowiadają im słowa i forma. Zresztą panuje wszędzie godność obok umiarkowanego uniesienia, majestatyczność odpowiadająca charakterowi rzymskiemu i jéj znów odpowiadająca powaga i siła wyrazu. Oprócz dość znacznéj liczby nazwisk dowodzących greckiego pochodzenia jego tragedyi znaną jest jeszcze z nazwiska tragedya narodowéj, jak się zdaje, treści: Aemilius albo Paulus bohater z pod Cannae.

L. Attius jest młodszym od Pakuwiusza. Gelliusz jednakże powiada, że się ubiegał z nim o pierwszeństwo. W Rzymie miał poważanie; umarł w podeszłym wieku r. 670. I on naśladował tragików greckich, ale z pewnością

* Brut. 19. dl. Orat. 3. 7. Acad. 1. 38.

nie był mniéj samodzielnym od Pakuwiusza. Wedle Cycerona był on niepospolitym poetą pod każdym względem. Obok wysokiego wykształcenia miał rzadką pilność, któréj dowodzą liczne bardzo znane nam nazwiska jego tragedyi, pomiędzy któremi mieszczą się także nazwiska łacińskie, z czego wnosić można, że chciał pewnie stworzyć czysto narodowy dramat łaciński. Takiemi są: Brutus, pierwszy konsul Rzymu; Decius, Marcellus.

Na wspomnienie jako tragicy zasługują jeszcze: L. Attilius, C. Julius Caesar Strabo, L. Varius, Ovidius, którego Quintilian wysoko stawia dla tragedyi Medei, a z czasów cesarstwa: Mamercus Aemilius Scaurus z czasów Tiberyusza; P. Pomponius Secundus, Curiatius Maternus, a mianowicie Seneca, pod którego nazwiskiem przechowało się 10 tragedyi, których treść wzięta z tragedyi Sofoklesa i Euripidesa. Są one pełne bombastu, napuszystości, bez życia, bez sztuki, słowem są dowodem, że tragedya wtenczas zeszła była już z wysokości, na któréj stała za czasów Pakuwiusza i Attiusza i że się zupełnie do upadku chyliła.

2. Komedya.

Komedya rzymska naśladowała nową attycką komedyą. W literaturze greckiéj rozróżniają bowiem trzy rodzaje komedyi t. j. komedyą starszą, średnią i nowszą.

Komedya stara attycka była pod względem treści istotnie polityczną; zaglądała bowiem do życia politycznego państwa, o ile się ważnem być wydawało; jako taka więc jest ona owocem czasu, a jéj celem szczęście publiczne i naprawa państwa. Niekiedy jest jéj przedmiotem także religia, filozofia, poezya, ale życie domowe jest z niéj zupełnie wykluczone. Zależało w niéj na tem, aby przedstawienie samo było jędrne, prawie szorstkie, aby jak najwięcéj było majestatyczności i wspaniałości właściwéj tragedyi, którą ona

parodyowała, zastósowując to, co jest tragiczne i wzniosłe, do rzeczy małych i niskich. Parodya taka występuje nie tylko w saméj treści i przedmiocie, lecz i w języku, w muzyce, w tańcu i w całéj sceneryi. W żarcie otoczonym powagą musi w niéj być przesada i to jest karykaturą.

Komedya stara była śmiała do wysokiego stopnia; przy pomocy wolności demokratycznéj państwa nie oszczędzała nikogo i niczego, co tylko napaści godnem jéj się być zdawało. Rzeczywistość, na któréj się wyłącznie opiera, występuje wyraźnie w chórach i w parabazie. Chóry przedstawiają w niéj tak samo jak w tragedyach mniéj więcéj publiczność, są niby poważne i wspaniałe, ale stają się śmiesznemi przez śpiew i taniec. W parabazie odzywa się poeta do publiczności, wypowiadając swoje życzenia i nadzieje osobiste i dając rady w żarcie; w czem naturalna, mógł dojść do najwyższego stopnia zuchwałości.

Komedya stara attycka istniała tylko tak długo, dopóki parabaza w niéj się utrzymała.

Środkowa komedya różni się tem od staréj, że nie zaczepia już osób żyjących w chwilach ich politycznego działania, nie masz w niéj więc już parabazy; chór wypadł z niéj także, chociaż niekiedy jeszcze występuje. Nie wszystko jednakże, co się odnosiło do życia publicznego i do polityki, wyrzucono z niéj jeszcze, lubo to coraz było słabsze.

Komedya nowa rozwinęła się szczególniéj za czasów Alexandra Wielkiego, wtenczas, kiedy dawniejszą swobodę starano się zastąpić przez sztukę.

Rozwijała się ona w literaturze greckiéj wedle pewnego planu, jest w niéj zupełne zaokrąglenie i nowy rodzaj idealności. Jak stara komedya brała za treść życie rzeczywiste, publiczne i przedstawiała wszystko ze śmiesznéj strony, tak nowa przedstawia życie prywatne, pod pewnemi względami uszlachetnione, bez przesady, i jest przez to jakoby zwierciadłem życia. Ale ponieważ wedle natury komedyi występuje w niéj więcéj zmysłowa, niż umysłowa strona życia, dla tego jest ona też więcéj zwierciadłem zmysłowości i życia praktycznego. Wyrażenia są w niéj przyzwoite, odpo-

wiadające powadze myśli i zdań moralnych, ale zarazem pełne dowcipu i komiczności.

Życie więc prywatne jest treścią nowéj komedyi attyckiéj, punktem środkowym tego życia jest familja. Ale że życia familijnego w naszem rozumieniu nie znali starożytni, a mniéj jeszcze Grecy niż Rzymianie, więc przedstawiano to, co z życiem familijnem jest w połączeniu bez podstawy moralnéj, przedstawiano miłość, ale w sytuacyi tylko na pół przyzwoitéj. Jeżeli przedmiotem komedyi nowszéj jest jaki stósunek miłosny, to jest nim tylko stósunek z heterami, albo też przynajmniéj takim się być wydaje. Stósunek z heterami jest w starożytności i dawny i pospolity, ale za czasów Alexandra Wgo. stał się podstawą towarzystwa wyższego i jest dla tego przedmiotem i głównem tłem komedyi.

W dalszym postępie i rozwoju doszła ta komedya do dzisiejszéj naszéj komedyi, w któréj występują na scenie i uczciwe kobiety, co dawniéj uważano za nieprzyzwoite i niemoralne.

Chociaż komedya nowsza attycka opiera się także na życiu, wyprowadza jednakże tylko bardzo rzadko osoby rzeczywiste, żyjące; zamiast nich występują tylko pewne charaktery i to prawie zawsze tesame, t. j. kilka heter, kilku lekkomyślnych młodzieńców, kilku niewolników przebiegłych, pośredniczących i czynnych przy zawięzywaniu i utrzymywaniu stósunków miłosnych, dobroduszny starzec, oszukany ojciec, pieczeniarz, hulaka, tchórzliwy a chełpliwy oficer i t. d.

Chóru jest tu mniéj jeszcze, niż w środkowéj komedyi; ale za to grała pewnie muzyka i ztąd też były u Rzymian cantica, które odmawiano, albo odśpiewywano przy instrumentach dętych; ale należą one pod względem treści do saméj sztuki.

Komedya rzymska ma podstawę więcéj narodową niż tragedya. Odpowiadając praktycznym celom, gdyż zadaniem jéj było obok zabawy wytykać błędy społeczeństwa dla dobra ogółu i państwa, miała większe od tragedyi powodzenie, zwłaszcza, że Rzymianie przyzwyczajeni do widowisk, albo

zabaw, w których satyra nie małą odgrywała rolę, mieli nawet zdatność do komiki i potrafili żywy utrzymać dialog. Kiedy więc poznali grecką komedyą, ułożoną wedle prawideł albo pojęcia greckiego, byli do niéj już niejako jeżeli nie przyzwyczajeni, to przynajmniéj przygotowani. Lubo komedya mogła dla tego, jak się zdaje, oprzeć się na narodowym gruncie, nie oderwała się jednakże od wzorów greckich. Komedya jednakże ułożona na wzór staréj attyckiéj komedyi nie było ani potrzebną Rzymowi i Rzymianom w tych czasach, w których powstała, ani nie odpowiadała rzymskiemu usposobieniu. Arystofanes mógł siec wszystkie zdrożności, błędy i niedostatki w państwie, mógł jak najsurowszą krytyką i satyrą żgać urzędników państwa i obywateli, którzy przez niemoralność, lekkomyślność, swywolę, próżność i samolubstwo pchali kraj swój w przepaść, gdyż żył wtenczas, kiedy w rzeczypospolitéj ateńskiéj wolno było obywatelowi mówić wszystko, kiedy żadne prawo ust mu nie zamykało, a państwo i obywatele potrzebowali naprawy. Rzym przeciwnie nie potrzebował tego, a więc i Arystofanesowéj komedyi, kiedy się w nim komedya pojawiła, gdyż był wtenczas silnym wewnątrz, a u sąsiadów miał poważanie, — gdyż się opierał na cnocie i moralności obywateli, którzy kochając kraj i pełniąc obowiązki względem niego, nie potrzebowali jeszcze naprawy. A kiedy państwo upadać zaczęło, wtenczas już i Arystofanes nie byłby się pewnie odważył wystąpić z goryczą swoją, gdyż możnowładzcy, których wielką już była wtenczas potęga, nie byliby znieśli krytyki na siebie i na państwo, ani krytyki na złości obywateli i ludu, bo właśnie tych złości było im potrzeba dla ich osobistéj korzyści.

Z resztą niebyłby może Rzymianin i zniósł Arystofanesowéj komedyi, gdyż właśnie to, co w niéj jest treścią i tarczą dla pocisków, t. j. państwo, instytucye publiczne, obywatele, urzędnicy, religia i t. d. było dla Rzymianina otoczone pewną świętością, któréj dotknąć, znieważyć i szarpać w sposób grecki nie byłby się nigdy odważył. Osoba obywatela była zabezpieczoną przez prawa XII tablic od

wystawiania jéj na publiczne widowisko, a edilowie zabraniali wszelkich przenośni na stósunki rzymskie, na słabości znanych osób i na polityczne wypadki.

Dla tych tedy powodów a nadto i dla tego jeszcze, iż nowsza attycka komedya odpowiadała więcéj usposobieniu niewykształconego Rzymianina, dla którego właściwie była pisaną, gdyż przedstawiała rzeczy, które on łatwiéj potrafił pojąć i zrozumieć i podawała sceny z życia, na które patrzał, które znał i którem żył sam, zwrócili się Rzymianie do niéj, oglądając się za wzorami dla siebie. Są w komedyi rzymskiéj wprawdzie osoby obce, nazwiska greckie, gdyż Rzymianin w ówczesnéj jeszcze surowości obyczajów nie byłby znalazł zadowolenia w oszustwach i podstępach niewolników, w awanturach miłosnych, w lekkomyślności młodzieży, w uwodzeniu dziewcząt, w oszukiwaniu starych słabych ojców, gdyby to miały być osoby rzymskie z obyczajami wprost rzymskiemi; ale charaktery tych osób są narodowo-rzymskie. W nowszéj attyckiéj komedyi znalazł poeta nie tylko sceny z życia familijnego, prywatnego, których mógł z jakiemiś zmianami użyć do komedyi swojéj, ale znalazł i takie pobudki, zasady i warunki, jakie będąc wszystkim wspólne, mogły z łatwością przejść i do rzymskiéj komedyi. Biorąc tak poeci rzymscy z greckiéj komedyi to, co im się odpowiedniem i pożytecznem wydało, dając osobom charaktery narodowe i przenosząc scenę na tło ile możności rzymskie, stworzyli oni i rozwinęli dramat narodowy pod pewnym przynajmniéj względem.

Ponieważ komedya rzymska była pierwotnie przeznaczoną dla ludu, dla tego stósowała się do usposobienia i charakteru ludu, do jego pojęć, stopnia wykształcenia, a nawet i do języka. W całym układzie, w dialogach, w frazeologii była pewna ociężałość charakteryzująca ludzi prostych; w języku było pełno sposobów mówienia, wyrazów, zwrotów, skróceń właściwych językowi gminnemu, a temu odpowiadała prostota myśli, i brak dźwięczności i harmonii w rytmice. Mimo to mają komicy i komedye zasługi bardzo wielkie, gdyż kształcili lud i język.

Komedya w Rzymie, będąc ludową, była i popularniejszą od tragedyi; dla tego też znalazło się więcéj takich, którzy ją w rozmaitych kierunkach uprawiali. Pod koniec bowiem rzeczypospolitéj, a szczególniéj za panowania Oktawiana Augusta ustępuje pierwotna komedya rzymska opierająca się na oryginałach greckich i będąca ich naśladowaniem, zwana comoedia palliata, a w jéj miejsce wstępuje komedya więcéj ludowa, comoedia togata, z treścią i obyczajami więcéj rzymskiemi, zatem i więcéj narodowa od pierwszéj; ale ponieważ była wyraźnie dla klass niższych przeznaczoną, dla tego zeszła z wyższego stanowiska sztuki, była często poziomą, bez wewnętrznéj poetycznéj wartości i wyrodziła się z czasem na Mimy i Pantominy.

Osobnym rodzajem poezyi jest Rhintonica, tak zwana od Rhintona poety greckiego. Odpowiada ona pod względem treści greckiéj Hilarotragedyi, albo rzymskiéj Tragikomedyi, jaką jest n. p. Amphitruo Plauta.

Daléj jeszcze stanowi osobny rodzaj komedyi narodowéj comoedia trabeata, tak zwana od sukni rycerzy rzymskich, trabea, któréj tu używano; daléj jeszcze tabernaria, rodzaj komedyi jarmacznych, przedstawianych w budach, szopach i karczmach. Była to więc komedya zastósowana do najniższéj warstwy spółeczeństwa.

Wszystkie te rodzaje komedyi mają swoich reprezentantów w literaturze rzymskiéj. Najznakomitsi z nich są:

Livius Andronicus, którego kilka komedyi z nazwiska jest znanych; nie był w nich jednakże z pewnością więcéj oryginalnym, niż w tragedyach. Więcéj zdaje się pracował w komedyi Naevius. Dowodzą tego jego więzienie i wygnanie. Naśladował on prawdopodobnie komedyą Arystofanesową i był więcéj od Liwiusza oryginalnym przez to, iż wprowadzał na scenę chwile z życia rzymskiego publicznego, a może i prywatnego. Los który, spotkał Newiusza, odstraszył pewnie innych od naśladowania starszéj attyckiéj komedyi, gdyż odtąd idą komicy już tylko w ślady reprezentantów komedyi attyckiéj nowéj, a mianowicie Menandra i Filemona.

Enniuszowi przyznają także kilka komedyi. Czy je pisał Pakuwiusz, jest rzeczą niepewną.

Właściwym twórcą komedyi łacińskiéj jest Maccius Plautus, o którym więcéj pomówimy późniéj. Za nim z kolei czasu idzie Caecilius Statius. Pochodzi z Insubrii, wedle innych z Mediolanu, był niewolnikiem, późniéj wyzwoleńcem i równoczesnym z Enniuszem i z Katonem. Umarł roku 168 prz. Chr. Z Terencyuszem żył w przyjaźni. Przypisują mu 40 komedyi, które były naśladowaniem komedyi greckich, mianowicie Menandra. Ile ze szczupłych resztek sądzić możemy, był on w komedyach swoich podobniejszym do Terencyusza, niż do Plauta. Komedye jego były pełne siły i życia; nie były owocem chwilowego natchnienia, lecz wedle naprzód obmyślonego planu napisane nie były bez sztuki. Ale dowcipu było w nich mało i dialog jałowy i nie dosyć gładki. Cycero chwali go bardzo i przytacza często jego wiersze. Usterki językowe i sztywność w wyrażeniu tem wytłumaczyć można, że on jako niewolnik i nie Rzymianin znał język więcéj z popędu i z nauki tylko, że go się uczył pomiędzy prostymi ludźmi, więc sobie też przywłaszczył sposób ich wyrażenia.

Bardzo wysokie miejsce zajmuje w komedyi rzymskiéj Publius Terentius. Nazywają go Afer, dla tego, iż pochodził z Afryki. Urodził się w saméj Kartaginie, albo w pobliżu Kartaginy około 190 r. prz. Chr. z rodziców fenickich. Do Rzymu dostał się w młodych latach swoich jako niewolnik i był tu w domu Terencyusza Lukana, który go kazał kształcić, uczyć po grecku i po łacinie i nareszcie uwolnił. W domu pana a późniéj patrona swego poznał Terencyusz mężów jak Scipiona Afrykańskiego, Kaja Leliusza i innych, którzy przez swoją naukę i obyczaje wielki wpływ na niego wywierali; oni to, widząc w nim zdatność niepospolitą, zachęcali go pewnie do tłumaczenia komedyi greckich. I tak pracuje znów obcy zupełnie człowiek nad zbogaceniem literatury rzymskiéj. Gdzie umarł Terencyusz, jest niepewną. Tyle wiemy, że opuścił Rzym, może chcąc uniknąć pocisków nieprzyjaciół, którzy go plagiatorem nazywali, i że odpłynął

do Grecyi. W czasie podróży rozbił się, jak utrzymują, okręt, na którym płynął i tak znalazł Terencyusz grób w morzu mając lat 35. Wedle innych dostał się szczęśliwie do Arkadyi i umarł tam z zmartwienia po utracie 108 komedyi, które zatonęły. Mamy sześć jego komedyi: Andria, Hecyra, Heautontimorumenos, Eunuchus, Phormio, Adelphi. Terencyusz był mniéj oryginalnym od Plauta. Jako człowiek obcy, wychowany w domu znakomitego Rzymianina, nie znał życia rynku, nie znał obyczajów i zwyczajów ludzi prostych, handlarzy i przekupniów, ani ironii grubéj i szorstkiéj wieśniaka włoskiego. Ateny, jakie poznał z Menandra i Difila, jakie sobie uidealizował, były mu ojczyzną, a Ateńczycy idealni współobywatelami. Znając tylko życie społeczeństwa wyższego w Rzymie, sięgał myślą wyżéj i uczynił komedye swoje odbiciem obyczajów tego społeczeństwa. Lud go dla tego nie pojął i nie lubił jego komedyi, gdyż mu były obcemi, jałowemi, za uczonemi, nie mającemi przystroju w dowcipie, którym Plautus porywał wszystkich. Plaut stoi wyżéj od Terencyusza pod względem dowcipu, którego Terencyusz prawie wcale nie ma, Terencyusz wyżéj pod względem sztuki. W Terencyuszu widać w ogóle więcéj wykształcenia i ogłady niż w Plaucie, ale dla tego znów mniéj twórczości, którą zastępuje przez wielkie obliczenie, wymierzenie wszystkiego nie mające przez to świeżości i życia, którego tak pełnemi są Plauta komedye. W układzie, w przeprowadzeniu charakterów i całéj akcyi, w zręcznem zakończeniu stoi Terencyusz nieraz wyżéj od Plauta. Szczególniéj charaktery są u niego poważne i pełne zasad moralnych, ale mało zdecydowane. Jego sławę stanowi wykończenie formy, uniknienie przesady i wszędzie i we wszystkiem odpowiednia miara. Środek we wszystkiem jest jego zasadą i ideałem. Jego język jest piękny, ogładzony, płynny, ozdobny i pełen życia.

Chociaż dziś przy zmianie czasów i potrzeb nikt się nie pokusi naśladować Terencyusza, to przecież wpływ jego komedyi na komedyą dzisiejszą z pewnością jest wielki. Wszystkie charaktery jego powtarzają się w komedyach naszych,

tylko ich może nie poznajemy; bo lubo wszystko jest tak, jak było dawniéj, chociaż ludzie są cisami, świat tensam, zasady tesame, zmieniło się jednak tło i koloryt i dla tego zdaje nam się wszystko być różnem. Znamy oprócz tych jeszcze kilku komików, którzy pisali fabulas palliatas, ale z dzieł ich tak mało się przechowało, że nie możemy sobie dokładnego o nich wyrobić sądu. Do nich należy tragik Attilius, Q. Trabea, Fabius Dosennus, Licinius Imbrex, Sextus Turpilius, Luscius Lavinius, Pomponius, Juventius, Calpurnius, Sutrius i inni, którzy wszyscy, naśladując komików greckich, w większéj przynajmniéj części szli za Plautem.

Poeci, którzy obrabiali drugi rodzaj komedyi t. j. comoedia togata, występują dosyć licznie pod koniec rzeczypospolitéj; ale z ich prac tak małe pozostały się resztki, że sąd o nich możemy oprzeć tylko na sądzie starożytnych pisarzy.

Komedye tego rodzaju były poważniejsze i odpowiadały pod względem treści więcéj komedyi Arystofanesowéj. Ale los, jaki spotkał Newiusza, który, jak się zdaje, pierwszy wszedł na tę drogę z komedyą swoją Clastidium, odstręczył z pewnością jego następców tak, iż Plautus sam, a za nim większa część komików, czerpiąc treść z życia greckiego, wprowadzali tylko charaktery rzymskie, koloryzując rzecz całą i akcyą ile możności rzymskiemi farbami.

Do poetów, którzy sił swoich w tym rodzaju próbowali, należą: Titinius, pewnie współczesny Terencyusza. Z maleńkich resztek, jakie się przechowały, wnosić można, że jego komedye były Tabernariae i że pod każdym względem zresztą zbliżały się do Plauta. Tytułów jego komedyi znamy 14.

Quinctius Atta miał być wedle Diomedesa obok Afraniusza najlepszym poetą togatów.

L. Afranius żył około połowy 7 wieku od założenia Rzymu. Był to człowiek wykształcony i bardzo zdatny. Naśladując Menandra potrafił bardzo zręcznie materyał grecki zastósować do obyczajów i charakteru Rzymian, tak że komedye jego mało przypominają greckie swoje pochodzenie.

Znany z nazwiska i z małych ułamków 40 komedyi jego, które się zbliżają pod względem planu i języka do Terencyusza. Autorowie starożytni tak bardzo go chwalą, iż go możemy uważać za pierwszego pomiędzy poetami, którzy pisali tego rodzaju poezye.

3. Atellany.

Atellany, o których już mówiliśmy wyżéj, zatrzymując swój charakter pierwotny, ludowy, przybrały z czasem charakter wyrobionéj i wedle prawideł sztuki wykończonéj komedyi. Wyrosły one, jak wiemy, z igrzysk dialogicznych obywateli rzymskich należących do warstw najniższych spółeczeństwa rzymskiego i znalazły w siódmym wieku swoich reprezentantów, którzy jako poeci Atellan zajęli zaszczytne miejsce w rzymskiéj literaturze. Był czas, kiedy komedye tego rodzaju, widać swobodne, naturalne, były ulubionemi komedyami Rzymian i doszły nawet do tego stopnia w znaczeniu, iż znakomici Rzymianie, pomiędzy innymi n. p. Sulla, próbowali w nich sił swoich. Treścią Atellan były sceny z życia ludzi roboczych, rzemieślniczych, mieszkańców małych miast — z wszystkiemi ludziom tym właściwemi śmiesznościami, przymiotami, przywarami, słabościami i cnotami. Nie mogło się tu obyć bez dowcipów często pewnie bardzo grubych, ale świadczących o prostocie serca i duszy; nie mogło się obyć bez dwuznaczników, które jednak nie rażą, o ile wychodzą z ust człowieka, któremu są właściwe; były w nich rozmaite przygody miłosne — przy chytrości i intrygach; a osoby występujące nie dla tego używają słów sprośnych albo dwuznaczników, iżby w tem upatrywali dogodzenie lubieżnéj myśli, ale dla tego, że są one im tem, czem każdy inny wyraz. Celem Atellan było: rozweselić publiczność; dla tego wprowadzano na scenę figury i charaktery takie, które dla Rzymianina, nie przywykłego do scen życia

małomiejskiego i rzemieślniczego, musiały się wydać oryginalnemi i budzić śmiech i wesołość. W nich wypowiadali poeci zasady i zdania pełne naturalnego rozumu, jakim się odznaczają zwyczajnie ludzie sfer niższych, ludzie pracy.

Atellany bywały krótkie, a układano je pewnie więcéj dla sceny, niż do czytania. Język był w nich, jak naturalna, zastósowany do treści charakterów występujących, zwłaszcza, że przez to tym więcéj występowała komiczność. Atellany zawdzięczają swoją wartość literacką dwom szczególniéj poetom; pierwszym z nich był: L. Pomponius Bononiensis, który żył w drugiéj połowie 7 stulecia od założenia Rzymu. Napisał około 60 Atellan, których to było zaletą, że Pomponiusz potrafił zatrzymać ich charakter pierwotny, italski, a dał im formę wykształconą nawet pod względem języka. Życie ludu i charaktery ludzi rzemieślniczych i przemysłowców potrafił Pomponiusz malować z dziwną trafnością i dowcipem. Pisał on także, jak się zdaje, komedye togatae i palliatae.

Novius był równoczesnym Pomponiusza. Jest on jako poeta Atellan nie mniéj stary od pierwszego. Nazwisk jego Atellan znamy 40.

Około czasów Cycerona musiały, jak się zdaje, ustąpić Atellany Mimom; ale pojawiają się jeszcze za panowania cesarzów, chociaż znaczniejszych poetów nie miał już ten rodzaj dramatu. Wspominają jeszcze Memmiusza jako poetę Atellan z czasów około połowy 8 stulecia od założenia Rzymu.

4. Mimus.

Atellany, które zastąpiły prawie komedyą właściwą, nie mogły się podobać Rzymianom wykształconym, mającym smak już wyrobiony, uczucie delikatne, znajomość sztuki i dramatu greckiego. Pokazała się przeto potrzeba uczynić zadość nie tylko wymaganiom pospólstwa i gminu, ale i lu-

dzi wykształconych przez nadanie formy więcéj wykończonéj ludowemu temu dramatowi — i ztąd powstał Mimus. Treścią Mimów było także życie ludu włoskiego, szczególniéj klasy przemysłowéj, rzemieślniczéj i małomiejskiéj; tak samo w nich, jak w Atellanach, było zadaniem poety przez dowcip i żart pobudzić widzów do śmiechu i wesołości, przyczem wypowiadano zasady i zdania zdrowe i pełne prawdy — dla tego zwano ich pisarzów ἀρετολόγους, βιολόγους, — nawet z odnoszeniem się do osób znakomitszych w państwie i do położenia państwa, ale działo się to w sposób łagodniejszy. Różnica właściwa pomiędzy Atellanami a Mimem polegała na tem, że tamte były dramatami małemi, układanemi więcéj bez planu, w tych zaś trzymano się pewnego planu, opierano się na zasadach sztuki, uważano na piękność i czystość języka. Zawikłanie było w Mimach zwyczajnie nie wielkie, a rozwięzywano je jakim wesołym dowcipem.

Zdaje się, że Mimus zaczął się pojawiać na scenie rzymskiéj około r. 707, jak to wnosić można ze słów Cycerona ad fam. 9. 16. Najwięcéj zapewne zawdzięcza on powodzenie swoje tak na scenie jak i w literaturze Cezarowi, — może dla tego, iż Atellany dotąd używane zbyt miały, że tak powiem, tradycyonalnéj swobody co do uwag odnoszących się do polityki i państwa, które przy ograniczonéj przez dyktatora wolności podobać mu się nie mogły; a zdania moralne, jakich pełno bywało w Mimach, mogły być łatwo zastósowane do potrzeb i widoków dyktatora.

Z czasem zmieniły Mimy pierwotny swój charakter i stały się obrazem zepsucia miejskiego wszelkiego rodzaju, nie tylko oddając je w słowie, ale szczególniéj w mimice. Dla dogodzenia publiczności znarowionéj i zepsutéj nie zaniedbano niczego, coby jéj się podobać i przychylność jéj pozyskiwać mogło. Wprowadzono więc na scenę zdrady w małżeństwie, rozpusty, oszustwa, wszystko zaprawiając sprosnością wyrazów i obrazów i podawano ludowi w Mimie jad, który już i tak robaczywe i zepsuciem zgniłe serce roztoczał z gruntu. Do jakiego stopnia dochodziła bezczelność w mimach, dowodzi to, że Owidiusz odpiera zarzut, robiony

mu o nieprzestrzeganie obyczajności w pismach, pomiędzy innemi tem, że jego pisma nie mogą obrażać uczucia wstydu, gdzie panna i mężatka, mąż i dziecko, gdzie cesarz i senat przyglądają się Mimom, w których zawsze żony z gachami oszukują mężów, i przez które nie tylko uszy przywykają do luźnych wyrazów, ale i oko do najsprośniejszych obrazów. A Marcyalis utrzymuje, że kobiety, które widzą Mimy, mogą najgorsze jego czytać poezye.

Jako autorowie Mimów znani są:

Cn. Matius — występuje pod koniec rzeczypospolitéj, jako autor Mimijambów. Był to człowiek znakomity rozumem i nauką, a żył w przyjaźni z Cezarem i Cyceronem. Jego Mimijamby, czyli zdania moralne pisane wierszem, były, jak się zdaje, przeznaczone do czytania, nie na scenę. Właściwym twórcą Mimów jest: D. Laberius, który żył od 106 do 43 r. prz. Chr. Cezar przymusił go do wystąpienia na scenie w Mimie przez niego napisanym, chociaż go to pozbawiało przywilejów stanu rycerskiego, do którego należał. Ale dostał za to 500,000 sexterców, a Cezar przywrócił mu późniéj jego znaczenie i stan. Laberyusz był człowiekiem wykształconym, miał dużo naturalnego rozumu i dowcipu obok wielkiéj powagi i godności, która przebijała w jego trafnych zdaniach i spostrzeżeniach. Język znał dobrze; życie ludzi miejskich malował doskonale i trafnie; zasady miał liberalne i dla tego pewnie niżéj stawiany przez Cezara od młodszego rywala jego Publiusza Syrusa.

Publius Syrus miał wedle Makrobiusza odzyskać wolność przez pana swego dla wielkich zdolności i dowcipu. Był młodszym nieco od Laberyusza. Występować zaczął z Mimami swemi po różnych miastach Włoch, a sława jego wielką być musiała, kiedy go Cezar do Rzymu wezwał i tu występować rozkazał. Mimy jego podobały się bardzo publiczności rzymskiéj i były długo poszukiwanemi. Są one pełne zdań moralnych, zdrowych zasad życia, które w krótkich wypowiada słowach. Ale odnosiły się nie specyalnie do błędów panujących, lecz do życia prywatnego i publicznego ogólnie. Dla tego miały mniéj dramatyczny zakró

a zastępowały niejako potęgę słowa mówcy, który za rzeczypospolitéj, odnosząc się do okoliczności, o których mówił, karcił błędy i wypowiadał swobodnie, co myślał o ludziach i sprawach. Jak wielkie znaczenie tym zdaniom przyznawano, widać ztąd, że je wypisywano i wydawano osobno. Około 900 takich zdań Syrusa, pełnych zdrowego rozumu, znajomości człowieka i głębokości myśli, przechowało się aż do naszych czasów — ale z nich pewnie niejedno jest innego autora. Za to Mimy jego zaginęły.

Pod koniec panowania Augusta żył jeszcze jakiś Filistion z Nicei, znany jako autor Mimów. Ale wtenczas Mim sam, jak mówiliśmy, przybrał był wcale inny charakter, a temsamem znaczenie jego literackie było coraz mniejsze, zwłaszcza, że już wtenczas wszedł w modę Pantomim, który bez słów wyrażał myśl jaką w tańcu, w gestach i ruchach ciała. Ale Pantomim przyszedł prędko do takiego znaczenia i tak był ulubionem widowiskiem w Rzymie, że ustąpić przed nim musiały prawie wszystkie rodzaje dramatu.

II.

O ŻYCIU I PISMACH PLAUTA.

Maccius Plautus, alko jak go dawniéj nazywano M. Attius Plautus, albo jeszcze M. Accius Plautus urodził się pewnie w roku 527 od zał. Rz. w Sarsina, mieście położonem w Umbryi. Jego rodzice, jakkolwiek ubodzy, dali mu jak na stan, swój i na owe czasy wykształcenie dosyć wysokie i wychowanie dobre. Byli może nawet niewolnikami i Plaut dostał się do Rzymu pewnie także jako niewolnik. Tu dopiero uwolniony przybrał nazwisko pana swego, zatrzymując dawniejsze Plautus, albo Plotus — może dla oznaczenia pochodzenia, gdyż, jak mówi Festus, byli Umbrowie plauti albo ploti, t. j. mieli szerokie, płaskie nogi. W drugiéj wojnie Punickiéj służył, jak się zdaje, w wojsku; dla tego odnosi się też często w prologach do téj wojny i upomina Rzymian, aby wytrwali w męztwie i w boju z Kartaginą. W prologu do Cistellaryi mówi o Kartaginie jako już pokonanéj. Z Aula Gelliusza, który czerpał, jak się zdaje, wiadomości swoje z zaginionych dzieł M. Varrona, wiemy tylko jeszcze tyle, że Plaut pisał już wcześnie komedye i zarobił sobie przez nie tyle grosza, iż mógł zacząć jakiś handel; wnet jednakże stracił wszystko i powrócił do Rzymu w tak wielkiem ubóstwie, iż pracował jako parobek u piekarza, mieląc mu mąkę. W czasie téj biedy swojéj

i tak ciężkiéj niewolniczéj pracy napisał trzy komedye, sprzedał je edilom, i dostał za nie, a może i za inne jeszcze, tyle, że mógł odtąd żyć swobodniéj i oddawać się pracy, do któréj go natura jego ciągnęła. Jego komedye zwróciły pewnie wtenczas dopiero więcéj na niego uwagę Rzymian, a szczególniéj poetów Newiusza i Enniusza, którzy, poznawszy się z nim, wpływali na niego przez wyższe swoje wykształcenie i wprowadzali go w wyższe towarzystwa, z których życia i obyczajów czerpał wiele nauki, myśli i scen dla komedyi swoich.

Plaut umarł w dosyć jeszcze młodym wieku; wedle Hieronima w 145 Olympiadzie, a więc mniéj więcéj w 196 roku prz. Chr.; wedle Cycerona zaś w roku 570 od zał. Rz. więc 184 prz. Chr. Podanie Cycerona zdaje się bliższem prawdy. Gelliusz podaje nagrobek, który sobie Plaut sam miał napisać:

Gdy Plauta śmierć zabrała, w żałobie komedya,
Scena jest opuszczona, śmiech, wesołość, żarty
I wiersze niezliczone, — wszystko razem płacze.

Plautowi przyznawano aż 130 komedyi; ale już starożytni widzieli nieprawdziwość tego i starali się z wielkiéj liczby komedyi zwanych Plautyńskiemi, Plautinae, czy to dla tego, że były pisane w sposób Plautowi właściwy, czy że pochodziły od poety Plautiusza, za pomocą ścisłéj krytyki wyróżnić te, które nie były jego dziełami i odmówiono mu wielkiéj ich części. L. Aelius Stilo, żyjący około 7. stulecia, którego Gelliusz nazywa homo eruditissimus, przyznał mu 25 komedyi, Warro zaś tylko 21, które ogólnie za Plautowe uznane, nazywają także Varronianae. Te komedye przechowały się wszystkie z wyjątkiem Vidularia.

Że rzecz ta zajmowała tak bardzo uczonych rzymskich gramatyków już w tak dawnych czasach, gdyż oprócz wymienionych Eliusza i Warrona zajmowali się nią jeszcze Sedigitus, Klaudiusz, Aureliusz, Attiusz, Maniliusz, pokazuje się z tego wyraźnie, że Plaut był ulubionym i popu-

larnym poetą i że go wysokó ceniono. Jakich się oni zasad w krytyce swojéj trzymali, niewiadomo; tyle jednak pewna, że lubo może pomiędzy temi komedyami, które mu są przyznane, nie wszystkie są jego utworami, a pomiędzy temi, których mu nie przyznano, nie jedna może jeszcze jego jest pióra, możemy jednakże z tych, które m y, poznać jak najdokładniéj sposób pisania Plauta i ocenić jego talent i znaczenie.

Mamy więc z owych comoediae Varronianae 20 k omedyi. Na pewne twierdzić nie można, ażeby były zupełnie czyste, bez dodatków i zmian, gdyż dyrektorowie teatrów zmieniali w nich albo dodawali nie jedno, mianowicie prologi wedle potrzeby i okoliczności; w kilku braknie nawet jakiéj części. Zwyczajnie drukują je i wyliczają wedle alfabetycznego porządku tytułów; na czele jednakże drugiéj ich części, która późniéj znalezioną została, umieszczają Bacchides. Porządek ten pochodzi podobno od gramatyka Prisciana; tenże, a wedle innych Sidonius Apollinaris, ma też być autorem Akrostichów, będących na czele kilku komedyi. Niektórzy utrzymują, że nazwy niektórych komedyi nie pochodzą od Plauta.

Przez długi czas znano tylko 8 następujących komedyi, które starannie przepisywano: Amphitruo, Asinaria, Aulularia, Captivei, Curculio, Casina, Cistellaria, Epidicus; więcéj popsute i późniéj znalezione są: Bacchides, Mostellaria, Menaechmi, Miles gloriosus, Mercator, Pseudulus, Poenulus, Truculentus.

Amphitruo jest komedyą, jakich zresztą na scenie rzymskiéj nie przedstawiano. Sam Plaut nazywa ją w prologu w. 59, Tragikomedyą i.to dla tego, iż występują w niéj bogowie i bohaterowie, że przedmiot, będący właściwie tragicznym, jest tu pochwycony z komicznéj strony i przedstawiony w sposób komiczny. Dramata tego rodzaju były znane szczególniéj w Sycylii, a następnie w Niższych Włoszech. Jedni uważają, że Plaut naśladuje w niéj tragikomedyą Rhintona i to pewnie jest prawdą, inni, że naśladuje sycylijsko-dorycką komedyą Epicharma, inni jeszcze,

że środkową komedyą attycką. Plaut jest w niéj wybornym. Naśladowali go Molière, Boccacio i inni. Lessing przyznaje Plautowi pierwszeństwo przed Molierem, przeciw zdaniu Baylego. Prolog jest w niéj z pewnością pióra Plauta. Wielka szkoda, że ten dramat nie jest zupełny; wiele scen, szczególniéj w akcie 4., jest podrobionych dla zastąpienia tego, co zginęło. Wedle świadectwa Arnobiusza dawano w Rzymie tę komedyą jeszcze za czasów Dioklecyana, więc około 300 lat po Chr.

Asinaria jest naśladowaniem komedyi Demofilosa Ὀναγρός — wedle Lessinga i Ritschla Difilosa. Treść w niéj dosyć niemoralna. Należy ona do słabszych komedyi Plauta, lubo w niéj dużo wdzięku.

Aulularia należy do najlepszych utworów Plauta; jest on w niéj bardzo samodzielnym, chociaż pewnie, pisząc ją, miał na myśli jakiś oryginał grecki. Molière bardzo dużo korzystał z niéj, pisząc swojego Avare.

Captivi należy również do najlepszych jego utworów. Treść sama jest poważna, a szczególniéj panuje w niéj skromność w wyrażeniu i myśli. Lessing, który tę komedyą tłumaczył, powiada, że pomiędzy wszystkiemi, jakie kiedykolwiek na scenę wystąpiły, jest ona najwyborniejszą.

Curculio odznacza się tem, że w niéj chór zachodzi.

Casina jest naśladowaniem komedyi Difilosa κληρούμενος Rzecz bardzo komiczna i z życiem przeprowadzona.

Cistellaria należy do najstarszych komedyi Plauta.

Epidicus—ulubiona komedya Plauta, którą, jak mówi w Bacchides, kochał jak siebie.

Bacchides albo Chrysalus treści bardzo niemoralnéj; prolog, początek i kilka jeszcze części z pewnością podrobione.

Mostellaria albo Phasma—komedya przez nowszych często naśladowana n. p. przez Addisona, Regnarda i innych. Należy do lepszych.

Menaechmi—komedya należąca do lepszych. Shakespeare miał ją z pewnością na myśli, pisząc swoje: Złudzenia. Regnard naśladował ją także.

Miles gloriosus—bardzo dobra komedya; pisał ją Płaut, kiedy Newiusz siedział w więzieniu. Treść wzięta z greckiego oryginału. Terencyusz naśladował ją w Eunuchu.

Mercator jest naśladowaniem komedyi Filemona Ἔμπορος. Wiele w niéj niemoralnego.

Pseudolus należy do lepszych, ale w niéj dużo niemoralnego. Plaut sam stawiał wedle Cycerona tę komedyą wysoko.

Poenulus — komedya dobra; ma tę osobliwość, że występuje w niéj Hanno i mówi językiem Kartagińskim. Słowa Hannona uważano długo za język hebrajski; Jocher uważa je za słowiański i polski język.* Jest to jedyny zabytek języka fenickiego.

Persa — bez prologu, z bardzo zręcznem zawikłaniem.

Rudens — ładna komedya. Czytając ją, mówi Wolf, zdaje się, jakoby się miało w ręce Nowy Testament — pewnie dla bardzo wielu zdań moralnych. Helena Ballitti Riccoboni naśladowała ją w swojéj: le naufrage.

Stichus — także pełna zdań moralnych.

Trinummus jest naśladowaniem komedyi Filemona θησαυρός. Cały plan, układ i przeprowadzenie jéj jest wyborne; również wybornemi są charaktery; dla tych zalet należy do najlepszych Plauta komedyi.

Do komedyi przyznanych Plautowi dodaje Pareus i kilku innych wydawców jeszcze komedyą Querolus albo Aulularia. Warro jéj nie ma; jest ona też z pewnością z czasów późniejszych, chociaż w kilku rękopismach jest pomiędzy Plauta komedyami.

Z komedyi Vidularia zostało tylko kilka szczupłych resztek. Nazwiska innych jeszcze są pewnie nazwiskami tych komedyi, które dawniéj Plautowi przyznawano, albo które przez Plauta były może przejrzane lub przerobione, albo które są naśladowaniem komedyi Plauta.

Plauta komedye utrzymały się długo na scenie rzym-

* Harmonia mów. Wilno, 1859

skiéj; w Pompeji znaleziono n. p. bilet — tessera — na przedstawienie jego komedyi Casina, pochodzący z pewnością z czasu niedalekiego przed zasypaniem tego miasta.

Z dzieł Plauta pokazuje się, że to był człowiek obdarzony rzadkiemi zdolnościami. Gdyby go los był postawił na innem stanowisku, gdyby mu był dał więcéj sposobności do wykształcenia, a mniéj biedy, byłby Plaut niewątpliwie stanął na czele komików wszystkich narodów i czasów. Chociaż bowiem, jak widzieliśmy, los wcale mu nie sprzyjał, to jednakże już sam jego geniusz postawił go pomiędzy najcelniejszymi dramaturgami i uczynił go mistrzem w komedyi.

Plaut odznacza się szczególniéj wielką i głęboką znajomością serca ludzkiego. Spokojnie patrząc się na ludzi, odkrywa w nich wszelkie słabości, wszystkie przywary i przymioty, a jako doskonały malarz przedstawia ich charaktery po mistrzowsku w najsprzeczniejszych sytuacyach życia i w najróżnorodniejszych zajęciach. Siłą ducha zagląda Plaut w najgłębsze tajniki duszy ludzkiéj i czytając w niéj jako głęboki badacz, wydobywa na jaw wszystko, co się w niéj dzieje i co w niéj zamieszkało, a ze stanowiska swojego jako komik chwyta on to zawsze ze strony komicznéj i śmiesznéj.

Przy tem niezrównany dowcip, wesoły, nigdy nie wyczerpany humor, pełność życia w akcyi, zręczność w zawikłaniu, nadzwyczajna naturalność i naiwność, ustępy odnoszące się do wypadków czasowych i osób w nich działających zręcznie wplątane, zdobią ogromnie jego utwory, podnosząc ich wartość do bardzo wysokiego stopnia.

W obec wielkich zalet, jakiemi się komedye Plauta odznaczają, nikną usterki i błędy, od których nie są wolne. Jest w nich niekiedy brak wykończenia artystycznego; naturalność i prostota jemu właściwa przechodzi niekiedy w rubaszność, która zresztą ówczesnych Rzymian nie tyle raziła, co nas dziś razić może; niekiedy obrażają jego wyrażenia i dwuznaczniki nasze pojęcie estetyczności i przyzwoitości; ale jak brak wykończenia możemy wytłumaczyć

brakiem wykształcenia poety, tak rubaszność i brak estetyczności możemy wytłumaczyć tem, że Plaut, sam pochodząc z ludu, pisał najwięcéj dla ludu, że więc używał sposobów mówienia ludowi właściwych, a może i takich, które dla nas nie są estetycznemi i skromnemi, ale dla Rzymianina ówczesnego, pełnego jeszcze prostoty i naturalności, nic obrażającego w sobie nie miały.

Plaut nie był pod wpływem społeczeństwa wyższego, lecz jako człowiek z ludu, prosty, uczciwy i szlachetny, pisał w chęci służenia narodowi to, co myślał i jak się od dzieciństwa myśleć i wyrażać nauczył, wiedząc, że go lud zrozumie.

Plaut miał za mało wykształcenia, aby być zupełnie oryginalnym; ale potrafił zręcznie korzystać z greckich oryginałów, mianowicie: z Filemona, Difilosa, Menandra, a może z Epicharma i innych. Trudno jednakże powiedzieć, do jakiego stopnia ich naśladował i o ile z nich korzystał, gdyż ich komedye zaginęły tak, iż z rzymskich dopiero komedyi możemy wnosić o oryginalnéj nowszéj komedyi attyckiéj.

To jednakże z pewnością o nim twierdzić możemy, iż na ślepo nie naśladował, iż głównie przejmował tylko treść z komedyi greckiéj, ale zresztą w planie, w układzie, w charakterach, w zawikłaniu jest samodzielnym, zdobiąc wszystko żywością dialogu, bystrością pojęcia, dowcipem i zasadami czysto rzymskiemi.

Plaut odgrywa w historyi literatury rzymskiéj bardzo ważną rolę tak dla twórczości wielkiéj, przez którą zbogacił ją tylu dramatami, jak i dla języka, który jemu bardzo wiele zawdzięcza. Jego język łaciński nie jest jeszcze dosyć gładkim, ale jest pełnym siły, energii i naturalności, jest jasny i żywy, w wyrażeniu wielka w nim rozmaitość; dla tych zalet uznanym został już przez starożytnych wielki wpływ jego na język współczesny i późniejszy.

Plautem zajmowano się wiele, ale najwięcéj jednak dopiero w późniejszych czasach. Należy on do tych pisarzów łacińskich, nad którymi pracowano usilnie i z których pod względem języka i znajomości życia prywatnego, a nawet i publicznego Rzymian, czerpano wiele wiadomości i nauki.

Po odrodzeniu się nauk, a szczególniéj w wieku 16. czytywano go i wydawano często, ale niektórzy wydawcy postępowali sobie z tekstem zbyt śmiało.

W Polsce nie wiele się Plautem zajmowano; widać to z tego, iż wydano u nas tylko kilka pojedyńczych komedyi, pomiędzy któremi najdawniejszem jest wydanie Amfitruona u Scharffenbergera z r. 1530.

Tłumaczenia jego komedyi nie mamy. Piotr Ciekliński przełożył Trinummus, co zwyczajnie za tłumaczenie nie uważają. Tymczasem Ciekliński tłumaczy w rzeczy saméj dosłownie nawet wyrazy i myśli Plauta, ale dodaje w wielu miejscach wiersze własnego utworu, zastósowując myśli do potrzeb, obyczajów i do położenia, w jakiem się Polska wówczas znajdowała.*

Jocher powiada, iż Dobrowski w recenzyi dzieła Rakowieckiego: „Prawda Ruska“ drukowanéj bezimiennie w piśmie w Wiedniu wychodzącem: Jahrbücher der Literatur 27 Band. 1824 p. 117. wspomina, iż Konacz, dawny pisarz czeski, w przedmowie do Judith, komedyi, któréj druk datowany w Pradze roku 1545, o drukowanem tłumaczeniu na polskie Terencyusza i Plauta mówi. Ale oprócz tego podania nie mamy żadnéj wiadomości o drukowanym przekładzie Plauta z 16. wieku. Zdaje się, że Wiszniewski w swojéj Historyi Literatury tom 7. myśli o tem tłumaczeniu, kiedy mówiąc o stanie dramatu polskiego w wieku Zygmuntowskim dodaje: „choć literaci nasi biegli w języku łacińskim, mieli dobre wzory w komedyach Plauta i Teren-

* Tytuł téj książki jest: Potroyny z Plauta Piotra Cieklińskiego. W Zamościu w drukarni Akademiey, Marcin Łęski, roku MDXCVII, — Jocher nazywa Cieklińskiego Danielem Czeklińskim — pewnie przez pomyłkę z nieuwagi biorąc to imię od Hermana Daniela, który w poemacie rana et lacerta tak mówi do Zamojskiego: „Widziałem u Jasności Wászéj Trinummus Plauta, przełożony na polski język od Czeklińskiego, sekretarza JKM. tak dokładnie i wybornie, że gdyby sam Plautus żył, wolałby polską niż rzymską togą być odzianym.“ — Podamy ten przekład poniżéj.

cyusza, nawet na początku tego wieku wierszem miarowym na język polski potłumaczonych; ale Stanisław z Łowicza przekładając widowisko mytologiczne pogardzał komedyami Plauta i Terencyusza, jakby grube pospólstwo tylko zabawić mogące.“ Szkoda, że Wiszniewski nie podał bliższéj wiadomości, zkąd wie o tych tłumaczeniach, czy były drukowane, czy je widział, gdzie są i t. d.

W późniejszych czasach, ile wiadomo, nikt się nie wziął do tłumaczenia Plauta.

III.

O TEATRZE W RZYMIE.

Widowiska w dawnym Rzymie były częścią służby bożéj; późniéj straciły prawie zupełnie ten charakter i stały się dla panów i cesarzy środkiem pozyskiwania sobie ludu i odciągania go od poważniejszych zajęć, ludowi zaś popsutemu i nawykłemu do lenistwa były potrzebnemi do spędzania czasu w nieczynności i do objawiania życzeń swoich.

Ponieważ stanowiły część służby bożéj, a religia najściśléj była połączona z państwem, dla tego wyznaczoną była już od najdawniejszych czasów rzeczypospolitéj pewna roczna suma ze skarbu publicznego na opędzanie kosztów i nakładu. Ta suma w rozmaitych czasach rozmaita, chociaż dochodziła znacznéj wysokości (od roku 364 prz. Chr. aż do wojen Punickich wynosiła na nasz pieniądz 438,000 złp.) nie wystarczała jednak nigdy, zwłaszcza kiedy liczba widowisk mnożyła się razem z przybywaniem nowych bóstw do Rzymu, kiedy dni wyznaczone na pojedyńcze uroczystości nie wystarczały rozigranemu ludowi i kiedy w ogóle żądano coraz więcéj okazałości i przepychu w ich urządzeniu. Dla tego musieli edylowie, których było obowiązkiem widowiska urządzać, niedobór zastępować z własnéj kieszeni;

przyczem marnowali często ogromne nawet majątki, które późniéj starali się z bogatym odzyskać procentem, gnębiąc mieszkańców prowincyi oddanych im w zarząd.

Widowiska w ogóle, a więc i sceniczne odbywały się nie jak u nas codzień, lecz jako część czci bożéj w dni uroczyste i to, o ile uroczystości były regularne, powtarzały się one w pewne dni wedle kalendarza. Za rzeczypospolitéj było wszystkiego 7 uroczystości w roku połączonych z widowiskami, które wyprawiano ogólnie w 66 dniach. Ale w miarę przybywania bóstw przybyło i dni uroczystych tak, że ostatecznie liczba tych dni, w których się odbywały widowiska publiczne i powtarzające się regularnie, wynosiła około 4. stulecia po Chr. 175 dni w roku. Na sceniczne przedstawienia była w najdawniejszych już czasach przeznaczona uroczystość zwana Ludi Romani i to dawano je przez cztery dni; późniéj przybyły Ludi Plebei, Apollinares, Megalenses, Florales, a nareszcie Cereales, Augustales i Palatini. Z początku wystawiano dla każdego przedstawienia teatr z drzewa. Miejsce przeznaczone dla widzów wybierano zwyczajnie na jakiéj pochyłości, aby wszyscy lepiéj mogli widzieć przez głowy drugich stojących niżéj. Pierwszą scenę kamienną wystawili cenzorowie r. 172 prz. Chr. ale i w niéj siedzeń jeszcze nie było; kto chciał, mógł z sobą przynieść krzesło. Pierwszy stały teatr umyślono założyć roku 152 prz. Chr. ale go znów zerwano i wydano zakaz siedzenia w czasie przedstawienia — jak Tacyt powiada dla tego, aby publiczność, usiadłszy wygodnie, nie chciała dni całych spędzać w lenistwie. Dopiero w 55 roku przed Chrystusem zbudował Pompejusz stały kamienny teatr; w roku 13 zbudował drugi taki teatr Gnejusz Balbus i w tymże samym jeszcze roku Marcellus, a właściwie Oktawian August, założył trzeci teatr, którego ruiny dziś jeszcze sterczą. Więcéj stałych teatrów w Rzymie nie było. Wszystkie trzy razem mogły pomieścić 90,000 widzów wedle jednego, 49,000 wedle innego podania. Największy z pomiędzy nich był teatr Pompejusza; siedzeń było w nim 40,000.

Siedzenia dla publiczności były w półkolu. Najbliżéj sceny było 14 rzędów miejsc przeznaczonych dla senatorów. Te rzędy mieściły się w téj części teatru, która się nazywała orchestra. W teatrze greckim była orchestra przeznaczona dla chóru, ale ponieważ dramata łacińskie chórów nie miały, przeznaczono ją na honorowe miejsca senatorów. Po za niemi wznosiły się do koła inne rzędy siedzeń w coraz większych półkolach pod górę, z których jedna część była przeznaczona dla urzędników, inna dla kobiet, gdyż kobiety siedziały osobno, a najwyższe dla publiczności z klas najniższych. Od dołu począwszy t. j. od miejsc przeznaczonych dla senatorów, szły przez całe półkole — cavea — aż do najwyższego rzędu siedzień wschody w promieniach rozchodzących się ku górze, które dzieliły je więc klinowato na części — cunei — a u saméj góry poza ostatnim rzędem siedzeń bywał bardzo często jeszcze portyk.

Scena znajdowała się tak, jak w naszych teatrach, przed orkiestrą t. j. przed siedzeniami senatorów. Na jéj tyle była ściana z trojgiem drzwi, przez które aktorowie wychodzili i wchodzili, zwyczajnie ozdobiona kolumnami i wedle Witruwiusza dekoracyą wyobrażającą pałac, którą można było zmieniać za pomocą maszyn i kulisów; po obu stronach występowały wysunięte boczne ściany. Scena musiała być większą, niż w teatrach greckich, — najprzód już dla tego, iż w dramatach rzymskich występowało więcéj aktorów, niż w greckich, a potem, że kiedy nie dramat sam i nie sztuka bawiła publiczność, urządzano przedstawienia z ogromnym przepychem i okazałością nęcącą oko i wprowadzano wspaniałe pochody tryumfalne, okręty i wozy, zdobycze wojenne, girafy, białe słonie, odbywano ewolucye wojskowe. Tak n. p. przy poświęceniu teatru Pompejusza wprowadzono na teatr w Klitemnestrze, dramacie Attiusza, 600 rozmaitych zwierząt, a w Koniu Trojańskim mnóstwo jazdy i piechoty, najrozmaiciéj strojnéj i zbrojnéj.

Scenę zdobiono wspaniałemi malowidłami, srebrem, złotem i słoniową kością. Emiliusz Skaurus zbudował teatr tylko na czas swego urzędowania jako edyl z 80,000 sie-

dzeń dla widzów; jego przepych i bogactwo miało przechodzić wszystko, co Rzym dotąd widział. Scena szkliła kryształem, złotem, srebrem i najpyszniejszym marmurem; 360 wspaniałych kolumn, 3,000 posągów z brązu, wspaniałe attalskie kobierce, obrazy i t. d zdobiły scenę i teatr cały.

Scena przedstawiała zawsze ulicę, po bokach więc stały domy. Nadto znajdowały się tu zwyczajnie ołtarz Dionyzosa czyli Bachusa, który wyłącznie był opiekunem scenicznych widowisk, i ołtarz tego boga, któremu uroczystość obchodzona przez widowisko poświęconą była.

Nad całem miejscem przeznaczonem dla widzów można było rozciągnąć dach płócienny. Kwintus Katulus pierwszy podobno namiot taki urządził. Pompejusz wprowadził pierwszy do teatru wodę, dla zmiejszenia upału; a późniéj jeszcze urządzono maszyny, za pomocą których wpadała woda pachnąca strumieniami na rzędy siedzeń.

Dla zachowania porządku w zajmowaniu miejsc, przeznaczonych dla publiczności, były owe oddziały siedzeń oznaczone, jak się zdaje, przez posągi lub popiersia ludzi znakomitych; takie same popiersia znajdowały się na biletach wnijściowych po jednéj stronie, po drugiéj zaś był numer oznaczający pewnie rząd siedzeń.

Kurtynę, którą na początku przedstawienia opuszczano, a nie podciągano jak u nas, podnoszono dopiero znów na końcu.

Dramata bywały zwyczajnie pięcioaktowe, z wyjątkiem krótkich atellan i mimów. Ale pomiędzy aktami nie zawsze były pauzy; jeżeli je robiono, grała w nich zwyczajnie, szczególniéj w komedyi, muzyka.

Od czasu Terencyusza używano w Rzymie tak samo jak w Grecyi masek kunsztownie zrobionych, zakrywających twarz i głowę. Dawniéj rozróżniano wiek i płeć przez przystrój głowy; (kobiety występowały bowiem tylko w mimach, w późniejszych dopiero czasach także w komedyi).

W tragedyach używano sukien wspaniałych, długich,

(syrmata) i wysokich trzewików (cothurni), aby przez nie osoby, występujące w rolach bohaterów, poważniéj i wspaniaéj wyglądały; niskich trzewików (socci) używano w komedyach.

Przedstawienia dawano tylko za dnia; czasem trwał dramat cztery i więcéj godzin, szczególniéj wtenczas, kiedy wprowadzano na scenę pochody tryumfalne, kiedy przedstawiano ewolucye wojskowe i t. d.

Wnijście do teatru było dla wszystkich bezpłatne.

IV.

O AKTORACH W RZYMIE.

Położenie aktorów w Rzymie było bardzo smutne. Przesąd niesprawiedliwy względem aktorów, jaki przez bardzo długi przeciąg czasu był, a w części jest jeszcze i teraz między nami, datuje się ze starego Rzymu, z tą tylko różnicą, że tam miał jakąś przynajmniéj słuszną przyczynę, u nas zaś właściwie jéj nie ma. Kto umie ocenić talent i ma pojęcie o tem, ile potrzeba pracy nad sobą, znajomości serc ludzkich, wrodzonéj zdatności i poświęcenia w aktorze, ten mu z pewnością nie odmówi szacunku i czci, jaka mu się należy jako człowiekowi pracującemu dla dobra ogółu; ale kto pomni, jak ogromnéj pracy potrzeba było w starożytności, aby być dobrym aktorem, jakiéj znajomości muzyki, gruntownego wykształcenia, jakiéj akuratności w skandowaniu wierszy,—i porówna z temi wymaganiami stanowisko aktorów w Rzymie, zadziwi się może, że w ogóle Rzym mógł ich mieć jeszcze, jeżeli zapomni o tem, że to byli tylko niewolnicy, którzy, wybierając pomiędzy ciężką pracą w polu lub w młynie a aktorstwem, przynoszącem zresztą i materyalne niekiedy korzyści, woleli być aktorami, niż upadać pod ciężarem pracy niewolniczéj.

Na aktorach w Rzymie leżała bowiem infamia, z wyjątkiem tych, którzy występowali w atellanach, dopóki nie

byli aktorami z profesyi; a chociaż począwszy od Sulli, który pierwszy żył z aktorami otwarcie w przyjaźni, znakomici Rzymianie nieraz z nimi obcowali, było ich stanowisko jednakże i za cesarstwa jeszcze pod względem praw zawsze tosamo. Pod ciężarem infamii stali oni wedle Digestów i Cycerona na równi z dezerterami, rajfurami, oszczercami, złodziejami i oszustami; nie mieli żadnych praw obywatelstwa. Jeszcze Teodozyusz cesarz zabrania wyraźnie, aby w bliskości jego posągu nie stawiano posągów aktorów, gdyż nie chce, aby w miejscu uczciwem niecne były osoby.

Na poparcie naszego zdania, jakoby Rzymianie jakieś przynajmniéj słuszne mieli powody do pogardy aktorów, dodamy, że przyczyny tego nie w tem tylko szukać należy, iż nie potrafili należycie ocenić sztuki i że z natury już nie lubiąc poezyi, nie umieli się podnieść do stanowiska, z jakiego się nauczyciel ich Greczyn zapatrywał na sztukę, poezyą, dramat i aktorów, ale raczéj w tem, że aktorami byli z samego początku niewolnicy, po największéj części greccy, albo wyzwoleńcy, i to ludzie bez moralności i cnoty, bez czci i wiary. Dla takich aktorów nie mógł Rzymianin, z usposobienia dumny i uważający niewolnika nie za człowieka, mieć uszanowania i czci; on gardził nim jako niewolnikiem i gardził jako tym, który zepsucie szerzył, a pogarda ta zaszczepiona w Rzymianach stała się na długo dziedziczną. Arystoteles zastanawiając się nad zepsuciem aktorów, szuka przyczyny w tem, iż oddani swojéj sztuce mało się zajmują filozofią, albo że najczęściéj żyją w rozpuście, lub też w ogromnym niedostatku, co wpływa na zepsucie obyczajów; a do tego możnaby, jak się zdaje, dodać jeszcze jako najważniejszą przyczynę: pogardę, któréj doznawali, bez któréj i bieda okropna, o jakiéj mówi Seneka: iż ten, który na scenie majestatycznie kroczy i z góry wszystkich traktuje, jest niewolnikiem, dostaje jako taki miarę mąki i kilka groszy, dostaje mizerną strawę i sypia na barłogu, — bez któréj więc, mówię, i bieda byłaby mu znośniejszą, a rozpusta rzadszą.

Jakkolwiek aktorowie pod względem praw obywatel-

skich byli zawsze, wedle słów Ulpiana, pośród żyjących jakoby obrazem śmierci, to jednakże z czasem, kiedy woźnice lub jezdzcy z cyrku albo gladiatorowie mieli swoich zwolenników w narodzie, a nawet i zwolenniczki pomiędzy pięknemi Rzymiankami, było ich stanowisko znośniejszem przynajmniéj o tyle, że ci, którzy się talentem odznaczali, doznawali zwyczajnie jako ulubieńcy chociaż pozornie jakiegoś szacunku. Szczególniéj lepszem było socyalne położenie aktorów za panowania tych cesarzów, którzy lubili teatr. I tak, jak za Augusta czasów smagano jeszcze aktorów publicznie w teatrach, jak Tyberyusz wydał rozkaz, aby żaden senator nie odważył się wchodzić do domu pantomima, a żaden szlachcic pokazać się na ulicy z aktorem, tak za czasów Nerona, mówi Seneka, byli najznakomitsi mężowie jakoby niewolnikami pantomimów, a kobiety i mężczyzni ubiegali się o znajomość z aktorami, by się z nimi na ulicy pokazać mogli. Za tegoż Nerona posiadał pantomim Parys do tego stopnia jego zaufanie i miłość, że się odważył wystąpić nawet z oskarzeniem matki cesarskiéj i to bezkarnie, chociaż wszyscy inni śmiercią ukarani zostali. Innego Parysa kazał stracić Domicyan, a na miejsce jego śmierci rzucało wielu kwiaty i skrapiało je wonnościami, jak mówi Dio, a Marcyalis ułożył napis na jego grobowiec. Podobnych przykładów znaczenia aktorów, którzy byli towarzyszami i faworytami cesarzów, jest nie mało.

Trupy aktorów, zwane z pogardą greges, trzody, były pod dyrekcyą aktorów starszych — dominus gregis, actor primarum — którzy, jak się zdaje, oceniali także dramata poetów i wyznaczali za nie nagrody. Aktorowie zaś sami byli kształceni wedle usposobienia i zdatności na tragików, albo na komików, na mimów, albo pantomimów. Jeżeli należeli do jakiéj trupy i byli niewolnikami, dostawali utrzymanie od panów swoich; jeżeli zaś już byli wyzwoleńcami a odznaczali się talentem i zdolnością, wynajmowali się za umówioną nagrodę.

Jak drogo opłacano zdolnych aktorów jeszcze za rzeczypospolitéj, pokazuje się z tego, że Ezop, który jako aktor

podniósł z Roscyuszem dramat na teatrze rzymskim do wysokiego znaczenia, zostawił synowi swemu majątku 6,000,000 złotych. Roscyusz zaś miał rocznego dochodu około 130,000 złotych wedle Pliniusza, a 360,000 złotych wedle podania Makrobiusza. Tacyt opowiada, że już w 15 roku po Chr. potrzeba było prawa stanowiącego wysokość gaży aktorskiéj, a Marek Aureliusz postanowił, aby prywatna nagroda nie wynosiła więcéj, jak 10 pieniążków złotych. Ale takie przepisy nie miały nigdy dosyć siły i aktorowie znający swoję sztukę i dla tego poszukiwani kazali sobie dobrze płacić. Cesarze sami hojnie ich niekiedy wynagradzali; tak n. p. Wespazyan dał aktorom, występującym na scenie w czasie uroczystości odnowienia teatru Marcella, każdemu najmniéj 10,000 złotych oprócz złotych wieńców, które zwyczajnie były nagrodami aktorów, a tragikowi Apollinaris dał nawet 100,000 złotych.

Aktorowie rywalizowali pomiędzy sobą już nawet w 2. stuleciu przed Chrystusem o przychylność publiczności; dla tego miał każdy znakomitszy aktor uorganizowaną swoją klakę, miał swoich zwolenników i skutkiem tego potworzyły się, szczególniéj za cesarstwa, tak samo jak w cyrku, stronnictwa, pomiędzy któremi przychodziło często do gwałtownego starcia, do bójki i zabójstw. A jak bywały groźnemi, ztąd się pokazuje, iż zawsze było w teatrze 1000 ludzi pod bronią na pogotowiu dla utrzymania porządku. Najwięcéj zaburzeń zachodziło jednak w pantomimach. O takiem gwałtownem zaburzeniu wspomina n. p. Dio z powodu rywalizacyi sławnych pantomimów Pyladesa i Bathylla. Im wyżéj postawione osoby, a szczególniéj jeżeli cesarze sami albo członkowie rodziny cesarskiéj brali w stronnictwach udział, tem gwałtowniejsze bywały starcia. Tak n. p. Nero — jak powiada Tacyt, Swetoniusz i Dio — miał razem z drugimi rzucać na przeciwników kamieniami i połamanemi stołkami, a nawet zranić jakiegoś pretora. Zwyczajnie wychodzili na tem sami aktorowie najgorzéj, gdyż ich wyganiano z Rzymu, a nawet z Włoch.

———

GARNEK ZŁOTA.

(AULULARIA).

OSOBY.

LAR, bożek domowy, w prologu.
EUKLIO, starzec, obywatel ateński.
STAFILA, stara jego niewolnica.
FEDRIA, jego córka.
PYTODIK, starszy jego niewolnik.
MEGADOR, sąsiad Eukliona, obywatel ateński.
EUNOMIA, jego siostra.
LIKONID, syn Eunomii.
STROBIL I. Megadora niewolnik.
STROBIL II. Likonida niewolnik.
KONGRIO, ANTRAX } kucharze.
FRYGIA, ELEUSIUM } tanecznice.

Niewolnicy, kuchciki i t. d.

Rzecz dzieje się w Atenach; scena przedstawia ulicę z domami, z których jeden jest domem Eukliona, drugi Megadora. W niejakiem oddaleniu jest gaj z świątynią bogini Wierności.

TREŚĆ KOMEDYI.*

G arnek, który w swym domu znalazł pełen złota,
A o którym nie wiedział, chowa jak najpilniéj,
R óżnemi dręczon troski skutkiem tego Euklio.
N adobną córkę jego zbezcześcił Likonid.
E uklio nic o tem nie wie. Tymczasem Megador,
K tóry mu jest sąsiadem, chce ją bez posagu.
Z atem ojca pozyskać śle sługi, kucharze,
Ł akocie, żywność różną. Euklio ich wyrzuca,
O swe złoto się bojąc. Likonida sługa
T ymczasem złoto kradnie; ten mu je oddaje,
A dostaje w nagrodę: złoto, żonę, syna.

* Do kilku komedyi Plauta mamy, jak wiadomo, akrostychy mieszczące w sobie treść komedyi, a będące utworami wedle jednych Prisciana, wedle innych Apollinarisa Sidoniusza. Powyższy akrostych przytaczam tu w tłomaczeniu; bo lubo nie wątpliwą jest rzeczą, że niedokończona ta Plauta komedya inaczéj nie mogła się kończyć tylko tak, jak ją uzupełnioną podajemy, to akrostych ten jeszcze wyraźnie dowodzić tego się zdaje.

PROLOG.

BOŻEK DOMOWY.

Aby się nikt nie dziwił, kto ja, powiem krótko.
Jestem bożkiem domowym,* i to tego domu,
Z którego widzieliście, że właśnie wyszedłem.
A dzierzę go lat wiele, nim się opiekując
I chroniąc go dla ojca i dla dziada tego,
Który go dziś posiada. Niegdyś mi powierzył
Zaklinając dziad jego ogromny skarb złota
Wtajemnicy i wkopał go w środku ogniska,
A prosił mnie usilnie, abym go pilnował.
Zanim umarł — (tak chciwa była jego dusza)
Nigdy synowi swemu wyznać tego nie chciał.
Wolał go po swéj śmierci pozostawić w biedzie,
Niż mu skarb ten pokazać i zrobić bogatym.
Roli także nie wielką zostawił mu miarę,
Z któréj z biedą i w wielkiéj tylko mógł żyć pracy.
Gdy ten umarł, który mi swe złoto powierzył,
Zacząłem na to zważać, czy mi więcéj cześci

* Każdy dom i każda rodzina miała swego bożka opiekuńczego, którego wyobrażenie z kamienia, kruszcu lub z drzewa stało w sali — atrium — zwyczajnie na ognisku. Do niego modlili się członkowie rodziny, składając mu w ofierze wieńce, kadzidło, wino, prosząc o opiekę dla siebie i dla domu. Bożek taki nazywał się Lar.

Syn oddaje, niżeli oddawał mi ojciec.
Ale on mniéj i coraz mniéj się o mnie troszczył,
Mniéj nawet od rodzica czcił mnie ofiarami.
Więc dałem mu wet za wet; i on umarł prędko.
Zostawił on po sobie syna, co tu mieszka.
W nim obyczaj nie inny, jak w ojcu i w dziadzie;
Lecz ma córkę jedyną, która się codziennie
Do mnie modli kadzidłem, winem lub czem innem,
Wieńce na mnie wkładając. Dla téj to więc cześci
Sprawiłem, że skarb skryty Euklio wynalazł,
By ją mógł, kiedy zechce, łatwiéj wydać za mąż;
Gdyż shańbił ją młodzieniec z wysokiego rodu,
A wiedział bardzo dobrze, jakie shańbił dziewczę;
Lecz ona nie wie, kto on, ni ojciec, co zaszło.
Więc sprawię, iż z sąsiedztwa dzisiaj jeden starzec
Starać się o nią będzie; sprawię to dla tego,
Aby ją łatwiéj dostał ten, który ją shańbił.
Ten zaś starzec, który się dzisiaj o nią zgłosi,
Jest właśnie wujem tego młodego człowieka,
Który ją w uroczystość Cerery * wśród nocy
Shańbił. — Lecz stary krzyczy w domu, jak zwyczajnie:
Wypędza starą sługę, by nic nie widziała.
Chce on zajrzyć do złota, czy go kto nie ukradł. (odchodzi)

* Uroczystość Cerery obchodziły mężatki i dziewczęta w nocy. Czas ten był bardzo na rękę dla takich, którzy się oglądali za jakiemi miłosnemi zajściami i dla tego mówią poeci często o téj uroczystości jako o takiéj, w któréj się wydarzały rozmaite wypadki rozwiozłe i sprosne.

Akt pierwszy.

SCENA I.

Euklio — Stafila.

Euklio (wypędza Stafilę z domu.)

Precz mówię ci, precz zaraz, daléj won mi z domu!
Cóż się w koło oglądasz tem świdrzącem okiem? (bije ją.)

Stafila.

Czemuż mnie nędzną bijesz?

Euklio.

Abyś nędzną była,
I nędzne wiodła życie godne twojéj złości.

Stafila.

Dla jakiejże przyczyny wypychasz mnie z domu?

Euklio.

Tobie się mam tłomaczyć, ty brzydka trzcio kolcy?*
Precz mi zaraz odedrzwi! Tam! (popycha ją.) Patrz, jak to lezie!
Czy ty wiesz, co cię spotka? Doprawdy, jak schwycę
Kij lub kolec do ręki, to ja cię nauczę
Większymi postępować od żółwich krokami.

* W oryginale stoi: stimulorum seges, na wyrażenie myśli: ty, która zasługujesz na to, aby w ciele twojem jakoby zasiane były kolce, którymi poganiano bydło i sterczały jako kłosy na polu U Rzymian bowiem karano niewolników często narzędziami, jakich na bydło używano. Ja to tłomaczę przez „trzcio kolcy," gdyż trzcia oznacza wielką liczbę sterczących rzeczy. Lindl.

Stafila. (do siebie.)

Niech raczéj z woli bogów na stryczku zawisnę,
Bylem ci w taki sposób dłużéj nie służyła!

Euklio.

O, jak półnosem mruczy niegodziwa jędza!
Zobaczysz, ja ci ślepie wyżgam, czarownico,
Ażebyś mnie nie mogła szpiegować, co robię.
Precz! Daléj! Jeszcze daléj! (popycha ją) Jeszcze daléj! Stójże!
W tem miejscu! a pamiętaj, jeśli się ztąd ruszysz,
Choćby na jeden palec albo i na włosek,
Lub jeśli się obejrzysz, zanim ci rozkażę,
Zaraz na szubienicy nauczysz się słuchać!
(do siebie) Gorszéj baby, wiem o tem, nie widziałem nigdy,
I bardzo jéj się boję, ażeby mnie czasem
Niespodzianie, podstępem jakim nie podeszła
I nie wyszpiegowała, gdzie me złoto skryte;
Gdyż ta jędza ma oczy na tyle swéj głowy.
Teraz pójdę zobaczyć, czy złoto tak leży,
Jak schowane; co bardzo dręczy mnie biednego. (wchodzi do domu)

SCENA II.

Stafila (sama)

Nie wiem tego, na Bogi, czy nieszczęście jakie
Przyszło na mego pana, czyli też szaleństwo!
Toć on mnie przez dzień jeden biedną z dziesięć razy
Tak jak teraz wypycha i wyrzuca z domu!
Doprawdy, trudno zgadnąć, jaka myśl szalona
Przewróciła mu w głowie! Noce całe czuwa,
Dnie w domu przesiaduje, jakby szewc kulawy.
Ani wiem, w jaki sposób hańbę pańskiéj córki
Mam ukryć, a tu połóg już się bardzo zbliża.
Widzę, że nic lepszego już mi nie zostaje,

Jak się dobrze wyciągnąć,* gdy sobie zadzierzgnę
Stryczek na moją gardziel i zakręcę mocno.

SCENA III.

Euklio (wraca) Stafila.

Euklio (do siebie)

Teraz wreszcie wychodzę z wolną myślą z domu,
Zobaczywszy, że wszystko nietknięte, jak było.
(głośno do Stafili) Powracaj już do domu i pilnuj.

Stafila.

A czego?
Czy domu mam pilnować, by go kto nie ukradł?
U nas złodziéj nie bardzo pewnie się obłowi:
W czterech kątach piec piąty, pył i pajęczyna.

Euklio.

Że też to, brzydka jędzo, Jowisz choć dla ciebie
Nie zrobił mnie Filipem lub Dariuszem królem.**
Więc pająków,*** mówię ci, chcę byś pilnowała.
Jestem biedny, wiem o tem; znoszę co Bóg zsyła.
Idź do dom! zawrzyj wrota! Ja nie długo wrócę;
A, pamiętaj, obcego do domu nie wpuszczać!
Ogień zgaś, by się komu poń przyjść nie zachciało,
I nie było powodu, aby kto przychodził.
Bo jeśli ogień znajdę, ja ci go wygaszę.
Gdyby kto wody żądał, powiedz, że wyciekła.
Nóż kuchenny, siekierę, moździerz albo tłuczek,

* W oryginale jest: quam ut me unam faciam literam longam Tego wyrażenia używano mówiąc o powieszeniu; przez długą literę rozumiano I.

** Bogactwa tych dwóch królów były w starożytności uważane za tak wielkie, iż weszły w przysłowie.

*** Pająki były, jak i u nas często, wróżkami szczęścia, dla tego ich czasami nie niszczono.

I sprzęty, jakich lubią pożyczać sąsiedzi,
Powiedz, że nam niedawno ukradli złodzieje.
Krótko mówiąc, niech w dom nasz, dopóki mnie niemasz,
Nikt nie wchodzi! To tobie zapowiadam głośno:
Choć Fortuna wejść zechce, ty jéj nie masz wpuszczać.

Stafila.

Nie bój się! Ona, myślę, sama nas unika;
Bo tu nigdy nie wchodzi, choć jest dosyć blizko.*

Euklio.

Milcz i wchódź!

Stafila.

Milczę, wchodzę.

Euklio.

A zamknij za sobą
Zaraz drzwi na dwa rygle. Ja wrócę niebawem.

(Stafila wchodzi w dom)

SCENA IV.

Euklio (sam)

Jakaż to dla mnie męka, że muszę wyjść z domu!
Niechętnie go opuszczam, ale wiem, co czynię.
Dzisiaj bowiem naczelnik naszego okręgu
Ogłosił, że pieniądze będzie dawał mężom.**
Gdybym nie szedł, nie żądał, mieliby mnie wszyscy

* Fortuna może dla tego jest blizką, jak mówi Stafila, że gdzie w pobliżu znajdowała się jéj świątynia; ale prawdopodobniejszem jest to, że ona obrała sobie mieszkanie w sąsiedztwie bliskiem u jakiego obywatela, którego otacza swą łaską i mnoży mu bogactwa.

** W Rzymie, jak wiadomo, rozdzielano często pomiędzy ubogich obywateli zboże i pieniądze. Rozdzielał je naczelnik kuryi, magister curiae, albo divisor curiae, pomiędzy ubogich swéj kuryi.

Natychmiast w podejrzeniu, sądząc, że mam złoto.
Gdyż wierzyć niepodobna, aby biedaczysko
Gardziło choć drobnostką, kiedy mu ją dają.
Bo chociaż przed wszystkimi taję to starannie,
Zdaje mi się jednakże, że już wszyscy wiedzą,
I że mnie pozdrawiają łaskawiéj, niż dotąd.
Przystępują, stawają, ściskają mi rękę,
A pytają o zdrowie, jak mi się powodzi.
Teraz pójdę, gdzie iść mam; skoro się załatwię,
Pospieszę jak najprędzéj z powrotem do domu. (odchodzi)

Akt drugi.

SCENA I.

Eunomia. Megador.

Wierzaj mi, miły bracie, że co ci tu mówię,
Mówię tylko przez miłość i w twym interesie,
Jak przystoi na siostrę; chociaż wiem to dobrze,
Że my baby nie wielkiéj zażywamy sławy;
Gdyż uchodzimy wszystkie za wielkie gaduły.
I może nawet słusznie; a że nie masz wieku,
W którymby chociaż jedna niemą na świat przyszła,
Jest dzisiaj już przysłowiem. Ale miły bracie,
Pamiętaj zawsze o tem, że tak, jak ja tobie
Tutaj jestem najbliższa, tak ty mnie nawzajem.
Słuszna więc, byśmy sobie radzili we wszystkiem,
Co nam jest pożyteczne i napominali;
Ażebyśmy niczego sobie nie taili,
I nic nie zamilczali, ale bez obawy
Powiadali z ufnością, co mamy na sercu.

Dla tego cię tu teraz przededrzwi wywiodłam,
Ażeby w zaufaniu kilka słów pomówić
Z tobą, kochany bracie, w twoim interesie.

Megador.

Podajże mi swą rękę, najlepsza kobieto!

Eunomia.

Gdzież ona? I którą ty nazywasz najlepszą?

Magedor.

Ciebie.

Eunomia.

Czy prawdę mówisz?

Magedor.

Jeżeli ty przeczysz,
Przeczę i ja.

Eunomia.

Tobie — tylko prawda przystoi.
Najlepszéj bo nie znajdziesz; co jedna to gorsza.

Magedor.

I ja tak sądzę, siostro, ani się nie myślę
Co do téj jednéj rzeczy kiedy z tobą spierać.

Eunomia.

Więc mnie słuchaj, proszę cię.

Magedor.

Słucham, co rozkażesz;
Mów zatem, czego żądasz.

Eunomia.

Co dla twego dobra
Za najlepsze uważam, o to cię upomnieć
Do ciebie tu przychodzę.

M e g a d o r.

To twój zwyczaj, siostro.

E u n o m i a.

Tak czynię bardzo chętnie.

M e g a d o r.

Cóż to więc takiego?

E u n o m i a.

Coby na wieczne czasy zbawiennem ci było.

M e g a d o r.

Daj Boże!

E u n o m i a.

Więc się ożeń!

M e g a d o r.

Ja umieram, siostro!

E u n o m i a.

A czemu?

M e g a d o r.

Bo te słowa rażą mnie jak piorun,
Tak są twarde, jak kamień.

E u n o m i a.

Uczyń, co ci radzi
Twoja siostra.

M e g a d o r.

Uczynię, jeśli się spodoba.

E u n o m i a.

Lecz to dla twego dobra!

Megador.

Wolę raczéj umrzeć,
Niżeli się ożenić. Jednak dobrze, słuchaj.
Jeśli mi taką żonę naraić potrafisz,
Któraby się do domu mego dziś przeniosła,
A pojutrze już poszła spokojnie do grobu,
Z tym warunkiem, siostruniu, urządzaj wesele.

Eunomia.

Dam ci żonę, mój bracie, z ogromnym posagiem.

Megador.

Lecz pewnie dobrze starą?

Eunomia.

Nie, jest w średnich latach.
Jeśli chcesz, miły bracie, będę twoją swatą.

Megador.

Czy wolno się zapytać?

Eunomia.

Owszem, pytaj proszę.

Megador.

Jeśli mąż w późnych latach żeni się z kobietą
Będącą w średnich latach i jeśli przypadkiem
Stary babę zapłodzi, możnaż wtedy wątpić,
Że synek Pogrobowca* będzie miał nazwisko?
A więc, siostro, daj pokój, nie podejmuj trudu,
Z łaski bogów i przodków dosyć mam bogactwa.
Wielkiéj zgrai i buty, bogatych posagów,

* Przydomek: Pogrobowiec, Posthumus, wcale nie jest rzadki u Rzymian. Tu mówi Megador, że przydomek ten jest jakoby zarzutem dla ojca Pogrobowca, który wtenczas dopiero miał zostać ojcem kiedy się śmierć już zbliżała.

Krzyków, fochów, rozkazów, pozłacanych karet,
Świetnych sukien, pałaców nie pragnę bynajmniéj,
Gdyż to doprowadziło już wielu do torby.

Eunomia.

Więc powiedz, czy już sobie jaką upatrzyłeś?

Megador.

Powiem ci. Czy znasz może tu w naszem sąsiedztwie
Najbliższem Eukliona, biednego staruszka?

Eunomia.

Znam go; jest to zaiste wcale nie zły człowiek!

Megador.

Otóż więc z jego córką zamyślam się żenić.
Już sobie gęby nie psuj! Wiem, co chcesz powiedzieć.
Powiesz, że jest uboga — ja ją chcę dla tego.

Eunomia.

Szczęść ci Boże!

Megador.

Bóg zapłać!

Eunomia.

Chcesz jeszcze co więcéj?

Megador.

Bądź zdrowa, moja siostro.

Eunomia.

I ty bądź zdrów, bracie. (odchodzi)

Megador.

Teraz do Eukliona pójdę, czy jest w domu.
Ale wszakże to jest on! Nie wiem, zkąd powraca.

SCENA II.

Euklio Megador.

Euklio.

Zaraz to przeczuwałem, wychodząc dziś z domu,
Że wychodzę napróżno, — tom też szedł niechętnie,
Gdyż ani z okręgowych nikt się nie pokazał,
Ni naczelnik, który miał wypłacać pieniądze.
Lecąc spieszę do domu, gdyż tam myśl, tu ciało.

Megador.

Witam cię Euklionie! Niech ci szczęście sprzyja.

Euklio.

Bóg z tobą, Megadorze!

Megador.

Jak się masz, czy zdrowo?

Euklio. (na stronie)

Nie napróżno przemawia bogacz do biednego.
Już on wie, że mam złoto, dla tego tak grzeczny.

Megador.

Mówże więc, jesteś zdrowy?

Euklio.

Pewnie nie z pieniędzy.

Megador.

Kto z tego co posiada, jest zadowolonym,
Ten może żyć szczęśliwie.

Euklio. (do siebie)

Już mu baba z pewnością o złocie mówiła!
W domu ozór jéj urznę i wykłuję oczy.

Megador.

Cóż tak mówisz do siebie?

Euklio.

Skarzę się na biedę.
Mam córkę już dorosłą, ale bez posagu,
Dla tego nie wydatną; nie wiem, zkąd wziąść męża.

Megador.

Milcz, a bądź dobréj myśli, dam ci, dopomogę.
Powiedz, co ci potrzeba, rozkaż, a mieć będziesz.

Euklio. (sam)

Ot chciwiec obiecuje, swą paszczę otwiera,
Ażeby złoto połknąć; w téj ręce ma kamień,
A drugą chleb podaje. O, już ja nie wierzę
Żadnemu bogatemu, co biednemu schlebia!
Gdy ci rękę podaje, szkodę ci przynosi.
Znam ja wilki, — co schwycą, nie wydrzesz im z paszczy.

Megador.

Posłuchaj, Euklionie, chcę z tobą pomówić
O sprawie obchodzącéj równo mnie i ciebie.

Euklio. (do siebie)

O jakżem nieszczęśliwy! Złoto mi skradziono,
A teraz ten się ze mną chce tutaj układać!
Muszę zajrzeć do domu! (ucieka)

Megador.

Dokąd Euklionie?

Euklio.

Zaraz do ciebie wrócę; chcę do domu zajrzeć.

Megador. (sam)

Wiem, że gdy mu o jego córce mówić będę,
By mi ją dał za żonę, z pewnością pomyśli,

Iż drwinki z nim wyprawiam; bo nie masz drugiego
Pomiędzy ubogimi tak jak on skąpego.

Euklio. (wychodząc z domu, do siebie)

Chwała Bogu! Jest dobrze, a dobrze dla tego,
Iż tam nic nie zginęło. W wielkim byłem strachu;
Nim wróciłem do domu, już prawie nieżyłem.
(głośno) Ot jestem, Megadorze, jeślim ci potrzebny.

Megador.

Dziękuję. Więc cię proszę, abyś odpowiedział,
O co cię pytać będę.

Euklio.

Jeśli nie zapytasz
Może o to, na cobym odpowiedzieć nie chciał.

Megador.

Powiedz, jak ci się zdaje ród, z którego idę.

Euklio.

Jest dobry.

Megador.

A me imię?

Euklio.

Dobre.

Megador.

A me życie?

Euklio.

Nie złe i sprawiedliwe.

Megador.

A wiesz, ile mam lat?

Euklio.

Tak wiele, jak pieniędzy.

Megador.

I ja ciebie miałem
I mam teraz jak dawniéj za obywatela
Prawego i zacnego.

Euklio (do siebie):

Już mu złoto pachnie!
(głośno) Czegóż chcesz?

Megador.

Kiedy się więc tak nawzajem znamy,
Niech wyjdzie na pożytek mnie, tobie, twéj córce,
Żeć o jéj rękę proszę: daj mi ją za żonę.

Euklio.

Co czynisz Megadorze, nie przystoi tobie,
Drwisz sobie z ubogiego, który nie zawinił
W niczem ni względem ciebie, ani względem twoich.
Na to nie zasłużyłem słowem ani czynem.

Megador.

Zaiste nie przychodzę, ażeby drwić z ciebie,
I nie drwię, boś niegodzien.

Euklio.

Czemuż chcesz mą córkę?

Megador.

Aby mnie lepiéj było przez ciebie i twoich,
Tobie lepiéj przezemnie.

Euklio.

Pamiętam ja o tem,
Że ty jesteś bogaty i że masz znaczenie, —

Ja między ubogimi najuboższy w świecie.
Gdybym ci więc dał córkę, tak mi się wydaje,
Byłbyś wołem, ja osłem, a zaprzężon z tobą,
Gdybym ci nie wydołał, padłbym osieł w błocie,
A tybyś, wół, nie spojrzał — jakby mnie nie było.
Więc tybyś mną pogardzał, równiby się śmiali.
Stajni nigdziebym nie miał, rozstawszy się z tobą.
Osły cięłyby zębem, woły rogiem bodły. —
Niebezpiecznie dla osła przejść pomiędzy woły!

Megador.

Im ściśléj się połączysz z uczciwymi ludźmi,
Tem lepiéj! — Zgódź się ze mną, wysłuchaj mą prośbę,
I zaręcz mi swą córkę.

Euklio.

Lecz nie mam posagu!

Megador.

Posagu mi nie trzeba; dość będzie posażna,
Jeżeli w dom mój wnijdzie obdarzona cnotą.

Euklio.

Mówię ci dla tego, ażebyś nie sądził,
Że ja skarby znalazłem.

Megador.

Wiem, nie mówże o tem.
Obiecaj mi ją tylko!

Euklio.

Dobrze. Niech tak będzie!
(Słychać chałas.) Alеż — ach! o bogowie! Już po mnie! Zginąłem!

Megador.

Co ci jest?

Euklio (przestraszony.)

Coś zabrzękło — całkiem jak żelazo! (ucieka.)

Megador.

Każę kopać mój ogród. (oglądając się) Lecz gdzież jest ten człowiek?
Odszedł bez zapewnienia. Wyraźnie mnie nie chce.
Widząc, że przyjacielem mieć go swoim pragnę,
Robi zwyczajem ludzi. Bo kiedy bogaty
O względy uboższego stara się człowieka,
Biedny związku się lęka i tem sobie szkodzi;
A gdy minie sposobność, napróżno jéj pragnie.

Euklio (krzyczy w gniewie ku domowi zwrócony.)

Jeśli ja ci ozoru nie wyrwię z korzeniem,
Pozwalam, rozkazuję, by mnie.....

Megador.

Euklionie, jak widzę, sądzisz, że ci wolno
Drwić ze mnie, iżem stary. Na tom nie zasłużył.

Euklio.

Tak nie jest, Megadorze, nawet bym nie umiał,
Choćbym chciał.

Megador.

To więc jakże? Zaręczasz mi córkę?

Euklio.

Tylko pod tym warunkiem i z takim posagiem,
O jakim ci mówiłem.

Megador

Zaręczasz?

Euklio.

Zaręczam.

Niech bogi błogosławią!

Megador.

Niech pobłogosławią!

Euklio.

Lecz pomnij o układzie: córka nic nie wniesie.

Megador.

Już dobrze!

Euklio.

Ale ja wiem, jak wy wichłaczycie:
Układ wam nie układem, nieukład układem —
Od humoru.

Megador.

Nie bój się, nie będziem się kłócić.
Ale czy mogłoby się wesele dziś odbyć?

Euklio.

I owszem!

Megador.

To więc pójdę wszystko przysposobić.
Czy masz jeszcze co do mnie?

Euklio.

Tylko to, com mówił.

Megador.

Bądź spokojny. Żegnam cię! (woła zwrócony ku domowi) Strobilu!
(Strobilu!
Chodź, pójdziemy do jatek! (odchodzi.)

Euklio.

Więc już poszedł! Bogowie! zaklinam was, proszę,
Jakaż to siła złota! Już pewnie zasłyszał,

Że mam skarb w moim domu, paszczę nań otwiera,
I dlatego też bardzo chce być moim zięciem.

SCENA III.

Euklio i Stafila.

Euklio (zwrócony w dom.)

Babo, gdzieżeś, co wszystkim paplałaś sąsiadom,
Że dam posag méj córce? Stafilo, czy słyszysz?
Ciebie wołam. Idź spiesznie i wyczyść naczynia.
Zaręczyłem mą córkę, Megador ją bierze.

Stafila.

Szczęść Boże! Lecz tak nagle? to rzecz niepodobna!

Euklio.

Milczże mi i idź sobie! A gdy z rynku wrócę,
Pamiętaj, niech już wszystko będzie porobione.
Dom zamknij! Wracam zaraz. (odchodzi.)

Stafila.

Cóż ja biedna pocznę?
Już nam zguba zagraża — mnie i pańskiéj córce.
Gdyż połóg jest już bliskim, hańba na wierzch wyjdzie,
I już się ukryć nie da, co ukrytem było.
Lecz idę, by porobić, co kazał, nim wróci,
Bo się boję goryczy, którą wypić muszę. (odchodzi.)

Akt trzeci.

SCENA I.

Strobil, niewolnik Megadora, wraca z rozmaitémi rzeczami nakupionemi z rynku Antrax i Kongrio kucharze. Frygia i Eleusium tancerki.

Strobil.

Pan mój nakupiwszy i nająwszy kucharzy*
I harfistki na rynku, taki dał mi rozkaz,
Bym żywność zakupioną w dwie podzielił części.

Kongrio.

Oho! wyraźnieć mówię, mnie ty nie podzielisz.**
Poślesz mnie gdzie całego — i owszem, służę ci.

Antrax.

Patrz go! jaki mi skromny jest ten tłuk uliczny!
Nie dałbyś się podzielić, gdyby cię kto żądał?

Kongrio.

Ależ ja to, Antraxie, w innéj rzekłem myśli,
A nie, jak mnie obwiniasz.

* Kucharze byli niewolnikami, którzy się wynajmowali do gotowania, jeżeli ich kto potrzebował i nie mógł albo nie chciał stale mieć kucharza w domu. Wystawali oni czekając na zarobek, jak u nas tracze lub tragarze, na rynku zwanym forum coquinum. Ponieważ na biesiadach uroczystych grały także harfistki i tancerki tańczyły, więc wynajmowano je także.

** Słowo dividere ma znaczenie podwójne; w drugiem, mniéj estetycznem, bierze je tu Antrax, chociaż Kongrio mógł tylko w żarcie mówić: mnie ty nie podzielisz, odnosząc się myślą do nazwiska wego, które jest powinowate z nazwiskiem ryby morskiéj zwanéj conger.

Strobil.

Mój pan dziś wyprawia
Wesele.

Kongrio.

Z kim się żeni?

Strobil.

Z córką Eukliona
Starego tu z sąsiedztwa. Jemu to rozkazał
Pan mój dać z téj żywności kupionéj połowę,
I jednego kucharza i jednę tancerkę.

Kongrio.

Połowa, mówisz, jemu, druga panu twemu?

Strobil.

Tak jest.

Kongrio.

Co? ten dziadyga nie mógł z swéj kieszeni
Nakupić, aby córce wyprawić wesele?

Strobil.

Ha! onby!

Kongrio.

Co takiego?

Strobil.

Co takiego, pytasz?
Gąbka* nie jest tak chciwa, jak ten stary człowiek.

Kongrio.

Czy to prawda, co mówisz?

* W oryginale stoi pumex.

S t r o b i l.

Toć słuchaj i osądź.
Ludzi wzywa na świadki i klnie się na bogi,
Że po nim i że zginąć musi już do szczętu,
Jeźli z jego komina dym się wydostanie.
A kiedy spać się kładzie, przywięzuje sobie
Mieszek do swéj gardzieli.

K o n g r i o.

A to znów dla czego?

S t r o b i l.

Aby śpiąc nie uronił co z swego oddechu.

K o n g r i o.

To więc pewnie zatyka i dolną swą gardziel,
Aby śpiąc nie uronił co z oddechu swego?

S t r o b i l.

Muszę twym słowom wierzyć, jak ty wierzysz moim.

K o n g r i o

Ja wierzę.

S t r o b i l.

Słuchaj daléj, co ci jeszcze powiem:
On płacze nawet wody potrzebnéj do prania.

K o n g r i o.

Co myślisz? czy się nie da dziadyga uprosić,
By nam dał summę złota* na wykup z niewoli?

S t r o b i l.

Z pewnością! proś go o głód, a on ci go nie da.
Gdy mu balwierz niedawno oberznął paznogcie,
Zebrał wszystkie kawałki i zabrał je z sobą.

* W oryginale jest: talentum magnum.

Kongrio.

Ale też wściekle chciwym robisz tego sknerę!
Któż może być tak chciwym i żyć tak mizernie?

Strobil.

Gdy przed niedawnym czasem sęp mu skradł polewkę,
Przybiega do sędziego płacząc, narzekając,
I wśród jęków prosi go, aby mu pozwolił
Przywieść sępa przed niego. Tysiąc innych rzeczy
Mógłbym wam opowiedzieć, ale nie mam czasu.
Który z was jest szybciejszy — z was dwóch — powiadajcie.

Kongrio.

No, ja jestem szybciejszy.

Strobil.

Kucharz, a nie złodziej.

Kongrio.

Toć kucharz.

Strobil (do Antraxa.)

Co ty na to?

Antrax.

Jestem, jak mnie widzisz.

Kongrio.

To kucharz pogrzebowy*) — zwykle on gotuje
Tylko na dzień dziewiąty pogrzebowe stypy.

* W oryginale jest: coquus nundinalis. Dziewiątego dnia po pogrzebie urządzano stypę pogrzebową silicernium na cześć zmarłego, na której była tylko pewna mała liczba potraw. Dla tego Kongrio powiada, że Antrax zda się, aby gotować pogrzebową stypę, ale biesiady weselnéj, na której większy dobór potraw być powinien, gotować nie umie.

Antrax (do Kongriona.)

Co? ty mi chcesz przymawiać, bezczelny złodzieju?*

Kongrio.

Kto złodziej? ty wisielcze, ty szubieniczniku!**

Strobil.

Milczcie mi! a z tych jagniąt, które jest tłuściejsze —

Kongrio (chwytając za jedno.)

Mam wziąść sobie?

Strobil (wskazując na drugie.)

Nie, to tu weźmiesz, Kongrionie.
Pójdziesz do tego domu (do kilku niewolników) a wy idźcie za nim.
(Do drugich.) Wy reszta chodźcie do nas.

Kongrio.

Podział to niesłuszny,
Jagnię znacznie tłuściejsze dla tych przeznaczyłeś.

Strobil.

Ale za to tancerkę dostaniesz tłuściejszą.
Idź, Frygio, z Kongrionem, a ty Eleusium,
Chodź do naszego domu.

Kongrio.

O Strobilu chytry!
To ty mnie więc wypychasz do starego sknery,
Gdzie gdy czego zażądam, prędzéj sobie gardziel
Wywrzeszczę, nim dostanę.

Strobil.

Głupiś i niewdzięczny!
Tobie co dobrze czynić, kiedy nie uznajesz!

* Trium literarum homo t. j. fur — złodziéj.
** Plaut stopniuje tu myśl Kongriona przez: fur, etiam fur, trifurcifer, czego dosłownie na język polski przełożyć nie można.

Kongrio.

Jak to?

Strobil.

Pytasz się jeszcze! A więc przedewszystkiem
W tym domu mieć nie będziesz hałasu i wrzawy;
Co ci będzie potrzebne, przynieś sobie z domu,
Abyś darmo nie żądał. U nas jest zgiełk wielki,
Domowników i służby są całe zastępy,
Sprzęty, złoto, ubrania i naczynia srebrne.
Niech więc z tego co zginie — o tobie wiem dobrze,
Że niczego nie ruszysz — dopóki nie widzisz —
A zaraz krzykną wszyscy: „Kucharze skradli —
Dalejże ich chwytajcie! wiążcie ich, smagajcie,
I pakujcie do ciemnic!“ To cię tu nie spotka,
Bo tam nie ma co ukraść. Chodźcie za mną.

Kongrio.

Idę.

(Antrax i Eleusium wchodzą w dom Megadora - Kongrio i Frygia idą za Strobilem do domu Eukliona.)

SCENA II.

Strobil i Kucharze. Stafila.

Strobil (puka do drzwi domu Eukliona.)

Stafilo! wyjdź tu do nas i otwórz nam wrota.

Stafila.

Któż tam woła?

Strobil.

Ja, Strobil.

Stafila.

Cóż chcesz?

S t r o b i l.

Masz kucharzy,
Tancerkę i pokarmy.* Wszystko to przysyła
Megador na wesele tu dla Eukliona.

S t a f i l a.

Strobilu, czy Cererze chcą sprawić wesele?

S t r o b i l.

Dla czego?

S t a f i l a.

Bo nie widzę, byście mieli wino.

S t r o b i l.

Już będzie, skoro tylko pan z rynku powróci.

S t a f i l a.

Ale my drew nie mamy.

K o n g r i o.

Czyż to nie ma belek?

S t a f i l a.

Belki są.

K o n g r i o.

Więc i drewna będą bez kłopotu.

S t a f i l a.

Co? plugawcze, choć jesteś całe dni przy ogniu;**
Żądasz więc, ażebyśmy dla jednéj biésiady,
Lub dla twego zarobku chatę zapalili?

K o n g r i o.

Nie żądam.

* Obsonium znaczy właściwie wszystko, co można gotować.
** Ogień ma siłę czyszczącą, a Kongrio, lubo całe dni jest przy nim, jest jednak plugawy i brudny.

Strobil (do Stafili.)

Weź ich z sobą (odchodzi.)

Stafila.

To więc chodźcie ze mną. (wszyscy odchodzą.)

SCENA III.

Pytodik (niewolnik Eukliona do kilku innych niewolników.)

Wy róbcie! Ja zobaczę, co robią kucharze,
Bo pilność ich dzisiaj największa robota.
Gdybym kazał biesiadę gotować w piwnicy,
A potrawy gotowe wyciągać w koszykach,
Pewnieby już na dole wszystko pozjadali —
Post miałyby niebiosa, a biesiadę piekło!*
Lecz ja tu tak gawędzę, jak za dobrych czasów,
A tu tylu rabusiów znajduje się w domu! (wchodzi do domu.)

SCENA IV.

Euklio, późniéj Kongrio.

Chciałem dzisiaj koniecznie być hojnym, rozrzutnym,
By przecież na weselu córki sobie użyć.
Idę przeto na rynek i pytam o ryby,
Powiadają, że drogie; baranina droga,
Wołowina — też droga, droga cielęcina,
Ryba morska, świnina — słowem drogie wszystko;
Dla mnie tym bardziéj drogie — bom nie miał pieniędzy.
Odchodzę rozgniewany, nie mogąc nic kupić.
A tak tedy oszukałem tych wszystkich plugawców.**

* Mówi przez podobieństwo, rozumiejąc przez niebiosa pana i gości zaproszonych na biesiadę, a przez piekło kucharzy, którzy w podziemiu, w piwnicy gotować mieli.

** Bo myśleli, że co kupię, a nic nie kupiłem.

A potem idąc drogą mówiłem do siebie:
„Jeśli się w uroczysty dzień puścisz na zbytki,
To możesz w dzień roboczy łapy lizać z biedy.“
Wpoiwszy tę zasadę sercu i brzuchowi,
Kazałem chęci mojéj zgodzić się z tem zdaniem,
By z kosztem jak najmniejszym wydać córkę za mąż.
Kupiłem więc kadzidło, te kwieciste wieńce,
Złożę je na ognisku dla naszego Lara,
By dał szczęście méj córce w małżeńskiem pożyciu.
Lecz co widzę? drzwi mego domu są otwarte!
(słucha) A jaki hałas wewnątrz! Czy mnie okradają?

Kongrio (w domu.)

Pożycz garnka większego tu zaraz w sąsiedztwie,
Jeżeli dostać możesz, bo ten jest za mały,
Nie chce się wszystko zmieścić.

Euklio.

O ja nieszczęśliwy!
Już po mnie! kradą złoto i szukają garnka!
Zginę, jeżeli zaraz nie wpadnę do domu.
Przyjdź w pomoc Apollinie, ratuj, błagam ciebie!
Przeszyj twemi strzałami tych rabusiów skarbu!
Wszak już i w innych razach byłeś mi pomocnym!
Alež mogę niespieszyć, nim zupełnie zginę? (wpada do swego domu.)

SCENA V.

Antrax (wychodząc z domu Megadora, wola zwrócony ku domowi.)

Dromonie, oskrob ryby, a ty Macherjonie
Wyjm kość grzbietnią z węgorza morskiego — lecz prędko!
Z mureny i z wszystkiego wyjm kości, nim przyjdę.
Ja tu w bliskiem sąsiedztwie pożyczę brytfanny
Od Kongriona. Ty tego pamiętaj koguta

Jeszcze gładziéj wyskubać, jak gładkim jest tancerz.*
Ale co to za hałas słychać tu w sąsiedztwie?
Zdaje się, że kucharze czynią swą powinność.
Więc w nogi, by i tutaj nie było hałasu.
(Wraca z pospiechem do domu.)

SCENA VI.

Kongrio i kilku kuchcików wybiegają z domu Eukliona.

Kongrio.

Przyjaciele, ziomkowie, krajowcy, przybysze,
Koloniści, sąsiedzi, precz z drogi, bym uciekł!
Ustępujcie mi z ulic, bom wpadł wśród szalonych,
By dla szalonych warzyć! Tak wysmarowali
Mnie biednemu kijami plecy i czeladzi!
Wszystko boli — umieram! Tak mnie dziad ten ćwiczył!
Nigdy mi w mojem życiu lepiéj drew nie dano!
Mnie i tych tu kijami obdarzonych wygnał.
Lecz na bogi! zginąłem! drzwi otwiera! idzie,
Ściga mnie! Wiem, co pocznę: on sam mi to wskazał.

SCENA VII.

Euklio (wybiega z domu.) Kongrio.

Euklio.

Stój! Gdzie biegniesz? Łapcie go!

Kongrio.

Czego wrzeszczysz, głupcze?

* W oryginale jest: glabrior, quam ludius volsus. Aktorowie nazywają się Ludii albo Histriones; późniéj zatrzymało Ludii znaczenie podrzędnych aktorów; do nich należeli także skoczki i tancerze, którym wyskubywano wszystkie włosy porastające ciało, aby wyglądali gładko i dłużéj młodszymi się wydawali.

Euklio.

Zaskarzę cię przed sądem.

Kongrio.

A powiedz, dla czego?

Euklio.

Bo masz nóż!

Kongrio.

Jestem kucharz.

Euklio.

Ale mi groziłeś!

Kongrio.

Tego tylko żałuję, że cię nie przebiłem.

Euklio.

Większego łotra pewnie już nie masz na świecie,
Któremu chciałbym chętnie najbardziéj dokuczyć.

Kongrio.

Choćbyś tego nie mówił, wiem to z doświadczenia,
Takim miękki od kijów, jak żaden niewieściuch.
Lecz zkąd tobie, żebraku, nas się tykać? powiedz!

Euklio.

Jeszcze pytasz? czy może mało wziąłeś kijów?

Kongrio.

Zobaczysz, pożałujesz! póki łeb mój czuje.*

Euklio.

Jak długo, tego nie wiem — ale teraz czuje.

* T. j. póki mam przytomność.

Czegoś chciał w moim domu w méj nieobecności
I bez mego rozkazu? Mów zaraz!

Kongrio.

To słuchaj!
Przyszedłem, by gotować obiad na wesele.

Euklio.

Tobie, kpie, cóż do tego, czy mi się podoba
Potrawy gotowane jeść, czy też surowe!
Czyś moim opiekunem?

Kongrio.

Ja chcę teraz wiedzieć,
Czy w twym domu pozwolisz biesiadę gotować.

Euklio.

Ja chcę wiedzieć, czy pewna moja własność w domu?

Kongrio.

O pewna! bylem tylko wyniósł co mojego;
Twéj własności nie pragnę.

Euklio (szydząc.)

O tak, pewnie, wiem to!

Kongrio.

Czemuż nam tu zabraniasz biesiadę gotować?
Cośmy rzekli, zrobili przeciw twojéj woli?

Euklio.

Ty jeszcze pytasz, łotrze? który z swymi ludźmi
Wszystkie kąty i wszystkie pokoje w mym domu
Przetrząsasz i przerzucasz? Czy to miałeś robić?
Gdybyś był przy ognisku, miałbyś łeb swój cały.
A więc słusznie dostałeś. Abyś zatem wiedział
Jeszcze lepiéj, co myślę, pamiętaj to sobie:
Jeśli się do drzwi zbliżysz bez mego rozkazu,

Tak cię zbiję, że będziesz najnędzniejszym z ludzi.
Znasz już teraz myśl moję? (Kongrio chce odchodzić.) Dokąd idziesz?
(Wracaj!

Kongrio.

Klnę ci się na Lawernę,* jeśli mi mych garnków
Zaraz oddać nie każesz, sprawię ci muzykę!**
(Euklio wchodzi w dom.)
Cóż mam począć? Przyszedłem tutaj w złą godzinę.
Złotówka*** zarobiona nie starczy na plastry.

SCENA VIII.

Euklio wraca z garnkiem złota ukrytym pod płaszczem.

Kongrio i kuchciki.

Euklio (do siebie.)

Ten (wskazując na garnek) odtąd będzie ze mną, gdzie tylko się ruszę,
Nigdy go nie zostawię w tem niebezpieczeństwie.
(Do Kongriona i innych.)
Teraz już wchodźcie wszyscy, kuchty i tancerki;
Wprowadź nawet, jeśli chcesz, trzodę niewolników.
Warzcie, róbcie, biegajcie, ile się podoba.

Kongrio.

To w sam czas! kiedy mamy łby porozbijane!

Euklio.

Marsz do domu! Do kuchni tutaj was najęto,
A nie do rozprawiania.

* Lawerna miała gaj blisko Rzymu, gdzie w najdawniejszych czasach przechowywano rzeczy oddając jéj w opiekę; następnie uważano ją za opiekunkę złodziei i kucharzy.

** Pipulo te differam; pipulus jest kocia muzyka, którą wyprawiano pod wieczór za pozwoleniem urzędników sądowych tym, którzy się dopuścili oszustwa. Była to więc muzyka hańbiąca.

*** W oryginale stoi nummus bez bliższego oznaczenia.

Kongrio.

Posłuchaj mnie, dziadu;
Za kije którem dostał, musisz mi zapłacić.
Do kuchni, nie do kijów najęto nas tutaj.

Euklio.

To mnie zaskarz! — nie gadaj! Idź warzyć kolację —
Albo ruszaj do kata!

Kongrio.

Ty do kata ruszaj!

(Kongrio i kuchciki odchodzą).

SCENA IX.

Euklio (sam).

Więc poszedł! — O bogowie, nie lada to śmiałość,
Jeżeli się ubogi do bogacza zbliży,
I wda z nim w jaką sprawę. Tak teraz Megador
Dręczy mnie mizeraka na wszelkie sposoby.
Udał, że mi kucharzy dla uczczenia przysłał,
A przysłał ich dla tego, by ten garnek skradli.
I kogut, własność baby, byłby mnie pozbawił
Z pewnością o niewiele tego mego skarbu,
Bo gdzie był zakopany, jak nie zacznie grzebać
Pazurami do koła! — Ale co tu prawić —
Tak mnie bardzo rozgniewał, że porwawszy drąga,
Wyraźnego złodzieja na miejscu ubiłem.
Pewnie mu obiecali kucharze nagrodę,
Gdyby im złoto odkrył — lecz im przeszkodziłem.
Dosyć na tem, że kogut poległ w téj potyczce.
Ależ oto Megador, zięć mój, idzie z rynku;
Muszę stanąć, pogadać — inaczéj nie mogę.

SCENA X.

Megador. Euklio (na stronie).

Megador.

Opowiadałem wielu moim przyjaciołom
Mój zamiar ożenienia. Córkę Eukliona
Chwalą wszyscy i zowią mój plan bardzo mądrym.
Mojem bo zdaniem gdyby tak robili wszyscy,
Cotylko majętniejsi, iżby wybierali
Córki samych uboższych dla siebie na żony,
Bez mienia i posagu, toby się z pewnością
Cieszyło nasze państwo znacznie większą zgodą,
Bogatymby nie tyle co dziś zazdroszczono,
Żony nasze byłyby daleko skromniejsze,
A mybyśmy wydatków mieli mniéj niż teraz.
Toby się podobało większéj części ludu.
Bo jeśli kto zapyta, cóż będą robiły
Przy takiem prawie biednych panienki posażne, —
Niech sobie chodzą za mąż — byle bez posagu!
A gdyby tak się działo, to zamiast posagu
Wnosiłyby w dom męża lepsze obyczaje.
Muły* zaś, które dzisiaj droższe są od koni,
Byłyby, ręczę za to, tańsze od szkap biednych.**

Euklio (na stronie).

Zaprawdę z przyjemnością słucha się słów takich;
Jakże o oszczędności piękie teraz mówił.

Megador (na stronie).

Wtenczasby żadna z kobiet tak mówić nie mogła:
„Majątek, który wniosłam, jest większy od twego;

* Do kolas (carruca) kobiet zaprzęgano muły, które dla tego były i poszukiwane bardzo jako artykuł zbytku i drogo płacone.
** W oryginale jest cantheri t. j. właściwie wałachy galickie, używane do pracy i dość tanie.

Słuszna więc, abym miała purpurę i złoto,
I służebnice, lokai, muły i pachołków,
Chłopaków na posyłki, powozy, karety.“

Euklio (na stronie).

Jakże zna doskonale pań naszych przywary!
Trzebaby go na stróża moralności kobiet.

Megador (do siebie).

Teraz, gdzie tylko przyjdziesz, znajdziesz więcéj wozów
W domu, niżli na polu, gdy wyjdziesz na folwark.
Ale to jest piękniejsze, za co płacić trzeba!*
Patrz tu stoi sukiennik, wałkarz, haftarz, złotnik,
Modniarka, pasamonik, a tam szwaczka koszul,
Weloniarz i farbierze w fiolet i złoto,
Krawcy, rękawicznicy, tu znów perfumiarze,
Płóciennicy, handlarze kobiecych trzewików,
Bławatnicy i szewcy robiący pantofle,
Tam stoją sandalnicy, farbiarze ślazowi,
Tu perukarze, gorsetnik, fabrykant przepasek:
A każdy chce pieniędzy, chce ich wałkarz, łatacz,
Chce ich fabrykant wieńców, chce ich półgorsetnik.
Już myślisz, żeś popłacił — gdzietam! znowu idą!
Znów stoją w przedpokoju setki manicherów,**
Wchodzi tkacz, wchodzi haftarz, stolarz — a więc dawaj!
Myślisz wreszcie, że wszystkich już zaspokoiłeś —
Gdy farbiarz oranżowy zjawia się z rachunkiem.
Słowem kaci przynoszą wciąż nowe pijawki.

* Długi ten szereg fabrykantów i handlarzy przedmiotów potrzebnych elegantkom rzymskim dowodzi nie małego zbytku już za czasów Plauta w Rzymie. Na polski język przełożyć wszystkie te nazwiska jest trudno dla tego, że my nie znamy wielkiéj części przedmiotów, jakich używano w Rzymie, a przynajmniéj nie mamy fabrykantów, którzyby je robili, ztąd też i nazwisk nie mamy. Dla tego musiałem na jedne użyć odpowiednich przynajmniéj nazwisk, na inne utworzyć przez podobieństwo

** Manicherami nazywają wierzycieli natrętnych.

Euklio (na stronie).

Przerwię mu — lecz się lękam, żeby on nie przestał,
Mówić o wadach kobiet, niech więc dalej mówi.

Megador (do siebie).

Ledwie galanternikom popłacisz rachunki,
Przychodzi wreszcie żołnierz* i żąda pieniędzy.
Idziesz więc i z bankierem robić obrachunek,**
Tymczasem czeka głodny żołnierz na pieniądze.
Lecz kiedy obrachunek z bankierem ukończysz,
Pokaże się, że jeszcze jemu płacić trzeba.
Dla żołnierza zostaje nadzieja do jutra.
Oto są przyjemności — oto są wydatki,
Prócz wielu jeszcze innych, z tych wielkich posagów.
Bo żona bez posagu jest u męża w mocy;
Posażne dręczą mężów i pchają w nieszczęście.
(Zwraca się w stronę, gdzie Euklio stoi).
A! Euklio, teść mój miły! Jak się masz? Co robisz?

Euklio.

Pożerałem twe słowa z wielką przyjemnością.

Megador.

Mówisz więc, że słyszałeś?

Euklio.

Tak jest od A do Z.

Megador.

Jednakże mnie się zdaje, że lepiejbyś zrobił,
Gdybyś się czyściej ubrał na córki wesele.

* Utrzymywanie żołnierzy należało do ludzi bogatszych.
** Bogaci Rzymianie mieli swoich bankierów, u których pieniądze składali i posyłali do nich wierzycieli z rachunkami przyjętymi przez siebie do wypłaty.

Euklio.

Ubranie do majątku, strój stósuj do zbytku,
Kto co ma, niech pamięta, z jakiego jest stanu.
Mój majątek, jak wszystkich biednych, nie jest większy,
Megadorze, jak ludzie pospolicie sądzą.

Megador.

Ej co tam! Dosyć, co jest! Niechże ci bogowie
To, co teraz posiadasz, zachowując mnożą.

Euklio (do siebie).

„To, co teraz posiadasz“ — nie podoba mi się,
Wie on o moim skarbie, już tak dobrze, jak ja.
Baba to wypaplała!

Megador.

Dla czegoż tak chyłkiem,
Euklionie, wymykasz się z naszéj tu rady?

Euklio.

Myślałem, że mam słuszną do ciebie urazę.

Megador.

Dla czego?

Euklio.

Pytasz o to? Któż to mnie biednemu
Zapchał dziś wszystkie kąty domu złodziejami?
Aż pięciuset kucharzy ty mi w dom przysłałeś;
Każdy z nich ma sześć rąk, Geryona plemię,*
Których choćby strzegł Argus** obsuty oczami.
Argus stróż przez Junonę dodany Ionie,

* Geryon był to olbrzym mający trzy cielska, a więc sześć rąk i sześć nóg.

** Argus, znany stróż Iony, o stu oczach, dany jéj przez Junonę zazdrosną na miłość Jowisza.

Jednakby ich nie ustrzegł; a nadto tancerkę,
Któraby sama jedna wypiła Pirenę,
Źródło blisko Koryntu, jeżeliby winem
A nie wodą płynęła. A co do żywności!..

Megador.

Wystarczy dla legionu. Posłałem i jagnię.

Euklio.

Ah! to jagnię! Doprawdy — ciekawszego pewnie
Jużbyś nigdzie nie znalazł.

Megador.

Powiedzże mi tylko,
Co ty przez to rozumiesz, że jagnie ciekawe?

Euklio.

Bo to skóra i kości — tak suche z kłopotu.
Patrz w żywe przeciw słońcu, a ujrzysz wnętrzności,
Jak punicka latarka takie jest przejrzyste.*

Megador.

Kupione na zabicie.

Euklio.

Toć i najmij kogo,
Któryby je pochował, bo pewnie już zdechło.

Euklio.

Chcę dzisiaj kieliszeczek wina wypić z tobą.

Megador.

Ja nie piję.

* Punickie latarki były rogowe i bardzo poszukiwane dla swéj przejrzystości.

Megador.

Dla czego? Każę z mego domu
Przynieść sądek starego i dobrego wina.

Euklio.

O nie, nie; pijam bowiem zawsze tylko wodę.

Megador.

Jednakże jakom żywy, dzisiaj cię upoję, —
Chociaż mówisz, że pijasz zawsze tylko wodę.

Euklio (do siebie).

Już wiem, co on zamyśla. — Chce mnie pod stół dostać,
Ażeby moje złoto zmieniło mieszkanie.
Lecz ja temu przeszkodzę — zakopię je bowiem
Gdziekolwiek poza domem, a tak będzie szkoda
Jego czasu, zachodów i starego wina.

Megador.

Jeżeli nic już nie masz, to pójdę do łaźni,
Ażebym mógł ofiarę bogom zaraz złożyć.* (odchodzi).

Euklio (sam)

Doprawdy mój garnuszku, wielu nieprzyjaciół
Czycha na życie twoje — lecz nie mniéj na złoto,
Które się w tobie mieści. Więc najlepiéj zrobię,
Że cię schowam, garnuszku, w świątyni Wierności.**
Wierności, my się znamy; pokażże się, proszę,
Godną twego nazwiska, gdy ci to powierzę.
Więc do ciebie się zbliżam, twojéj wierząc wierze.***

* Każdą czynność ważniejszą zaczynano w starożytności od ofiar odpowiednim bogom składanych, do których się przygotowywano przez oczyszczenie się w łaźni.

** Bóstwo „Wierność“ Fides czczono w Rzymie już w czasach bardzo dawnych; dla tego podobno Numa Pompiliusz zbudował dla niej świątynię.

*** Plaut używywa w tem miejscu nie bez przyczyny wyrażeń z jednego pochodzących źródłosłowu.

Akt czwarty.

SCENA I.

Strobil (niewolnik Likonida).

Tak czynić, jak ja czynię, winien dobry sługa:
Bez namysłu, z ochotą pełnić wolę pana.
Bo niewolnik, który chce pana zadowolnić,
Musi wprzód o nim myśleć, a potem o sobie.
Nawet śpiąc niech pamięta, że jest niewolnikiem.
Kto jak ja służy panu tak zakochanemu,
Iż go miłość zaślepia, ten, sądzę, powinien
Myśleć, jak go ocalić, a nie pchać, gdzie dąży.
Jak chłopcom chcącym pływać dają pęk sitowia,
By z większem bezpieczeństwem i łatwiéj pływali,
Swobodne mając ręce; tak, sądzę, sitowiem,
Powinni dobrzy słudzy być dla panów swoich,
Którzy są zakochani; powinni ich trzymać
Na powierzchni, ażeby nie poszli do gruntu.
Powinni nawet z miny, z samego spojrzenia
Ich myśli odgadywać, ich wolę poznawać,
A rozkazy wypełniać prędko i galopem.
Kto tak robi, ma plecy od bizunów pewne,
A kajdany przez niego rdzy się nie pozbędą.*
Ot teraz mój pan kocha córkę ubogiego
Eukliona; w tem słyszy, że się z nią ma żenić
Megador; więc mię tutaj przysyła na zwiady,

* Bo ich nie będzie dźwigał.

Aby o tem mógł wiedzieć, co tylko się stanie.
Lecz chcąc ujść podejrzenia, siądę na ołtarzu;*
Ztąd będę mógł uważać, co się w koło dzieje.

(Siada na boku ołtarza).

SCENA II.

Euklio (wychodzi z świątyni). Strobil.

Euklio.

Wierności, nie wydawaj, że tam jest me złoto!
Ażeby je kto znalazł, wcale się nie lękam,
Tak jest dobrze ukryte. O, jakiż to piękny
Byłby kąsek dla tego, któryby je znalazł —
Garnek pełnieńki złota! Strzeżże go, Wierności!
Teraz pójdę do łaźni, by spełnić ofiarę,
Potem memu zięciowi, gdy tego zażąda,
Zaślubić moją córkę. Ciebie ja, Wierności,
Błagam, i jeszcze błagam, strzeż mi mego złota,
Bym je cało odebrał. Tobiem je powierzył,
W twoim gaju schowane i w twojéj świątyni.

(Odchodzi).

Strobil.

Bogowie! co ja słyszę? co mówi ten człowiek?
Zakopał garnek z złotem tutaj w téj świątyni!
Jemu nie bądź wierniejszą, niżli mnie, Wierności!
Pewnie to ojciec dziewki, którą pan mój kocha.
Dopóki on zajęty, pójdę do świątyni
I przeszukam ją dobrze, czy złota nie znajdę.
A jeżeli je znajdę, złożę ci w ofierze
Bogini, najlepszego cały garniec wina,
A kiedy to uczynię — wypiję je sobie.

(Idzie ku świątyni, w tem słychać głos kruka).

* Ołtarzy było pełno w Rzymie na ulicach przed domami.

Euklio (wraca przestraszony).

Nie bez „ale“ zawrzeszczał kruk po mojéj lewéj!*
Pogrzebał ziemię nogą, a potem zakrakał.
Serce moje wyprawia dziwne jakieś skoki
I wali jakby młotem! — I ja się nie spieszę?

(Obraca się ku świątyni i spostrzega Strobila, który właśnie do niéj wchodzi: chwyta go więc, odpycha i bije).

Precz glizdo, coś dopiero z pod ziemi wylazła,
Że cię tu nie widziałem; więc zginiesz wylazłszy!
Ja ciebie, czarowniku, na sucho nie puszczę.

Strobil.

Jaka cię zła myśl trapi? Czego chcesz ty dziadu?
Czemuż mnie ty wywracasz? czemu szarpiesz, bijesz?

Euklio.

Jeszcze pytasz? smagańcze, złodzieju, rabusiu?

Strobil.

A co ja ci ukradłem?

Euklio.

Oddaj!

Strobil.

Co?

Euklio.

Ty pytasz?

* Rzymianie, jak wiadomo, byli bardzo zabobonni; przed każdą czynnością badali z rozmaitych znaków wolę bogów; ale nadto uważali często na przypadkowe takie zjawiska i zdarzenia, wyciągając z nich dla siebie wróżbę. Do najzwyczajniejszych znaków należą ptaki, a pomiędzy nimi ważną odgrywa rolę kruk, który, jeżeli się pojawi i zawrzeszczy po prawej stronie, zwiastuje szczęście, po lewej, nieszczęście.

Strobil.

Ja ci nic nie ukradłem.

Euklio.

Lecz oddaj co wziąłeś?

Strobil.

Co ty chcesz?

Euklio.

Byś nie ukradł.

Strobil.

Co chcesz? Nierozumiem.

Euklio.

Dawaj!*

Strobil.

Tak? to ty, stary, lepiéj znasz odemnie.

Euklio.

Dawaj zaraz! Bez żartów! Żartów tutaj nie masz!

Strobil.

Co mam dać? powiedz przecież, nazwij po imieniu!
Na Bogi! nic nie wziąłem, ani nie ruszyłem.

Euklio.

Pokaż ręce!

Strobil (ociągając się.)

Tobie?

* Pone jest tu dwuznaczne.

Euklio (gwałtownie)

Tak!

Strobil (pokazując).

To je masz!

Euklio.

A trzecia.

Strobil.

Widma, wściekłość, szaleństwo trapią ciebie, starcze,
Robisz mi krzywdę; czy nie?

Euklio.

Wielką, że nie wisisz!
To przyjdzie, jeśli skłamiesz.

Strobil.

Czegoż nie mam kłamać?

Euklio.

Co ztąd wziąłeś?

Strobil.

Bóg mnie skarz, jeślim wziął co twego. —

Euklio (przerywając).

Albo nawet wziąść chciałeś? To mi płaszcz swój rozwiń!

Strobil.

I owszem.

Euklio.

Lecz pod suknią.

Strobil.

Patrz, gdzie się podoba.

Euklio.

A to złodziéj! przez grzeczność chce kradzież zataić.
Lecz ja znam te wykręty. Pokaż jeszcze prawą!

Strobil.

Tu ją masz.

Euklio.

Teraz lewą.

Strobil.

Pokażę ci obie.

Euklio.

Dłużéj szukać nie będę. Oddaj!

Strobil.

Co?

Euklio.

Nie żartuj!
Masz z pewnością.

Strobil.

Ja mam? Co?

Euklio.

Nie powiem, chcesz słyszeć.
Oddaj to, co masz mego.

Strobil.

Czyś głupi? Szukałeś
Wedle woli, a jednak, coby było twojem,
Nic przy mnie nie znalazłeś. (Chce odchodzić).

Euklio.

Zostań! Zostań tutaj!
Powiedz mi, kto był drugi tam z tobą w świątyni.

Bogowie! ten tam szpera! Puszczę tego, — drapnie.
Ależ go przeszukałem — nic niema. Idź gdzie chcesz —
Idź na złamanie karku!

Strobil.

Pięknie mi dziękuje!

Euklio.

Idę tam, by zadławić twojego kamrada.
Precz mi z oczu! Czy pójdziesz?

Strobil.

Idę!

Euklio.

A na zawsze!

(Wchodzi do świątyni).

Strobil.

Niechaj dziś jeszcze umrę raczéj pod rózgami,
Jeżeli tego dziada nie wprowadzę w łapkę.
Tu bo się nie odważy zakopać swe złoto —
Lecz je pewnie wyniesie, zakopie gdzieindziéj.
Patrz! drzwi skrzypły! Już stary swe złoto wynosi.
Ukryję się więc tutaj prędko poza drzwiami.

Euklio.

(wychodzi z świątyni z garnkiem).

Wierności przyznawałem już największą wiarę,
A byłaby mnie prawie strasznie oszukała.
Gdyby kruk nie był pomógł, byłbym biedny zginął.
Doprawdy, cieszyłbym się, gdyby ten kruk przyszedł,
Który mi podstęp zdradził — bym mu co dobrego —
Powiedział — bym mu jeść dał — niebym z tego nie miał.
Lecz teraz o tem myślę, gdzieby złoto schować.
Gaj Sylwana za murem jest w odludnem miejscu,
Gęsto wierzbą zarosły — to miejsce wybiorę —
Gdyż więcej Sylwanowi wierzę, niż Wierności. (odchodzi).

Strobil (wychodząc z ukrycia).

Ha ha! Ha ha! Bogowie pragną szczęścia mego!
Już ja go tam wyprzedzę, wdrapię się na drzewo,
I będę z niego patrzał, gdzie swe złoto schowa.
Bo chociaż pan mój tutaj pozostać mi kazał,
Wolę jednak pozostać, na złe się odważyć. (odchodzi)

Akt piąty.

SCENA I.

Eunomia. Likonid. Fedria (córka Eukliona za sceną).

Likonid.

Powiedziałem ci, matko; już teraz wiesz wszystko
O córce Eukliona. Więc cię proszę, matko,
O co dawniéj prosiłem, zaklinam na wszystko:
Pomówże z moim wujem o tym interesie.

Eunomia.

Wiesz dobrze iż dogadzam zawsze twojéj woli,
Sądzę także, że brat mi tego nie odmówi.
Boć sprawa ta jest słuszna, jeśli prawdę mówisz,
Że ty winem rozgrzany shańbiłeś dziewczynę.

Likonid.

Jażbym ci w oczy kłamał, mateczko kochana?

Fedria (za sceną).

Umieram, niańko moja! Boże, jakież bóle!
O ratuj mnie Lucino!*

Likonid.

Słyszysz matko moja?
Słów moich nie potrzeba; ona krzyczy rodząc.

Eunomia.

Chodź więc ze mną, mój synu, do mojego brata,
Abym ci wyrobiła, czego sobie życzysz.

Likonid.

Idź ty matko, ja przyjdę (Eunomia odchodzi). Ale to mnie dziwi,
Gdzie jest Strobil niewolnik, któremu kazałem
Tutaj czekać na siebie. Lecz jeżeli chodzi
Za mojemi sprawami, byłby gniew niesłuszny.
Już idę, gdzie się sprawa o me życie toczy. (odchodzi).

SCENA II.

Strobil (z garnkiem złota).

Od gryfów, które złota posiadają góry,**
Ja sam jeden bogatszy. Cóż mówić o królach?
To mizerne żebraki w porównaniu ze mną!
Ja jestem ów król Filip!*** To mi dzień szczęśliwy!

* Junonę zwano Luciną, jako boginię matek rodzących, opiekującą sią niemi i płodem.

** Gryfy, potwory mytologiczne, miały ciało lwa, głowy i skrzydła orla. Strzegą one wedle Herodota Hyporberejskich gór śpiżowych, dla tego nazywają się u niego χρυσοφύλακες i były w ciągłej wojnie z narodem scytyjskim Arimaspów.

*** Król Filip Macedoński, którego wspomina już w akcie pierwszym, był widać uważany za najbogatszego, kiedy w porównaniu z nim są inni żebrakami, może dla tego, iż za jego panowania odkryto w Macedonii kopalnie złota.

Bo prędzéj ztąd odszedłszy, prędzéj tam przybyłem
Wdrapałem się na drzewo jeszcze nim on przyszedł,
I patrzałem, gdzie złoto zagrzebie dziadyga.
Skoro odszedł — ja zaraz zesuwam się z drzewa —
Garnek z złotem dobywam. A nie długo potem
Widzę — stary powraca — lecz on mnie nie widzi,
Gdyż prędko nieco na bok umknąłem się z drogi.
Otóż on! Pójdę do dom — aby złoto schować.

SCENA III.

Euklio, potem Likonid.

Już po mnie! Już zginąłem! Przepadłem na wieki!
Gdzież mam biedz? gdzie biedz nie mam? Łapaj! Chwytaj!
Kogo?
Kto? Niewiem; jestem ślepy — niczego nie widzę —
Gdzie jestem, lub czem jestem, gdzie mam iść, — nic nie
wiem,
Was błagam i zaklinam, proszę, pomagajcie,
Pokażcie mi człowieka, który garnek ukradł*
(Do jednego z widzów).
Co mówisz? Tobie ufam, z ócz ci dobrze patrzy.
Dla czego się śmiejecie? Znam was! Tu złodziei
Dużo jest między wami, którzy szatą białą**
Brudy swe pokrywając, siedzicie jak zacni.
Hem! więc żaden z tych nie ma? Zginąłem! Powiedzże,
Kto je ma? Czy ty nie wiesz? O ja nieszczęśliwy!
Jakiż mnie los nawiedził! Zginąłem! przepadłem!

* Odzywa się w tych słowach do widzów.

** Rzymianie wszyscy chodzili w białych szatach, ale ci, którzy się ubiegali o urząd, miewali szatę bielszą jeszcze od innych, i dla tego nazywano ich candidati. Starali się, jak naturalna zalecać zawsze jaknajlepiéj ludowi, chociaż w rzeczy saméj byli często bardzo nikczemni i podli.

Tyle smutku, zmartwienia przyszło w tym dniu na mnie:
Z niemi głód i ubóstwo! O! ja najnędzniejszy
Jestem na całym świecie pośród wszystkich ludzi.
Cóż po życiu, gdy tyle utraciłem złota,
Którem pieścił starannie. Ja sam się okradłem
Z chęci życia i z szczęścia! Inni się niem cieszą —
Z mem nieszczęściem i szkodą. Tego znieść nie mogę.

Likonid (wychodząc z domu).

Któż to przed naszym domem jęczy narzekając!
(na stronie). To Euklio! Tak! Zginąłem! Cała rzecz wydana!
Wie, jak sądzę, że zległa. Nie wiem, co uczynić.
Mam zostać? czy mam odejść? uciec? czy przystąpić?

Euklio.

Kto tu mówi?

Likonis.

Ja jestem.

Euklio.

Jakżem nieszczęśliwy!
Tyle smutku, nieszczęścia!

Likonid.

Bądźże dobréj myśli!

Euklio.

Ja mam być dobréj myśli!

Likonid.

Bo to, co twe serce
Tak trapi, ja zrobiłem; wyznaję przed tobą.

Euklio.

Co ja słyszę? Co mówisz?

Likonid.

Tylko czystą prawdę.

Euklio.

Cóż ja tobie młodzieńcze złego uczyniłem,
Że mnie wraz z dziećmi memi w nieszczęście wtrąciłeś?

Likonid.

To bóg jakiś mnie zwabił i do niéj zachęcił.

Euklio.

Jakimże to sposobem?

Likonid.

Wyznaję, żem zgrzeszył,
Wiem to, że zawiniłem, dla tego przychodzę
Prosić cię, byś łaskawie darował mi winę.

Euklio.

Ale zkąd ci ta śmiałość ruszać co nie twego?

Likonid.

No, cóż chcesz, już się stało! Odstać się nie może:
To sądzę, wola bogów, bez niéj się nie stało.

Eukliio.

Pewnie też wola bogów, bym cię w więzach zabił.

Likonid.

Nie mów tego!

Euklio.

Lecz czemuż ruszyłeś, co moje?

Likonid.

Grzechu się dopuściłem z wina i miłości.

Euklio.

O! człowieku zuchwały! I ty masz tę śmiałość,
Masz czoło tak wytarte, że się z taką mową
Tutaj do mnie odzywasz? Jeśli w taki sposób
Wolno się uniewinniać, toć już obdzierajmy
Publicznie i w dzień biały kobiety ze złota;
A jeżeli nas schwycą, tłumaczenie łatwe:
„Zrobiliśmy pijani i z wielkiéj miłości:“
To więc wino i miłość są w zbyt nizkiéj cenie,
Jeśli rozkochanemu, albo pijanemu
Wolno czynić, co tylko jemu się podoba.

Likonid.

Toć sam tutaj przychodzę, aby cię przebłagać.

Euklio.

Nie lubię takich ludzi, co zgrzeszywszy płaczą.
Wiedziałeś, że nie twoje, dla czego ruszałeś?

Likonid.

Ale, kiedy ruszyłem, toć się nie sprzeciwiam,
Ażeby ją posiadać!*

Euklio.

Co? co ty powiadasz?
Chcesz posiadać mą własność i bez mojéj woli?

Likonid.

Wcale nie bez twéj woli; ale mnie się zdaje,
Że już moją być musi. Tak ty sam to powiesz,
Jeśli się zastanowisz, że moją być musi.

Euklio.

Jeśli mi odniesiesz ...

* Ożenić się w takim razie z kobietą wolną, było nawet prawem nakazane.

Likonid.

Czego?

Euklio.

Co mi skradłeś, —
Zawlokęć do sędziego i zaraz oskarżę.

Likonid.

Co? Ja tobie co skradłem? Zkąd? Co?

Euklio.

Obyś przepadł.
Jeśli ty tego nie wiesz!

Likonid.

Dopóki nie powiesz,
Czego ty chcesz, ja nie wiem!

Euklio.

Chcę ów garnek z złotem —
Który mi ty ukradłeś, jak się sam przyznałeś.

Likonid.

Ani się nie przyznałem, ani uczyniłem.

Euklio.

I ty jeszcze zaprzeczasz?

Likonid.

Zaprzeczam i mocno;
Gdyż nie wiem nic o twojem złocie, ani garnku,
Ani ich nie widziałem.

Euklio.

Oddaj zaraz garnek,
Który mi dziś ukradłeś z Sylwana gaiku.

Idź i przynieś; wolę ci połowę odstąpić,
I przebaczyć, choć jesteś złodziejem. Lecz przynieś!

Likonid.

Czyś oszalał, że mnie ty nazywasz złodziejem?
Myślałem, żeś o innéj dowiedział się rzeczy,
Która się mnie dotyczy. Rzecz to bardzo ważna —
Chciałbym o niéj spokojnie rozmówić się z tobą.

Euklio.

Dajesz słowo, że złota onego nie wziąłeś?

Likonid.

Daję ci, że nie wziąłem.

Euklio.

Ani nie wiesz kto wziął?

Likonid.

I na to daję słowo.

Euklio.

A jeśli się dowiesz,
Kto mi skradł moje złoto, przyrzekasz powiedzieć?

Likonid.

Przyrzekam.

Euklio.

I nie weźmiesz chociaż najmniejszéj cząstki
Od niego i u siebie nie skryjesz złodzieja?

Likonid.

Nie.

Euklio.

A jeśli mi kłamiesz?

Likonid.

Niech mnie Bogi skarzą!

Euklio,

Dosyć na tem. Teraz mów, czego chcesz odemnie.

Likonid.

Jeżeli może nie wiesz, z jakiego ja rodu,
Twój tu sąsiad Megador jest moim wujaszkiem,
Antimach był mi ojcem, na imię Likonid,
Matka moja Eunomia.

Euklio.

Twój ród jest mi znany.
Czegóż ty chcesz odemnie?

Likonid.

Masz córkę.

Euklio.

Tak, w domu.

Likonid.

Słyszę, żeś ją zaręczył mojemu wujowi.

Euklio.

Tak jest.

Likonid.

A ja przychodzę z jego tu rozkazu,
Aby cię zwolnić z słowa.

Euklio.

Teraz zwolnić z słowa,
Kiedy już na wesele wszystko jest gotowe?
A niech go nieśmiertelne boginie i bogi
Ciężko za to ukarzą; bo to z jego winy
Nieszczęśliwy straciłem taką ilość złota.

Likonid.

Bądź raczéj dobréj myśli i błogosław temu,
Niech z téj rzeczy dla ciebie i dla twojéj córki
Źródło szczęścia wypłynie! Powiedz: „Daj to Boże!“

Euklio.

Daj to Boże!

Likonid.

I dla mnie! Posłuchaj mnie teraz.
Żaden człowiek zbłądziwszy nie jest tak nikczemny,
Ażeby się nie wstydził i nie uniewinniał.
Teraz cię Euklionie proszę, jeślim zgrzeszył
Przeciw tobie lub córce, abyś mi przebaczył,
I dał mi ją za żonę, jak to prawo każe.
Przyznaję się do tego, żem skrzywdził twą córkę
W uroczystość Cerery — pijany i pełen
Młodzieńczego zapału.

Euklio.

Co ja biedny słyszę? (płacze)

Likonid.

Ale czemuż tak płaczesz? Czy może dla tego,
Że w dniu ślubu swéj córki już jesteś dziaduniem?
Gdyż dziś matką została. Policz, czas się zgadza.
Dla tego z méj przyczyny wuj zwalnia cię z słowa;
Idź do domu i zobacz, że ci prawdę mówię.

Euklio.

O bieda mi biednemu! Tak się na mnie walą
Wszystkie na raz nieszczęścia! Już teraz iść muszę,
Ażeby się dowiedzieć, ile w tem jest prawdy.

Likonid.

Zaraz przyjdę za tobą. (Euklio odchodzi) Tak więc, jak się zdaje,
Prawie jestem u portu. Lecz nigdzie nie widzę,

Mojego niewolnika, Strobila, i nie wiem,
Gdzieby się był mógł podziać. Jednak chwilkę jeszcze
Zaczekam — niech mu wszystko służebnica córki,
Jéj piastunka, opowie; ona zna rzecz całą.

SCENA IV.

Strobil. Likonid.

Strobil.

Bogowie nieśmiertelni, ileż to radości,
I jak wielkiéj przez waszą łaskę dziś doznaję!
Mam cztery funty złota ułożone w garnku!
Któż bogatszy odemnie? Czy jest kto w Atenach,
Na którego bogowie byliby łaskawsi?

Likonid. (do siebie)

Bodajnie tu słyszałem głos ludzki w téj chwili.

Strobil. (do siebie)

Czy to pan mój?

Likonid. (do siebie)

Czy mego widzę tu Strobila?

Strobil. (do siebie)

Tak to on.

Likonid. (do siebie)

Nie kto inny.

Strobil. (do siebie)

Przemówię do niego.

Likonid. (do siebie)

Przybliżę się do niego. Spodziewam się po nim,
Że jak mu rozkazałem, był u niańki panny.

Strobil. (do siebie)

Czy mówić mu otwarcie o mojéj zdobyczy?
Tak, opowiem mu wszystko i będę go prosił,
Ażeby mnie wolnością udarować zechciał.
(głośno) Znalazłem. —

Likonid.

Co znalazłeś?

Strobil.

Nie to, co niekiedy
Chłopaki wykrzykują, że znaleźli w grochu.

Likonid.

Czy już znowu żartujesz? (odwraca się)

Strobil.

Zostań, panie, powiem!

Likonid.

To więc mów!

Strobil.

Ot znalazłem, panie, dziś skarb wielki.

Likonid.

Co takiego?

Strobil.

Garnek, a w nim pełno złota.

Likonid.

Co mówisz?

Strobil.

Tak, ukradłem go Euklionowi.

Likonid.

Powiadaj, gdzie masz złoto?

S t r o b i l.

Mam je w domu w skrzyni.

Teraz chcę się uwolnić.

L i k o n i d.

Co? uwolnić, łotrze?

S t r o b i l.

Teraz znam cię, mój panie; podstępu użyłem,
Ażeby cię doświadczyć. Już myślałeś o tem,
Jakby mi złoto zabrać.* Cóżbyś zrobił wtenczas,
Gdybym je, jak mówiłem, na prawdę był znalazł?

L i k o n i d.

Żarty tu nie uchodzą. Idź i przynieś złoto.

S t r o b i l. (zadziwiony)

Co? ja mam przynieść złoto?

L i k o n i d.

Przynieś, by mu oddać.

S t r o b i l.

Ale zkąd?

L i k o n i d.

No, ze skrzyni, jak to sam wyznałeś

S t r o b i l.

Toć zwykłem brednie gadać! Żartowałem tylko!

* Końca téj komedyi nie mamy. Antonius Codrus Urceus, professor w Bolonii w 15. wieku żyjący, dorobił do niéj wierszy 122 na ukończenie. My uzupełniając tę piękną Plauta komedyą, dodajemy kilkadziesiąt wierszy własnego utworu naśladując Urceusza, chociaż bardzo dobrze o tem wiemy, że one nie są godne naszego poety.

L i k o n i d.

Mówię ci, bądź posłuszny.

S t r o b i l.

Zabij, nie dostaniesz!

L i k o n i d.

Co? ty mi się opierasz? Mówisz — nie dostanę?

S t r o b i l.

Nie dostaniesz bo nie mam.

L i k o n i d.

Dobrze, zobaczymy,
Żywo z rąk mi nie wyjdziesz! Więc oddawaj złoto.

S t r o b i l.

Chociażbym pod rózgami miał nawet i skonać,
Albo na szubienicy i życie zakończyć,
Nic ci to nie pomoże, bo ja złota nie mam.

L i k o n i d.

Dosyć już tego łotrze! Wydasz je natychmiast?
(chwyta go za gardziel)

S t r o b i l.

Już wydam!

L i k o n i d.

Ale zaraz!

S t r o b i l.

Niech przecież odetchnę! (Likonid go puszcza)
I czegóż chcesz, mój panie?

L i k o n i d.

Chcę ów garnek złota,
Który, jak sam mówiłeś, hultaju, znalazłeś,

Wiesz już teraz, czego chcę? Namyślasz się jeszcze?
(zwrócony ku domowi) He! służba! niewolnicy!

Strobil.

Panie, słówko tylko.

Likonid.

Dosyć było tych słówek. Wyboru już nie masz.
Daj złoto i natychmiast. (woła) Przynoście kajdany
I okujcie go zaraz.

Strobil.

Ale pomyśl, panie,
Co ty z tego mieć będziesz, jeśli mnie zamęczysz.
A jeśli mi dasz wolność, ja tobie dam złoto.

Likonid.

Dobrze, ja ci dam wolność, ale przynieś złoto.

Strobil.

Panie, czy mówisz prawdę? Darujesz mi wolność?

Likonid.

Ja ci słowa dotrzymam; lecz się pospiesz z garnkiem.

Strobil.

W téj chwili mieć go będziesz.

Likonid.

Ty mieć będziesz wolność
(Strobil odchodzi)

SCENA V.

Likonid. Strobil (wraca po chwili ze złotom)
potem Euklio i Eunomia.

Bogowie to sprawili, że rzeczy tak poszły,
Ja skarb oddam teściowi, — a on mi przebaczy.

I da mi pewnie chętnie swą córkę za żonę.
Ale oto Strobil już powraca ze złotem.

Strobil.

Masz tu garnek ze złotem — tak, jak go znalazłem.

Likonid.

Bogowie! co ja widzę? (biegnie do drzwi, w które wszedł Euklio, puka gwałtownie wołając) Euklionie, wychodź!

Euklio.

Kto mnie woła? Czy znów jakie nieszczęście?

Likonid.

Wychodźże Euklinie — ale jak najprędzéj!

Euklio.

I czegóż chcesz odemnie?

Likonid.

Ciesz się, Euklionie,
Bogowie cię kochają, twój garnek się znalazł.

Euklio.

Co? garnek? wielki Boże! Czy żartujesz sobie?

Likonid.

Wcale nie! Oto masz go — cały, nieruszony.

Euklio. (chwyta go namiętnie)

Tak! to on! Mój ty garnczku, czemuś mnie opuścił?
Com ja cierpiał dla ciebie! O wielcy Bogowie,
Patronowie méj chaty, wam ja dzięki składam,
Żeście mi przywrócili, co tu na tym świecie
Jest całem szczęściem mojem, celem mego życia.
(zrywa pokrywkę)
Jakiś ty piękne złoto! Jak się do mnie śmiejesz!
Ty mi wróciłoś życie — z tobą ja żyć będę!

(zamyśla się smutno) Ale gdzie cię znów złożę? Gdzie cię ukryć
[zdołam.
Bogowie, z których łaski mam to, co straciłem,
Powiedzcie mi biednemu, jak sobie postąpić,
Ażebym się zapewnił i nie cierpiał tyle.
(do Likonida)
Tobie ja, Likonidzie, zawdzięczam mą zgubę;
Ty mi ją przywróciłeś — więc słusznie połowa
Należy się dla ciebie — druga dla méj córki.
Ty chcesz zostać mym zięciem, więc ja tobie oddam
Z córką to wszystko złoto — ty go sobie pilnuj!

Likonid.

Dzięki ci Euklionie!

Strobil.

A cóż ze mną panie?

Likonid.

Tobie się przed wszystkimi nagroda należy,
Bądź więc wolnym na zawsze. Ale teraz chodźmy,
Gdyż biesiada weselna już przygotowana. (odchodzą)

Strobil. (do widzów)

Kto głodny, proszę z nami — ale wprzód klaskajcie!

WIDMO.

(MOSTELLARIA.)

OSOBY.

TEUROPIDES starzec, bogaty kupiec ateński.
FILOLACHES syn jego.
TRANIO }
GRUMIO } niewolnicy Teuropidesa.
FILEMACYUM kochanka Filolachesa.
SKAFA jéj służebna.
KALLIDAMATES młodzieniec, przyjaciel Filolachesa.
DELFIUM jego kochanka.
FANISKUS jego niewolnik.
NIEWOLNIK drugi Kallidamatesa.
SIMO starzec, sąsiad Teuropidesa.
LICHWIARZ.
NIEWOLNICY.

Rzecz dzieje się na ulicy w Atenach.

8

Akt pierwszy.

SCENA I.

Grumio. Tranio.

Grumio (w dom zaglądając.)

Zaraz mi z kuchni wychódź! precz sobie ty łotrze!
I ty chcesz z za półmisków dowcipkować ze mnie?
Precz sobie zaraz z domu, plago swego pana!
Nauczę ja cię na wsi, jeżeli żyć będę!
Wychódź, swędzie kuchenny! Dla czegóż się kryjesz?

Tranio (wychodząc z kuchni.)

I czemuż, ty wisielcze, przed drzwiami tak krzyczysz?
Czy myślisz, żeś na boru? Pójdziesz mi ty sobie?
Marsz! ruszaj prosto na wieś! Precz sobie ode drzwi!
(popycha go i potrąca.)
No, tegoś sobie życzył?

Grumio.

O! — czemuż mnie bijesz?

Tranio.

Bo chcesz tego!

Grumio.

Już dobrze! Niechno stary wróci!
Niech zdrów wróci, którego ty zbytkiem pożerasz.

Tranio.

Pleciesz, gburze, nieprawdę i niedorzeczności,
Jakoby kto pożerać mógł nieobecnego.

Grumio.

Ty miejski pasożycie, zabawko motłochu,
Ty mi chcesz wieś wyrzucać? Zapewne dla tego,
Że wiesz, iż cię niedługo wepchną tam do młyna.

Bo pewnie w krótkim czasie pomnożysz, Tranonie,
Na wsi liczbę gromady noszącéj łańcuszki.*
A teraz, póki wolno i dopóki możesz,
Zapijaj, niszcz majątek, psuj pańskiego syna,
Najlepszego młodzieńca; pijcie dni i noce,
Hulajcie w sposób grecki,** kupujcie dziewczyny,
Uwalniajcie i żywcie pasożytów tłumy,
Biesiadujcie wystawnie, wspaniale i świetnie.
Więc to tak ci zalecił pan nasz odjeżdżając?
To w ten sposób on znajdzie dom swój urządzony?
Czy sądzisz powinnością być dobrego sługi,
Aby niszczył majątek i psuł panu syna?
Gdyż zostanie popsutym, jeśli się nie zmieni;
On, który tu w Atenach pomiędzy młodzieżą
Tak był przedtem oszczędnym i najwstrzemięźliwszym,
Ma dziś palmę zwycięztwa z przymiotów przeciwnych,
A zawdzięcza to twojéj cnocie i nauce.

Tranio.

A co tobie, hultaju, do tego, co robię?
Czyż nie dosyć roboty mam na wsi z wołami?
Oto mnie się podoba pić, kochać i hulać,
A za to moim grzbietem odpowiem, nie twoim.

* W starożytności zastępowano nasze młyny i wiatraki przez młyny ręczne, na których melono zboże przy pomocy siły ludzkiej. Była to praca ciężka i upokarzająca; dla tego przeznacz no do niéj niewolników albo wskazywano za większe przewinienia. Niewolnicy tak byli przy niéj skrępowani, iż nie mogli nawet ręką do ust sięgnąć. aby zboża nie zjadali. Tych z pomiędzy nich. którzy za karę do młyna przeznaczeni byli, okuwano w kajdany, a Plaut nazywa ich: ferriteri ferritribaces, albo genus ferratile.

** W oryginale jest: pergraecamini. Jak bowiem u nas czasy Sasów znane są z pijackiego życia i z hulatyk, tak w Rzymie uchodzili Grecy za czasów Plauta i późniéj za wielkich pijaków mianowicie pod tym względem, iż przy biesiadach wznosząc zdrowia wielkich używali kielichów i pili wino czyste bez wody. Do tego to zwyczaju odnoszą się słowa Cycerona: in Verr. 1. 26. Graeco more bibere, i przysłowie greckie — Tusc. 5. 41. — ἢ πῖθι ἢ ἄπιθι które bardzo odpowiada naszemu: Pij albo się bij.

Grumio.

Jaki przytem zuchwały! Fuj! — (pluje przed niego.)

Tranio.

A niech cię kaci
Wszyscy porwą jak swego! Jakże śmierdzisz czosnkiem!
O ty świnio paskudna! Ty hamie, parkocie,
Ty niechluju, psi synu!

Grumio.

Ależ zapominasz,
Że nie wszyscy tak mogą pachnieć parfumami,
Jak ty, ani wygodnie zasiadać do stołu,
Ani żyć przysmakami tak wyszukanymi.
Ale miéj ty pasztety, turkawki, bakalje,
Mnie dobrze z moim czosnkiem w skromnym moim domku;
Żyj ty sobie szczęśliwie, ja w biedzie żyć będę —
Ale mnie czeka szczęście, a ciebie nieszczęście.

Tranio.

Zazdrość mówi przez ciebie, mój miły Grumionie,
Że mnie się dobrze wiedzie, tobie źle. I słusznie,
Bo mnie przystoi kochać — a tobie paść woły, —
Mnie hulać, rozkoszować — a tobie żyć w biedzie.

Grumio.

O ty nędzny wisielcze! — bo to ciebie czeka.
W drodze do szubienicy zsieką ci na przetak
Kolcami twoje plecy, skoro stary wróci.

Tranio.

Zkąd wiesz, czy to nie spotka jeszcze prędzéj ciebie?

Grumio.

Bom na to nie zasłużył, a ty zasługujesz.

Tranio.

Szkoda słów! Powiedz krótko, czego ci potrzeba,
Jeżeli przez głupotę nie chcesz dostać kijów.

Grumio.

Czy dacie mi potrzebnéj dla mych wołów paszy?
Albo dacie pieniędzy? Wy wedle zwyczaju
Hulajcie sobie tutaj, pijcie w sposób grecki,
Jedzcie, tucząc się bydłem, które my tuczymy.

Tranio.

Milczże i ruszaj na wieś, a ja do Pireu,*
Ażeby na wieczerzę ryb sobie nakupić —
A paszę każę jutro na folwark ci zawieść.
(Grumio patrzy na niego ostro.)
Czemuż tak na mnie patrzysz, ty szubieniczniku?

Grumio.

Myślę, że ciebie wkrótce tak będą nazywać.

Tranio.

Byle się nie zmieniło, nie dbam o to „wkrótce“.

Grumio.

Zapewne; lecz pamiętaj, że o wiele prędzéj
Przychodzi co nam przykre, niż co pożądane.

Tranio.

Nie nudź mnie, ruszaj na wieś, idź już, idź, a prędko!
Pamiętaj, że mnie odtąd już nie będziesz nudził. (Odchodzi.)

Grumio.

Więc odszedł — a słów moich za nic sobie nie miał.
Bogowie nieśmiertelni, zaklinam was, proszę,
Sprawcie to, aby prędko nasz stary powrócił.
Już trzy lata go nie masz, — niech wróci, nim wszystko
Zniszczeje, dom i rola. Bo jeśli nie wróci,
Ledwie resztki na kilka wystarczą miesięcy.
Ja pójdę sobie na wieś; bo idzie syn pański,
Który z chłopca złotego dziś pierwsze ladaco. (Odchodzi.)

* Do Pirea t. j. do portu należącego do Aten.

SCENA II.

Filolaches.

Myślałem o tem długo, rozpamiętywałem,
I bardzo rozważałem już to w sercu swojem,
Rozważałem i w duszy — (jeżeli mam duszę)
I rzecz tę rozbierałem i badałem długo:
Do czegobym człowieka, odkąd na świat przyjdzie,
Mógł podobnym uważać i z czem go porównać.
Wreszcie mam jego obraz.
Oto sądzę, iż człowiek, skoro się urodzi,
Jest podobnym do domu zupełnie nowego.
Na to takie dowody: — Wam się to nie zdaje;
Ja was jednak przekonam, że mi uwierzycie,
I pokażę naocznie, że prawda, co mówię,
A kiedy usłyszycie, co wam chcę powiedzieć,
Wiem, iż na to, co myślę, zgodzicie się ze mną.
Więc słuchajcie dowodów na moje twierdzenie,
Chcę bowiem, byście zemną jednéj byli myśli.
Gdy dom jest wystawiony, gładko tynkowany,
Zupełnie wykończony — z planem, wedle linii,
To cieślę wychwalają, chwalą i dom cały,
Każdy sobie wzór bierze, każdy chce podobny
Mieć za swoje pieniądze, nie szczędzi zachodów.
Lecz gdy się doń wprowadzi człowiek opieszały,
Nieporządny, leniwy, z niedbałą rodziną,
Wnet znajdzie się w nim szkoda, choćby był najlepszym;
Bo się o niego nie dba. Lecz i tak się dzieje:
Przyjdzie burza gwałtowna, zerwie dach i rynny,
A pan domu niedbały, nowych dać nie myśli.
Więc gdy deszcze nadejdą, oblewają ściany,
Przeciekają przez belki i — powietrze niszczy
Całą cieśli robotę, a dom na mieszkanie
Już się nie zda jak dawniéj. To nie cieśli wina.
Tak to wielka część ludzi puszcza rzecz w odwłokę,

Kiedyby małym kosztem załatwić ją mogli;—
Odkładają, nie czynią, coby należało,
Aż nareszcie, gdy dom runie, nowy stawiać trzeba.
To ja mówię o domu. Teraz chcę powiedzieć,
Abyście uważali, że człowiek do domu
Zupełnie jest podobnym. Najprzód gdy rodzice
Są cieślami swych dzieci, dają im fundament,
Wychowują starannie — koło tego chodząc,
Aby były silnemi, by z nich był pożytek,
I nadto ażeby się ludziom podobały,
Przyczem nie oszczędzają siebie, ni majątku,
Wydatki choć największe za nic uważają.
Kształcą je, każą uczyć praw i różnych nauk;
Przy pomocy nakładów i przez swoją pracę
Ubiegają się o to, ażeby ich dzieci
Za wzór były przez innych ojców uważane.
Kiedy idą w szeregi, dają im opiekę
W jakim swoim krewniaku. Wtenczas to dopiero
Wychodzą z rąk swych cieśli. Po pierwszéj wyprawie
Zaraz się pokazuje, co w budynku będzie.
Tak i ja, póki byłem w rękach moich cieśli,
Byłem zawsze porządnym, uczciwym młodzieńcem.
Ale skoro zostałem woli swojéj panem,
Zniszczyłem bardzo prędko ich pracę i trudy.
Nygus mnie opanował; on był dla mnie burzą,
On przyszedłszy sprowadził i grady i deszcze,
On wstyd we mnie podkopał, cnotę precz wygonił,
Skromność moję obnażył, któréj ja w niedbalstwie
Nie myślałem już nakryć. Wreszcie zamiast deszczu
Miłość się do mojego zakradała serca.
Ona to przeniknęła me piersi do głębi
I serce przemoczyła. Wtenczas to straciłem
Majątek, wiarę, cnotę, imię — wszystko razem,
I wszelką przyzwoitość. Tak więc przez lenistwo
Wyszedłem na ladaco. Zaiste te belki
Gniją przez zbytnią wilgoć, i mnie się nie zdaje,
Abym jeszcze mógł jako ten mój dom wyłatać,

Iżby cały nie runął, z gruntu się nie zwalił,
I ażeby mu jeszcze mógł kto w pomoc przybyć.
Boleść mi serce ściska, gdy sobie pomyślę,
Jakim ja teraz jestem, a jakim był dawniéj;
Nad którego bieglejszym pomiędzy młodzieżą
Nikt nie był w gimnastyce, w disku, w lancy, w piłce,
Ani w biegu, ni w broni, ni w jeżdżeniu konno.
Rozkosznie wtenczas żyłem! — i byłem dla innych
Wzorem w zahartowaniu, wzorem w oszczędności,
A wszyscy co najlepsi brali mnie za przykład.
Teraz zaś kiedy taki jestem do niczego,
Widzę to, iż jedynie z mojéj własnéj winy. (Ustępuje na stronę).

SCENA III.

Filemacyum i Skafa wychodzą z przeciwnéj strony przed drzwi domu. Filolaches na boku nie widziany przez nie.

F i l e m a c y u m.

Już mi dawno zaiste, moja Skafo droga,
Nie była zimna kąpiel tak miłą, jak dzisiaj,
I nigdy się nie czułam lepiéj wykąpaną.

S k a f a.

Bo wszystko udaje się w tym roku jak żniwo.

F i l e m a c y u m.

Ale cóż znowu żniwo ma z moją kąpielą?

S k a f a.

Nie ma więcéj, jak kąpiel twoja ma ze żniwem.

F i l o l a c h e s. (na stronie)

O ty śliczna Wenero! Ona jest tą burzą,
Która mnie obnażyła ze skromności mojéj,
Jaką byłem okryty; — burzą, którą spuścił
Z gęstym deszczem w pierś moją Amor i Kupidyn,
I już ja nigdy więcéj okryć jéj nie zdołam.
Już ściany przemakają w sercu i dom cały
Runie z gruntu niebawem.

F i l e m a c y u m.

Patrzno, Skafo moja
Kochana, czy w téj sukni dobrze mi do twarzy!
Bo chcę Filolachowi memu się podobać,
Mojemu kochankowi i obrońcy memu.

S k a f a.

Przyozdób ty się tylko wdzięcznem, miłem wzięciem, —
Bo cała jesteś piękna. Mężczyzni nie suknię,
Lecz to tylko kochają, co się w sukni mieści.

F i l o l a c h e s. (na stronie)

Doprawdy, że ta Skafa wyborna filutka!
A jak ona zna wszystko! jaka jest przebiegła!
Jak zna usposobienie kochających mężczyzn!

F i l e m a c y u m.

Cóż Skafo?

S k a f a.

Cóż takiego?

F i l e m a c y u m.

Przypatrz mi się, proszę,
Jak mi w tem jest do twarzy.

S k a f a.

Jesteś taka piękna,
Że cokolwiek przywdziejesz we wszystkiem ci dobrze.

F i l o l a c h e s. (na stronie)

Za to słowo dziś jeszcze obdarzę cię, Skafo,
Byś nie darmo chwaliła tę, którą ja kocham.

F i l e m a c y u m.

Ja nie chcę twoich pochlebstw.

S k a f a.

Jaka ty nie mądra;

Czyż wolisz, ażebym cię ganiła niesłusznie,
Niż słusznie cię chwaliła? Ja bo znów przeciwnie
Wolę, aby mnie każdy choć niesłusznie chwalił,
Niż ganił choćby słusznie, albo śmiał się zemnie.

Filemacyum.

Ja zaś bo prawdę kocham, prawdy słuchać pragnę,
A kłamstwami się brzydzę.

Skafa.

Ale jak mnie kochasz,
Jak Filolach cię kocha, jesteś bardzo piękna.

Filolaches. (na stronie)

O filucie, co mówisz? tak się to przysięgasz?
Że: tak jak ja ją kocham?" Czemuż nie dodajesz,
Że: „jak ona mnie kocha?" Nic ci nie daruję,
Kwita z naszéj przyjaźni, już nic nie dostaniesz,
Z tego co dostać miałaś, co ci obiecałem.

Skafa

Dziwię się, że ty, taka przebiegła i mądra
I dobrze wychowana nie — znasz się na rzeczy.

Filemacyum.

Jeśli błądzę, poradź mi, moja droga Skafo.

Skafa.

Błądzisz bardzo zaiste, żeś wierna jednemu,
Że jego tylko kochasz, a innymi gardzisz.
Tak być wierną przystoi żonom nie dziewczętom.

Filolaches. (na stronie)

Na bogi! jakaż burza wisi nad mym domem!
Niech mnie wszyscy bogowie i boginie z nimi
Najokrutniéj zabiją, jeśli ja téj baby
Nie zabiję pragnieniem i głodem i zimnem.

Filemacyum.

Takie rady dla siebie możesz schować, Stafo.

Skafa.

Ale jesteś nie mądra, jeśli ci się zdaje,
Że ci będzie na wieki wiernym i życzliwym.
Pamiętaj, co ci mówię, że on cię opuści,
Kiedy mu się naprzykrzysz po niejakim czasie.

Filemacyum.

Nie myślę.

Skafa.

Bo zwyczajnie przychodzi to prędzéj,
O czem my nie myślimy, niż czego pragniemy,
A zresztą jeśli słowu mojemu nie wierzysz,
Poznajże prawdę z czynu. Ja ci tu przykładem.
Patrz, co to dzisiaj ze mnie — a czem byłam dawniéj!
I ja byłam kochana, jak ty jesteś teraz,
I byłam zawsze wierną! Ale kiedy lata
Śronem mi przypruszyły moją starą głowę,
Zostałam opuszczona. Tak będzie i z tobą.

Filolaches. (do siebie)

Ledwie się wstrzymać mogę, abym téj rajfurze
Ślepiów z głowy nie wydarł.

Filemacyum.

Ja sądzę, że muszę
Tylko jego samego woli być posłuszną,
Gdyż on sam mnie wykupił dla samego siebie.

Filolaches. (do siebie)

Bogowie! jakże skromna i wdzięczna dziewczyna!
Bardzo dobrze się stało i cieszę się z tego,
Że to dla niéj straciłem cały mój majątek.

S k a f a.

Tyś zaiste nie mądra!

F i l e m a c y u m.

Czemu?

S k a f a.

Że się troszczysz,
Ażeby on cię kochał.

F i l e m a c y u m.

Czy się nie mam troszczyć?

S k a f a.

Jesteś wolna i masz już to, czego pragnęłaś,
A jeżeli on ciebie kochać już nie będzie,
Toć straci te pieniądze, które dał za ciebie.

F i l o l a c h e s. (do siebie)

Niech przepadnę, jeśli ja ciebie nie ubiję,
Ty podła zwodzicielko niewinnéj dziewczyny.

F i l e m a c y u m.

Nigdy ja mu się dosyć nie mogę wywdzięczyć
Za to, co dla mnie zrobił. Już mi nie radź, Skafo,
Ażebym go ceniła mniéj, niż jestem winna.

S k a f a.

Lecz pamiętaj to jedno, że jeżeli teraz,
Póki jesteś młodziuchna, jemu będziesz wierna,
Że ci tego żal będzie, gdy się podstarzejesz.

F i l o l a c h e s. (do siebie)

Chciałbym się w krup przemienić, bym téj czarownicy
Mógł dobrze ścisnąć gardziel i zabić rajfurę.

F i l e m a c y u m.

Godzi się, abym miała dla niego tę wdzięczność

Teraz, gdy jestem wolna, która mu schlebiałam,
Nim mnie jeszcze uwolnił.

Filolaches. (na stronie)

Niech mnie bogi skarzą,
Jeślibym cię i drugi raz dla takiéj mowy
Nie obdarzył wolnością, a Skafy nie zabił.

Skafa.

Jeżeliś tego pewna, że chleb zawsze znajdziesz,
I że przez całe życie on ci wiernym będzie,
To i ty bądź mu wierną i zapuść włos długi.*

Filemacyum.

Człowiek bywa bogatym podług sławy swojéj;
Więc jeżeli zachowam dobrą sławę swoją,
Będę dosyć bogatą.

Filolaches. (na stronie)

Chociażbym miał co sprzedać,
Albo chociażbym nawet miał sprzedać i ojca,
Uczynię, ale tobie dopóki ja żyję,
Nie dozwolę mieć biedy, ani być żebraczką.

Skafa.

A cóż będzie z drugimi, którzy cię kochają?

Filemacyum.

Więcéj mnie kochać będą, widząc wdzięczność moją.

Filolaches. (na stronie)

O! gdybym teraz wiedział, że ojciec nie żyje,

* Odnosi się to do zwyczaju zachowanego u Greków i u Rzymian, iż żony i kobiety poważne zapuszczone, długie nosiły włosy; kobiety zaś użnych obyczajów obcinały je krótko. p. Swetoniusz, życie Oktawiana Augusta 45.

Wydziedziczyłbym siebie z majątku mojego,
Jąbym zrobił dziedziczką.

Skafa.

Niezadługo będzie
Zjedzone jego mienie; dnie i noce jecie,
Pijecie i hulacie; oszczędności nie masz,
Jakobyście myśleli prędko się utuczyć!

Filolaches. (na stronie)

Od ciebie ja zaiste zacznę pokazywać,
Jak można być oszczędnym! Nie będziesz ty jadła
Ani nie będziesz piła u mnie przez dni kilka.

Filemacyum.

Jeżeli co dobrego o nim zechcesz mówić,
Mów i owszem; lecz jeżeli chcesz mówić co złego,
Doprawdy, że na sucho ujść ci to nie może.

Filolaches. (na stronie)

Zaiste! gdybym nawet na ołtarz Jowisza
Najwyższego był złożył ofiarę — kupioną
Za pieniądze wydane na jéj wykupienie,
Nigdybym nie był równie dobrze ich umieścił.
Patrz, jak mnie szczerze kocha! Ha! jakim szczęśliwy!
Uwolniłem patrona, któryby mnie bronił.

Skafa.

Widzę, że wszyscy ludzie są u ciebie niczem,
W obec Filolachesa. Więc aby dla niego
Mnie się co nie dostało, przyznam ci już słuszność
Jeżeliś tego pewna, żeć wiernym zostanie.

Filemacyum.

Skafo, podaj mi lustro i z kosztownościami
Skrzyneczkę, abym była ubrana ozdobnie
Gdy przyjdzie Filolaches, moje szczęście całe.

Skafa.

Zwierciadło téj kobiecie tylko jest potrzebne,
Która nie ufa sobie i swojéj piękności.
Ale tobie co po niem, któraś jest zwierciadłem
Z pewnością najpiękniejszem sama dla zwierciadła?

Filolach. (na stronie)

To słowo nie zadarmo tak pięknie wyrzekłaś.
Dzisiaj jeszcze nagrodę, Skafo, za nie weźmiesz.
O moja Filemacyum!

Filemacyum.

Patrz, czy dosyć gładko
Włosy mam uczesane, czy wszystko w porządku?

Skafa.

Kiedyś ty sama gładka, wierzaj, włos twój gładki.

Filolaches. (na stronie)

Czy można co gorszego znaleść od téj baby?
Teraz brzydka pochlebia, wprzód się sprzeciwiała.

Filemacyum.

Daj bielidło!

Skafa.

Z bielidłem co poczynać myślisz?

Filemacyum.

Lica sobie ubielę.

Skafa.

Tak to brzmi, jakobyś
Atramentem ubielić chciała kość słoniową.

Filolaches.

Piękne słowo! — atrament — kość słoniowa. — Brawo!

Filemacyum.

No, to mi więc róż podaj!

Skafa.

Nie podam! Nie mądraś!
To dzieło najpiękniejsze chcesz mizerną farbą
Szkaradzić! To nie twemu przypada wiekowi
Brać do rąk jakieś blanże, bielidła lub kredy,
Albo też inną jaką podobną przyprawę. *
Przejrzyjże się w zwierciadle!

(Filemacyum bierze zwierciadło do ręki, przygląda się z upodobaniem i całuje.)

Filolaches. (na stronie)

Biada mi! ona lustru dała pocałunek.
Gdybym miał kamień w ręce, zarazbym je rozbił.

Skafa.

Weź ręcznik, wytrzyj ręce!

Filemacyum.

I dla czego? proszę.

Skafa.

Bo trzymałaś zwierciadło. Lękam się więc o to,
Aby czasem rąk twoich srebrem czuć nie było,
I Filolach nie myślał, żeś brała pieniądze. **

* Rzymianki znały już nawet za czasów Plauta wiele sposobów mających im dodać wdzięku i piękności, ale w czasach późniejszych więcéj zepsutych, była gotowalnia elegantek rzymskich o wiele z pewnością bogatsza, niż najbogatsze gotowalnie naszych pań dzisiejszych.

** Zwierciadła starożytnych były zwyczajnie srebrne, bardzo wygładzone, a ponieważ srebro już i wtenczás było mięszane z kruszcem podlejszym, więc mogły ręce niem trącić i Filolaches mógłby mieć podejrzenie. że Filemacyum brała od kogo pieniądze.

Filolaches (na stronie)

Chytrzejszéj w mojem życiu nie znałem rajfury!
Jak zręcznie i dowcipnie skorzystała z lustra.

Filemacyum.

Czy nie myślisz, że użyć mam jakich olejków?

Skafa.

Bynajmniéj!

Filemacyum.

A dla czego?

Skafa.

Ta tylko dziewczyna
Pachnie bowiem przyjemnie, co nie pachnie niczem.
A stare elegantki, bez zębów i brzydkie,
Które się pomadami mażą, barwiczkują,
Które swe ułomności pokrywają różem, —
Kiedy się pot połączy z zapachem ich pomad,
Pachną tak, jak gdy kucharz zleje potraw wiele
Razem w jedno naczynie. Lecz czem pachną, niewiesz, —
To tylko, że ich zapach rażący, niemiły.

Filolaches. (na stronie)

Jakże ona to wszystko zna i wie dokładnie!
Nic od niéj nie jest mędrsze. Jéj słowa prawdziwe.
(do widzów) I z pomiędzy was wielu wiecie o tem dobrze,
Jeżeli w waszych domach macie stare baby,
Które was posagami sobie ułowiły.

Filemacyum.

Patrz, Skafo, czy to złoto i płaszcz mi do twarzy?

Skafa.

To mnie nic nie obchodzi.

Filemacyum.

A kogożby, proszę?

Skafa.

Powiem ci: Filolacha, by nic nie kupował,
Tylko to, coby tobie podobać się mogło.
Gdyż złotem i purpurą kupuje mężczyzna
Sobie miłość dziewczyny. Jakaż więc potrzeba
Pokazywać mu właśnie, czego on mieć nie chce.
Kto stary, niech purpurą swe lata osłania;
Złoto szpeci dziewczynę, a piękna kobieta
Piękniejsza w prostéj sukni, niż brzydka w purpurze,
Nareszcie nie przydadzą jéj wdzięku i stroje,—
Obok złych obyczajów. Bo złe obyczaje
Brudzą strój najpiękniejszy gorzéj, niźli złoto.
Piękna dosyć ma ozdób.

Filolaches. (wychodząc z ukrycia)

Za długo tu stoję.
Co wy to tu robicie?

Filemacyum.

Stroję się, ubieram,
By się tobie podobać.

Filolaches.

Dosyć jesteś piękna.
(do Skafy) Ty odejdź i weź z sobą wszystkie te ozdoby.
Mój ty drogi gołąbku, moja Filemacyum,
Chcę z tobą biesiadować.

Filemacyum.

To i ja chcę z tobą.
Bo co tobie jest miłe, to mnie się podoba,
Mój ty drogi kochanku.

F i l o l a c h e s.

Ha! za takie słowo
Można dać min dwadzieścia.*

F i l e m a c y u m.

Dam ci je za dziesięć.
Widzisz, że bardzo tanio gotowam je sprzedać.

F i l o l a c h e s.

To więc jeszcze min dziesięć będę miał u ciebie,
Policz tylko, — gdyż dałem za ciebie trzydzieści.

F i l e m a c y u m.

Czemuż mi to wyrzucasz?

F i l o l a c h e s.

Ja tobie wyrzucać,
Który chcę, aby raczéj mnie to wyrzucano?
Nigdy jeszcze tak dobrze grosza nie użyłem.

F i l e m a c y u m.

A ja, że kocham ciebie, niemogłabym nigdy
W miłości się nikomu lepiéj oddać w ręce.

F i l o l a c h e s.

To więc dobrze się zgadza nasz dochód i rozchód,
Ty mnie kochasz, ja ciebie; a każde z nas myśli,
Że tak dobrze, że godne wzajemnéj miłości,
A kto się z tego cieszy, niech się cieszy wiecznie
Stałem swem własnem szczęściem; kto zaś nam zazdrości,
Niech mu nikt nie zazdrości nigdy powodzenia.

F i l e m a c y u m.

To więc siadaj! (do niewolnika) He! chłopcze, przynieś do rąk
(wody,

* Mina wynosi 13.. złotych.

I postaw tutaj stolik! Przynieś także kostki!
(do Filolachesa) Czy może chcesz olejków?

Filolaches.

Olejków? do czego?
Tyś mirowy olejek.* Lecz patrz, któż to idzie?
Czy to nie mój przyjaciel ze swą przyjaciółką?
To on! Kallidamates idzie z przyjaciółką.
To wybornie, kochanie! kamraci się schodzą,
Patrzajże — chcą mieć udział w zrobionéj zdobyczy.**

SCENA IV.

Ci sami. Kallidamates i Delfium.

Kallidamates.
(potaczając się, do niewolnika głosem pijanego.)

Chę, aby w swoim czasie który z was tam przyszedł
Po mnie do Filolacha. He, słyszysz co mówię?
Bo gdzie byłem aż dotąd — precz sobie uciekłem;
Tak mnie już i biesiada i goście znudzili.
Teraz do Filolacha idę na hulankę —
On nas przyjmie gościnnie i cieszyć się będzie.
(do Delfium)
Czy ja ci m-oja ryb-ko zdaję się pi-janym?

Delfium. (ironicznie)

Tybyś zawsze tak skromnie tylko żyć powinien!

Kallidamates.

Czy ja ciebie mam objąć, czy ty mnie kochanie?

* Mirowy olejek — stacta — jest właściwie żywica cudnie pachnąca, która ciecze z drzewa cynamonowego albo myrrowego.

** Mówi przez podobieństwo jakoby o towarzyszach obozowych, którzy przychodzą, aby część zdobyczy dostać t. j. aby mieć udział w zabawie i bankiecie.

Delfium.

Możesz, jeśli wola.

Kallidamates.

Dobra ty dziewczyna!

Więc mnie prowadź, rybeczko.

Delfium.

Nie wywróć się! Stójże!

Kallidamates.

Ty jesteś moje oczko, ja twojem dziecięciem.

Delfium.

Ależ stój, — bo mi się tu na drodze powalisz,
Nim dojdziemy do ławy, na której spoczniemy.

Kallidamates.

Puść mnie, niech się wywrócę.

Delfium.

Dobrze.

Kallidamates.

Ale razem
I to, co trzymam w ręce (obejmuje Delfium)

Delfium.

Padając pociągniesz
I mnie zaraz ze sobą. Leżących podniesie
Przecież kto z przechodzących, kiedy nas zobaczy.
(do publiczności) Ten człowiek jest pijany.

Kallidamates.

Hę? co? ja pijany?

Delfium.

Daj rękę! Nie chcę tego, abyś się wywrócił.

Kallidamates.

Masz ją! — prowadź — idź, — czy wiesz, dokąd my idziemy?

Delfium.

Wiem.

Kallidamates.

Właśnie o tem myślę — do domu na ucztę.

Delfium. (ironicznie)

Tak właśnie.

Kallidamates.

Ot pamiętam!

Filolaches. (do Filemacyum)

Co mówisz kochanie,
Czy nie wyjść im naprzeciw? Ja go bardzo kocham.
Wrócę zaraz.

Filemacyum.

I „zaraz“ jeszcze mi za długo.

Kallidamates.

Czy jest tu kto?

Filolaches.

Ja jestem.

Kallidamates.

O Filolachesie!
Witam cię, mój najdroższy z wszystkich przyjacielu!

Filolaches.

Niech Bogi będą z tobą! Siadaj Kallidamie!
A zkądże to przychodzisz?

Kallidamates.

Zkąd każdy pijany.

F i l o l a c h e s.

To dobrze! — Ależ siadaj, moja miła Delfium!

K a l l i d a m a t e s.

Dajcie jéj co do picia. Ja się nieco prześpię.

F i l o l a c h e s.

Czyż mu to co nowego, albo czy raz pierwszy?
Lecz co z nim późniéj zrobię?

D e l f i u m.

Tak go zostaw, — niech śpi!

F i l o l a c h e s. (do niewolnika)

Nalewaj! i puść w obieg kubek tu od Delfium.*

Akt drugi.

SCENA I.

F i l o l a c h e s. Filemacyum i Delfium siedzą przed domem bankietując — a niewolnik im usługuje. Kallidamates śpi na boku. Tranio przybiega w pędzie z drugiéj strony.

T r a n i o.

Wielki Jowisz wyraźnie postanowił gwałtem
Zgubić mnie z Filolachem, synem pana mego.
Nadzieja całkiem znikła — śmiałość już tu na nic,
I Bóg nawet,** choćby chciał, już nas nie ocali.
Taką kupę kłopotu ogromnego w porcie
Właśnie teraz widziałem. Pan wrócił z podróży.

* Ponieważ Delfium jest kobietą i w gościnie, dla tego przez grzeczność każe od niéj zaczynać.

** W oryginale jest S a l u s jako bóstwo.

Już po tobie Tranionie! Czy jest jaki człowiek,
Któryby sobie grosza nieco chciał zarobić,
I znosić za mnie męki, które mnie czekają?
O gdzież są ci smagańcy, gdzie są okowańcy,*
Którzy za kilka groszy atakują wieże,
Gdzie nie jeden przeszyty dziesięciu pociski
Swe życie marnie traci? Dam talent temu,
Kto się pierwszy odważy dać na krzyżu przybić,
Jednak pod tym warunkiem, aby po dwa gwoździe
Wbito mu w każdą rękę, po dwa w każdą nogę.
A skoro się to stanie, niech żąda gotówki.
Ależ — czym ja oszalał, że w największym biegu
Co tchu raczéj do domu mego się nie spieszę?

Filolaches (spostrzega Traniona.)

Otóż jest i wieczerza! Tranio wraca z portu

Tranio.

Filolaches —

Filolaches.

Co powiesz?

Tranio.

Ja — ty —

Filolaches.

Cóż ja i ty?

Tranio.

Zginęliśmy.

Filolaches.

Dla czego?

Tranio.

Bo twój ojciec wrócił.

* Plagipatidae, ferritribaces viri.

Filolaches.

Co mówisz?

Tranio.

Zginęliśmy! Mówię: ojciec wrócił.

Filolaches.

I gdzie on? mówże, proszę.

Tranio.

Jest już.

Filolaches.

Któż ci mówił?

Kto widział?

Tranio.

Ja widziałem — ja na własne oczy.

Filolaches.

Biada mi! Co ja robię?

Tranio.

Ale cóż do kata

Pytasz mnie, co ty robisz? — toć siedzisz przy stole!

Filolaches.

To więc ty go widziałeś?

Tranio.

Ja sam — jakom żywy.

Filolaches.

I to prawda?

Tranio.

Najświętsza!

Filolaches.

Zginąłem na wieki,

Jeżeli prawdę mówisz.

Tranio.

A cóż miałbym z kłamstwa?

Filolaches.

I cóż teraz mam począć?

Tranio.

Każ to wszystko wynieść.

Kto tu śpi?

Filolaches.

Kallidamas.

Tranio.

Obudźże go Delfium.

Delfium (wstrząsając nim.)

Kallidamie, nie śpijże!

Kallidamates (na pół śpiąc.)

Nie śpię. Pić mi dajcie!

Delfium.

Nie śpij! Ot Filolacha ojciec wrócił z drogi.

Kallidamates (na pół śpiąc.)

Niechci ojciec zdrów będzie.

Filolaches.

On zdrów — lecz ja zginę.

Kallidamates.

Co? zginiesz? i dla czego? (wywraca się i zasypia.)

Filolaches.

Toć wstań! ojciec wrócił.

Kallidamates.

Co? Twój ojciec powrócił? Niech znowu odjedzie!
I po cóż on tu wrócił?

Filolaches.

Cóż ja pocznę biedny?
Gdy mój ojciec przybędzie, znajdzie mnie pijanym,
A swój dom pełen gości — kobiet. Piękny pasztet, —
Wtenczas szukać ratunku, gdy się woda leje
Do gęby — jak ja teraz; — pytam, co mam czynić,
Kiedy ojciec już wrócił. O biedny, ja człowiek!

Tranio.

Patrz! znowu głowę spuścił, zasypia na dobre.
Zbudźże go!

Filolaches (wstrząsając Kallidamatesem.)

Ależ nie śpij! Słyszysz? Ojciec wrócił.
I będzie tu już zaraz.

Kallidamates.

Co mówisz? Twój ojciec?
Podajcie mi sandały!* — zaraz się uzbroję
I zabiję na miejscu!

Filolaches.

Gubisz mnie! milcz raczéj!
Dalejże moi drodzy, wnieśmy go do domu.

Kallidamates.

Podajcie mi naczynie, albo was, dali Bóg,
Za naczynie mieć będę.

* Bohaterowie u Homera zaczynali uzbrojenie swoje od przywiązania sandałów. Tu naturalna użył Plaut tego wyrażenia dla tym mocniejszej sprzeczności pomiędzy rzeczywistością a sytuacyą.

Filolaches.

Już teraz zginąłem!

Tranio.

Bądź tylko dobréj myśli. Ja cię z tego strachu
Myślę zręcznie wyleczyć.

Filolaches.

Już po mnie!

Tranio.

Milcz tylko.
Już ja o tem pomyślę, jak wszystko załatwić.
Czyć dosyć na tem będzie, jeżeli to sprawię,
Że ojciec powróciwszy nie tylko nie wnijdzie
Do domu, ale nawet uciekać ztąd będzie?
Tylko wy sobie wnijdźcie natychmiast do domu,
I prędko uprzątnijcie te tu wszystkie rzeczy.

Filolaches.

A ja gdzie znowu będę?

Tranio.

Gdzie bywasz najchętniéj
U téj tu albo u téj. (pokazując na Filemacyum i Delfium.)

Delfium.

Cóż więc robić? Chodźmy!

Tranio.

Niedaleko ztąd, Delfium, gdyż tu w domu pijcie
Ani nawet o tyle (wskazuje na paznogieć) nie mniéj z téj przyczyny.

Filolaches.

O! cóż te jego piękne słówka mają znaczyć?
Całym w potach ze strachu!

Tranio.

Możesz być spokojnym —
I czynić, co ci każę?

Filolaches.

Mogę; powiedz tylko.

Tranio.

Najprzód więc, Filemacyum — wnijdź z Delfium do domu

Delfium.

Chętnie będziem powolne.

Tranio.

Niech to sprawi Jowisz! (dziewczęta odchodzą)
A teraz ty posłuchaj, co masz dopilnować:
Ot rozkaż przedewszystkiem, aby dom zamknięto;
W domu niech będzie cicho, niechaj nikt nie piśnie.

Filolaches.

Będę na to uważał.

Tranio.

Jakby żywa dusza
Już tutaj nie mieszkała.

Filolaches.

Dopilnuję tego.

Tranio.

Niech się nikt nieodezwie, kiedy stary do drzwi
Pukać będzie.

Filolaches.

Cóż jeszcze?

Tranio.

Oto rozkaż w domu

Ażeby mi natychmiast wyniesiono wytrych,*
A ja drzwi z zewnątrz zamknę.

Filolaches.

Twojéj ja opiece
Poruczam me nadzieje i siebie Tranionie. (odchodzi)

Tranio. (sam)

Ani źdźbła nie zależy na tem człowiekowi,
Który nie ma w swéj piersi serca i odwagi,
Czy patron, czy też klient stoi mu przy boku.
Albowiem każdy człowiek, czy on zły, czy dobry —
Chociaż łatwo niebacznie może w czem pobłądzić, —
Powinien na to zważać, — bo to rzeczą męża
Mądrego — aby z tego, co nacechowane
Jest złością, lub co było złośliwie zrobione,
Nie wynikło dla niego cierpienie lub strata,
Któraby mu goryczą zaprawiła życie;
Lecz się starać powinien, ażeby spokojnie
Przemieniło i jeszcze na dobre mu wyszło.
Tak ja dokażę tego, iż to zamącenie,
Które tutaj wywołam, przeminie spokojnie,
I z niego nie wyniknie dla nas żadna szkoda.

(Niewolnik wychodzi)

Po co ty tu wychodzisz? Biada mi! Jak pięknie
Wypełnia me przepisy!

* W oryginale jest: clavis Laconica. Starożytni nie znali właściwie zamków jakich my używamy, tylko mieli zasuwki i rygle na które zamykali swe domy. To więc, co oni nazywali kluczem, było jakieś narzędzie, za pomocą którego można było z przeciwnéj strony zasuwkę założoną odemknąć. Clavis Laconica odpowiada naszemu wytrychowi, gdyż było to z pewnością narzędzie, którem można było rygle wszelkiego rodzaju odmykać, a mianowicie jeżeli były założone po obydwóch stronach drzwi. Tranionowi dla tego potrzebnym jest ten wytrych, gdyż wedle planu jego ma być dom zamknięty z zewnątrz i zewnątrz, a on chce mieć możność dostania się do niego, kiedyby mu było potrzeba.

N i e w o l n i k.

Nasz pan mi rozkazał
Prosić cię najusilniéj, abyś jakokolwiek
Odstraszył jego ojca, by nie wszedł do domu.

T r a n i o.

Powiedz mu, że to sprawię, iż się nie odważy
Nawet patrzeć na swój dom, lecz będzie uciekał,
Swą głowę otuliwszy, precz w największym strachu.
Daj mi klucz; idź do domu i zawrzyj tam wrota,
Ja je zamknę z téj strony. (niewolnik odchodzi)
No, niech teraz przyjdzie!
Taki tu bal wyprawię starcowi żywemu,*
Jakiego po swéj śmierci pewnie mieć nie będzie.
Ustąpię tu na stronę i będę się patrzał,
Jak staremu, gdy przyjdzie, wyrządzić psikusa.
(odchodzi na stronę)

SCENA II.

T e u r o p i d e s (z niewolnikami niosącemi jego bagaże i kufry).
T r a n i o (na boku).

T e u r o p i d e s.

Składam ci wielkie dzięki, mój boże Neptunie,
Że mnie puścić raczyłeś przynajmniéj żywego!
A jeżeli się jeszcze kiedy o tem dowiesz,
Że chociaż stopą tylko dotknąłem się morza,
Możesz to ze mną zrobić, coś chciał zrobić teraz.
Precz już! precz już odemnie! Com ci chciał powierzyć
Kiedykolwiek, to wszystko już ci powierzyłem.

T r a n i o. (do siebie)

O na prawdę, Neptunie, pobłądziłeś bardzo,
Że tak dobrą sposobność z rąk swych wypuściłeś.

* Odnosi się to do biesiad, jakie dla zmarłych wyprawiano po pogrzebie.

Teuropides.

Wracam więc po trzech latach z Egiptu do domu,
Wyglądany, jak myślę, przez mych domowników.

Tranio. (do siebie)

Zaiste pożądańszym wiele byłby dla nas,
Któryby nam wiadomość przyniósł o twéj śmierci.

Teuropides. (zbliżając się do domu)

Ale cóż to? Drzwi domu podczas dnia zamknięte?
Będę pukał. He! czy kto otworzy mi wrota? (puka)

Tranio. (występując na scenę)

Kto to jest, co się zbliża do naszego domu?

Teuropides. (obracając się)

A! mój niewolnik Tranio!

Tranio. (udając przerażonego)

Mój pan Teuropides!
A witajże nam, witaj! Raduję się wielce,
Że szczęśliwie wróciłeś! Czyś był zawsze zdrowym
I dobrze ci się wiodło?

Teuropides.

O dobrze, jak widzisz.

Tranio.

Niech Bogom będą dzięki!

Teuropides.

Lecz — czyście szaleni?

Tranio.

A dla czego?

Teuropides.

Dla czego? Bo się przechadzacie

Tu przed domem, a w domu niema żywéj duszy,
Którаby uważała, aby drzwi otworzyć,
Albo się też odezwać. Pukając nogami,
Ledwie nie wyłamałem obydwóch podwoi.

Tranio. (przerażony)

Co? ty się dotykałeś tego tutaj domu?

Teuropides.

A czemużbym się niemiał? I owszem, pukając,
Powiadam ci, że ledwie drzwi nie wywaliłem.

Tranio.

Tykałeś się?

Teuropides.

Tykałem, mówię, i pukałem.

Tranio.

Biada!

Teuropides.

Cóż to?

Tranio.

Okropnie!

Teuropides.

Dla czego?

Tranio.

Nie mogę
Wypowiedzieć, coś zrobił złego i strasznego.

Teuropides.

Dla czego?

Tranio.

O uciekaj! Błagam cię, uciekaj

Dalcko ztąd od domu! Uciekaj tu do mnie!
Więc dotknąłeś się domu?

Teuropides.

Jak pukać — nie tykać?

Tranio.

Popełniłeś morderstwo.

Teuropides.

Morderstwo? a na kim?

Tranio.

Na twéj całéj familii.

Teuropides.

Niech cię bogi skarzą
Za taką przepowiednię!

Tranio.

Obawiam się bardzo,
Ażebyś ją i siebie potrafił oczyścić.

Teuropides.

Dla czego? i co znaczy ta twoja nowina?

Tranio. (wskazując na niewolników)

Rozkaż i tym, o panie, od domu odstąpić.

Teuropides. (do niewolników)

Odejdźcie!

Tranio.

Lecz się domu tego nie tykajcie!
O! dotknijcie się ziemi!*

* Przez dotknięcie się ziemi okazywano cześć bogom podziemnym — tym, w których mocy są dusze zmarłych.

Teuropides.

Ależ czemu? proszę cię, powiedz mi nareszcie!

Tranio.

Bo już siedem miesięcy nikt tu z nas nie mieszka,
I niczyja w tym domu nie postała noga,
Odkąd jest opuszczony.

Teuropides.

Lecz powiedz dla czego?

Tranio.

Obejrzyj się, czy niema kogo, coby słyszał
Naszą mowę.

Teuropides.

Bądź pewny.

Tranio.

Obejrzyj się jeszcze.

Teuropides.

Nie, tu nie ma nikogo. Mówże już raz przecie!

Tranio.

Morderstwo popełniono.

Teuropides.

Nie rozumiem tego.

Tranio.

Stare, mówię, morderstwo — popełnione dawniéj,
Stare, mówię, lecz przez nas dopiero wykryte.

Teuropides.

Cóż to jest, bezbożniku? Mów, kto je popełnił?

Tranio.

Gospodarz zamordował gościa własną ręką.*
Ten, myślę, od którego ty swój dom nabyłeś.

Teuropides.

Zamordował?

Tranio.

I złoto zrabował gościowi,
I zakopał go wreszcie tu właśnie w tym domu.

Teuropides.

Lecz z czegóż wy wnosicie o tak strasznéj zbrodni?

Tranio.

Powiem ci, a więc słuchaj. Gdy razu pewnego
Syn twój był na wieczerzy u kogoś z przyjaciół,
I powrócił do domu, poszliśmy spać wszyscy,
I zasnęliśmy mocno. Ja przez zapomnienie
Lampy nie zagasiłem. Aż naraz zaczyna
On tu krzyczeć okropnie.

Teuropides.

Kto zaczyna krzyczeć?
Czy mój syn?

Tranio.

Pst! Pst! Milczże! Słuchaj tylko daléj!
Mówił, że mu ów zmarły we śnie się ukazał.

Teuropides.

Pewnie mu się to śniło?

Tranio.

Tak jest. Słuchaj daléj!
Powiada, że tak mówił do niego ten zmarły —

* Po ojcobójtwie największą było zbrodnią u starożytnych zamordowanie gościa.

Teuropides

We śnie?

Tranio.

Jakże miał mówić do czuwającego,
Ten, co został zabity temu lat sześćdziesiąt?
Czasem jakby ci piątej brakowało klepki.

Teuropides.

Już milczę.

Tranio.

Otóż słuchaj, co do niego mówił:
Ja jestem Diaponcyus, obcy — aż z zamorza.
Tu mieszkam, to mieszkanie tu jest mi oddane,
Gdyż mnie Pluto do swego nie chciał przyjąć państwa,
Iż umarłem zbyt wcześnie.* Przyjaźń mnie zdradziła;
Przyjaciel mnie tu zabił i potem zakopał
Tajemnie bez pogrzebu w tym tu właśnie domu, —
Niegodziwiec — dla złota! Teraz ztąd się wynoś!
Ten dom jest domem zbrodni — mieszkanie przeklęte!
(słychać szelest biesiadujących)
Jakie się dziwy dzieją, w rok ci nie opowiem.
Pst! Pst! (słucha)

Teuropides.

No, cóż się stało?

Tranio.

Właśnie drzwi zaskrzypły.
Czy to ten tu uderzył? (wskazując na niewolnika)

Teuropides. (ze strachem)

Krwi już nie mam w sobie —
Żywego mnie wołają zmarli do podziemia.

* Kto zginął śmiercią gwałtowną, nie mógł wedle podania mytologicznego wnijść do podziemnego państwa.

Tranio. (do siebie)

Zginąłem! Oni wszystkie szyki mi połamią.
Byle mnie na gorącym nie zdybał uczynku!

Teuropides.

Co tam mówisz do siebie?

Tranio.

Odejdź precz odedrzwi,
Uciekajże na Bogi!

Teuropides.

Dokąd mam uciekać?
A ty czy też uciekasz?

Tranio.

Ja się nic nie boję,
Zmarli dają mi pokój.

Teuropides.

Tranionie!

Tranio.

(zwrócony ku domowi, ze strachem jakoby go zmarły był wołał)

Mnie wołasz?
Ja nic nie zawiniłem, nie pukałem do drzwi!

Teuropides.

Ale co ci się dzieje i co ciebie trapi?
Powiedz, z kim ty rozmawiasz?

Tranio.

Czy ty mnie wołałeś?
Na prawdę już myślałem, że to ten umarły
Mnie do siebie przyzywa, że do drzwi pukałeś.
Lecz ty jeszcze tu stoisz, nie czynisz, coć mowię?

Teuropides.

Cóż mam czynić?

Tranio.

Uciekaj! A zakrywszy głowę,
Nie patrz się poza siebie.

Teuropides. (zaczyna uciekać — potem stawa)

A ty nie uciekasz?

Tranio.

Mnie zmarli dają pokój.

Teuropides.

Wiem to; ale powiedz,
Dla czego się tak bardzo właśnie teraz bałeś?

Tranio.

O mnie się ty nie lękaj, ja myślę o sobie,
Ale ty, jak zacząłeś, uciekaj, co możesz.
I módl się do Herkula.

Teuropides.

Wzywam cię, Herkulu!* (ucieka)

Tranio. (sam)

I ja także, ażeby ci nakręcił karku.
Bogowie nieśmiertelni, was ja w pomoc wzywam!
Straszliwie dużo dzisiaj napłatałem figli! (odchodzi) **

* Do Herkulesa modlono się w nagłych. przerażających wypadkach, gdyż go uznano za boga oddalającego wszelkie nieszczęścia i niebezpieczeństwa.

** Cała ta scena, a mianowicie łatwowierność Teuropidesa m że nam się dziwną wydać; ale Plauta myślą przewodniczącą jest to, co pod koniec powiada Tranio: że „kto ma siwą głowę, niech będzie mądrzejszy“ i dla tego musiał dać Teuropidesowi charakter niemądrego starca, a pomaga mu w tem wielka zabobonność Rzymian.

Akt trzeci.

SCENA I.

Lichwiarz, Tranio, późniéj Teuropides.

Lichwiarz.

Już gorszego dla lichwy nie pamiętam roku,
Jak ten rok; bo od rana aż do późnéj nocy
Przesiaduję na rynku, a nie masz nikogo,
Któremubym pożyczyć mógł chociaż i szeląg.

Tranio (do siebie)

Doprawdy, że na wieki już teraz przepadłem!
Oto lichwiarz, który nam pożyczył pieniędzy
Na kupienie dziewczyny i inne wydatki.
Wszystko się teraz wyda, jeśli nie przeszkodzę,
By stary nic nie wiedział. Więc mu zajdę drogę.
(widzi Teuropidesa)
Ale czemu on wraca tak prędko do domu?
Lękam się, czy się o tem czego nie dowiedział.
Przystąpię i przemówię. Jak się biedny boję!
Nad nieczyste sumienie nic nie ma gorszego!
A ja mam je nieczyste. Lecz cokolwiek będzie,
Już nie przestanę broić; rzecz tego wymaga.
(do Teuropidesa)
Zkąd idziesz?

Teuropides.

Od człowieka, od któregom kupił
Ten dom.

Tranio.

Czyś mu mówił o tem, co słyszałeś?

Teuropides.

Rozumie się, mówiłem — i wszystko zaiste. —

Tranio. (do siebie)

Biada mi! Już z mojemi przepadłem sztuczkami!

Teuropides.

Co ty sobie pod nosem zawsze pomrukujesz?

Tranio.

To nic — tylko — lecz powiedz. — Więc mu to mówiłeś?

Teuropides.

Nie inaczéj, mówiłem wszystko od A do Z.

Tranio.

A on przecież przyznaje całe zajście z gościem?

Teuropides.

Owszem, przeczy stanowczo.

Tranio.

Co? przeczy? on przeczy?

Teuropides.

Powtarzam ci, że przeczy.

Tranio. (do siebie.)

Widzę, że już po mnie.

(głośno) A więc się nie przyznaje?

Teuropides.

Powiedziałbym zaraz,
Gdyby mi się przyznawał. I cóż robić radzisz?

Tranio.

Co radzę? Oto proszę, abyś wziął sędziego
Razem z nim. Lecz pamiętaj, byś wybrał takiego,

Któryby mi dał wiarę; a wygrana pewna,
Tak pewna, jak jest łatwą dla lisa zjeść gruszkę.*

Lichwiarz. (przystępując)

Ależ otoż niewolnik Filolacha, Tranio —
Co nie płacą prowizyi ani kapitału.

Teuropides. (do Traniona, ktory chce uciekać)

Dokądże to odchodzisz?

Tranio.

Nigdzie. (do siebie) O ja biedny!
Gdym się rodził, sprzysięgli się wszyscy bogowie
Na mnie nieszczęśliwego. W jego przytomności
Już teraz będzie żądał zwrotu swych pieniędzy!
Tak mnie więc tarapaty ze wszystkich stron cisną!
Ale ja go uprzedzę.

Lichwiarz. (do siebie)

Idzie do mnie; dobrze.
Że dojdę do pieniędzy, jest jakaś nadzieja.

Tranio. (do siebie)

Próżna jest jego radość. (głośno) Witam cię Geldhabie.**

Lichwiarz.

A, i ja ciebie witam! Jakże tam z pieniędzmi?

Tranio.

Bodajeś przepadł, bestjo! Tak zaraz na wstępie
Obcesem mnie uderzasz.***

* Quam pirum volpes comest, odpowiedniego przysłowia w naszym języku nie znam.

** W oryginale Misargyrides. t. j. nienawidzący srebra, ironicznie powiedziane o lichwiarzu, który z chęcią nadstawia policzka, byle mu zapłacono.

*** W oryginale stoi: pilum mihi injecisti, gdyż od tego zaczynała rzymska piechota walkę z nieprzyjacielem.

Lichwiarz.

Ten człowiek jest goły.

Tranio.

Ten człowiek jest prorokiem.

Lichwiarz.

Przestań dowcipkować.

Tranio.

Powiedzże mi, czego chcesz?

Lichwiarz.

Gdzie jest Filolaches?

Tranio.

Nie mógłbyś nigdy więcéj przyjść mi pożądanym,
Jak mi teraz przychodzisz.

Lichwiarz.

Czemu?

Tranio. (ciągnąc go na stronę)

Chodź tu bliżéj!

Lichwiarz.

Czy mi myślisz dług oddać?

Tranio.

Nie krzyczże tak bardzo!
Wiem, że twój głos jest dobry.

Lichwiarz.

Ale ja chcę krzyczeć.

Tranio.

Lecz zrób mi jednę łaskę.

Lichwiarz.

Jakaż to ta łaska?

Tranio.

Proszę cię, idź do domu.

Lichwiarz.

Ja mam iść do domu?

Tranio.

A wróć koło południa.

Lichwiarz.

Dacie mi prowizyą?

Tranio.

Damy ci, tylko odejdź.

Lichwiarz.

Ej, co mam biegać
Tyle razy, męczyć się i drzeć sobie buty!*
Czy nie lepiéj zaczekać tu aż do południa?

Tranio.

Wcale nie! Idź do domu, powtarzam, idź sobie!

Lichwiarz.

Toż prowizyą zapłaćcie! Nie żartujcie sobie!

Tranio.

A zaiste! idź tylko i usłuchajże mnie!

Lichwiarz. (krzycząc)

Zaraz tego przywołam!

Tranio.

Dobrze! jeszcze głośniéj!
Teraz boś już szczęśliwy, że sobie tak krzyczysz!

* W oryginale stoi: quid — operam sumam, aut conteram, co właściwie znaczy: szkoda méj pracy i trudu.

Lichwiarz.

Żądam moich pieniędzy! Za nos mnie wodzicie
W ten sposób już dni wiele. Jeśli jestem przykry,
Oddajcie mi pieniądze, a odejdę zaraz,
I położycie koniec wszystkim korowodom.

Tranio.

Swój kapitał odbierzesz. —

Lichwiarz.

Nie — wprzód chcę prowizyą.

Tranio.

Co? ty najszkaradniejszy ze wszystkich człowieku,
Czy po to tu przyszedłeś, aby się wykrzyczeć? —
Czyń, co chcesz — i co możesz — napróżno się biedzisz,
Bo on ci nic nie winien, więc nic nie dostaniesz.

Lichwiarz.

Co? on mi nic nie winien?

Tranio.

Nic dostaniesz grosza!
Czy ci się to podoba? Albo czybyś wolał,
Aby sobie wyjechał i miasto opuścił
Jak wygnaniec — dla ciebie i dla tych prowizyi,
On, który ci zaledwie kapitał jest winien?

Lichwiarz.

Nie , tego ja nie żądam, chcę tylko prowizyi.

Tranio.

Ależ nas tyle nie męcz! Rób, co chcesz — nikt nie da.
Myślisz, że ty sam jeden dajesz na procenta?

Lichwiarz. (krzyczy z całéj siły)

Zapłaćcie mi prowizyą, prowizyą, prowizyą!

Czy wy mi zapłacicie natychmiast prowizyą?
Zapłaćcie mi prowizyą!

Tranio.

Prowizya! prowizya!
Nie mówi o czem innem, tylko o prowizyi
Nie pamiętam, ażebym straszniejszy od ciebie
Kiedy potwór oglądał.

Lichwiarz.

Nie myśl, mój kochany,
Ażebyś mnie takiemi słowy mógł odstraszyć.

Teuropides. (zbliżywszy się)

Jakież to są prowizye, których się domaga?

Tranio. (do Lichwiarza)

Oto jest jego ojciec, który z zagranicy
Dopiero co powrócił; on odda prowizyą
I kapitał zarazem, ażebyś nam więcéj
Już się nie mógł naprzykrzać. Patrz, czy się zawacha.

Lichwiarz.

A to wezmę, jeśli da.

Teuropides. (do Traniona)

Powiadaj!

Tranio.

A co chcesz?

Teuropides.

Kto to jest? czego żąda? Dla czego wspomina
Mojego Filolacha, na ciebie wymyśla?
Co mu winni jesteście?

Tranio.

Błagam cię i proszę,

Ażebyś kazał pieniędzmi zapakować gardziel
Téj szkaradnéj bestyi.*

Teuropides.

Co ja mam rozkazać?

Tranio.

Każ temu człowiekowi pyski wysiec złotem.**

Lichwiarz.

Najchętniéj je nadstawię, ale bijcie złotem.

Teuropides.

Co ma znaczyć to złoto?

Tranio.

Jemu Filolaches
Winien nieco pieniędzy.

Teuropides.

Ile?

Tranio.

Tak wszystkiego
Min około czterdziestu.

Teuropides.

Dla ciebie to mało?

Tranio.

Toć nie powiesz, że wiele.

Teuropides.

Ale oto słyszę,
Że mu się oprócz tego należą prowizye?

* W oryginale mamy: Jube obici argentum huic ob os impurae beluae.

** Jube homini argento osverberarier.

T r a n i o.

Wszystko razem wynosi min czterdzieści cztery.

L i c h w i a r z.

Tak jest, tyle wynosi, więcéj ja nie żądam.

T r a n i o.

Chciałbym, ażebyś żądał chociaż grosik więcéj.*
(do Teuropidesa) Powiedz, że mu zapłacisz, aby sobie poszedł.

T e u r o p i d e s.

Ja powiem, że zapłacę?

T r a n i o.

Powiedz.

T e u r o p i d e s.

Ja?

T r a n i o.

Tak, ty sam.
Powiedz tylko! Słuchaj mnie! Obiecaj! — dalejże!
Mówię, słuchaj méj rady!

T e u r o p i d e s.

Odpowiedz mi na to
Co się stało z pieniędzmi?

T r a n i o.

A są ocalone.

T e u r o p i d e s.

To wy je też zapłaćcie, kiedy ocalone.

T r a n i o.

Twój syn dom za nie kupił.

* Gdyż wedle prawa rzymskiego tracił wierzyciel prawo żądania długu, jeżeli dłużnik mógł udowodnić, że żądał więcéj, niż mu się w istoc e należało.

Teuropides.

Co? dom?

Tranio.

Tak, dom.

Teuropides.

Brawo!

Filolach wdał się w ojca, bo oto już kupczy.
Dom więc mówisz.

Tranio.

Mówię dom. A czy wiesz dom jaki?

Teuropides.

Jakże ja to mam wiedzieć?

Tranio.

Ha!

Teuropides.

Cóż więc?

Tranio.

Nie pytaj!

Teuropides.

I cóż?

Tranio.

Jasny, jak lustro; sama czysta światłość.

Teuropides.

A to dobrze uczynił — lecz co dał za niego?

Tranio.

Tyle wielkich talentów, ile nas dwóch razem.*

* Talent wynosił około 8,250 złotych.

A zadatku dał na to właśnie min czterdzieści,
Któreśmy pożyczyli od tego człowieka.
Czy rozumiesz rzecz całą?

Teuropides.

To uczynił dobrze.

Lichwiarz. (do Traniona)

Słyszysz, już jest południe.

Tranio. (do Teuropidesa)

Pozbądźże się z karku,
Proszę, tego plugawca, bo nas zamorduje.

Teuropides. (do Lichwiarza)

Tę rzecz biorę na siebie.

Lichwiarz.

Więc ty mi zapłacisz?

Teuropides.

Tak, zapłacę ci jutro.

Lichwiarz.

Dobrze, jestem kontent,
Że jutro mi zapłacisz. (odchodzi).

Tranio. (do siebie)

Niech cię kaci porwią!
Tak mi też wszystkie moje plany pokrzyżować!
Bo też nie masz na świecie szkaradniejszych ludzi,
Ani mniéj sprawiedliwych, jak plemię lichwiarzy.

Teuropides.

A w któréjże to stronie syn mój dom ten kupił?

Tranio. (do siebie).

Otóż masz! już zginąłem!

Teuropides.

Powiesz, o co pytam?

Tranio.

Powiem ci, myślę tylko — jak się to nazywa
Dawny pan tego domu.

Teuropides.

Przypomnijże sobie.

Tranio. (do siebie)

Cóż teraz mam uczynić? — chyba że mu skłamię,
Że syn jego kupił dom tu w naszem sąsiedztwie.
Na gorącym uczynku ułożone kłamstwo,
Słyszałem, że najczęściéj zwykło być najlepsze,
A cokolwiek Bóg podda, to mi mówić wolno.*

Teuropides.

Cóż? przypomniałeś sobie?

Tranio. (do siebie)

Niech go kaci wezmą!

(wskazując na Teuropidesa)
Nie, nie, raczéj tego tu. (głośno) — Tutaj od sąsiada
Naszego najbliższego syn twój dom ten kupił.

Teuropides.

Czy to tak wszystko prawda?

Tranio.

Jest prawda, jeżeli
Pieniądze chcesz zapłacić; ale jest nieprawda,
Jeżeli ich dać nie chcesz.

* Tranio uważa, że myśl, która się nasuwa człowiekowi w jakiem krytycznem położeniu, pochodzi od Bogów i wolno ją wypowiedzieć ratując się, chociażby była kłamstwem. Kłamstwo to na gorącym uczynku popełnione nazywa Plaut calidum mendacium.

T e u r o p i d e s.

Nie podoba mi się
Miejsce, w którem kupiony przez syna dom stoi.

T r a n i o.

Ależ jest bardzo dobre!

T e u r o p i d e s.

Chcę ten dom obejrzeć
Zapukajcie więc do drzwi! — Wywołaj tu kogo.

T r a n i o. (do siebie)

Już znowu! — Teraz nie wiem, co mam powiedzieć.
Drugi raz na tęż rafę bałwan mnie wyrzuca.*
Nie wiem — zaiste nie wiem, co mam teraz czynić.
Wyraźnie się złapałem.

T e u r o p i d e s.

Toż wywołaj kogo,
Coby nas oprowadził.

T r a n i o.

Lecz tu są kobiety —
Trzebaby wprzód zobaczyć, czy na to zezwolą.

T e u r o p i d e s.

Słusznie mówisz — proś je więc — i zapytaj o to,
A ja tutaj na dworze zaczekam na ciebie.

(ustępuje na stronę).

T r a n i o. (odchodząc).

Niech ci wszyscy bogowie przygotują zgubę,
Stary dziadu, że mi tak łamiesz moje szyki.
Lecz wybornie! wychodzi oto domu tego
Właściciel, stary Simo. Ustąpię tu na bok,

* W oryginale: Iterum jam ad unum saxum me fluctus ferunt.

Aż mądra jaka rada do głowy mi przyjdzie.
A kiedy ją wynajdę, wtenczas doń przemówię.

SCENA II.

Simo. Tranio. Teuropides. (na stronie)

Simo.

Przez ten cały rok w domu lepiéj mi nie było,
Ni jedzenie mi lepiéj, jak dziś, smakowało.
Moja żona dała mi doskonały obiad.
Teraz spać mi iść każe — ja o tem nie myślę.
Żem ja się też to zaraz tego nie domyślał,
Gdy mi nadzwyczaj dobry zastawiła obiad,
Baba chciała, ażebym zaraz poszedł w łóżko;
Ale sen po obiedzie nie dobry. Precz sobie!
Wymknąłem się cichaczem przeto z mego domu,
Oj wiem, że się tam wścieka na mnie moja żona!

Tranio. (na stronie)

Burza czeka starego dziś w domu wieczorem,
Nie będzie mu smakować sen, ani jedzenie.

Simo.

Tem więcéj myślę teraz o tem w mojej duszy:
Że kto starą bogatą żonę ma w swym domu,
Że tego sen nie nęci, łóżko mu się brzydzi.
Teraz to sobie mocno tak postanowiłem,
Przejść się raczéj na rynek, niż w domu do łóżka.
(do widzów) Jakie są wasze żony, tego wprawdzie nie wiem.
Lecz to wiem bardzo dobrze, jak mi źle jest z moją,
A wiem także, że gorzéj będzie mi, niż dotąd.

Tranio. (na stronie)

Jeżeli cię dla tego, że wyszedłeś z domu,
Co złego, starcze, spotka, nie winuj żadnego

Z bogów, ale najsłuszniéj obwiniaj sam siebie.
Lecz to już czas jest teraz do dziada przemówić.
(namyśla się)
Prawda! tak będzie dobrze! — już mam, czem starego
W pole wywieść potrafię i jakim dowcipem
Pozbędę się kłopotu. Zbliżę się do niego.

Simo.

Witam cię, Tranionie!

Tranio.

Jak się masz?

Simo.

Dosyć dobrze. A ty co porabiasz?

Tranio. (chwytając go za rękę)

Ot trzymam najlepszego człowieka.

Simo.

Dziękuję
Za takie względy twoje.

Tranio.

To tylko powinność.

Simo.

Ale ciebie ja nie mam za dobrego sługę.

Tranio.

Jak to Simo rozumie?

Simo.

Jak rozumiem? — tak — ot —

Tranio.

Cóż tedy?

Simo.

Powiedzże mi, co wy to robicie?

Tranio.

Co?

Simo.

Tak, powiedz, Tranionie, co wy tam robicie?
Ale mówiąc ci szczerze, tak robić należy:
Ludzi znoś, jakimi są, a pamiętaj razem,
Jak krótkiem jest to nasze życie na tym świecie.

Tranio.

Aha! teraz dopiero ledwie cię rozumiem,
Że to mówiąc o naszem myślisz gospodarstwie.

Simo.

Świetnie sobie żyjecie, całkiem przyzwoicie,
Bo przy winie, biesiadach, rybach i łakociach
Spędzacie wasze życie.

Tranio.

Tak było przed czasy;
Lecz teraz, mój Simonie, już wszystko przepadło!

Simo.

Jakże to?

Tranio.

Tak, Simonie, przepadliśmy wszyscy.

Simo.

Nie mów tego! Wszakże wam aż do tego czasu
Wszystko szło jakby z płatka.

Tranio.

Co mówisz, nie przeczę,

Bo naprawdę żyliśmy, jak raczyła dusza,
Lecz teraz wiatr pomyślny opuścił nasz okręt.

Simo.

I jakże to być mogło?

Tranio.

Tak chciało nieszczęście.

Simo.

Czyż to wasz okręt nie był już pewnym w przystani?

Tranio.

Ah!

Simo.

I cóż?

Tranio.

Już zginąłem.

Simo.

Dla czego?

Tranio.

Ponieważ
Nadpłynął inny okręt, który nasz okręt
Połamał i zgruchotał.

Simo.

Żałuję was bardzo;
Ale cóż się to stało? — Powiedz.

Tranio.

Pan powrócił.

Simo.

Toć teraz stryczek kręcą, potem cię okują,
Nareszcie na krzyż wbiją.

Tranio.

Na klęczkach cię proszę,
Ażebyś panu memu nic o tem nie mówił.

Simo.

Nie lękaj się niczego; ja mu nic nie powiem.

Tranio. (chwytając rękę Simona)

Mój ty drogi patronie!

Simo.

O takich klientów
Ja bo nie dbam bynajmniéj.

Tranio.

Posłuchajże teraz,
Dla czego mnie nasz stary do ciebie tu przysłał.

Simo.

Wprzód mi na to odpowiedz, o co ja cię spytam:
Czy wasz stary słyszał już może co z tych rzeczy?

Tranio.

Nic wcale.

Simo.

Czy się gniewał na swojego syna?

Tranio.

Tak jest jasny i wesół, jak jest dzień pogodny.
Teraz kazał mi o to prosić cię usilnie,
Ażebyś mu pozwolił ten dom twój obejrzeć.

Simo.

Ależ go sprzedać nie chcę.

Tranio.

Wiem ja o tem dobrze.

Lecz mój stary chce w swoim domu wybudować
Gineceum* i łaźnię, portyk i galeryą.

Simo.

I cóż się jemu marzy?

Tranio.

Ja ci wytłumaczę.
Chce on syna ożenić swego jak najprędzéj
I nowe Gineceum dla tego zbudować.
A że mu budowniczy jakiś — nie wiem który —
Twoje bardzo wychwalał, więc jeśli pozwolisz,
Chce je sobie obejrzeć, aby wziąść wzór z niego.

Simo.

To zaiste wzór bierze z niedobrego dzieła!

Tranio.

Tak słyszał, że to piękne jest mieszkanie letnie,
Że się tu na powietrzu przepędza dni w cieniu.

Simo.

Przeciwnie; chociaż bowiem jest wszędzie cień miły,
To tutaj słońce piecze od rana do zmroku
I stoi jak manicher** przed mojemi drzwiami.
Nie mam więc cienia nigdzie — chyba może w studni.

Tranio.

Jeżeli nie masz cienia, to chłodź się cienkuszem.***

* Gineceum są to komnaty w domu starożytnych przeznaczone dla kobiet na mieszkanie.

** Manicher — wyraz używany często. szczególniéj przez młodzież akademicką, na oznaczenie niemiłego gościa, jakim jest wierzyciel żądający swojéj należytości: w oryginale jest: flagitator.

*** W oryginale jest: quid? Sarsinatis ecqua est, si Umbram non habes. Myśl nie dosyć jasna i dwuznaczna. Sarsinatis jest przp. 1 licz. pojed. zamiast Sarsinas — pochodzący z Sarsiny, miasta w Umbryi leżącego. Dwuznaczność leży w tem Umbra, które znaczy: cień. albo kobietę z Umbryi. W tłumaczeniu musieliśmy odstąpić od wyrazów Plauta, chcąc oddać jego myśl.

S i m o.

Porzuć swoje dowcipy. Jest tak, jak mówiłem.

T r a n i o.

Jednakże chce obejrzeć.

S i m o.

Owszem, niech obejrzy;
A jeżeli co znajdzie wedle swojéj woli,
Niech na mój wzór buduje.

T r a n i o.

Mogę go zawołać?

S i m o.

A i owszem — zawołaj.

T r a n i o. (do siebie)

Mówią, że największe
W świecie dzieła zrobili Alexander Wielki,
A drugi Agatokles. Cóż powiedzą o mnie,
Którym jest nieśmiertelnych dzieł sam jeden sprawcą!
Jeden stary niesie tu swój tłumok, tam drugi.
Wcale niezły zarobek sobie wymyśliłem;
Gdyż poganiacze mają tylko jeszcze muły,
A ja mam jucznych ludzi, dobrych pod ciężary;
Co tylko na nich włożę, to oni dźwigają.
Nie wiem teraz, czy już mam do tego przemówić.
Przemówię. — Teuropidzie!

T e u r o p i d e s.

A któż mnie to woła?

T r a n i o.

Niewolnik zawsze bardzo panu swemu wierny.
Wracam uskuteczniwszy twoje polecenie.

Teuropides.

Ale gdzie też na bogi tak długo siedziałeś?

Tranio.

Bo stary był zajęty, więc musiałem czekać.

Teuropides.

Ciebie i teraz jeszcze dobrze po śmierć posłać. *

Tranio.

Gdybyś tylko pamiętać chciał dawne przysłowie,
Że to nie łatwą rzeczą jest dwom panom służyć. **
I tu i tam być razem nie jest w mojéj mocy.

Teuropides.

Cóż więc?

Tranio.

Oglądaj sobie dom, jak się podoba.

Teuropides.

Więc mnie prowadź.

Tranio.

Najchętniéj.

T uropides.

Ja pójdę za tobą.

Tranio.

Stary oto sam czeka ciebie przede drzwiami,
Ale mu bardzo przykro, że go się już pozbył.

Teuropides.

Cóż tedy?

* W oryginale stoi: antiquum hoc obtines tuum, tardus ut sis, co pod względem znaczenia odpowiada powyższemu naszemu przysłowiu.
** Simul flare sorbereque haud facile.

Tranio.

Oto prosi, bym Filolachowi
Radził, aby go zwrócił.

Teuropides.

Ani myśleć o tém!
Jak sobie kto pościele, tak się wyspać musi. *
Gdybyśmy źle kupili, onby się nie cofnął.
Co tylko zyskać można, trzeba zaraz chować, —
A litość mieć nad ludźmi — nie mądrą dziś rzeczą.

Tranio.

Czas tracisz na gadaniu. Chodźże już więc za mną!

Teuropides.

Jestem na twe rozkazy.

Tranio (do Simona.)

Oto jest ten stary.
Tu ci go przyprowadzam.

Simo.

Cieszę się, żeś wrócił
Szczęśliwie z zagranicy, mój Teuropidesie.

Teuropides.

Bóg ci zapłać.

Simo.

Słyszałem, że chcesz dom ten widzieć.

Teuropides.

Jeśli ci nie przeszkadzam.

Simo.

Owszem, bardzo proszę.
Wnijdź i oglądaj sobie!

* Sibi quisque ruri metit.

Teuropides.

Ale czy kobiety —

Simo.

Co zaś znowu kobiety! — na nic nie uważaj,
Chodź wszędzie w całym domu, jakby w swoim własnym.

Teuropides (do Traniona po cichu.)

Jakby?

Tranio (do Teuropidesa po cichu.)

Toć w smutku jego mu nie przypominaj.
Że ty dom ten kupiłeś. Widzisz jak jest smutny?

Teuropides (po cichu.)

Widzę.

Tranio (po cichu.)

Więc nie wspominaj, że ty go kupiłeś
Aby się nie zdawało, że sobie drwisz z niego.

Teuropides (po cichu.)

Rozumiem i pochwalam tę twoją uwagę
I ludzkie twoje serce (do Simona.) Czy więc wnijść pozwolisz?

Simo.

I owszem, proszę, proszę — a oglądaj sobie
Wszystko jak się podoba.

Teuropides.

Bardzo jesteś grzeczny.

Simo.

To tylko jest powinność.

Tranio (do Teuropidesa.)

Czy widzisz ponad domem
Ten wspaniały dziedziniec, a tam znów ten ganek?

Teuropides.

Prawda, bardzo wspaniały.

Tranio.

A patrz, jakie słupy,
Z jaką siłą zrobione, jakiéj objętości!

Teuropides.

Nigdy pewnie piękniejszych nie widziałem słupów.

Simo.

To też one nie mało kiedyś kosztowały.

Tranio (do Teuropidesa).

Czy słyszysz? — kosztowały! — Ledwie łzy wstrzymuje!

Teuropides.

A ile za nie dałeś?

Simo.

Za te dwa, trzy miny
Oprócz zwózki.

Teuropides (do Traniona.)

Zaiste — są one też gorsze,
Jak myślałem z początku.

Tranio.

A proszę, dla czego?

Teuropides.

Gdyż oba już na dobre tnie drewniak od dołu.

Tranio.

Pewnie je nie na czasie ścięto — to im szkodzi.
Lecz i teraz byłyby jeszcze dosyć dobre,
Gdyby je oblać smołą. Ten, który je robił,

To nie był majster klepka ani cudzoziemiec. *
Patrz, jakie fugi we drzwiach!

T e u r o p i d e s.

Tak.

T r a n i o.

Patrz, jak śpią mocno!

T e u r o p i d e s.

Śpią?

T r a n i o.

Nie, chciałem powiedzieć, jak mocno spojone!
No, czy ci się podoba?

T e u r o p i d e s.

Im więcéj oglądam,
Tem więcéj się podoba.

T r a n i o.

Czy widzisz tam obraz, —
Jak sobie jedna wrona kpi i drwi z dwóch sępów?
Wrona stoi i skubie dwóch sępów z kolei.
Patrz tu ku mojéj stronie, abyś widział wronę.
Czy widzisz? **

T e u r o p i d e s.

Nie, zaiste, ja wrony nie widzę.

* W oryginale mamy: Non enim haec pultifagus opifex opera fecit barbarus. Mówi tu Plaut ze stanowiska Greków, w komedyi występujących, dla których są Rzymianie i Włosi jako rzemieślnicy i artyści barbarzyńcami; a myśli właśnie o Włochach i Rzymianach — nazywając ich pultifagi, dla tego, iż najdawniejszą potrawą włoską była polewka z mąki — puls — albo pulmentum, którą i późniéj jadał lud prosty.

** Szydzi tu Tranio, przez podobieństwo mówiąc, o sobie i o dwóch starcach, których za nos wodzi i oszukuje.

Tranio.

To patrz ku waszéj stronie, gdy wrony zobaczyć
Nie możesz, to zobaczysz przecież może sępów.

Teuropides.

Mówię ci, że żadnego ptaka tu nie widzę.

Tranio.

To trudno, tyś nie winien. Nie widzisz dla wieku.

Teuropides.

Wszystko, co widzieć mogę, bardzo się podoba.

Simo.

Opłaci się iść daléj.

Teuropides.

Bardzo dobrze mówisz.

Simo (do niewolnika.)

He! chłopcze! oprowadzaj w domu po pokojach
Tego starca. Najchętniéj sambym oprowadzał,
Gdybym właśnie na rynku nie miał interesu.

Teuropides.

Idź sobie z przewodnikiem! nie chcę być wodzonym! *

Simo.

Dla czego?

Teuropides.

Wolę błądzić, niż mieć przewodnika.

* Teuropides nie przyjmuje przewodnika dla tego, iż słowa, których Plaut używa: ducere, perducere, circumducere mają téż znaczenie: oszukać, wywieść w pole, a perductor znaczy to samo niekiedy, co leno, rajfur.

Simo.

Alcż tylko po domu!

Teuropides.

Nie chcę przewodnika!

Simo.

To jak ci się podoba.

Teuropides.

Więc wchodzę.

Tranio.

Zaczekaj:

Zobaczę, czy psa nie ma.

Teuropides.

Zobacz.

Tranio.

Jest.

Teuropides

Gdzie jest pies?

Tranio.

Pójdziesz sobie! A pójdziesz! A pójdziesz mi zaraz! *
Jeszcze leżysz? (do Teuropidesa.) Odejdź ztąd!

Simo.

Alcż się nie bójcie!
On łagodny jak woda. Patrz! Możesz wnijść śmiało,
Ja ztąd idę na rynek.

Teuropides.

Dziękuję. Idź zdrowy!

* Psy spuszczano z łańcucha tak samo jak u nas; ale dla nieświadomych tego zawieszano nadedrzwiami domu, w którym pies się znajdował, napis: cave canem.

Tranionie, starajże się psa od drzwi odegnać,
Jakkolwiek złym być nie ma.

T r a n i o.

Patrz, jak śpi spokojnie!
Chyba że się chcesz zdawać kapryśnym i tchórzem.

T e u r o p i d e s.

Już idę, — ty idź za mną.

T r a n i o.

Na krok nie odstąpię.

(Wchodzą do domu).

Akt czwarty.

SCENA I.

T e u r o p i d e s i T r a n i o wychodzą z domu.

T r a n i o.

No, czy dobry interes?

T e u r o p i d e s.

Bardzom jest rad z niego.

T r a n i o.

Czy drogo zapłacony?

T e u r o p i d e s.

Nigdy nie widziałem
Za takie psie pieniądze domu pozbytego,
Jak ten tu.

Tranio.

Podoba się?

Teuropides.

Co? czy się podoba?
Bardzo mi się podoba.

Tranio.

Jakie Ginecceum!
Jaki portyk!

Teuropides.

Przepyszny! Nie wiem czy jest większy
Od niego w całem mieście.

Tranio.

Tak, ja z Filolachem
Przemierzyliśmy wszystkie już portyki w mieście.

Teuropides.

No i cóż?

Tranio.

Jest najdłuższy ze wszystkich, com widział.

Teuropides.

Zaiste, to interes przepyszny, wyborny!
Choćby mi sześć talentów za niego dawano
Wielkich, nie wziąłbym nigdy!

Tranio.

A jabym mój panie
Nigdy ci nie pozwolił, chociażbyś je chciał wziąść.

Teuropides.

Na to kupno wybornie nasz pieniądz użyty.

T r a n i o.

Śmiało mów, że za moją stało się to radą
I za moją namową; gdyż ja go skłoniłem,
Iż na procent pieniądze wziął tu od bankiera,
Które, jako zadatek, jemuśmy oddali.

T e u r o p i d e s.

Tyś mi mój zagrożony uratował okręt.
A więc min ośmdziesiąt jesteśmy mu winni?

T r a n i o.

Tak, ani grosza więcéj.

T e u r o p i d e s.

Dzisiaj je odbierze.

T r a n i o.

Tak, by sprzeczki uniknąć. Daj ty mnie pieniądze,
Ja mu je sam oddam.

T e u r o p i d e s.

Bylem tylko w łapkę
Jaką nie wpadł, gdybym ci wyliczył pieniądze!

T r a n i o.

Ja oszukać cię słowem, lub czynem — choć w żarcie?

T e u r o p i d e s.

Ja nie strzedz się przed tobą, ale ci co wierzyć?

T r a n i o.

Toć odkąd twoim jestem choć w najmniejszéj rzeczy
Nigdym cię nie oszukał.

T e u r o p i d e s.

Bo się dobrze strzegłem.
To ja zawdzięczam sobie i mojéj mądrości.

Dosyć ja jestem mądry, jeśli się ustrzegę
Tylko ciebie jednego.

T r a n i o.

Masz zupełną słuszność.

T e u r o p i d e s.

Teraz odejdź. Idź na wieś i powiedz synowi,
Żė z drogi powróciłem.

T r a n i o.

Uczynię, jak każesz.

T e u r o p i d e s.

Pospiesz się. Niech do miasta wróci razem z tobą.

T r a n i o.

Dobrze. (Teuropides odchodzi.)

T r a n i o (do siebie, odchodząc.)

Ja teraz pójdę do moich kamradów
Przez drzwi tylne i powiem, jak tu wszystko cicho,
I jak się tego starca pozbyliśmy z karku.

SCENA II.

F a n i s k u s, Kallidamasa niewolnik; potem drugi niewolnik, nareszcie T e u r o p i d e s.

F a n i s k u s.

Niewolnicy, którzy się obawiają kary,
Chociaż nie mają winy, zwykli być swym panom
Użyteczni; bo którzy wcale się nie boją,
Chociaż są kary winni, myślą o złych rzeczach,
Ćwiczą nogi do biegu — potém uciekają.
Lecz jeśli są schwytani, zbierają majątek

Z batów, kiedy nie mogli zebrać go z pieniędzy; *
Mnożą go i nareszcie przychodzą do skarbu.
Ale ja w mojéj duszy takiéj jestem myśli:
Wolę kary unikać, niż narażać plecy.
I z plag zbierać majątek. Jaką była dotąd,
Taką być ma w przyszłość skóra moja całą,
I tego nie dozwolę, ażeby mnie bito.
Jeśli mi się to uda, skóra będzie całą,
A choć plagi na innych grzbiety padać będą,
Moje plecy jednakże będą zawsze suche.
Bo jakim pana swego chcą mieć niewolnicy,
Takim on zwykle bywa: dla dobrych jest dobrym,
Złym dla złych. — Tak i u nas teraz w naszym domu
Żyje zbyt wiele łotrów złych i niegodziwych,
Rozrzutników, smagańców. Jeżeli im mówisz,
Aby szli naprzeciwko pana, odpowiedzą:
„Nie pójdę, daj mi pokój! Wiem już, dokąd dążysz —
Już tęsknisz — chcesz na paszę wyjść pewnie, ty mule!“
Taką ja odebrałem nagrodę niewinnie.
Więc sam z domu wyszedłem i sam jeden idę
Z pomiędzy sług tak wielu naprzeciwko pana.
Kiedy się jutro dowie o tém, jak się stało,
Odpowiedzą ich grzbiety pod wołowym knutem.
Zresztą mniéj dbam o ich grzbiet, niżeli o siebie.
Wolę, że się ich plecy spotkają z kańczugiem,
Niż aby mnie po gardle miał stryczek połechtać. (chce odchodzić.)

SCENA III.

Faniskus. Niewolnik. Teuropides.

Niewolnik (wchodząc na scenę.)

Stój! wstrzymaj się w miejscu i tu się obejrzyj!

* Niewolnicy w Rzymie mogli z zarobionych pieniędzy zbierać sobie peculium — w celu wykupienia się z niewoli pana swego.

F a n i s k u s.

Dajże mi pokój!

N i e w o l n i k.

Patrzcie, jak się dmie ta małpa!

F a n i s k u s.

Bo się tak podoba! Co tobie do tego!

N i e w o l n i k.

Czy staniesz mi natychmiast, brudny pasożycie?

F a n i s k u s.

Dla czegom ja pasożyt?

N i e w o l n i k.

Słuchaj, ja ci powiem:
Bo pójdziesz za pieczenią choćby i do piekła.
Czyś dla tego tak dumny, że cię nasz pan kocha?

F a n i s k u s.

Oczy cię pewnie bolą!

N i e w o l n i k.

Czemu?

F a n i s k u s.

Bo dym gryzie. *

N i e w o l n i k.

Milczże mi, ty fałszerzu, który ołowiane
Tylko bijesz pieniądze. **

* Odpowiedź ta nie stósowną jest właściwie do poprzednich słów Faniska: Oczy cię pewnie bolą — rozumie się: z zazdrości.

** Mówi tu niewolnik przenośnie, nazywa go fałszerzem, robiącym pieniądze ołowiane zamiast złotych lub srebrnych, chcąc przezto powiedzieć, że jest świętoszkiem, faryzeuszem, który przez udaną cnotę stara się pozyskać łaskę pana.

F a n i s k u s.

Nie dokażesz tego
Abym tobie złorzeczył. Mój pan zna mnie dobrze.

N i e w o l n i k.

Toć zaiste znać musi każdy swą poduszkę.

F a n i s k u s.

Gdybyś nie był pijany, nie gadałbyś głupstwa.

N i e w o l n i k.

Ja mam tobie ustąpić, kiedy ty nie możesz?

F a n i s k u s.

Przestań już raczéj mówić, błaźnie, o tych rzeczach,
I chodź ze mną; — pójdziemy naprzeciwko pana.

N i e w o l n i k.

Dobrze, zapukam do drzwi! (puka.) He! nie masz tam kogo,
Któryby drzwi obronił od wielkiéj ohydy? *
Czy tutaj nikt nie wyjdzie i drzwi nie otworzy? (puka)
Otóż nikt nie wychodzi! Jakimi być zwykli
Ludzie źli, są takimi. Lecz tym więcéj trzeba
Mieć się na ostrożności, aby kto wypadłszy,
Nie wytrzepał mi skóry. (przysłuchuje się.) Ależ tu nie słychać
Ani hałasu gości, jaki bywał przedtem,
Ani śpiewu harfistek, ani żywéj duszy.

T e u r o p i d e s (zbliża się wolnym krokiem, słysząc pukanie.)

Co to jest? co ci ludzie robią przed mym domem?
Co chcą? Czemu wglądają?

* To jest: czy nie ma kogo, którzyby drzwi otworzył i przeszkodził, abym ich nie wyłamał.

Niewolnik.

Jeszcze raz zapukam. (puka.)
Otwieraj! Tranionie, czy mi ty otworzysz?

Teuropides.

Jaka to tu komedya?

Niewolnik.

No! czy nam otworzysz?
My tutaj przychodzimy po Kallidamasa.

Teuropides.

He! chłopcy, co robicie? Czemu drzwi łamiecie?

Faniskus.

Tu nasz pan biesiaduje.

Teuropides.

Kto tu biesiaduje?

Faniskus.

Nasz pan, jak ci powiadam.

Teuropides.

Chłopcze, jesteś śmieszny.

Faniskus.

Przychodzimy po niego.

Teuropides.

Po kogo?

Faniskus.

Po pana!
Ileż razy chcesz jeszcze, abym ci powtarzał?

Teuropides.

Chłopcze, tu nikt nie mieszka — bo mi się wydajesz
Poczciwym być człowiekiem. *

Faniskus.

Co? co ty tam gadasz?
Nie mieszka tu w tym domu młody Filolaches?

Niewolnik.

Ten stary ma z pewnością pomieszanie zmysłów.

Faniskus.

Mylisz się, mój staruszku, bo jeśli się dzisiaj,
Lub wczoraj ztąd nie wyniósł, z pewnością tu mieszka.

Teuropides.

Toć od sześciu miesięcy już tu nikt nie mieszka!

Niewolnik.

Marzy ci się.

Teuropides.

Mnie?

Niewolnik.

Tobie!

Teuropides (do niewolnika.)

Nie wścibiaj tu nosa;
Ja z tym mówię człowiekiem. Tak, tu nikt nie mieszka.

Faniskus.

Lecz tu jednak ktoś mieszka! Bo wczoraj, przedwczoraj,
Przedprzedwczoraj i daléj, coraz daléj jeszcze,

* Wydajesz mi się być poczciwym człowiekiem, dla tego ci powiadam, że tu nikt nie mieszka i ostrzegam cię o niebezpieczeństwie, na jakie się narażasz pukając do drzwi.

Odkąd ojciec wyjechał jego za granicę,
Trzy dni tu nie minęły bez uczt i hulanki.

Teuropides.

Co?

Faniskus (z przyciskiem.)

Trzy dni nie minęły bez uczt i hulanki:
Dziewczęta, pijatyka, muzyka i tańce —
To był dzienny porządek.

Teuropides.

A któż je wyprawiał?

Faniskus.

Filolach.

Teuropides.

Co? Filolach?

Faniskus.

Tak, którego ojciec
Zowie się Teuropides, jak mi się wydaje.

Teuropides (do siebie.)

O Boże! jeśli prawda, co ten człowiek mówi!
Będę go pytał daléj. (głośno.) Ten więc Filolaches, —
(Niech on tam będzie kto chce) — mówisz, z twoim panem
Zwykł tutaj bankietować?

Faniskus.

Tak jest.

Teuropides.

Mój ty chłopcze,
Głupszym jesteś nad pozór. Pewnie na śniadanie
Zaszedłeś gdzie do knajpy i piłeś za wiele.

Faniskus.

Jak się to ma rozumieć?

T e u r o p i d e s.

Oto tak ci mówię,
Że pewnie do obcego zabłądziłeś domu.

F a n i s k u s.

Wiem dobrze, gdzie iść miałem i wiem, gdzie zaszedłem.
Tu mieszka Filolaches, syn Teuropidesa,
Który, gdy ojciec jego za handlem wyjechał,
Kupił wolność harfistce.

T e u r o p i d e s.

A więc Filolaches?

F a n i s k u s.

A tak jest, Filemacyum.

T e u r o p i d e s.

I za ile kupił?

N i e w o l n i k.

Za trzydzieści talentów.

F a n i s k u s.

Min chciałeś powiedzieć.

T e u r o p i d e s.

Więc mówisz, że trzydzieści min dał Filolaches
Za dziewczynę?

F a n i s k u s,

A tak jest.

T e u r o p i d e s.

I że ją uwolnił?

F a n i s k u s.

Tak.

Teuropides.

I że z twoim panem wciąż tu bankietował
Odkąd ojciec wyjechał?

Faniskus.

Tak jest.

Teuropides.

I że kupił
Ten tutaj dom w sąsiedztwie?

Faniskus.

Tego ci nie mówię,

Teuropides.

Toć zaliczył zadatku zaraz min czterdzieści.

Faniskus.

I tego ci nie mówię.

Teuropides.

O! ty mnie zabijasz!

Faniskus.

On swęgo zabił ojca.

Teuropides (do siebie.)

Tak, prawda, niestety!
Obyś mówił nieprawdę!

Faniskus (do niewolnika.)

Znać przyjaciel ojca.

Teuropides (głośno.)

O! prawdziwie nazywasz ojca nieszczęśliwym!

Faniskus.

Ależ to niczem jeszcze są te min trzydzieści
W porównaniu z tém wszystkiem, co on tu wydaje.

Teuropides (do siebie.)

On zabił ojca swego.

Faniskus.

Przeklęty to sługa
Ten Tranio! On potrafi i Herkulesowy *
Przemarnować zarobek. Jakże mi żal ojca!
Bo gdy się o tém dowie, co się tutaj stało,
Pewnie mu z żalu pęknie biedne jego serce.

Teuropides.

Tak, jeżeli to prawda.

Faniskus.

I cóż miałbym z kłamstwa?

Niewolnik (znów pukając.)

No? czy mi kto otworzy?

Teuropides.

Pukasz, gdzie nikt nie jest?

Faniskus.

Pewnie sobie gdzieindziéj poszli na hulankę.
(do niewolnika.) Więc chodźmy.

Teuropides.

Już odchodzisz? (patrząc za nim.) Twoja wolność, chłopcze,
Równa twemu płaszczowi. **

* Herkules zażywał w Rzymie wielkiéj czci i dla tego składano dla niego jako ofiary na ołtarzu zwanym ara maxima na Forum Boarium bardzo wiele rzeczy rozmaitych, mianowicie żywności, jako dziesięcinę i wota, i to jest ów Herkulesowy zarobek.

** Dziwną się właściwie wydać musi ta uwaga Teuropida, przez którą chce powiedzieć, że Faniskus płaszcza nie ma tak samo jak wolności. Wytłumaczyć ją sobie tém tylko umiem, że mu się niewolnik ten podobał, i dla tego żal mu go, iż jest niewolnikiem i nawet płaszcza nie ma.

Faniskus.

Gdy nie mam powodu
Lękać się pana mego, płaszcz mi nie potrzebny.
(odchodzi z drugim niewolnikiem.)

SCENA IV.

Teuropides, potem Simo.

Teuropides.

Zaiste już jest po mnie! Cóż tu słów potrzeba?
Wedle tego, co słyszę, nie tylko w Egipcie
Byłem, lecz i w pustyniach i wszystkie wybrzeża,
Będąc na ostatnich krańcach, opłynąłem.
Gdzie teraz jestem, nie wiem. — Lecz już wiedzieć będę,
Gdyż oto idzie człowiek, od którego syn mój
Dom ten kupił. Jak się masz?

Simo.

Do dom z rynku wracam.

Teuropides.

Czy się tam co nowego na rynku nie stało?

Simo.

I owszem.

Teuropides.

Cóż takiego?

Simo.

Ot widziałem pogrzeb.

Teuropides.

To mi wielka nowina!

Simo.

Umarły żył przedtem.

Teuropides.

Bodaj cię kaci wzięli!

Simo.

Dla czegóż się pytasz
O nowinki zwyczajem próżnujących ludzi?

Teuropides.

Bo wracam z zagranicy,

Simo (żartobliwie.)

Dziś nie jem u siebie —
Dla tego cię nie mogę zaprosić na obiad. *

Teuropides.

Ja też tego nie żądam.

Simo.

Lecz jeśli mnie jutro
Nikt właśnie nie zaprosi, — mogę jeść u ciebie.

Teuropides.

Toć i tego nie żądam. — Posłuchaj mnie tylko,
Jeśli nic ważniejszego nie masz do czynienia.

Simo.

Najchętniéj.

Teuropides.

Filolaches dał ci min czterdzieści,
Ile wiem.

* Było zwyczajem u starożytnych, iż zapraszali do siebie na obiad wracających z podróży. Tu Simo żartując udaje, jakoby sądził, że Teuropides przemawiał do niego w celu, aby był przezeń zaproszonym i zaraz na wstępie powiada, że go zaprosić nie może, gdyż sam gdzieindziéj jeść będzie.

S i m o.

Ile ja wiem, nie dał mi ni grosza.

T e u r o p i d e s.

Więc Tranio, mój niewolnik.

S i m o.

Dał mi tym mniéj jeszcze.

T e u r o p i d e s.

Toć ci je dał w zadatku.

S i m o.

Co się tobie marzy?

T e u r o p i d e s.

Mnie się marzy? Wcale nie! Chyba może tobie,
Który myślisz w ten sposób sprawę dokonaną
Unieważnić zaparciem.

S i m o.

Co takiego?

T e u r o p i d e s.

Kupno,
O które się ułożył w mojéj niebytności
Mój syn z tobą.

S i m o.

Co znowu? kupno — syn twój ze mną?
Jakież to? i w dniu którym?

T e u r o p i d e s.

Jeszcze min czterdzieści
Jestem ci z tego winien.

S i m o.

Mnie nie jesteś winien.

Ale daj, jeśliś winien — bo słowo jest święte;
Nie chciéj długu zaprzeczać.

Teuropides.

Nie będę zaiste
Zaprzeczał i zapłacę, A ty nie zaprzeczaj,
Że czterdzieści już wziąłeś.

Simo.

Ależ proszę ciebie,
Patrz na mnie i odpowiedz. Mówił, że zamierzasz
Syna swego ożenić i dla tego chciałeś,
Jak mówił, w twoim domu jeszcze coś budować.

Teuropides.

Co? ja chciałem budować?

Simo.

Tak on mi powiadał.

Teuropides.

O mój Boże, zginąłem! Tchu mi nie dostaje.
Już jest po mnie, sąsiedzie!

Simo.

To ci pewnie Tranio
Spłatał takiego figla?

Teuropides.

A tak, on mi spłatał —
On wygłupił i ciebie i mnie najhaniebniéj.

Simo.

Co mówisz?

Teuropides.

Tak się rzecz ma, jak ci powiedziałem.
Wygłupił on mnie dzisiaj już za wszystkie czasy.

A teraz ciebie proszę, abyś mi dopomógł,
I ażebyś z usługą swoją był mi gotów.

Simo.

W czém takiem?

Teuropides.

Proszę ciebie, chodź tu razem ze mną.

Simo.

I owszem!

Teuropides.

Niewolników daj mi do pomocy.

Simo.

Weź ich!

Teuropides.

Ja ci opowiem tymczasem po drodze,
W jaki haniebny sposób on mnie dziś oszukał.

(Odchodzą.)

Akt piąty.

SCENA I.

Tranio, potem Teuropides z niewolnikami.

Tranio.

Kto się w rzeczach wątpliwych wacha albo chwieje,
Nie wart ani szeląga. Lecz co szeląg znaczy,
Tego wprawdzie ja nie wiem. Gdy mnie pan mój wysłał

Na wieś po swego syna, przelazłem tajemnie
Przez tę ciasną uliczkę aż tu do ogrodu,
A potem otworzyłem furtkę, prowadzącą
Z ogrodu do uliczki i wyprowadziłem
Przez nie całe legiony i mężczyzn i kobiet.
Tak przyszedłem na odsiecz towarzyszom broni,
I z tego oblężenia ich wyswobodziwszy,
Postanowiłem zwołać kamratów na radę.
Ale gdy ich zwołałem, oni mnie wypchnęli.
Widząc tedy, jak burza nademną się zbiera,
Uczynię, co zwyczajnie inni ludzie czynią,
Jeśli się w tarapatach lub w kłopotach widzą:
Że wszystko przewracają do góry nogami,
Ażeby nic nie miało na chwilę spokoju.
Wiem bowiem, że przed starym już to w żaden sposób
Dłużéj się ukryć nie da. Ale co to znaczy?
Czemu te drzwi zaskrzypły w najbliższem sąsiedztwie?
To mój pan. Wypróbować muszę słowa jego.

(Odchodzi po cichu na stronę.)

T e u r o p i d e s. (do niewolników.)

Zostańcie tam przy progu, abyście natychmiast
Wyskoczyli mi tutaj, gdy na was zawołam, —
I zaraz mu na ręce włożyli kajdany!
Ja przed domem zaczekam na tego szalbierza,
Któremu, jakom żywy, wygarbuję skórę!

T r a n i o (do siebie)

Rzecz cała już jest jasną! Teraz Tranionie
Myśl o tém, co uczynić, aby się wykręcić.

T e u r o p i d e s (do siebie.)

Muszę tu sobie zręcznie i mądrze postąpić
Z tym człowiekiem, gdy przyjdzie. Nie powiem mu zaraz,
Co myślę i zamierzam, lecz sieci zarzucę,
A udam, jakbym z tego nic a nic nie wiedział.

Tranio (do siebie.)

To dopiero lis chytry! Nie znajdziesz w Atenach
Drugiego, coby równie jak on był przebiegły.
Już to dzisiaj nie łatwiéj jest w pole go wywieść,
Jak — jaką bryłę skały.* Przystąpię — przemówię.

Teuropides (do siebie.)

O jakżebym ja pragnął, aby teraz przyszedł!

Tranio (wychodząc.)

Jeśli może mnie pragniesz, jestem do twych usług.

Teuropides.

Cóż słychać Tranionie?

Tranio.

Chłopi ze wsi idą,
Filolach wnet tu będzie.

Teuropides.

Bardzo tego pragnę.
Ten nasz sąsiad, jak myślę, jest chytry, zły człowiek.

Tranio.

Dla czego?

Teuropides.

Oto mówi, że was wcale nie zna.

Tranio.

Tak mówi?

Teuropides.

Nadto jeszcze, żeście mu nie dali
Nigdy ani szeląga.

* W oryginale jest lapis; myśl więc jest taka, że tak go trudno oszukać, jak kawał kamienia; a więc łatwo go oszukać. W ogóle mówi tu ironicznie.

T r a n i o.

Idź sobie! nie żartuj!
Bo on tego nie mówi.

T e u r o p i d e s.

Lecz mówi, naprawdę,
I twierdzi, że nie sprzedał nigdy tego domu —
Memu Filolachowi.

T r a n i o.

Co? proszę, śmie twierdzić,
Że on nie wziął pieniędzy?

T e u r o p i d e s.

Tak, nawet jest gotów,
Jeślibym tego żądał, złożyć mi przysięgę,
Że nie zbył swego domu, ani wziął pieniądze.
Ja mówiłem to samo.

T r a n i o.

A on co ci na to?

T e u r o p i d e s.

Obiecał mi dostawić swoich niewolników
Wszystkich do przesłuchania.

T r a n i o.

Żarty! tych ci nie da!

T e u r o p i d e s.

Ale ich da z pewnością.

T r a n i o.

To go przed sąd pozwij! (chce odchodzić)

T e u r o p i d e s.

Stój! Ja się z nim rozprawię — bądź o to spokojny.

T r a n i o.

Mnie daj tego człowieka. Albo każ go pozwać.

T e u r o p i d e s.

Nie, wprzód jeszcze przesłucham jego niewolników.

T r a n i o.

Tak sądzę, dobrze zrobisz.

T e u r o p i d e s.

Czy więc ich przywołać?

T r a n i o.

To mogłeś dawno zrobić. Ja tymczasem zajmę
Ten ołtarz.

T e u r o p i d e s.

A dla czego?

T r a n i o.

Nic też nie rozumiesz:
Aby ci, których przyśle tu do przesłuchania,
Do niego nie uciekli. Będę przeto czuwał,
Ażeby przesłuchanie mogło przyjść do skutku.

(siada na ołtarzu)

T e u r o p i d e s.

Wstańże!

T r a n i o.

Nie, ja nie wstanę.

T e u r o p i d e s.

Nie zajmuj ołtarza.

T r a n i o.

Dla czego?

Teuropides.

Powiem zaraz. Bo chcę właśnie, aby
Do ołtarza uciekli. Więc pozwól im uciec;
Tym łatwiéj u sędziego wyjednam, iż wskaże
Go na wypłatę grzywien.

Tranio.

Rób, jak ci się zdaje.
Ale czemu tę sprawę chcesz jeszcze przewlekać?
Czyż nie wiesz, czém to pachnie chodzić do sędziego?

Teuropides.

Toć już wstań i chodź tutaj, naradzę się z tobą.

Tranio.

I owszem; z tego miejsca dam ci moją radę.
Siedząc jestem mądrzejszy; a nadto pewniejsza
Jest rada, którą z miejsca świętego się daje.

Teuropides. (łagodnie)

Ależ wstań! Nie rób żartów i popatrz się na mnie!

Tranio.

No! patrzę.

Teuropides.

A co? widzisz?

Tranio.

Widzę. Gdyby trzeci,
Tu pomiędzy nas przyszedł, jużby umarł z głodu.*

Teuropides.

Dla czego?

* Tranio powiada, że on i pan jego tak są przebiegli, że gdyby kto trzeci jeszcze przybył, któryby ich chciał oszukać, niby już nic zarobił i musiałby z głodu umrzeć.

T r a n i o.

Boby nie miał żadnego zarobku.

Obaj jesteśmy kuci.

T e u r o p i d e s.

Biada mi!

T r a n i o.

Co tobie?

T e u r o p i d e s.

Bo ty mnie oszukałeś.

T r a n i o.

Jakże to być może?

T e u r o p i d e s.

Ty mi nosa obtarłeś.

T r a n i o.

A więc się spisałem?

Czy nos jeszcze nieczysty?

T e u r o p i d e s.

O! nawet wytarłeś
Cały mózg z mojéj głowy. Wszystkie wasze sprawki
Wykryłem do korzenia; a nawet nie tylko
Do korzenia zaiste, lecz z korzeniem razem.
Ale mi dziś, doprawdy, nie ujdziesz bezkarnie!
Każę cię, hyclu, chróstem i ogniem otoczyć!*

** Tranio przewidując niebezpieczeństwo usiadł na ołtarzu, jakich było na ulicach pełno przed domami, gdyż wiedział, że Teuropides się nie odważy gwałtem oderwać go od niego. Ale mógł kazać go albo pilnować, ażeby nie odszedłszy z głodu umarł, albo też otoczyć chróstem i zadusić dymem.

T r a n i o.

Nie rób tego, gdyż lepiéj smakuję w potrawce,
Niż w pieczeni.

T e u r o p i d e s.

Na tobie ja dam innym przykład.

T r a n i o.

Że ci się tak podobam, chcesz mnie dać za przykład?

T e u r o p i d e s.

Mów, jakim zostawiłem syna odjeżdżając?

T r a n i o.

Z nogami i z rękami, z palcami, z uszami
Z oczami i z ustami.

T e u r o p i d e s.

Pytam o rzecz inną.

T r a n i o.

A ja ci odpowiadam także na rzecz inną.
Lecz oto Kallidamas, kamrad twego syna;
Mów ze mną, co chcesz mówić w jego obecności.

SCENA II.

K a l l i d a m a s. T e u r o p i d e s. T r a n i o.

K a l l i d a m a s. (do siebie)

Gdym sen cały pogrzebał i przespał szmer głowy,
Powiedział mi Filolaches, że już z zagranicy
Ojciec jego powrócił, i jak, gdy powrócił,
Niewolnik zadrwił z niego. Mówi on jednakże,
Iż się ojcu swojemu obawia pokazać.
Z całéj przeto kompanii ja jestem wybrany,

Ażeby go pojednać z ojcem. (ogląda się) Patrz, on tutaj!
(do Teuropidesa) Witajże Teuropidzie! Raduję się bardzo,
Że wróciłeś szczęśliwie, zdrowo z zagranicy.
Proszę cię, abyś z nami zjadł dzisiaj obiadek.

Teuropides.

Niech bogi będą z tobą, mój Kallidamasie!
Ale co do obiadu, bardzo ci dziękuję.

Kallidamas. (ciągnąc go)

Chodź przecież!

Tranio.

Toć obiecaj; a jeśli ty nie chcesz,
To ja pójdę za ciebie.

Teuropides.

Hyclu, ty drwisz jeszcze!

Tranio.

Że ciebie chcę zastąpić?

Teuropides.

Tak, bo ty nie pójdziesz,
Lecz poniosą cię na krzyż wedle winy twojéj.

Kallidamas.

Ależ daj temu pokój — a chodźmy na obiad!

Tranio.

Toć mu powiedz, że przyjdziesz. I dla czego milczysz?

Kallidamas

Ale czemuś ty, głupcze, uciekł do ołtarza?

Tranio.

Przestraszył mnie przybyciem. (do Teuropidesa) Powiedzże, com (zrobił?

Patrz, oto jest rozjemca tu dla nas obydwóch —
Mów teraz!

Teuropides.

Ja twierdzę, żeś mi syna popsuł.

Tranio.

Słuchaj tylko. Nie przeczę, że grzeszył, wykupił
Ładne dziewczę z niewoli, gdy byłeś w podróży,
Że pożyczał pieniędzy i że je marnował.
Lecz czy nie robił tego, co zwyczajnie robią
Synowie należący do najlepszych rodzin?

Teuropides.

Zaiste, bardzo ciebie wystrzegać się muszę,
Gdyż jesteś chytrym mówcą.

Kallidamas.

Pozwól mi być sędzią
(do Traniona) Ty wstań! ja tu usiądę.

Teuropides.

Wybornie! Ty rzecz prowadź.

Tranio. (wstając z ołtarza)

Tu jest na mnie łapka.* (do Kallidamasa) Niech ja się nie boję,
Ty za to bój się za mnie.

Teuropides.

Już wszystko mniéj cenię,
Jak ten sposób, w który on sobie ze mnie zadrwił.

Tranio.

Lecz to się dobrze stało i z tego się cieszę
Bo kto ma siwą głowę, niech będzie mądrzejszy.

* Boi się, aby go nie schwytano, gdy z ołtarza zejdzie.

Teuropides.

Cóż moi przyjaciele — Demifo, Filonid.*

Tranio.

Powiedz im, w jaki sposób sługa zadrwił z ciebie,
Dobrą dajesz materją złudzeń do komedyi.

Kallidamas. (do Traniona)

Milcz nieco i pozwól mi też słówko powiedzieć.

Tranio.

Proszę cię.

Kallidamas.

Już wiesz o tem, że to ja najpierwszym
Pomiędzy przyjaciołmi syna twego jestem.
Do mnie się tedy udał, gdyż tobie pokazać
Sam się wstydzi. Wie bowiem, iż wszystko, co zrobił,
Już tobie jest wiadome. Więc ja ciebie proszę —
Przebacz jego młodości i — jego głupocie —
Toć on jest twoim synem! A ty wiesz to dobrze,
Że młokosy w tych latach zwyczajnie tak broją.
Co zrobił, zrobił z nami, myśmy wszyscy winni.
Prowizye i kapitał i wydatki wszystkie,
Co dziewczę kosztowało — wszystko to zapłacę,
Zastąpię z méj kieszeni — ty na to nic nie dasz.

Teuropides.

Nie mógł inny obrońca przyjść, któryby więcéj
Pozyskał mnie dla siebie, jak ty Kallidamie.
Już ja się nań nie gniewam, ani mu mam za złe,
Ale owszem, niech kocha w mojéj obecności,
Niech hula, biesiaduje, niech robi, co zechce.
Jeśli się tylko wstydzi swojéj rozrzutności,
Uważam, że to karą dość dużą dla niego.

* Domyśla się: na to powiedzą.

Kallidamas.

Ócz z wstydu nie śmie podnieść.

Tranio. (do siebie)

Temu przebaczono,
(głośno) A co ze mną się stanie?

Teuropides.

Wiszącego każę
Siec cię, ścierwo, rózgami.

Tranio.

Chociażbym się wstydził?

Teuropides.

Jakem żyw, zabiję cię!

Kallidamas.

Niechże łaska twoja
Będzie pełną. Przebacz więc Tranionowi winę,
Proszę o to dla siebie.

Teuropides.

Wszystko inne raczéj
Chcę dla ciebie uczynić, jak ażebym jemu
Za wszystkie jego sprawki nie sprawił bankietu.

Kallidamas.

Puśćże go, proszę ciebie.

Teuropides.
(wskazując Traniona lekceważącą i zuchwałą minę)

Patrz, jak ten łotr stoi!

Kallidamas.

Tranionie, jeśliś mądry, porzuć to, stój cicho.

Teuropides.

Ty porzuć swoje rady, już ja go rózgami
Spowoduję do tego, iż będzie spokojny.

Kallidamas.

O, tego nie potrzeba! Już się daj uprosić.

Teuropides.

Nie proś!

Kallidamas.

Jednakże proszę.

Teuropides.

Ja ci mówię: nie proś!

Kallidamas.

Napróżno mi to mówisz. Już tylko tę winę,
Tę jednę, proszę, przebacz mu na moje prośby.

Tranio.

I czemuż się namyślasz, jakobym do jutra
Nie zawinił na nowo? Wtenczas możesz przecie
Zemścić się jak najmocniéj za jedno i drugie.

Kallidamas.

Dajże mi się uprosić!

Teuropides. (do Traniona)

Idź, idź już bezkarnie:
A temu tu podziękuj! — Widzowie, komedya
Nasza jest już skończona. Dajcie nam oklaski!

TROJAK

(TRINUMMUS).

OSOBY.

ROZPUSTA } w prologu.
BIEDA }
MEGARONIDES, obywatel ateński.
CHARMIDES, kupiec ateński.
KALLIKLES, przyjaciel Charmidesa.
LESBONIK, syn Charmidesa.
STAZIMOS, niewolnik Charmidesa.
FILTO, obywatel ateński.
LIZITELES, syn Filtona.
SZALBIERZ.

Rzecz dzieje się w Atenach na ulicy.

PROLOG.

ROZPUSTA I BIEDA.

Rozpusta.

Chodź za mną, córko moja, spełnić swą powinność.

Bieda.

Idę, idę, lecz nie wiem, w jakim idę celu.

Rozpusta.

Przybliż się — patrz, to dom ten. Wnijdź zaraz do niego.
(Bieda wchodzi do domu Charmidesa)
Teraz, by nikt nie błądził, na prostą wprowadzę
Was drogę, jeśli tylko uważać zechcecie.
Przedewszystkiem powiem wam, kto ja i kto tamta,
Która teraz weszła, jeśli słuchać chcecie.
Plautus tedy nazwał mnie imieniem Rozpusty,
A potem zrobił onę, Biedę, moją córką.
Lecz czemu ona tutaj weszła z mojéj woli,
Słuchajcie i dawajcie ucho, kiedy mówię.
W tym domu mieszka pewien młodzieniec, co stracił
Cały ojca majątek przy mojéj pomocy.
Ponieważ tedy widzę, że nic nie zostało,

Za coby mnie mógł żywić, posłałam mu córkę,
Ażeby z nią wiódł życie. Ależ nie myślijcie
O treści téj komedyi dowiedzieć się czego:
Starzy, którzy tu przyjdą, wyłożą rzecz całą.
Po grecku nazywają tę komedyą: Skarbem;*
Filemon** ją napisał, Plaut przeniósł w łacinę
I dał nazwę Trojaka, a prosi was teraz,
Aby się ta komedya mogła tak nazywać.
Dosyć. Bywajcie zdrowi, słuchajcie w milczeniu.

* W oryginale greckim ma ta komedya tytuł: θησαυρός — skarb. Plaut nazwał ją bez słusznéj przyczyny: Trinummus — Trojak od pieniążka. który dano oszustowi jakiemuś za przysługę.

** Filemon żył około r. 300 przed Chr. był równoczesnym Menandra i autorem wielu dobrych komedyi, których treść naśladował Plaut.

Akt pierwszy.

SCENA I.

Megaronides.

Słusznie za przewinienie karcić przyjaciela, —
Niewdzięczna to robota, a jednak czasami
Pożyteczna i dobra. Tak ja przyjaciela
Słusznie za przewinienie dzisiaj karcić myślę.
Niechętnie to uczynię — lecz tak każe przyjaźń.
Bo zgnilizna zanadto zaraziła dobre
Nasze tu obyczaje; a tak w większéj części
Jesteśmy w rękach śmierci. Kiedy dobre chore,
Wybujały obficie, jak skrapiane zielsko,
Nasze złe obyczaje i nic nie jest tańsze
Już teraz między nami, jak złe obyczaje.
Z nich możesz najobfitsze już zbierać owoce;
Bo największa część ludzi stara się o względy
Raczéj ludzi niewielu, niż o to, co dobrem
Mogłoby być dla wielu. Tak względy i łaska
Zwyciężają to wszystko, co jest pożytecznem;
One to w wielu rzeczach są nam na przeszkodzie
I są matką nieszczęścia dla rodzin i państwa.

SCENA II.

Kallikles. Megaronides.

Kallikles.
(zwrócony ku drzwiom domu, z którego wyszedł)

Żono, Lara naszego przyozdób mi w wieńce,*
A czcij go, aby dom nasz otoczył opieką,
Ażeby mu dał szczęście i błogosławieństwo —
(do siebie). I abym jak najprędzéj widział cię na marach.

Megaronides. (na stronie)

Oto ten, który w pośród starości zdziecinniał
I dopuścił się winy godnéj ukarania.
Przybliżę się do niego.

Kallikles.

Czyj głos ja tu słyszę?

Megaronides.

Przyjaciela, jeżeli jesteś po méj woli,
Ale nieprzyjaciela i rozgniewanego,
Jeżeli tak nie jesteś.

Kallikles.

Witaj przyjacielu
Drogi i rówienniku! Jak się masz kochany
Mój Megaronidesie?

Megaronides.

Kalliklesie, witaj!
Jak się masz? jak się miałeś?

Kallikles.

Dobrze, bardzo dobrze.

* Kallikles nabywszy dom i wprowadziwszy się do niego, chce uczcić jego Lara i złożyć mu ofiarę w wieńcach, któremi go chce przystroić.

M e g a r o n i d e s.

A żoneczka co porabia? zdrowa?

K a l l i k l e s.

Nad życzenie.

M e g a r o n i d e s.

Chwała Bogu, że zdrowa i że jest przy życiu.

K a l l i k l e s.

Widzę, że się ty cieszysz z mojego nieszczęścia.

M e g a r o n i d e s.

Ja wszystkim przyjaciołom życzę tak jak sobie.

K a l l i k l e s.

Tak? — a twoja jak się ma?

M e g a r o n i d e s.

Nieśmiertelna baba
Żyje mi i żyć będzie.

K a l l i k l e s.

Bardzo mnie to cieszy,
Niech bogowie ją dłużéj na świecie trzymają,
Niż ciebie.

M e g a r o n i d e s.

I ja tobie życzyłbym tak samo,
Gdyby twą była żoną.

K a l l i k l e s.

Więc się pomieniajmy,
Ja twoją żonę wezmę, a ty weźmiesz moją,
Ja bynajmniéj doprawdy źle na tem nie wyjdę.

M e g a r o n i d e s.

O nie myśl, aby ci się udało mnie złapać.

Kallikles.

Zobaczyłbyś dopiero, jaki to jest handel!

Megaronides.

No! zostańże przy swojem; najłatwiéj się znosi
Nieszczęście już nam znane; bo gdybym ja teraz
Miał nieznane mi dostać — nie wiem, cobym zrobił.
Zaiste długo żyje ten, kto żyje dobrze.
Ale rzućmy już żarty, a uważaj sobie,
Gdyż ja po interesie do ciebie przychodzę.

Kallikles.

Po jakim?

Megaronides.

Ażeby ci dobrze natrzeć uszy.

Kallikles.

Komu? mnie?

Megaronides.

Czyż jest tutaj kto prócz mnie i ciebie?

Kallikles.

A nie masz.

Megaronides.

Cóż więc pytasz, czy chcę skarcić ciebie?
Chyba myślisz, że siebie samego chcę karcić.
Bo jeśli w tobie chora dawna dobra dusza,
Jeśli złym obyczajem chcesz zmienić charakter,
Lub jeśli obyczaje charakter twój psują,
Że rzucasz cnotę dawną, za niecnotą gonisz,
Zadajesz wielką ranę twoim przyjaciołom;
Ciebie widząc i słysząc, oni sami chorzy.

Kallikles.

Zkąd ci przyszło do głowy takie gadać rzeczy?

Megaronides.

Bo jest mężczyzn i kobiet dobrych obowiązkiem;
Strzedz się nie tylko winy, lecz i podejrzenia.

Kallikles.

Ale obie te rzeczy nie są w naszéj mocy.

Megaronides.

Dla czego?

Kallikles.

Pytasz o to? By winy uniknąć —
To w naszem leży sercu, ale podejrzenie
Spoczywa w piersi obcéj. Bo gdybym ja teraz
Chciał ciebie podejrzywać, że z głowy Jowisza
Ty ukradłeś koronę, — z Kapitolu, który
Jest na najwyższym szczycie; choćbyś tak nie zrobił
Lecz mnieby się widziało ciebie podejrzywać,
Jakżebyś mógł zabronić tak o tobie sądzić?
Ale powiedz, interes jaki do mnie miałeś?

Megaronides.

Czy masz ty przyjaciela, albo też krewnego,
Któremubyś zaufał?

Kallikles.

Wypowiem ci szczerze.
Jedni są prawdziwi — a tamtych tak sądzę,
A innych trudno pojąć umysły i serca,
Czy mi są przyjaciołmi, czy nieprzyjaciołmi.
Lecz ty między pewnymi jesteś najpewniejszym.
Jeśli wiesz, żem uczynił co błędnie, przewrotnie,
A o to mnie nie winisz, sam godnyś skarcenia.

Megaronides.

Tak jest; a jeślim przyszedł tu z innéj przyczyny,
Masz słuszność.

Kallikles.

Cóż mi powiesz?

Megaronides.

Oto przedewszystkiem.
Powiem ci, że tu ludzie źle o tobie mówią,
Nazywają cię chciwym haniebnego zysku;
Inni zowią cię sępem, któremu zajedno,
Czy szarpie przyjaciela, czy nieprzyjaciela.
To gdy słyszę o tobie, trapię się tem biedny.

Kallikles.

W méj to i nie w méj mocy Megaronidesie;
Nie w méj mocy, że mówią; lecz aby mówili
Nieprawdę, jest w méj mocy.

Megaronides.
(wskazując na dom, z którego Kallikles wyszedł).

Czy ten tu Charmides
Był twoim przyjacielem?

Kallikles.

Jest nim i był dawniéj;
A ażebyś mi wierzył, że tak jest, dowiodę,
Bo kiedy mu syn jego zaszargał majątek,
A on widział, że bieda już go się czepiała,
I córka jego była już dorosłą panną,
Gdy jéj matka, a żona jego mu umarła,
Wtenczas on chcąc pojechać tu ztąd do Seleucii
Oddał mi swoją córkę w opiekę i syna
Owego zepsutego i cały majątek.
Będąc nieprzyjacielem nie byłby tak zrobił.

Megaronides.

Dla czegoż się nie starasz naprawić młokosa,
Którego tak złym widzisz, który jest powierzon
Twéj opiece przyjaźni? Czemuż go na dobrą
Nie naprowadzasz drogę? O to się ubiegać,

Abyś go mógł poprawić, więcéj ci przystało,
Niż abyś na się ściągał tę samą niesławę,
I swoją własną winę z jego winą złączył.

Kallikles.

A cóż ja uczyniłem?

Megaronides.

Co czyni człek podły.

Kallikles.

Nigdy w świecie!

Megaronides.

Czyż domu tego nie kupiłeś
Od młodzieńca? — Cóż? milczysz? — w którym teraz mieszkasz?

Kallikles.

Kupiłem i czterdzieści min mu zapłaciłem.

Megaronides.

Dałeś mu zań pieniądze.

Kallikles.

Tak — i nie żałuję.

Megaronides.

A to dobra zaiste była twa opieka!
Miecz mu więc dałeś w rękę, ażeby się zabił.
Bo czyż to co innego dać do rąk pieniądze
Młokosowi głupiemu i zakochanemu,
Ażeby swéj rozpusty już dopełnił miarę?

Kallikles.

Czyż mu nie miałem płacić?

Megaronides.

Tak, ani kupować
Nie miałeś nic od niego, ani mu sprzedawać,
Ani mu do zgorszenia podawać sposobność.

Który ci był powierzon, tego ty zgubiłeś,
A który ci powierzył, tegoś wypchnął z domu.
Piękne bo to zlecenie! a spełnione ślicznie!
Temu się oddaj w ręce — a będzie ci dobrze.

Kallikles.

Zmuszasz mnie obelgami, Megaronidesie,
— Dla mnie rzecz niesłychana, iż co powierzone
Jest mojemu milczeniu, wierze, uczciwości,
Bym nikomu nie mówił, ni uczynił jawnem, —
Iż koniecznie powierzyć już ci teraz muszę.

Megaronides.

Wiedz, że co mnie powierzysz, jakbyś rzucił w wodę.

Kallikles.

Obejrzyj się do koła, ażeby nas jaki
Świadek tu nie podsłuchał — a obejrzyj dobrze.

Megaronides.

Słucham cię, co mi powiesz.

Kallikles.

Milczysz, to więc powiem.
Kiedy ztąd za granicę wyjeżdżał Charmides,
Skarb mi wskazał w tym domu — tu w jednym pokoju —
Lecz oglądaj się dobrze.

Megaronides.

Tu nie masz nikogo.

Kallikles.

Około trzech tysięcy Filipów,* a płacząc
Zaklinał mnie na przyjaźń, na uczciwość moją,

* Mniéj więcéj to samo co luidory: pieniądze złote bite za Filipa króla Macedońskiego.

Abym jego synowi tego nie powiedział,
I nikomu, przez kogo mógłby się dowiedzieć.
A teraz, gdy powróci, oddam mu w całości,
Jeśli go zaś co spotka, znajdzie córka jego,
Którą on mi powierzył, taki przecież posag,
Iż ją jakoś uczciwię będę mógł dać za mąż.

Megaronides.

Bogowie nieśmiertelni! Jakże kilku słowy
Prędko mnie przerobiłeś! Inny tu przyszedłem,
Ale jako zacząłeś, mówże, proszę, daléj.

Kallikles.

Cóż ci mam daléj mówić? Czy jak to ladaco
Mądrość ojca i moją wierność i to wszystko,
Co on przezornie ukrył, ledwie że nie zniszczył?

Megaronides.

Jakże to?

Kallikles.

Gdy przez jedne sześć dni byłem na wsi,
Bezemnie, bez méj wiedzy i bez mojéj rady
Ogłosił on publicznie, że chciał ten dom sprzedać.

Megaronides.

Wielki miał wilk apetyt i paszczę rozdziawił, —
Czaił się, a kiedy pies był pogrążon we śnie,
Zamierzał całą trzodę z sobą uprowadzić.

Kallikles.

I byłby to uczynił zaiste, gdyby pies
Nie był tego przewidział. Lecz teraz z kolei
Ja ciebie pytać będę. Mów co miałem robić?
Czy miałem mu skarb wskazać przeciw woli ojca
I mimo jego prośby? Czy miałem dozwolić,
Ażeby domu tego został inny panem,
Któryby razem z domem kupił skarb ukryty?

Ja raczéj dom kupiłem i dałem pieniądze
Z przyczyny tego skarbu, bym go cały oddał
Przyjacielowi memu. Lecz go nie kupiłem
Dla siebie i dla zysków — tak, tylko dla niego
Za me własne pieniądze. To jest, co się stało;
Czy dobrze, czy przewrotnie — o to już nie pytam.
Wyznaję, żem to zrobił, Megaronidesie.
Taka więc moja zbrodnia, taka moja chciwość!
Czy dla tych moich czynów tak źle o mnie mówią?

Megaronides.

Dosyć już pokonałeś swego gromiciela,
I usta mu zamknąłeś: nie mam co powiedzieć.

Kallikles.

Teraz ja ciebie proszę, abyś mi dopomógł
Swoją radą i czynem i ażebyś ze mną
Zechciał się obowiązkiem moim tu podzielić.

Megaronides.

Obiecuję ci pomoc.

Kallikles.

Gdzież cię znajdę późniéj?

Megaronides.

W domu.

Kallikles.

Czy masz co jeszcze?

Megaronides.

Pamiętaj o słowie.

Kallikles.

Z pewnością.

Megaronides.

Jeszcze słówko.

Kallikles.

Mów.

Megaronides.

Gdzie mieszka teraz
Młodzieniec?

Kallikles.

Dom sprzedając wymówił dla siebie
Oficynę.

Megaronides.

Już dobrze; tyle wiedzieć chciałem.
Jeszcze słówko.

Kallikles.

Co powiesz?

Megaronides.

Czy panna przy tobie?

Kallikles.

Jest; chowam ją u siebie, jakby własną córkę.

Megaronides.

Dobrze robisz.

Kallikles.

Nim pójdę, chcesz jeszcze co wiedzieć?

Megaronides.

Bądź zdrów. (Kallikles odchodzi) Nie masz zaiste nic ani głupszego,
Nic więcéj błazeńskiego, ani kłamliwszego,
Ani gadatliwszego, ani zuchwalszego,
Nic coby skorszem było do krzywoprzysięztwa,
Jak owe zbijobruki, których plotkarzami
Nazywają; a jednak i ja do ich cechu
Należę, iż dawałem ucho ich szalbierstwom.

Wszystko oni chcą wiedzieć, chociaż nic nie wiedzą;
Co kto ma w głębi duszy, lub mieć ma — już wiedzą.
Wiedzą to, co królowéj król mówił na ucho,
Wiedzą o czem mówiła Junona z Jowiszem,
Co się ani nie stanie, ani się nie stało,
To oni jednak wiedzą. Za nic sobie mają,
Czy słusznie, czy niesłusznie chwalą albo ganią,
Byle tylko wiedzieli, co im się podoba.
Cały świat już tu mówił o tym Kalliklesie,
Że to człowiek niegodny i siebie i państwa,
Ponieważ wyzuł tego młodzieńca z majątku.
Ja tedy oszukany plotkarzy słowami
Skoczyłem przyjaciela najniewinniéj karcić.
Gdybyśmy dochodzili plotki aż do źródła,
A pogardą i słowy plotkarzy karali,
Któryby nazwać nie mógł źródła swoich wieści,
Byłoby państwu dobrze. Bo gdyby tak było,
Niewieluby wiedziało to, czego nie wiedzą,
I trzymaliby język za zębami.

Akt drugi.

SCENA I.

Lizyteles.

Wiele rzeczy rozbieram naraz w mojem sercu,
I te myśli sprawiają mi wiele boleści.
Niepokoję się, męczę, trapię i usycham;
Serce jest mi tu panem oraz dręczycielem.
Ale to mi nie jasne, ni dosyć wyraźne,
Którą z dwóch pójdę drogą i którą z nich będę
Uważał za pewniejszą w prowadzeniu życia,
Czy mam służyć miłości, czyli też zyskowi;

Z któréj mi strony więcéj życie się uśmiecha
Słodkiemi rozkoszami? To mi nie dość jasne. (zamyśla się)
— Chyba że tak uczynię: — zbadam obie strony,
Będę sędzią i stroną zarazem w téj sprawie.
Tak zrobię — tak jest dobrze. Tedy przedewszystkiem
Rozwiążę wszelkie sztuczki i sidła miłości.
Miłość innych nie nęci w swe zwodnicze sieci,
Tylko tych, których dusza zarażona żądzą.
Tych ona wabi, ściga, tym podstępnie schlebia,
Daje im chytre rady, okrada ich, kłamie,
Robi łakotnisiami, uczy ich chciwości,
Wykwintności, próżności, odziera ich, psuje,
Przywodzi do ubóstwa, skrytych rzeczy szuka.
Bo skoro tylko całus przeszyje jak strzała
Tego, który się kocha, prędko się rozpłynie
I rozejdzie majątek: „Daj mi to, gołąbku,
Daj, jeżeli mnie kochasz.“ Na to ów gołąbek:
„Chętnie, moja duszyczko i co tylko zechcesz,
Więcéj jeszcze, dostaniesz.“ Teraz go już skubie,
A żąda coraz więcéj — nigdy nie ma dosyć,
Chociaż je, chociaż pije i wydatki robi.
Noc jednę mu poświęca — służby za tem hurma:
Szatna, fryzjer, klucznica, służba wachlarzowa,*
Służące do pantofli, śpiewaczki, subretki,
Lokaje i laufrowie, darmozjady, sępy.**
A tak sam, kiedy wszystkim dogadza i daje,
Dokocha się ubóstwa. To więc gdy rozważam
I myślę, w jakiéj cenie ten, który jest w biedzie:
Precz odemnie miłości! ja ciebie znać nie chcę,
Ty mi się nie podobasz, chociaż to jest miło
Biesiadować i hulać. Miłość bo ci daje
Niemiłego zadosyć, więcéj niż potrzeba;

* Rzymskie panie i elegantki miewały na około siebie całe pułki niewolnic i służebnic, z których każda miała inny wydział i inne obowiązki służby względem pani swojéj.

** W oryginale jest: raptores panis et peni.

Ona rynku unika,* odgania swych krewnych,
Unika swego wzroku — nikt nie chce uchodzić
Za twego przyjaciela. Wszystkiemi sposoby
Gardzić trzeba miłością, odpychać, wstrzymywać!
Bo kto się w miłość rzucił, ginie wiele gorzej,
Niż kto skoczy ze skały. A więc precz, miłości!
Z daleka bądź odemnie! O! nie będziesz nigdy
Ty moją przyjaciółką! Są jednakże tacy,
Których ty usidliwszy, męczysz i mordujesz.
Całą duszą do cnoty chcę się przeto zwrócić,
Chociaż z nią bardzo wiele mozołu mieć będę.
Dobrzy ludzie bo dążą do majątku, sławy,
Do czci, do zaufania i do poważania,
To jest dobrych nagrodą. Wolę z poczciwymi
Żyć więc ludźmi w przyjaźni, niż z złymi łgarzami.

SCENA II.

Filto. Liziteles.

Filto.

Gdzież to z domu tak prędko wyleciał ten człowiek?

Liziteles.

Ja tu jestem mój ojcze, rozkaż, czego żądasz,
A uczynię natychmiast, kryć ci się nie będę.

Filto.

Zgodnie z swoim zwyczajem postępować będziesz,
Gdy mnie, ojca, czcić będziesz. Jeśli mnie więc kochasz,
Pamiętajże mój synu, abyś z złymi ludźmi
Nie wdawał się w rozmowę ani na ulicy,
Ani nigdy na rynku. O znam ja bo dobrze
Nasze czasy, jakich to one obyczajów.
Zły chce, ażeby dobry był złym, jemu równym;
Źli cnotę podkopują, psują cny obyczaj;
Chciwość tylko panuje, zazdrość i chęć łupu,

* Rynku t. j. obowiązków obywatelskich.

Nic u nich nie jest święte, każdą własność państwa
Uważa za prywatę ta drapieżna tłuszcza.
Nad tém ja ubolewam, to mnie trapi strasznie.
Dla tego ci powtarzam, synu, we dnie, w nocy,
Byś się miał na baczności. Sądzą, że to tylko
Ściągnąć im nie jest wolno, czego ręką sięgnąć
Nie mogą, ale z resztą kradnij, łup, uciekaj!
Gdy na to wszystko patrzę, łzy się do ócz cisną,
Iż ja się takich ludzi doczekać musiałem,
I prędzéj nie spocząłem w ojców naszych grobie;
Bo chwalą oni dawne obyczaje przodków,
Ale brudzą zarazem to, co wychwalają.
Temi obyczajami, proszę cię, mój synu,
Nie napawaj swéj duszy, ani im nie hołduj,
Lecz żyj moim sposobem, przodków obyczajem,
Czyń to, co ja ci mówię. Gardzę zwyczajami
Pozornie układnemi, przewrotnemi w sobie,
Któremi dobrzy ludzie sami siebie hańbią.
Jeśli te moje rady i rozkazy przyjmiesz,
Wtenczas wiele dobrego w twéj duszy zamieszka.

Lizyteles.

Zawsze ja od dzieciństwa aż do tego czasu
Słuchałem twych rozkazów i nauk, mój ojcze.
Wedle mojéj skłonności myślałem, żem wolny,
Ale wedle twéj woli miałem się za twego.
Uważałem za słuszne, aby wolę moją
Poddać pod twe rozkazy i być ci posłusznym.

Filto.

Jeśli człowiek z skłonnością od dzieciństwa walczy,
Czyby miał postępować, jak mu ona radzi,
Czy jak radzą rodzice albo jego krewni,
A skłonność weźmie górę — o, wtenczas już po nim;
Już on odtąd nie sobie, lecz skłonności służy.
Lecz jeżeli on weźmie górę nad skłonnością,
Żyć będzie, bo zwycięztwo odniósł najpiękniejsze.

Jeżeli i ty wziąłeś nad skłonnością górę,
A nie skłonność nad tobą, masz się z czego cieszyć.
Bo lepiéj jeśli jesteś, jakim być winieneś,
Niż jakimbyś się twojéj podobał skłonności.
A zawsze za uczciwszych uchodzą ci ludzie,
Którzy skłonność, niż których skłonność zwyciężyła.

Lizitetes.

Zawsze to uważałem dla mojéj młodości
Za najlepszą obronę, bym nigdy tam nie był,
Gdzie złe ma swe mieszkanie, bym w nocy nie chodził
Poza domem i abym nie brał nic nikomu.
I o to się starałem z całą usilnością,
Abym tobie, mój ojcze, nie robił zmartwienia;
A wszystkie twe rozkazy czciłem przez powolność.

Filto.

Czemuż się z tego chełpisz? Co dobrze zrobiłeś,
Uczyniłeś dla siebie samego, nie dla mnie.
Moje życie na schyłku, więc co ci mówiłem,
Ciebie tylko dotyczy. Ten tylko jest dobry,
Który o tém nie myśli, jak jest dobrym, zacnym;
Kto sobie się podoba, — dobrym, zacnym nie jest.
Dobre czyny pokrywaj innemi dobremi,
Aby przez nie nic ciekło. * Kto sam sobą gardzi,
W tym tylko są prawdziwéj zacności zarody.

Lizitetes.

Dla tego tylko, ojcze, mówiłem ci o tém,
Ponieważ chcę cię właśnie o jednę rzecz prosić.

Filto.

Mów co chcesz, bardzo chętnie zadość ci uczynię.

* Lizitetes nie ma się chwalić z dobrego swego postępowania, ale ma zawsze dobrze czynić — jak tu powiada, ma czyn dobry innym czynem pokrywać.

L i z i t e l e s.

Chcę oto młodzieńcowi z szlachetnego rodu,
Memu przyjacielowi i rówiennikowi,
Który zbyt nierozważnie swój majątek stracił,
Dopomódz, jeśli, ojcze, będzie twoja wola.

F i l t o.

Chyba z swego?

L i z i t e l e s.

A z mego, gdyż wszystko co twoje,
Jest zarazem i mojem, a co moje, twojem.

F i l t o.

Cóż to, czy on jest w biedzie?

L i z i t e l e s.

Tak jest.

F i l t o.

Czy miał własność?

L i z i t e l e s.

Miał.

F i l t o.

I na czém ją stracił? Może na dzierzawie
Podatków i dochodów? * czy na handlu morskim?
Był kupcem? czy handlował też niewolnikami?

L i z i t e l e s.

Wcale nie.

F i l t o.

Na czém przecież?

* W Rzymie wypuszczano podatki i stałe dochody państwa ludziom pojedyńczym albo stowarzyszeniom.

Lizitele s.

Na dobroci serca.
A potém — stracił także nieco na zabawy.

Filto.

Bardzo po przyjacielsku opisałeś tego,
Który nie bez swéj winy utracił majątek,
I znajduje się w biedzie. Z tego się nie cieszę,
Że z człowiekiem cnót takich zostajesz w przyjaźni.

Lizitele s.

Ponieważ jest bez złości, chciałbym mu dopomódz.

Filto.

Nie wielką ma zasługę około żebraka
Ten, co mu jeść, pić daje; gdyż i sam to traci,
Co mu daje, i jemu przedłuża tém życie,
A z niém i nędzę jego. Mówię to nie temu,
Ażebym się nie zgadzał na to, czego żądasz,
I nie chętnie uczynił. Lecz kiedy ci mówię
To o owym człowieku, daję ci przestrogę,
Abyś się nad innymi tylko tak litował,
Iżby nie litowali inni się nad tobą.

Lizitele s.

Lecz teraz go opuścić, nie dać mu pomocy
W nieszczęściu, wstyd mnie wielki.

Filto.

Tak, ale się wstydzić,
Lepiéj jest, niż się biedzić, choć brzmienie dość równe *

Lizitele s.

Ależ my z łaski bogów, przez zasługę przodków,
I twoją, drogi ojcze, mamy bogactw dużo. —
Poczciwie zarobionych. Więc jeśli uczynisz

* W oryginale jest pudere, pigere.

Dobrze przyjacielowi, nie żałujże tego;
Lecz raczéj się wstydź tego, jeśli nie uczynisz.

Filto.

Jeżeli z wielkich bogactw ujmiesz co, czy wtenczas
Zwiększą się; czy zmniejszą?

Liziteles,

Umniejszą, mój ojcze,
Lecz czy wiesz, czego życzą obywatelowi
Skąpemu? „Co masz teraz, obyś tego nie miał.
A czego teraz nie masz, obyś miał: niedolę,
Kiedy nie dbasz o siebie ani téż o drugich.“

Filto.

Wiesz o tém, że tak mówią, lecz pamiętaj, synu,
Że ten nie jest usłużnym, który nie ma tego,
Czemby mógł innym służyć.

Liziteles.

Ależ my, mój ojcze,
Mamy przez łaskę bogów na potrzeby nasze,
I tyle, by iść w pomoc przyjaciołom naszym.

Filto.

Zaiste twym życzeniom nie uczynić zadość
Nie mogę; ale powiedz śmiało swemu ojcu,
Komu w biedzie chcesz pomódz?

Liziteles.

Ot Lesbonikowi,
Młodemu Charmidesa synowi — tu zaraz.

Filto.

Który stracił co jego i to, co nie jego?

Liziteles.

Nie obwiniaj go, ojcze, gdyż często się dzieje
To wedle naszéj woli, to znów przeciw woli.

F i l t o.

O, ty kłamiesz, mój synu, a czynisz to teraz
Nie po swoim zwyczaju, gdyż mądry jest sprawcą
Sam jeden swego losu; więc jeśli się stanie
Co przeciw jego woli, sprawca złym być musi.

L i z i t e l e s.

Kto chce być dobrym sprawcą swojego żywota,
Potrzebuje wielkiego bardzo doświadczenia;
A on jest jeszcze młodym.

F i l t o.

Mądrość się nabywa
Nie przez wiek, lecz charakter, wiek tylko zaprawą
Jest zawsze dla mądrego, mądrość wieku strawą.
Ale — cóż mu dać myślisz?

L i z i t e l e s.

Wcale nic, mój ojcze,
Tylko mi nie przeszkadzaj wziąść, co on mi daje.

F i l t o.

A ulżysz jego biedzie, wziąwszy co od niego?

L i z i t e l e s.

Tak, mój ojcze.

F i l t o.

Toć naucz mnie tego sposobu.

L i z i t e l e s.

I owszem! Czy wiesz o tém, z jakiego on rodu?

F i l t o.

Wiem, jest z bardzo dobrego.

Lizitele s.

Ojcze, on ma siostrę,
Dorosłą, piękną pannę — z nią się chcę ożenić.

Filto.

Bez posagu?

Lizitele s.

A tak, bez.

Filto.

Ożenić?

Lizitele s.

Ożenić.
Bez własnego uszczerbku wyrządzisz przysługę
Jemu przez to największą, a pomódz nie możesz
Lepiéj mu w żaden sposób.

Filto.

Miałżebym pozwolić,
Ażebyś żonę pojął całkiem bez posagu?

Lizitele s.

O pozwólże, mój ojcze, a w ten sposób dodasz
Sławy naszéj rodzinie.

Filto.

Mógłbym wiele nauk
Uczonych ci powiedzieć wymownemi słowy,
Gdyż dawnych wielu rzeczy pomna starość moja.
Ale ponieważ widzę, że przyjaźń i wdzięki
Znęcasz w dom nasz, choć byłem przeciwnego zdania,
Zgadzam się i pozwalam; staraj się i ożeń.

Lizitele s.

Niech ci Bogowie zapłacą! — Lecz jeszcze o jedno
Chcę cię prosić.

F i l t o.

To jedno?

L i z i t e l e s.

Powiem ci, mój ojcze.
Idź do niego, oświadcz mnie, zyskaj przyzwolenie.

F i l t o.

Cóż jeszcze?

L i z i t e l e s.

Lotem skończysz, a co ty uczynisz,
Będzie już zapewnione. Jedno twoje słowo
Więcéj będzie w téj sprawie znaczyć, niż sto moich.

F i l t o.

Oto przez moją dobroć narobiłem sobie.
Ależ dobrze.

L i z i t e l e s (ściskając ojca.)

Mój ojcze! — Toć oto dom jego —
Tu mieszka — Lesbonik się nazywa — więc daléj
Do roboty! Ja w domu będę cię wyglądał.

SCENA III.

F i l t o sam.

Nie najlepsza to sprawa — i nie po méj myśli,
Zawsze jednak jest lepsza, niż inna najgorsza.
To jedno mnie pociesza, duszę rozwesela,
Że który nic innego, jak co się podoba
Tylko jemu samemu, do skutku chce przywieść,
Przeciwko woli syna napróżno się biedzi.
Nadręczy się nieborak, nic jednak nie zrobi.
Gorzkie tylko na starość robi sobie chwile,

Kiedy burzę gwałtowną niepotrzebnie ściąga.
Lecz ot, dom się otwiera, do którego szedłem.
Wybornie — to Lesbonik ze sługą wychodzi.

SCENA IV.

Lesbonik, Stazimos, Filto (na stronie.)

Lesbonik.

Jeszcze nie dwa tygodnie, jak od Kalliklesa
Odebrałeś czterdzieści min na dom sprzedany;
Wszakże tak, Stazimosie?

Stazimos.

Jak się zdaje, prawda.

Lesbonik.

Cóż się stało z pieniędzmi?

Stazimos.

Zjedzone, przepite,
Wydane na olejki, utopione w łaźni,
Mają je teraz: rybak, piekarz, rzeźnik, kucharz,
Ogrodnicy, olejkarz, ptasznik — prędko po nich!
Jak gdybyś na mrowisko porzucił garść maku.

Lesbonik.

Lecz na to nie wydano z pewnością min sześciu!

Stazimos.

A co dałeś dziewczętom?

Lesbonik.

I to już wliczyłem.

Stazimos (ironicznie.)

A to, co ja ukradłem?

Lesbonik.

Tak, to najważniejsze.

Stazimos.

Jeśli dobrze policzysz, to się nie pokaże,
Chyba że ci się zdaje, iż twoje pieniądze
Są skarbem nieprzebranym (do siebie.) Zapóźno i głupio! —
Co dawniéj był powinien robić, — robi teraz;
Zmarnowawszy majątek, bierze się do kredki.

Lesbonik (po chwili rachując.)

Jednakże w żaden sposób liczba się nie zgadza.

Stazimos.

O, liczba już się zgadza — pieniądz się rozkulnął.
Odebrałeś czterdzieści min od Kalliklesa,
A on za to od ciebie dom nabył przez kupno.

Lesbonik.

Prawda.

Filto (na stronie)

Przebóg, jak widzę, to krewny dom sprzedał!
A ojciec, gdy powróci, zamieszka za drzwiami,
Jeżeli wleźć nie zechce w brzuch swemu synowi.

Stazimos.

Tysiąc drachm olimpijskich,* któreś został winien
Z rachunku, zapłaciłeś przecież bankierowi.

Lesbonik.

Które mu obiecałem —

* Jest to na naszą monetę 1.200 złotych.

Stazimos.

Które zapłaciłem, —
Które za poręczeniem przymuszony byłeś
Zapłacić za owego młodzieńca, co ci się
Bogatym być wydawał.

Lesbonik.

A tak, tak się stało.

Stazimos.

Tak, straciłeś pieniądze.

Lesbonik.

Tak, — i to się stało, —
Bo go w biedzie widziałem i żal mi go było.

Stazimos.

Innych bo ty żałujesz, siebie nie żałujesz,
Ani się też nie wstydzisz.

Filto (do siebie)

Teraz czas wystąpić.

Lesbonik.

Czy to tam Filto idzie? Tak, on — nie kto inny.

Stazimos (do Lesbonika.)

Na bogi! chciałbym go mieć niewolnikiem moim
Z całym jego majątkiem.

Filto.

I pana i sługę,
Lesbonika, Stazima uniżenie Filto,
Pozdrawia.

Lesbonik.

Szczęść ci Boże we wszystkiem, Filtonie,
Czego tylko zapragniesz. Co syn twój porabia?

Filto.

Pragnie szczęścia twojego.

Lesbonik.

Ja nawzajem jego.

Stazimos (do siebie)

To czcze tylko jest słowo: „pragnie szczęścia twego,“
Jeżeli jest bez czynu. I ja sobie pragnę
Być wolnym, — lecz napróżno. A ten może pragnąć,
Ażeby był oszczędnym — lecz to tylko mrzonka.

Filto.

Mój syn mnie tu przysyła, ażebym skojarzył
Pomiędzy nim i wami węzeł pokrewieństwa
I przyjaźni; bo z siostrą chce się twą ożenić.
I ja się na to zgadzam, tego sobie życzę.

Lesbonik.

Ja ciebie nie poznaję — drwisz sobie z nieszczęścia
Mego, sam będąc w szczęściu.

Filto.

Jam człowiek, tyś człowiek.
Zaklinam cię na Bogi — nie przyszedłem tutaj,
Aby sobie drwić z ciebie — bo to rzecz niegodna.
Ale, jak ci mówiłem, syn mnie o to prosił,
Ażebym go oświadczył tobie o twą siostrę.

Lesbonik.

Moich spraw położenie mnie znane najlepiéj,
Moje siły się wcale z twemi nie zgadzają.
Poszukaj zatém sobie innego krewieństwa.

Stazimos (do Lesbonika.)

Czy ty przy zdrowych zmysłach, czy masz rozum w głowie,

Że gardzisz tą ofiarą? Widzę bowiem jasno,
Że to jest nasz przyjaciel z gotową rezerwą. *

Lesbonik (do Stazima.)

Idź sobie odemnie.

Stazimos.

Gdybym szedł, broniłbyś.

Lesbonik.

Jeśli Filto innego nie miał interesu,
To odpowiedź już słyszał.

Filto.

Myślę, Lesboniku,
Że się późniéj łaskawszym względem mnie okażesz;
Bo działać nierozsądnie, nierozsądnie gadać,
Są rzeczy, Lesboniku, teraz nie na czasie.

Stazimos.

Zaiste prawdę mówi.

Lesbonik.

Oko ci wyłupię,
Jeżeli słówko piśniesz.

Stazimos.

Jednak mówić będę,
A jeśli tak nie wolno — to choć z jednem okiem.

Filto (do Lesbonika.)

To więc jest twoje zdanie, iż się twój majątek
I twe siły z naszemi nie zgadzają wcale?

* W oryginale jest: amicus erentarius. Wyraz ferentarius wzięty z języka wojskowego, a znaczył lekką jazdę, którą wódz posełał w to miejsce, gdzie w czasie boju zwycięstwo było zachwiane.

Lesbonik.

Tak, to jest moje zdanie.

Filto.

A cóż powiesz na to:
Przypuszczam, że przyszedłeś na jaką biesiadę
I przypadkiem tam także przyszedł jaki bogacz;
Biesiadę zastawiają, jak mówią ludową, *
A dla niego potrawy stawiają klienci;
Gdyby ci się co z tego, co oni przynieśli,
Podobało, czy jadłbyś, czybyś też z bogatym
Leżał przy jednym stole poszcząc i o głodzie?

Lesbonik.

Gdyby mi on nie bronił, jadłbym.

Stazimos,

Ja przeciwnie,
Nawet choćby mi bronił, jadłbym i pochłaniał,
Gębę wypakowawszy; a coby się jemu
Najwięcéj podobało, jabym mu zabierał,
I niebym nie ustąpił mu z mojego życia. **
Skromnym być nie przystoi nikomu przy stole,
Gdyż tam idzie o prawo i boskie i ludzkie.

Filto.

Masz prawdę.

Stazimos.

Bez ogródki wypowiem ci wszystko:
Ja mu ustąpię z drogi, a nawet ze ścieżki,
Gdzie idzie o zaszczyty, — lecz gdzie o brzuch idzie,
Nie ustąpię na włosek, chyba mnie kułakiem

* Biesiady ludowe urządzano w Rzymie często przy rozmaitych okolicznościach: zastawiano wtenczas stoły zwyczajnie w świątyniach a klienci zastawiali stół dla swych patronów.

** Z mojego życia t. j. czegoby mi było potrzeba do uprzyjemnienia życia.

Pokona, bo biesiada przy takiéj drożyznie, —
To dziedzictwo bez ofiar i bez obowiązków. *

Filto.

Myśl zawsze i pamiętaj o tém, Lesboniku,
Że najlepszem z wszystkiego jest, byś był najlepszym,
A jeżeli nie możesz, abyś był najbliższym
Tych, którzy są najlepsi. A teraz ci życzę,
Abyś me oświadczenie. z którem tu przychodzę,
Wedle tego, jak proszę, przyjął, Lesboniku.
Bogowie są bogaci, w bogów rękach siła
I majątki; — my ludzie — słabi, niedołężni,
Dostaliśmy w udziale odrobinkę życia, **
A gdy to nas opuści, czy bogacz, czy żebrak,
Tam już nad Acherontem gdy zmarli staniemy, ***
Wszystkim nam jedną miarą sprawiedliwość mierzą.

Stazimos.

Pewniebyś chciał bogactwa na tamten świat zabrać!
Kiedy będziesz umarłym, bądź w całem znaczeniu.

Filto.

A teraz, abyś wiedział, że tutaj nie chodzi
O kary i majątek, i że twą przyjaźnią
My wcale nie gardzimy, proszę cię o siostrę
Bez posagu dla syna. Błogosławcie bogi!
Czy mi ją obiecujesz? I dla czegóż milczysz?

Stazimos.

Bogowie nieśmiertelni, jakiż to interes!

* Dziedzictwa, mianowicie większe, były często połączone z obowiązkami znacznych ofiar i bardzo kosztonych, które przy pewnych okolicznościach i w pewne uroczystości dziedzice bogom składać musieli.

** W oryginale mamy: salillum animai — jakoby sólniczkę tchu. duszy.

*** To jest po śmierci — na tamtym świecie.

Filto.

Mówże już: „obiecuję, — błogosławcie bogi!“

Stazimos.

Gdzie było bez pożytku, tam on obiecywał;
Tu, gdzie tego potrzeba, obiecać nie umie.

Lesbonik.

Wdzięczny jestem, Filtonie, że mnie uważacie
Za godnego, aby się krwią ze mną połączyć.
Lecz chociaż przez głupotę bardzo zawiniłem, —
Mam jednakże pod miastem jeszcze kawał gruntu —
Dam go siostrze w posagu; gdyż przez mą głupotę
Zostało mi to tylko jeszcze oprócz życia.

Filto.

Lecz ja nie chcę posagu.

Lesbonik.

Ale ja go dać chcę.

Stazimos (do Lesbonika na ucho.)

To więc chcesz mamkę naszą, tę, która nas żywi,
Pozbyć? Strzeżże się tego! Cóż my jeść będziemy?

Lesbonik.

Milczże mi! Czyż ja tobie mam rachunki składać?

Stazimos (do siebie)

Zginęliśmy, jeżeli nie wymyślę czego!
Filto, chcę z tobą mówić.

Filto.

Czegóż chcesz, Stazimie?

Stazimos.

Ustąp nieco na stronę.

Filto.

Cóż chcesz?

Stazimos.

W tajemnicy
Chcę tobie coś powiedzieć, lecz niech się nie dowie
Ni on, ni też kto inny.

Filto.

Możesz mówić śmiało.

Stazimos.

Na bogi i na ludzi ciebie upominam,
Ażebyś gruntu tego nigdy nie nabywał
Dla siebie, ni dla syna. Przyczynę ci powiem.

Filto.

Mówże, chętnie cię słucham.

Stazimos.

Oto przedewszystkiem,
Kiedy się ziemię orze, upadają woły
Już na piątym zagonie.

Filto.

Do kata!

Stazimos.

A potém
Są drzwi na naszym gruncie, przez które się wchodzi
Prosto do Acherontu. Daléj jeszcze — wino
Gnije już, zanim jeszcze dojrzałe zupełnie.

Lesbonik (do siebie)

Namawia go, jak myślę; — chociaż łotr jest z niego,
Lecz mi nie jest niewiernym.

Stazimos.

Ale słuchaj daléj.
Kiedy żniwo gdzieindziéj wszędzie najobfitsze,
Zbierasz z niego zaledwie trzecią część wysiewu.

Filto.

A toby na nim trzeba zasiewać występki,
Możeby przez wysiewy zmarniały do szczętu.

Stazimos.

I nie znajdziesz nikogo z dawnych właścicieli,
Któryby na nim nie był wyszedł jak najgorzéj:
Ten poszedł na wygnanie, tamten nędznie zmarniał,
A inny się powiesił; — jego pan ostatni
Patrz, jak resztkami goni!

Filto.

Za ten grunt dziękuję.

Stazimos.

O, bardziéj podziękujesz, gdy usłyszysz wszystko.
Bo tam co drugie drzewo trafione piorunem;
Świnie tam na ślinogon padają straszliwie,
Owce zaparszywiałe, gołe jak ta ręka,
A nareszcie ze Syrów — lud to najwytrwalszy —
Nie dożyje tam żaden szóstego miesiąca.
Tak wszyscy marnie giną od upału słońca.

Filto.

Wierzę ci, mój Stazimie, ale lud Kampanów
Przechodzi w wytrwałości o wiele lud Syrów. *
Lecz grunt ten, wedle tego, co od ciebie słyszę,
Dobrym jest, by do niego posełało państwo
Wszystko, co złe i zbrodniarz. Jak mówią o wyspach,
Na które się zbierają ci błogosławieni,

* Jest to ironicznie powiedziane.

Którzy tutaj na świecie w uczciwości żyli,
Takby tam wypadało wysyłać zbrodniarzy,
Kiedy grunt ten tak straszne ma własności swoje.

S t a z i m o s.

Jest to gospoda nieszczęść — cóż tu więcéj mówić?
Co tylko szukasz złego, tam to wszystko znajdziesz.

F i l t o.

Znajdziesz je nie tam tylko, ale i gdzieindziéj.

S t a z i m o s.

Lecz pamiętaj, nie mów mu, żem ci to powiedział.

F i l t o.

Tajemnicy dochowam.

S t a z i m o s.

On bo go się pragnie
Pozbyć, gdyby się znalazł, kogoby mógł orznąć.

F i l t o.

Moją już on własnością z pewnością nie będzie.

S t a z i m o s.

Jeżeli mądrym jesteś. (do siebie) Zaprawdę, że zgrabnie
Odstraszyłem starego od naszego gruntu.
Bo gdyby go utracił, marlibyśmy z głodu.

F i l t o.

Powracam Lesboniku.

L e s b o n i k.

Powiedzże mi, proszę,
Co on mówił do Ciebie?

Filto.

Co myślisz? To człowiek —
Chciałby wolność odzyskać, a nie ma wykupu.

Lesbonik.

Ja chciałbym być bogatym, a pragnę napróżno.

Stazimos (do siebie.)

Mógłeś być, gdybyś był chciał, teraz już nie możesz,
Ponieważ nic już nie masz.

Lesbonik.

Co mruczysz, Stazimie?

Stazimos.

To, co właśnie mówiłeś, że byłbyś bogatym,
Gdybyś był chciał, a teraz chcesz, — lecz już za późno.

Filto.

Co się tyczy posagu, ze mną się nie zgodzisz,
Ułóż się więc z mym synem, jak ci się podoba.
Teraz proszę o rękę twéj siostry dla syna.
„Pobłogosławcie Bogi" (po chwili) Cóż? jeszcze się wahasz?

Lesbonik.

Dobrze więc, kiedy tak chcesz: Bogi błogosławcie!
Ja ci siostrę zaręczam.

Filto.

Zaiste nikomu
Nie urodził się jeszcze syn tak pożądany,
Jak mnie się urodziło to twoje: „zaręczam."

Stazimos.

Bogowie dadzą szczęście tym układom waszym.

Filto.

Tego pragnę!

L e s b o n i k.

Stazimie, idź do mojéj siostry,
Do Kallikla i powiedz, jaki stanął układ.

S t a z i m o s.

Pójdzie się.

L e s b o n i k.

I powinszuj szczęścia mojéj siostrze.

S t a z i m o s.

Rozumie się.

F i l t o.

Chodź ze mną teraz, Lesboniku,
Ażebyśmy dzień ślubu już wyznaczyć mogli,
I resztę załatwili.

L e s b o n i k.

Ty zrób, com ci kazał —
Ja tu zaraz powrócę. Powiedz Kalliklowi,
Że chciałbym się z nim widzieć.

S t a z i m o s.

Już dobrze, idź tylko.

L e s b o n i k.

Niech myśli o posagu i — czego potrzeba.

S t a z i m o s.

Idź już tylko.

L e s b o n i k.

Bo pewna, że jéj bez posagu
W żaden sposób nie wydam.

S t a z i m o s.

Ależ idź już przecie.

Lesbonik.

I na to nie pozwolę, aby —

Stazimos.

Ależ idź już.

Lesbonik.

Przez moją lekkomyślność ona miała szkodę.

Stazimos.

Idź już przecie.

Lesbonik.

O ojcze, słusznem się być zdaje,
Ażeby moje grzechy —

Stasimos.

Ależ idź już przecie.

Lesbonik.

Mnie najwięcéj szkodziły.

Stazimos.

Idźże!

Lesbonik.

O mój ojcze,
Czyż cię kiedy zobaczę?

Stazimos.

Idź już, — idź już, idź już!

(Lesbonik i Filto odchodzą.)

Nareszcie dokazałem, że poszedł. Bogowie,
Przy wszystkich klęskach naszych to przynajmniéj dobre,
Że grunt uratowany; — chociaż rzecz nie pewna,
Co to z tego wszystkiego jeszcze teraz będzie.
Lecz jeśli go stracimy — stracę moją głowę.
W świat wyszedłszy, przyjdzie mi nosić za nim tarczę,

Hełm, tłumoki, gdyż z miasta ucieknie on pewnie,
Gdy będzie po weselu, pójdzie ztąd gdziekolwiek
Choć na złamanie karku; będzie szukał służby
Wojskowéj albo w Azyi, albo téż w Cylicyi.
Pójdę, gdzie mi kazano, choć mi dom ten przykry,
Odkąd on nas wykurzył z naszego mieszkania.

Akt trzeci.

SCENA I.

Kallikles. Stazimos.

Kallikles.

Co ty mówisz, Stazimie, syn twojego pana
Lesbonik dziś zaręczył komu siostrę swoję?

Stazimos.

A tak jest.

Kallikles.

I komuż to zaręczył ją przecie?

Stazimos.

Ot Liziteleso wi, synowi Filtona —
Bez posagu.

Kallikles.

Co znowu? Da ją bez posagu
W dom tak bardzo bogaty? Nie chce mi się wierzyć.

Stazimos.

I owszem, nie wierz sobie; jeśli ty nie wierzysz,
To ja wierzę z pewnością. —

Kallikles.

Co?

Stazimos.

Że nie dbam o to.

Kallikles.

Gdzież, — kiedyż się to stało?

Stazimos.

Właśnie tu przed domem,
„Teraz“ mówią w Preneste. *

Kallikles.

Więc Lesbonik w biedzie
Widać jest rozsądniejszym, jak gdy był zamożnym.

Stazimos.

A nawet, co ci powiem, że sam Filto przyszedł,
Aby prosić za synem.

Kallikles.

Zaiste, że hańba
Będzie to dla dziewczęcia, jeśli nie dostanie
Posagu. A na koniec, widzę to doprawdy,
Że cały ten interes na me barki spada.
Pójdę teraz do tego, który mnie tak karcił
I poproszę, aby mi w téj sprawie poradził. (Odchodzi.)

Stazimos.

Dla czego on tak spieszy? — prawie się domyślam —
Tak, jakoś to miarkuję: chce on Lesbonika

* Plaut szydząc z języka Prenestynów, który miał być wedle Noniusza bardzo szorstkim, używa tu wyrazu tammodo w znaczeniu: dopiero co. W języku naszym nie znam wyrażenia, któreby było gminne, a znaczyło to samo.

Pozbawić jego gruntu, jak pozbawił domu.
Charmidesie, mój panie, jak pod nieobecność
Twoją tu twój majątek rozrywają sobie!
Obym cię w zdrowiu widział powracającego,
Byś na nieprzyjaciołach mógł się twoich pomścić,
A mnie mógł wynagrodzić za tak stałą wierność!
Bardzo trudną jest rzeczą znaleźć przyjaciela,
Godnego takiéj nazwy, któremubyś własność
I majątek mógł powierzyć, a spać bez obawy.
Ale tam widzę oto dwóch szwagrów ze sobą, *
Nie całkiem się zgadzają pewnie między sobą.
Idą krokiem pospiesznym. Ten tam za płaszcz trzyma
Tego, który jest przed nim. W pozycyi nie bardzo
Przyzwoitéj stanęli. Ja ustąpię na bok.
Pragnę bowiem wysłuchać rozmowę dwóch szwagrów.

SCENA II.

Liziteles. Lesbonik. Stazimos na boku.

Liziteles.

Stańże — nieodwracaj się — nie kryj się przedemną.

Lesbonik.

Dla czegóż mnie nie puszczasz, dokąd iść zamierzam?

Liziteles.

Puszczę cię, Lesboniku, jeżeli pożytek
Dla ciebie, dla twéj sławy, albo dla imienia
Jaki ztąd ma wyniknąć.

Lesbonik.

Co jest najłatwiejsze,
Czynisz.

* Generum i.o trum — cum affini suo.

Liziteles.

Cóż takiego?

Lesbonik.

Krzywdę przyjacielowi.

Liziteles.

Ani tego nie umiem, ani to mój zwyczaj.

Lesbonik.

Jakże ją nie umiejąc umiejętnie robisz!
Cóżby to zatem było, jakżebyś ją robił,
Gdyby cię kto był uczył, przykrość mi wyrządzać!
Udając, że mi czynisz dobrze, źle mi czynisz,
I złą mi dajesz radę?

Liziteles.

Co zaś ja?

Lesbonik.

A tak, ty.

Liziteles.

A cóż ja złego robię?

Lesbonik.

Robisz czego nie chcę.

Liziteles.

Idzie mi o twe dobro.

Lesbonik.

Może nawet więcéj
Niżeli mnie samemu? Dosyć mam rozumu,
I dosyć sam pojmuję, czego mi potrzeba.

Liziteles.

Ale czyż to jest rozum — gardzić dobrodziejstwem
Przyjaciela?

Lesbonik.

Ja tego nie zwię dobrodziejstwem,
Co się temu, któremu czynisz, niepodoba.
Wiem ja i sam to czuję, com czynić powinien,
I znam me obowiązki, a twojemi słowy
Nie skłonisz mnie do tego, bym głosem ogółu
Pogardzał.

Liziteles.

Co ty mówisz? Dłużéj już nie mogę
Wstrzymać się, bym nie skarcił ciebie jak należy.
Czyż na to ci przodkowie zostawili sławę,
Ażebyś to, co oni przez cnotę nabyli,
Najhaniebniéj zmarnował? Czy, abyś potomkom
W ich imieniu zostawił niezatartą skazę?
Twój ojciec i dziadowie uczynili tobie
Drogę łatwą i gładką do czci i znaczenia,
A ty ją uczyniłeś trudną własną winą,
Lenistwem i tak głupim twym sposobem życia.
Tak, ty dałeś pierwszeństwo rozkoszy przed cnotą,
I myślisz, że twe błędy teraz tém pokryjesz?
Wcale nie! Lecz zagarnij do twojego serca
Cnotę, a wygnaj z duszy twojéj precz lenistwo.
Służ twoim przyjaciołom na rynku, przed sądem,
A nie swym przyjaciołkom, jak to zwykłeś czynić.
Dla tego to ja pragnę i usilnie żądam.
Grunt ten tobie zostawić, byś miał jaki środek
Do poprawienia siebie, a obywatele,
Twoi nieprzyjaciele, ażeby nie mogli
Obrażać cię i gardzić tobą dla ubóstwa.

Lesbonik.

Wszystko to, co mówiłeś, wiem ja bardzo dobrze,
A nawet mógłbym dodać, że majątek ojca
I sławę moich przodków okryłem niesławą.
Com powinien był czynić, dobrze to wiedziałem,
Alem czynić nie umiał. Tak siłą Wenery

Zwyciężony, lenistwem zdjęty, wpadłem w przepaść.
Tobie bardzo dziękuję wedle zasług twoich.

Lizitel es.

Lecz tego znieść nie mogę, że zabiegi próżne,
Że ty słowy mojemi w swém sercu pogardzasz;
Zarazem tém się martwię, że masz mało wstydu.
A nareszcie, jeżeli mnie nie zechcesz słuchać,
I uczynić, co mówię, zostaniesz w ukryciu .
Na zawsze, a honory szukać cię nie będą.
Zawsze będziesz w ciemnicy, chcąc być na widowni.
Znam ja, mój Lesboniku, dobrze twój charakter.
Wiem, że ty nie grzeszyłeś z własnéj swojéj woli,
Lecz że miłość twe serce uczyniła ślepem;
A miłości znam dobrze wszystkie kręte ścieżki.
Bo taką to jest miłość: trafia jako pocisk;
Nic nie jest takie prędkie, ni tak prędko leci;
W głowie ludziom przewraca, robi kapryśnymi;
To jéj się nie podoba, co się więcéj radzi,
A to, co się odradza, właśnie się podoba;
Kiedy się czego nie ma, pragnie się posiadać;
A kiedy się posiada, wtenczas mieć się nie chce;
Kto odradza, ten radzi, kto radzi, zabrania.
U Kupidyna goście wielkie to szaleństwo.
Lecz ja cię upominam, byś pilnie rozważał,
Co uczynić zamyślasz. Jeśli usiłujesz
Uczynić, co mi mówisz, w ród swój rzucasz ogień.
Aby płomień ugasić, będziesz szukał wody,
A jeśli ją dostaniesz — jako zakochani
Są w swem sercu przebiegli — nie zostawisz pewnie
Ani jednéj iskierki, by twój ród zaiskrzał. *

* Myśl Lizitelesa jest taka: Jeżeli grunt, który masz, oddasz siostrze, wtenczas przyprowadzisz rodzinę twoją do ostatniéj biedy; będziesz wtenczas żałował i będziesz szukał środków naprawienia złego, a gdy opuścisz miasto, nie zostanie nic po tobie, z czegoby mógł ród twój odżyć.

Lesbonik.

Ale ją łatwo znaleźć, bo ognia dostaniesz
Choć od nieprzyjaciela. Jednak ty mnie karcąc
Za moje przewinienia — na gorszą pchasz drogę.
Radzisz, bym bez posagu dał ci moją siostrę:
To przecież nie przystoi, bym ja zmarnowawszy
Tak wielką ojcowiznę, miał jeszcze majątek
I posiadał folwarki — a ona by w biedzie
Słusznie mną pogardzała. Kto nie ma znaczenia
U swoich, nigdy mieć go u obcych nie będzie.
Zrobię, jak powiedziałem, dłużéj się nie mozol.

Liziteles.

To więc ma być lepsze, byś z przyczyny siostry
Biedę znosił i abym ja raczéj posiadał
Grunt, niż ty, na którymbyś obowiązki pełnił?

Lesbonik.

Nie chcę, byś o tém myślał, jak ulżyć méj biedzie;
Lecz myśl, ażebym w biedzie nie był bez honoru,
Ażeby nie mówiono, że ci siostrę moją
Oddałem na kochankę, całkiem bez posagu,
A nie na prawą żonę. Któż za podlejszego
Mógłby być uważanym? Takiéj wieści rozgłos
Przyniósłby tobie zaszczyt, a mnie pohańbienie;
Gdybyś wziął bez posagu, twąby cześć podnosił,
Dla mnie byłby zarzutem przynoszącym hańbę.

Liziteles,

Myślisz być dyktatorem, jeśli grunt ten przyjmę? *

* W tém pytaniu jest ironia Lesbonik sądzi, że gdyby nie dał gruntu siostrze w posagu. że toby mu przyniosło hańbę. Liziteles zaś uważając, iż tylko posiadanie tego gruntu może go od zupełnéj zagłady uchować, pyta: więc gdy gruntu mieć nie będziesz, czyż myślisz dojść najwyższéj w państwie godności?

Lesbonik.

Ani chcę, ani pragnę, ani myślę o tém;
Lecz dla męża honoru to jest celem życia,
Aby o obowiązkach swych zawsze pamiętał.

Liziteles.

Co ty myślisz, przeczuwam, widzę, wiem, zgaduję;
Tego pragniesz ażebyś po zawarciu związku
Przekazawszy mi folwark, nie mając żyć z czego,
Goły z miasta się wyniósł, opuścił ojczyznę,
Krewnych, blizkich przyjaciół, skoro się ożenię;
Aby ludzie sądzili, żeś ztąd jest wygnanym
Przezemnie i mą chciwość. Ale nie myśl o tém,
Ażebym ja dozwolił, iżby wina tego
Na mnie kiedy spaść miała. Któż za podlejszego
Mógłby być uważanym? Takiéj wieści rozgłos
Przyniósłby tobie zaszczyt, a mnie pohańbienie;
Gdybym ją wziął z posagiem, twąby cześć podnosił,
Dla mnie byłby zarzutem przynoszącym hańbę,

Stazimos.

Nie mogę się już wstrzymać, abym nie zawołał:
Brawo! Brawo! Dacapo! mój Lizitelesie,
Przy tobie jest zwycięztwo, a ten zwyciężony.
Oto twoja komedya ma palmę zwycięztwa.
Ten lepiéj treść rozwinął, robi lepsze wiersze.
Chcesz bronić swego głupstwa? Wystrzegaj się kary!*

* o wykrzyknięcie Stazima odnosi się do ostatnich wierszy Lizitelesa, które są dosłownem prawie powtórzeniem słów Lesbonika. Stazimos, żartując sobie wys ępuje tu jakoby sędzia pomiędzy dwoma aktorami, którzy się ubiegają między sobą o zwycięztwo: a ponieważ jest po stronie Lizitelesa, przyklaskuje mu; Lesbonikowi zaś, jako pokonanemu radzi, aby ustąpił, jeżeli nie chce odebrać kary, na jaką aktorowie w Rzymie narażeni byli.

Lesbonik.

Zkąd tobie tu się mięszać i wciskać do rady?

Stazimos.

Jak się tutaj wcisnąłem, tak się i wycisnę. (idzie na bok.)

Lesbonik (do Lizitelesa.)

Chodź, pójdziemy do domu. Tam, Lizitelesie,
Więcéj mówić będziemy jeszcze o tych rzeczach.

Liziteles.

Ukradkiem, potajemnie nic czynić nie zwykłem.
Co myślę, wypowiadam. Jeśli twoją siostrę,
Jak za słuszne uważam, bez posagu wezmę,
A ty ztąd nie wyjedziesz, wtenczas to, co moje,
Będzie razem i twojem. Jeśli tego nie chcesz,
Niech ci się jak najlepiéj we wszystkiem powodzi,
Ale ja przyjacielem pod innym warunkiem
Nigdy twoim nie będę. To jest moje zdanie. (Lesbonik odchodzi)

Stazimos.

Ten więc doprawdy odszedł! Słuchaj, jedno słówko
Tylko chcę z tobą mówić, mój Lizitelesie. (Liziteles odchodzi.)
Więc i ten sobie poszedł! Jesteś sam Stazimie.
Cóż ja teraz mam począć? Uwinę tobołek,
Zawieszę tarcz na plecy, trzewiki podbiję,
Gdyż ustać już nie mogę. Wyraźnie to widzę,
Że będę obozowym ciurą niezadługo,
Gdy królowi jakiemu mój pan się wynajmie
Na wypas. Jestem pewien, że z najdzielniejszymi
Bohaterami będzie on wybornym zbiegiem.
I ten zdobycz tam weźmie, który panu memu
Odważy się zajść drogę. Lecz ja, skoro wezmę

Łuk i sajdak i strzały, hełm wsadzę na głowę,
Spokojnie w mym namiocie snu używać będę.
Teraz pójdę na rynek odebrać ten talent,
Który przed sześciu dniami komuś pożyczyłem,
Ażebym miał na podróż potrzebne nadrożne.

(Odchodzi.)

SCENA III.

Megaronides. Kallikles.

Megaronides.

Jak ty mi opowiadasz rzecz tę, Kalliklesie,
Trzeba będzie obmyśleć posag dla dziewczyny.

Kallikles.

Zaiste, bo z honorem prawie się nie zgadza,
Ażebym miał pozwolić pójść za mąż dziewczynie
Bez posagu, gdy w domu chowam jéj majątek.

Megaronides.

Tak, posag jest gotowy, jeśli czekać nie chcesz,
Ażeby ją brat wydał za mąż bez posagu.
Potem idź do Filtona i oświadcz, że posag
Chcesz jéj dać, że to czynisz przez przyjaźń dla ojca.
Ale tego się lękam, by ta obietnica
Na ciebie nie ściągnęła oszczerstw i oskarżeń.
Powiedzą, żeś nie darmo łaskawym dla panny,
Że posag masz od ojca téj, któréj go dajesz,
Że z niego jesteś hojnym, że go nie oddajesz
Tak, jak był tobie danym, lecz żeś go uskubnął.
A gdybyś chciał zaczekać na powrót Charmida,
Trwałoby nazbyt długo — Lesbonikby drapnął.

Kallikles.

I mnie już przychodziło to wszystko do głowy.

Megaronides.

Rozważmy, czy nie lepiéj i nie pożyteczniéj
Lesbonika pouczyć, jak się rzeczy mają.

Kallikles.

Co? ja miałbym skarb wydać temu wietrznikowi
Rozpustnemu, — swywoli, miłości pełnemu!
O bynajmniej, bynajmniéj! Wiem bowiem z pewnością,
Że nawet miejsce owo, w którem skarb złożony,
Pożarłby wraz ze skarbem. By dźwięku nie słyszał,
Wykopać go się lękam; a gdybym powiedział,
Że dam posag, boję się, by rzeczy nie śledził.

Megaronides.

To więc cóż uczynimy?

Kallikles.

Potajemnie może
Posag być wydobytym przy danéj okazyi,
Tymczasem zaś uproszę pieniędzy na posag
Którego z mych przyjaciół.

Megaronides.

Czy masz przyjaciela,
Któregobyś uprosił?

Kallikles.

Mam.

Megaronides.

Żarty! Z pewnością
Tę odpowiedź usłyszysz: „Na bogi, że nie mam,
Cobym ci mógł pożyczyć.“

Kallikles.

Wolałbym zaiste,
Abyś mi prawdę mówił, niż abyś pożyczył.

Megaronides.

Lecz słuchaj moję radę jeśli się podoba.

Kallikles.

Mów; jaka twoja rada?

Megaronides.

Jak mi się wydaje,
Mądrą radę znalazłem.

Kallikles.

I cóż to takiego?

Megaronides.

Ot, najmijmy człowieka jak można najprędzéj,
Jakoby tu był obcym.

Kallikles.

Cóż daléj z nim robić?

Megaronides.

Przebierzemy go zaraz w sposób zagraniczny,
Damy mu powierzchowność nieznaną i obcą,
Nigdy tu niewidzianą; będzie łgarz, zuchwały.

Kallikles.

Potem cóż daléj jeszcze?

Megaronides.

Jakoby z Seleucii
Od ojca do młodzieńca przybył z pozdrowieniem,
Z wiadomością, że żyje, że mu zdrowie służy,
Że mu się dobrze wiedzie i że wkrótce wróci.
A będzie miał dwa listy, my je podpiszemy —

Jakby były od ojca; jeden da onemu, —
Drugi, powie, że tobie ma oddać.

Kallikles.

Mów daléj.

Megaronides.

Powie też, że od ojca przynosi pieniądze,
Jako posag dla córki, i że ojciec kazał
Pieniądze tobie oddać. Teraz już rozumiesz?

Kallikles.

Tak prawie i z największą słucham ciekawością.

Megaronides.

Nareszcie więc pieniądze oddasz młodzieńcowi,
Skoro już panna wnijdzie z nim w małżeńskie śluby.

Kallikles.

Zaiste bardzo mądrze!

Megaronides.

Tak gdy skarb wykopiesz,
Oddalisz podejrzenie od tego młodzieńca;
Będzie myślał, że złoto przysłane od ojca,
A ty je weźmiesz z skarbu.

Kallikles.

Tak dobrze i mądrze,
Chociaż ja w moim wieku wstydzę się szalbierstwa.
Lecz gdy listy przyniesie zapieczętowane
— A z pewnością przyniesie zapieczętowane —
Czy myślisz, że młodzieniec nie rozpozna znaku
Ojcowskiego sygnetu?

Megaronides.

Ale bądź spokojny;
Tysiąc różnych wykrętów wynaleść możemy:

Zgubił oto swój stary, kazał zrobić nowy.
Jeśli listy nie będą zapieczętowane,
To możemy powiedzieć, że je przy rewizyi
Otworzono, czytano. Zresztą o tych rzeczach
Mówić, czas się zabija, a szkoda jest czasu,
Chociażby długo można rozmowy przewłóczyć.
Idźże teraz nieznacznie do twojego skarbu,
Oddal sługi i dziewki i — słyszysz?

Kallikles.

Cóż jeszcze?

Megaronides.

Staraj się, by twa żona nie wiedziała o tem,
Gdyż ona tajemnicy dochować nie umie.
Czemuż stoisz? Idźże już, a ruszaj się prędzéj.
Odkop skarb i wydobądź złota, ile trzeba.
I zaraz go znów zagrzeb — ale potajemnie,
Jako ci zaleciłem, wygnaj wszystkich z domu.

Kallikles.

Tak zrobię.

Megaronides.

Ale my tu gawędzim za długo,
Czas tylko marnujemy, kiedy ta rzecz nagli.
O pieczęć się nie boję niczego, bądź pewny.
Dobra jest ta przyczyna, którą ci wspomniałem:
Że powiemy, iż listy przerewidowano.
A zresztą, czy nie widzisz, jaka już dnia pora?
Co sobie o nim myślisz? Wedle trybu życia,
Wedle swego zwyczaju, jest teraz pijany,
Łatwo go więc oszukać, zwłaszcza że posłaniec
Powie, iż coś przynosi dla niego od ojca,
A nie na to przychodzi, aby żądał czego.

Kallikles.

Dobrze.

Megaronides.

Ja więc na rynku wynajmę szalbierza,
Dwa te listy napiszę i opieczętuję
A potem przyślę go tu już do Lesbonika
Dobrze wykrzesanego.

Kallikles.

Ja idę do niego, —
Ty pamiętaj o swojem.

Megaronides.

Dobrze, mój gaduło.

Akt czwarty.

SCENA I.

Charmides.

Potężnemu mórz władzcy, bratu niebieskiego
Jowisza, Neptunowi składam wesół dzięki,
Cześć i chwałę, toż morskim wodom, w których
Byłem ja i me mienie, okręt i me życie,
Iż mnie wyprowadzają z granic państwa swego
Z powrotem do ojczyzny w mury mego miasta.
A tobie przed wszystkimi innymi bogami,
Neptunie, składam dzięki największe; gdyż wszyscy
Nazywają cię srogim, okrutnym i chciwym,
Plugawym i straszliwym, nieznośnym i wściekłym,
A jam cię innym poznał; bo cichym, łagodnym,
Całkiem wedle méj woli miałem cię na morzu.
Lecz o téj twojéj sławie słyszałem już dawniéj,
Że ty zwykłeś ubogich ludzi zaoszczędzać,

A bogatych potępiać i dumę ich skracać.
To ja chwalę, że ludzi traktować potrafisz,
Bo tak się bogom godzi; dla biednych proszących
Bywałeś zawsze względnym i wiernym, jakkolwiek
Niewiernym cię nazwali. Wiem to bardzo dobrze,
Iż bez ciebie byliby mnie trabanci twoi*
Biednego rozerwali, roznieśli po morzu
Okrutnie i majątek cały rozsypali
Razem ze mną daleko na siwych bałwanach,
Bo już stali jakby psy dokoła okrętu. —
Burze, wichry, ulewa, bałwany i szturmy
Groźne złamały maszty, wywróciły reje,
Porozrywały żagle — lecz tyś zesłał pokój.
Teraz już precz odemnie! — gdyż postanowiłem
Odtąd sobie wypocząć. Dosyć już zebrałem.
A ile zniosłem trudów zbierając bogactwa
Dla syna! — Ale kto ten, który oto wchodzi
Na ulicę w tym nowym stroju i odzieży?
Chociaż tęsknię za domem, zatrzymam się tutaj,
Ażeby się dowiedzieć, jaki ma interes.

(ustępuje na stronę)

SCENA II.

Szalbierz. Charmides.

Szalbierz.

Dzień ten nazwę Trojakiem, gdyż usługę moją
Sprzedałem za trojaka dziś do chytrych sprawek.
Przybywam ze Seleucyi, z Azyi, z Macedonii,
Z Arabii, choć ich oczy moje nie widziały,
Ni noga tam postała. Patrz! do czego bieda
Niejednego biedaka zachęca i zmusza!
Ot ja dziś za trojaka widzę się zmuszonym
Mówić, że odebrałem te listy od męża,

* Bałwany, wiatry, burze.

Którego wcale nie znam, nie wiem kto on taki,
Nie wiem nawet na prawdę, czyli się urodził.

Charmides.

Ten należy z pewnością do rodzaju grzybów,
Cały głową nakryty,* — zwierzchu Illyryjczyk,
Za tem mówi strój jego.

Szalbierz.

Ten, który mnie najął,
Zabrał mnie, skoro najął, ze sobą do domu,
Powiedział mi, czego chciał, nauczył, pokazał,
Jak wszystko miałem zrobić. Jeśli ja co dodam,
Tym większą mój najemca będzie miał zabawę.
Jak mnie ubrał, tak jestem. Pieniądze to robią.
Ubranie wziął z teatru na swoje ryzyko,**
Ja się teraz postaram czy mi się nie uda
O strój ten go przyprawić, aby on sam uczuł,
Że jestem doskonałym zupełnie szalbierzem.

Charmides.

Im się więcéj przyglądam, tym mniéj twarz człowieka
Tego mi się podoba. Jest on niezawodnie
Albo nocnym złodziejem, albo rzezimieszkiem;
Opatruje miejscowość, wkoło się ogląda,
Domy sobie uważa. Myślę, że dla tego
Rozpatruje te miejsca, iż wnet kraść tu przyjdzie.
Tym więcéj chęć mnie bierze patrzeć, co on robi.

Szalbierz.

To miejsce oznaczył tentam mój najemca;
Przy tym domu szalbierstwo moje się ma udać.
Więc zapukam.

* Ma bowiem na głowie ogromny kapelusz podróżny.

* W oryginale mamy: a Chorago haec sumpsit suo periculo; t. j. od tego, który był naczelnikiem i nauczycielem choru. On miał téż pod swoim dozorem wszystkie sprzęty i ubiory teatralne.

Charmides.

Patrz, oto wprost na nasz dom idzie.
Zaiste, jak się zdaje, muszę tu przybywszy
Przepędzić noc na straży.

Szalbierz. (pukając)

Otwórzcie! otwórzcie!
He! czy jest kto przy bramie?

Charmides.

Czego chcesz młodzieńcze?
Czego szukasz i czemu tak kołaczesz do drzwi?

Szalbierz.

Już mnie tu oceniono, starcze, kiedym zdawał
Cenzorowi rachunek.* Szukam Lesbonika
Młodzieńca, gdzieby mieszkał, i drugiego jeszcze
Z głową siwą, jak twoja, zowie się Kallikles,
Jak mi mówił ten człowiek, który dał te listy.

Charmides. (do siebie)

On tu szuka mojego syna Lesbonika
I przyjaciela mego, Kallikla, któremu
Poleciłem me dzieci i cały majątek!

Szalbierz.

Gdzie mieszkają ci ludzie, powiedzże mi, ojcze.

Charmides.

Dla czego? zkąd przychodzisz, zkąd i kto ty jesteś?

Szalbierz.

Za wiele pytań na raz — na co wprzód odpowiem?

* Obcy przybywający do Rzymu musiał stawać przed cenzorem i oświadczyć, po co przybył, zkąd, w jakim interesie itd a ponieważ cenzor oświadczenie to odbierał pod przysięgą, dla tego nazywał się censor jurator. Szalbierz więc powiada: już ja cenzorowi powiedziałem mój interes, więc tobie nie potrzebuję.

Jeżeli mnie zapytasz o każde z osobna,
A spokojnie, dowiesz się o mojem nazwisku,
O moich interesach i o moich drogach.

Charmides.

Uczynię tak, jak żądasz. Powiedz mi więc najprzód
Twe nazwisko.

Szalbierz.

Zaczynasz od potężnéj rzeczy

Charmides.

Dla czego?

Szalbierz.

Bo jeśli i przed wschodem słońca
Iść zaczniesz od pierwszego nazwiska mojego,
Nie dojdziesz do końca około północy.

Charmides.

Do twego więc nazwiska potrzeba pochodni
I pieniędzy nadrożnych, jak z słów twoich wnoszę.

Szalbierz.

Mam drugie maleneczkie, jak naczyńko winne.

Charmides. (do siebie)

Wyraźnie to jest szalbierz. (głośno) Powiedz mi młodzieńcze —

Szalbierz.

Co takiego?

Charmides.

Powiedz mi, czy są ci co winni
Ludzie, których tu szukasz?

Szalbierz.

Ot ojciec młodzieńca

Lesbonika oddał mi te tutaj dwa listy,
A jest mym przyjacielem.

Charmides. (do siebie)

Ha! schwyciłem ptaszka!
Ja mu miałem dać listy! Już ja cię nauczę!

Szalbierz.

Czy chcesz dalej uważać?

Charmides.

Mów, mów, ja uważam.

Szalbierz.

Lesbonikowi ten tu list oddać mi kazał,
A ten tu drugi rozkazał dać Kalliklesowi.

Charmides. (do siebie)

Kiedy on żarty stroi, będę i ja stroił.
(głośno) A gdzież on się znajdował?

Szalbierz.

Dobrze mu się wiodło.

Charmides.

Ale gdzie był?

Szalbierz.

W Seleucii.

Charmides.

I on ci je wręczył?

Szalbierz.

On własną swoją ręką dał mi je do ręki.

Charmides.

A jakże on wygląda?

Szalbierz.

Na półtoréj stopy
Może dłuższy od ciebie.

Charmides. (do siebie)

W tem sęk, jeślim dłuższy
Za granicą, niż w domu. (głośno) A czy go ty znałeś?

Szalbierz.

Śmieszne twoje pytanie — toć z nim co dzień jadam.

Charmides.

A jakże się nazywa?

Szalbierz.

Jak poczciwy człowiek.

Charmides.

Jednakże chciałbym słyszeć.

Szalbierz.

On się zowie — zowie —
O ja biedny!

Charmides.

No, i cóż?

Szalbierz.

W téj chwili nazwisko
Nierozsądny połknąłem.

Charmides.

Nie podoba mi się,
Kto ma swoich przyjaciół pomiędzy zębami.

Szalbierz.

Lecz ja miałem je teraz właśnie na języku.

Charmides. (do siebie)

Tego wczas wyprzedziłem!

Szalbierz. (do siebie)

Otoż jestem w łapce!

Charmides.

Czyś je sobie przypomniał?

Szalbierz.

Wstyd bogów i ludzi!

Charmides.

Patrz, jak go dobrze znałeś!

Szalbierz.

Jak siebie samego.
Tak się to zwykle dzieje, że się konia szuka,*
Kiedy się na nim siedzi. Przypomnę je sobie
Po literze — zaczyna się od K.

Charmides.

Kallijas?

Szalbierz.

Nie.

Charmides.

Kallipus?

Szalbierz.

I to nie.

Charmides.

Więc Kallidemides?

* Quod in manu teneas atque oculis videas, id desideres.

S z a l b i e r z.

I to nie.

C h a r m i d e s.

Kallinikus.

S z a l b i e r z.

Też nie.

C h a r m i d e s.

Kallimarchus?

S z a l b i e r z.

Też nie — lecz mniejsza o to, — dość — wiem je dla siebie.

C h a r m i d e s.

Ale tu Lesboników jest wielu, jeśli więc
Nie powiesz nazwy ojca, nie mogę ci wskazać
Tych ludzi, których szukasz. Powiedz jak brzmi ono?
Może je odgadniemy.

S z a l b i e r z.

Brzmi tak oto na Char —

C h a r m i d e s.

Więc może Charidemus — Chares lub Charmides?

S z a l b i e r z.

Otóż to! — niech go kaci!

C h a r m i d e s.

Dawnom ci je mówił.
Ale przyjacielowi trzeba raczéj życzyć
Szczęścia, niż go przeklinać.

S z a l b i e r z.

Że mi się to ukrył
Ten ladaco pomiędzy zęby i językiem!

C h a r m i d e s.

Alež nieobecnego nie szarp przyjaciela!

S z a l b i e r z.

A czemuż się ten hultaj tak przedemną ukrył?

C h a r m i d e s.

Gdybyś go po imieniu był wezwał, byłby ci
Z pewnością odpowiedział. Ale gdzież on teraz?

S z a l b i e r z.

Zostawiłem go właśnie ot u Radamanta. —
Tam na wyspie Cekropii.

C h a r m i d e s. (do siebie)

Któż głupszy odemnie,
Który się sam o siebie pytam, kędy jestem?
Lecz to tu nic nie szkodzi. (głośno) Powiedzże mi jeszcze. —

S z a l b i e r z.

Co?

C h a r m i d e s.

To, o co cię pytam. W jakich byłeś krajach?

S z a l b i e r z.

O, w niezmiernie cudownych!

C h a r m i d e s.

Powiedz — jeśli łaska.

S z a l b i e r z.

I owszem, bardzo chętnie. Więc przyjechaliśmy
Najprzód tedy do Pontu, do ziemi Arabskiéj —

C h a r m i d e s.

No, no, to więc nad Pontem jest także Arabia?

Szalbierz.

Jest — nie ta, gdzie kadzidło rodzi się, lecz piołun
I saturja kokosza.

Charmides. (do siebie)

A to mi frant chytry!
Alem jeszcze mniéj mądry, że go o to pytam,
Zkąd wracam — co wiem dobrze — a on tego nie wie.
Chyba że chcę zobaczyć, jak daleko dojdzie.
(głośno) Jakie twoje nazwisko?

Szalbierz.

Pac mnie nazywają,*
To nazwisko codzienne.

Charmides.

Zaiste frantowskie:
Właśnie jakobyś mówił, gdybym ci co zwierzył:
„Pac! już wszystko przepadło!,“ Lecz dokądże daléj
Przyszedłeś jeszcze potem?

Szalbierz.

Chcesz wiedzieć, toć powiem.
Aż do źródła téj rzeki, co z nieba wypływa
I z pod tronu Jowisza.

Charmides.

Z pod tronu Jowisza?

Szalbierz.

A tak, tak, nie inaczéj.

* W oryginale: Pax.

Charmides.

I z nieba?

Szalbierz.

Tak, z środka.

Charmides.

Co? to nawet do nieba wstąpiłeś?

Szalbierz.

Na czołnie
Płynęlim wciąż pod wodę.

Charmides.

Toś widział Jowisza?

Szalbierz.

Poszedł, jak reszta bogów mówiła, na folwark,
Aby żywność rozdzielić pomiędzy parobków,
Daléj —

Charmides.

Daléj już nie chcę.

Szalbierz.

O, i ja też nie chcę,
Jeśli mnie chcesz obrażać.

Charmides.

Bo ten jest bezwstydny,
Kto wstępował do nieba.

Szalbierz.

Dobrze, kiedy tak chcesz,

Ale wskaż mi tych ludzi, których tutaj szukam,
Którym listy mam oddać.

Charmides.

A cóż powiesz na to?
Jeżelibyś przypadkiem spostrzegł Charmidesa,
Który, jak ty powiadasz, doręczył ci listy,
Czybyś go też ty poznał?

Szalbierz.

Czy myślisz, żem zwierzę?
Nie miałbym tego poznać, z którym całe życie
Spędziłem? A on byłby tak głupi, iżby mi
Powierzył tysiąc złotych Filipów z rozkazem
Oddania ich synowi i Kalliklesowi
Jego przyjacielowi, któremu, jak mówił,
Cały zwierzył majątek? Czyżby mi powierzył,
Gdyby on nie znał dobrze mnie, a ja też jego?

Charmides (do siebie.)

Ha, teraz obszalbierzę ja tego szalbierza,
Jeżeli z niego wykpię te tysiąc Filipów,
Które ja mu dać miałem — a nie znam go wcale
I nigdy nie widziałem go aż do téj chwili.
Jam mu złoto powierzył, któremubym nie dał
Złamanego szeląga, choćby szło o życie!
Lecz zręcznie zajść go trzeba! (głośno) Pac, jeszcze trzy słowa.

Szalbierz.

I trzysta.

Charmides.

Czy masz złoto, ktore ci dał Charmides?

Szalbierz.

I to jeszcze w Filipach swoją własną ręką
Wyliczył mi na stole aż tysiąc sztuk złota.

Charmides.

I to od Charmidesa samego dostałeś?

Szalbierz.

Czy myślisz, że od dziada, albo od pradziada,
Którzy już nie są żywi.

Charmides.

Daj mi te pieniądze.

Szalbierz.

Jakie mam dać pieniądze?

Charmides.

Które, jak powiadasz,
Odebrałeś odemnie.

Szalbierz.

Odebrałem od ciebie?

Charmides.

Tak, tak, a nie inaczéj.

Szalbierz.

Ale kto ty jesteś?

Charmides.

Który ci tysiąc złotych dałem, jam Charmides.

Szalbierz.

Ty nim ani nie jesteś, ani nim nie będziesz; —
Co się złota dotyczy — precz z tobą, ty błaźnie —
Błaznować myślisz z błaznem.

Charmides.

Ja jestem Charmides.

Szalbierz.

Na nic ci się to nie zda, gdyż ja nie mam złota.
Przemądrze chcesz korzystać z danéj sposobności,
Bo kiedym ci powiedział, że mam z sobą złoto,
Zrobiłeś się Charmidem; prędzéj nim nie byłeś,
Aż wspomniałem o złocie. Ale to napróżno,
Jak się scharmidowałeś, tak się odcharmiduj. *

Charmides.

A któż ja to więc jestem, jeżeli nie jestem,
Kim jestem?

Szalbierz.

A mnie znowu cóż to ma obchodzić?
Jeśli tylko nie jesteś, kim, abyś był, nie chcę,
Bądź dla mnie, kim chcesz tylko. Dawniéj tym nie byłeś,
Kim byłeś, teraz jesteś, kim wtenczas nie byłeś.

Charmides.

Tylkoże daléj! daléj!

Szalbierz.

Co daléj?

Charmides.

Daj złoto!

Szalbierz.

Ty marzysz, starcze, we śnie.

Charmides.

Wyznałeś, że złoto
Charmides tobie oddał.

* — tu te, ut charmidatus es, rursum recharmida.

S z a l b i e r z.

Tak, mam to na piśmie.

C h a r m i d e s.

Czy pójdziesz mi natychmiast precz tu z tego miejsca,
Nocny ptaszku, nim każę wygarbować skórę?

S z a l b i e r z.

Dla czego?

C h a r m i d e s.

Gdyż ja jestem właśnie ten Charmides,
O którym mi kłamałeś, że ci dał te listy.

S z a l b i e r z.

Co, proszę, ty nim jesteś?

C h a r m i d e s.

Tak, a nie inaczéj.

S z a l b i e r z.

Mówisz więc, żeś to ty sam?

C h a r m i d e s.

Mówię.

S z a l b i e r z.

Ty sam jesteś?

C h a r m i d e s.

Ja sam, mówię, Charmides.

S z a l b i e r z.

A więc ty sam jesteś?

C h a r m i d e s.

Ja, mówię ci, sam jestem. Idź precz z moich oczu!

Szalbierz.

Ponieważ więc za późno przychodzisz tu dotąd,
Dostaniesz smarowidło wedle mego wniosku
I na rozkaz policyi. *

Charmides.

Jeszcze mnie obrażasz?

Szalbierz.

Tak jest, a że przybyłeś szczęśliwie z powrotem,
Niechaj mnie kaci porwią, jeślibym żałował,
Gdybyś był gdzie kark skręcił. Ja bo odebrałem
Płacę za moją pracę; ale ty przepadnij!
Kto jesteś, lub nie jesteś, obchodzi mnie tyle,
Co czarne za paznogciem. Ja pójdę do tego,
Który mi dał trojaka i powiem, by wiedział,
Że go stracił napróżno. Teraz więc odchodzę —
Tobie niech się źle dzieje — bądź zdrów! a bogowie
Niechże ci, Charmidesie, zaraz za powrotem
Twoim tutaj do domu przygotują zgubę.

(Odchodzi.)

SCENA III.

Charmides.

Kiedy ten sobie poszedł, mam, jak mi się zdaje,
Teraz czas i sposobność do swobodnéj mowy.
Już dawno jako kolec żgało mi to piersi,
Coby miał do czynienia tu przed moim domem.
Gdyż ów list — niemniéj owych sto Filipów złotych
Powiększa mi stokrotnie w mem sercu obawę,

* Mówi tu przez porównanie, odnosząc się z myślą tych wyrazów do traktowania aktorów, jeżeli się spóźnili z wystąpieniem na scenę.

Jaką tutaj miał czynność. Nigdy przecież bowiem
Na próżno i sam przez się dzwon żaden nie dzwoni.
Jeśli go kto nie ciągnie albo nie porusza,
Jest on niemym i milczy. Ale kto to taki,
Który tutaj z pospiechem biegnie przez ulicę.
Zobaczę, po co idzie; — ustąpię tu na bok.

SCENA IV.

Stazimos. Charmides.

Stazimos (potaczając się pijany.)

A dalejże Stazimie precz do domu pana,
Ażeby się twe plecy nie musiały lękać
Z przyczyny twéj głupoty. Podwój krok swój, spiesz się,
Bo to już bardzo dawno, jak wyszedłeś z domu.
Strzeż się, aby bizuny obficie na plecach
Twoich nie szeleściły — gdy ciebie nie będzie,
A pan cię będzie wołał; — nie ustawaj w biegu!
Patrz, jakieś ty ladaco, Stazimie, że w karczmie
Pierścień twój zapomniałeś, rozgrzewając gardziel.
Daléj, wracaj doń spiesznie, dopóki czas jeszcze!

Charmides.

Tego, ktokolwiek on jest, był nauczycielem
Żytnik;* on po swojemu chodzić go nauczył.

Stazimos.

Co? człowieku ladaco, to ty się nie wstydzisz,
Że już za trzecią szklanką odszedłeś od myśli?
Czy to może dla tego, iż tam zapijałeś
Z uczciwymi mężami, którzy po rzecz obcą

* Curculio.

Rękiby nie ściągnęli. Byli tam: Theruchus,
Cerkonikus, Kollabus, Cerkobulus, Krinnus,
Rzezimieszki, hultaje, wisielcy, smagańce.
I z pomiędzy tych ludzi chcesz wydobyć pierścień,
Z których każdy ukradnie nawet biegnącemu
Biegunowi podeszwę z własnéj jego nogi?

Charmides (do siebie.)

Na bogi! chytry złodziej!

Stazimos.

Pocóż więc mam chodzić
Za tém, co już zgubiłem? Chyba chcę trud dodać
Jeszcze do mojéj straty. Czemuż za stracone
Nie uważasz, coś stracił? Zawróćże i daléj
W nogi do twego pana!

Charmides.

To nie zbieg, bo myśli
Zawsze o swoim panu.

Stazimos.

Oby w większéj były
Czci dawne obyczaje i dawna oszczędność
Tu u nas, aniżeli zwyczaje przewrotne!

Charmides.

Na bogi! po królewsku rozprawiać zaczyna;*
Za dawnem się ogląda, kocha czasy dawne
I dawne naszych przodków chwali obyczaje.

Stazimos.

Gdyż teraz obyczaje nie pytają o to,
Co wolno, lecz co miło. Zwyczaj już uświęcił

* Basilica inceptat loqui.

Gonienie za urzędem — prawa ono nie zna.
Tarcze w boju porzucać, przed nieprzyjacielem
Uciekać, dozwolone. Za pomocą zbrodni
Gonić za zaszczytami — staje się dziś modą.

Charmides.

Haniebny to obyczaj!

Stazimos.

I to jest dziś w modzie,
Dzielnych ludzi pomijać.

Charmides.

To jest rzecz szkaradna!

Stazimos.

Tak więc zwyczaje nasze zupełnie panują
Nad prawami naszemi, które ich słuchają
Więcéj nawet, niżeli dzieci swych rodziców.
Biedne prawa przybite do ściany gwoździami
Żelaznemi, gdzie słuszniéj trzeba było przybić
Niedobre obyczaje.

Charmides.

Przystąpić do niego,
Ażeby doń przemówić, wielka chęć mnie bierze,
Ale go chętnie słucham i o to się lękam,
Aby, gdy go zaczepię, nie wszedł na rzecz inną.

Stazimos.

Prawo dla nich niczego już nie robi świętem,
Gdyż prawa służą modzie, a moda zagarnia
Do siebie święte rzeczy nie mniéj, jak publiczne.

Charmides.

Na karę zasługują takie obyczaje!

S t a z i m o s.

Czy ja to tego nie znam? Czyż często nie widzę?
Ten to zły rodzaj ludzi jest wszystkim przeciwny;
On szkodzi i dokucza całemu ludowi;
Albowiem wiary nigdzie sam nie dochowując,
Tych także jéj pozbawia, którzy nie są winni.
Gdyż swoim charakterem ich mierzą charakter.
Wszystkie te moje myśli czerpię z doświadczenia,
Jeżeli co pożyczysz, już się z tém pożegnaj;
Jeżeli się upomnisz, wtenczas za usługę
Przyjaciel zaraz będzie twym nieprzyjacielem.
Jeśli usilnie żądasz, masz tylko ten wybór,
Że stracisz, coś pożyczył, albo przyjaciela.

C h a r m i d e s.

To mój sługa Stazimos.

S t a z i m o s.

I ja pożyczywszy
Talent, nieprzyjaciela zań sobie kupiłem,
Przyjaciela sprzedałem. Lecz ja głupi jestem,
Że się tu publicznemi zajmuję sprawami
A nie moją najbliższą: by grzbiet zabezpieczyć.
Więc odchodzę do domu.

C h a r m i d e s.

Hola! stój, czy słyszysz?

S t a z i m o s.

Nie stanę.

C h a r m i d e s.

Ale ja chcę.

S t a z i m o s.

Ja nie chcę, byś ty chciał.

C h a r m i d e s.

Stazimie, nie tak hardo!

Stazimos.

Kup sobie takiego,
Któremubyś rozkazał.

Charmides.

A to też kupiłem
I dałem zań pieniądze. Jeżeli nie słucha,
Cóż tedy mam uczynić?

Stazimos.

Wybij go porządnie.

Charmides.

Zaiste dobrze radzisz, zaraz tak uczynię.

Stazimos.

Jeśli sam nie masz winy.

Charmides.

Jeżeli jest dobrym,
To ja winę przyjmuję; jeśli nie, uczynię,
Tak, jak mi poradziłeś.

Stazimos.

A cóż mnie do tego,
Czy ty masz niewolników dobrych, czy niedobrych?

Charmides.

Bo w dobrem i w niedobrem ty masz tutaj udział.

Stazimos.

To tu tobie zostawiam, tamto, to jest dobre,
Mnie tu zostaw.

Charmides.

Tak będzie, jeśliś godny tego;
Ależ się tu obejrzyj, ja jestem Charmides.

Stazimos.

Ha! kto mi tu wspomina najlepszego męża?

Charmides.

Właśnie ten mąż najlepszy.

Stazimos.

Morze, ziemio, nieba,
Bogowie pomagajcie! Czy mnie wzrok nie myli?
Jest to on, czy też nie on? (przygląda mu się.) O tak, on z pewnością!
O, witajże mi, witaj, pożądany panie!

Charmides.

Witaj mi Stazimosie!

Stazimos.

Żeś zdrów — *

Charmides.

Wiem i wierzę,
Ale nie mów już o tém — tylko mi to powiedz,
Co robią moje dzieci, którem tu zostawił,
Syn mój i moja córka?

Stazimos.

Żyją i są zdrowe.

Charmides.

Oboje?

Stazimos.

Tak, oboje.

* Myśl nie dokończona; domyślać się trzeba: cieszę się bardzo.

C h a r m i d e s.

Dzięki za to bogom!
O resztę już wypytam spokojnie tu w domu.
Wnijdźmy więc. Ty chodź za mną.

S t a z i m o s.

A gdzie panie idziesz?

C h a r m i d e s.

Gdzież, jeśli nie do domu?

S t a z i m o s.

Czy myślisz, że jeszcze
My w tym domu mieszkamy?

C h a r m i d e s.

A gdzież miałbym myśleć?

S t a z i m o s.

Już —

C h a r m i d e s.

Cóż już?

S t a z i m o s.

Ten dom nie nasz.

C h a r m i d e s.

Co mi ty powiadasz?

S t a z i m o s.

Syn go sprzedał.

C h a r m i d e s.

O przebóg!

S t a z i m o s.

I wziął zań gotówkę.

C h a r m i d e s.

A ile?

S t a z i m o s.

Min czterdzieści.

C h a r m i d e s.

O ja nieszczęśliwy!
Któż go zakupił?

S t a z i m o s.

Kallikles, któremu oddałeś
W opiekę twój majątek, sprowadził się tutaj
A nas z niego wyrzucił.

C h a r m i d e s.

A syn mój gdzie mieszka?

S t a z i m o s.

Tutaj w tym tylnym domu.

C h a r m i d e s.

O biada mi! biada!

S t a z i m o s.

Wiedziałem, że się zmartwisz taką wiadomością.

C h a r m i d e s.

Z niebezpieczeństwem życia po największych morzach
Jeździłem pośród wielu rozbójników morskich,
A szczęśliwiem ocalał i powracam zdrowy —
A tu ja nieszczęśliwy ginę oto teraz —
Z winy tych właśnie samych, dla których w tym wieku

Tyle się mozoliłem! Ah! zmartwienie wielkie
Pozbawia mnie mych zmysłów. Trzymaj mnie Stazimie!

S t a z i m o s.

Czy mam ci przynieść wody?

C h a r m i d e s.

Było jéj potrzeba,
Wtenczas, kiedy majątek mój wyziewał ducha.

SCENA V.

K a l l i k l e s. C h a r m i d e s. S t a z i m o s.

K a l l i k l e s.

Jakież to słyszę krzyki tu przed moim domem?

C h a r m i d e s.

O, to ty Kalliklesie, to ty Kalliklesie!
Jakiemuż to majątek ja przyjacielowi
Powierzyłem?

K a l l i k l e s.

Dobremu, wiernemu i wielkiéj
Uczciwości. Witajże, cieszę się, żeś zdrowy!

C h a r m i d e s.

Ja ci to wszystko wierzę, jeśli jest, jak mówisz.
Ale jakiż to ubiór?

K a l l i k l e s.

Opowiem ci zaraz:
Skarb tu wykopywałem, by posag twéj córce
Dać z niego. Ale w domu opowiem ci wszystko,
I to i inne rzeczy. Chodź ze mną.

Charmides.

Stazimie!

Stazimos.

Słucham.

Charmides.

Pobiegnij spiesznie zaraz do Pireu,
Ale biegnij jednym tchem. Tam zobaczysz okręt,
Na którym przyjechałem. Każ Sangarionowi,
By na ląd wyniesiono to, co mu oddałem.
A ty pójdziesz z nim razem. Celnik cło już dostał.

Stazimos.

Zaraz idę.

Charmides.

Idź zaraz i wracaj pospiesznie.

Stazimos.

Ja powrócę téj chwili.

Kallikles.

Ty pójdź ze mną.

Charmides.

Idę. (Odchodzą.)

Stazimos (sam.)

Ten jeden memu panu został się przyjaciel
Wierny, który nie zmienił wiary swojéj duszy,
Chociaż wiele mozołu, jak mnie się wydaje,
Miał w jego interesie i dla jego dzieci.

Akt piąty.

SCENA I.

Liziteles

(wychodzi ciesząc się.)

Widzicie tu człowieka, który przed innymi
Cieszy się wielkiem szczęściem, używa rozkoszy.
Czego tylko zapragnę, to mi się udaje,
Co czynię, powodzi się, idzie jakby z płatka;
I tak rozkosz z rozkoszy bezustannie płynie.
Teraz oto spotkał mnie Stazimos, niewolnik
Lesbonika, i mówił, że właśnie powrócił
Do domu z zagranicy pan jego Charmides.
Z nim trzeba mi się widzieć zaraz, aby ojciec
Potwierdził to, co z synem jego ułożyłem.
Idę więc. — Ale drzwi te zaskrzypnięciem swojem
Zatrzymują mnie oto — wcale nie na rękę.

SCENA II.

Liziteles (na stronie.) Charmides i Kallikles

(wychodzą z domu.)

Charmides.

Nie było i nie będzie i nie masz człowieka
Na świecie, jak ja sądzę, któregoby wierność
Równała się wierności twéj dla przyjaciela:
Gdyż bez ciebie byłby mnie z domu tego wyzuł.

Kallikles.

Jeślim przyjacielowi zrobił co dobrego
I służyłem mu wiernie, dla tego nie myślę,
Ażebym na pochwałę taką zasługiwał;
Tylkom winy uniknął. Dobrodziejstwo bowiem,
Które komu wyświadczysz, jest jego własnością.
Tego zaś, co się daje komu do użycia,
Możesz żądać z powrotem, kiedy tylko zechcesz.

Charmides.

Tak to jest. jak powiadasz. Ale ja nie mogę
Dość się temu nadziwić, że daje swą siostrę
W dom tak bardzo bogaty, Lizitelesowi,
Który jest Filta synem.

Liziteles.

Moje imię nazwał.

Charmides,

Tak, wchodzi w dom najlepszy.

Liziteles.

Czemuż nie przemawiam?
Ale lepiéj zaczekać, gdyż właśnie zaczyna
O tém mówić.

Charmides.

Ha!

Kallikles.

Cóż tam?

Charmides.

W domu zapomniałem
Jeszcze ci to powiedzieć, że kiedy przybyłem,
Zaszedł mi właśnie tutaj drogę jakiś szalbierz,

Kuty na wszystkie nogi. Ten mi opowiadał,
Że przynosi dla ciebie i dla Lesbonika
Odebranych odemnie tysiąc złotych groszy,
A ja go ani znałem, anim widział kiedy.
Ale czemu się śmiejesz?

Kallikles.

Ja go tu przysłałem,
Jakoby mi przynosił pieniądze od ciebie
Na posag dla twéj córki i ażeby syn twój
Widząc, że ja je dałem, wierzył, iż od ciebie;
Aby się nie domyślał, że twój skarb jest u mnie,
I nie mógł go odemnie jakoby dziedzictwa
Swojego po rodzicu wedle prawa żądać.

Charmides.

Bardzo mądrze zaiste!

Kallikles.

Nasz wspólny przyjaciel
Megaronides podał mi tę mądrą radę.

Charmides.

Chwalę ją i uznaję.

Liziteles (do siebie.)

Czemuż ja jak mazgaj, *
Nie chcąc przerwać ich mowy, tak osobno stoję
I nic robię, co chciałem? Przemówię więc do nich.

Charmides.

Któż się to do nas zbliża?

Liziteles.

Liziteles wita
Charmida, swego teścia.

* Quid ego ineptus — solus sto.

C h a r m i d e s.

Błogosław ci Boże!

K a l l i k l e s.

A ja nie godnyż jestem pozdrowienia twego?

L i z i t e l e s.

I owszem, Kalliklesie. Witaj mi! lecz tego
Słusznie wprzód pozdrowiłem, gdyż bliższą jest ciała
Koszula, niźli suknia. *

C h a r m i d e s

O niechże bogowie
Wszystkim waszym zamiarom powodzenie dają!
Słyszę, że córka moja z tobą zaręczona.

L i z i t e l e s.

Jeżeli ty się zgadzasz.

C h a r m i d e s.

Owszem, ja się zgadzam.

L i z i t e l e s.

To mi więc córkę swoją za żonę zaręczasz?

C h a r m i d e s.

Zaręczam i w posagu dam tysiąc Filipów.

L i z i t e l e s,

O posag się nie pytam.

C h a r m i d e s.

Jeśli się podoba
Ona tobie, musi się podobać i posag,
Który ci w dom przynosi. Zresztą nie dostaniesz

* Tunica propior pallio est.

Tego, co sobie życzysz, jeżeli nie weźmiesz
Tego, czego wziąść nie chcesz.

Kallikles.

Słuszna jego mowa.

Liziteles.

Niechże będzie, kiedy ty tak sądzisz i mówisz,
Ale pod tym warunkiem, — czyż mi obiecujesz
Dać swą córkę za żonę?

Charmides.

Obiecuję.

Kallikles.

I ja.

Liziteles.

Bądźcie mi zdrowi, krewni. (Odchodzi.)

Charmides.

Są jednakże rzeczy,
Dla których ja na ciebie mocno się gniewałem.

Kallikles.

A cóż ja ci zrobiłem?

Charmides.

Oto pozwoliłeś
Zepsuć mi się synowi.

Kallikles.

Słuszniebyś się gniewał,
Gdyby się to przez moją było stało winę.
Ale uczyń zadosyć jednéj prośbie mojéj.

Charmides.

Jakaż to?

Kallikles.

Powiem zaraz: ażebyś mu jego
Wszystkie głupstwa przebaczył. Czemuż wstrząsasz głową?

Charmides.

Serce mi się frasuje — i lękam się —

Kallikles.

O co?

Charmides.

Ażeby nie był takim, jakim go mieć nie chcę —
O to ja się frasuję; — a obawiam o to,
Abyś mnie nie uważał za obojętnego
Dla ciebie, gdybym tobie nie uczynił zadość,
Ale — niechże tak będzie — tak, jak chcesz, uczynię.

Kallikles.

Poczciwy jesteś człowiek — przywołam go tutaj.

Charmides.

Przykro mi, że przewinień nie mogę ukarać,
Jak na to zasługują.

Kallikles (pukając).

Otwórzcie! otwórzcie!
I prędko Lesbonika, jeżeli jest w domu,
Przywołajcie tu do mnie — o czém z nim chcę mówić,
Jest nagłe i nie cierpi choć najmniejszéj zwłoki.

SCENA III.

Lesbonik. Charmides. Kallikles.

Lesbonik.

Któż mnie to tu z hałasem takim wywołuje?

Kallikles.

Tobie dobrze życzliwy, dobry twój przyjaciel.

Lesbonik.

Jak się masz? czy zdrów jesteś?

Kallikles.

Zdrów i tem się cieszę,
Że ojciec twój powrócił zdrowo z za granicy.

Lesbonik.

Kto ci o tém powiadał?

Kallikles.

Ja sam.

Lesbonik.

Czyś go widział?

Kallikles.

I ty go widzieć możesz.

Lesbonik.

Witaj, ojcze, witaj!

Charmides

Pozdrawiam cię serdecznie, mój kochany synu.

Lesbonik.

Pewnieś, ojcze, wycierpiał.

Charmides.

Nic — ty się nic lękaj!
Dobrze wszystko sprawiwszy, powracam szczęśliwie.
Jeżeli chcesz być dobrym, obiecuje córkę
Dać ci swoją Kallikles.

Lesbonik.

Ożenię się, ojcze,
Choćbyś kazał i z inną.

Charmides.

Luboin zły na ciebie.

Kallikles.

Dosyć jest człowiekowi kary jedna plaga.

Charmides.

O, dla tego za mało! Bo chociażby pojął
Sobie nawet i sto żon, nie byłoby dosyć
Za jego przewinienia.

Lesbonik.

Ależ się poprawię.

Charmides.

Tak mówisz — lecz i uczyń.

Lesbonik.

Czyż mogę już jutro
Żonę w dom swój sprowadzić?

Charmides.

Tak mi się podoba.
Lecz do ślubu bądź gotów pojutrze. Klaskajcie!

JEŃCY.

(CAPTEJVEJ).

Komedya ta była już drukowaną w bibliotece warszawskiéj r. 1865, zeszyt 7 i 9.

OSOBY.

HEGIO, starzec, obywatel w Kalydonie.
FILOPOLEM, syn jego.
FILOKRAT, szlachetny młodzieniec z Elidy.
TYNDAR, niewolnikFilokrata, teraz z nim jeniec Hegiona.
ARISTOFONT z Elidy jeniec.
ERGAZIL PASORZYT.
STALAGMUS, niewolnik Hegiona.
Kilku niewolników Hegiona.

Rzecz dzieje się w Kalydonie.

PROLOG.

Których tutaj widzicie stojących dwóch jeńców,
Ot tych, którzy tam stoją — stoją, a nie siedzą,
Was, was wzywam na świadki, że ja prawdę mówię.
Starzec tu mieszkający, Hegio, jest ojcem
Tego tu; a dla czego on w niewoli ojca,
To zaraz wam opowiem, jeźli słuchać chcecie.
Ten starzec miał dwóch synów: z nich czteroletniego
Chłopca ukradł niewolnik i sprzedał w Elidzie
Ojcu tego drugiego. Rozumiecie? Dobrze.
Ten tam w tyle powiada, że mnie nie rozumie;
Chodź bliżéj, a jeżeli nie masz tu już miejsca,
Idź sobie na przechadzkę, jeżeli aktora
Chcesz do torby żebraczéj i do kija przywieść.
Nie myśl tego, bym sobie dla twojéj przyczyny
Zrywał piersi. Wy, którzy dla majątków waszych
Do pierwszych należycie, wysłuchajcie reszty,
Bo nie chcę nic być dłużnym. Więc, jak powiedziałem,
Ów zbieg z domu uciekłszy, sprzedał pana swego,
Którego tam był ukradł, tego tutaj ojcu;
A ten, kiedy go kupił, dał swemu synowi
Do zabawy, gdyż byli obaj w równym wieku;
Teraz zaś niewolnikiem jest ojca swojego,
A ojciec o tém nie wie. W rękach bowiem bogów
Jesteśmy jako piłki. Tyle więc już wiecie,
W jaki sposób jednego z synów swoich stracił.
Tymczasem, kiedy wojnę wiodą Etolowie
Z Elami, jak to w wojnie, dostaje się drugi
Do niewoli, jest jeńcem, i lekarz Menarchus
Kupuje go w Elidzie. A Hegio zaczyna
Jeńców zewsząd skupować pochodzących z Elis,

Ażeby między nimi takiego napotkał,
Któregoby wymienił za swojego syna
Wziętego do niewoli. Że ten synem jego,
Którego już ma w domu, o tém wcale nie wie.
A ponieważ usłyszał, że pojmano wczoraj
Rycerza elijskiego z wysokiego rodu
I ze znacznéj rodziny, nie oszczędza grosza,
Aby syna oszczędził. Więc aby tém łatwiéj
Mógł go dostać do domu, kupił tych obydwóch
Od kwestorów z zdobyczy. Ci zaś między sobą
Takie plany ukuli, ażeby niewolnik
Mógł wyprawić do domu tego pana swego.
W tym celu przemienili nazwiska i suknie:
Ten się zowie Filokrat, a tamten Tyndarus,
Ten tego, a ten tego przyjął na się postać.
Ten tu więc swój plan chytry mądrze przeprowadzi,
I tak panu swojemu przywróci znów wolność;
A nie wiedząc o niczém, ocali zarazem
Brata, którego nie zna i sprawi, iż wolny
Powróci do ojczyzny i do swego ojca.
Bo to często i w wielu zdarzyło się miejscach,
Że ktoś więcéj dobrego uczynił nie chcący,
Niż z wiedzą. Tak téż oni nic o tém niewiedząc,
Plan cały ułożyli i tak obmyślili,
Chytrze wedle swéj myśli wszystko urządziwszy,
Ażeby ten w niewoli był u swego ojca.
Więc służy ojcu swemu, a nie wie nic o tém.
Jak mizerni są ludzie, gdy sobie rozważę!
To więc tu grać będziemy, dla was ta komedya.
Lecz jeszcze kilka słówek powiedzieć wam chciałem.
Z pewnością się opłaci wysłuchać tę powieść.
Treść to nie oklepana, jak w komedyach innych,
Ani w niéj sprosne wiersze, niegodne pamięci,
Ani w niéj chytry rajfur, ni zła nierządnica,
Ani drugi Albertus. Tego się nie bójcie,
Choć mówiłem, że wojnę prowadzą z Elami
Etolowie, bo bitwy będą tam za sceną.

Albowiem na komika wcale nie wypada,
Abyśmy odegrali tu nagle tragedyą.
Jeźli więc kto chce walki, niech zacznie od kłótni:
A jeźli przeciwnika znajdzie mocniejszego,
Życzę mu, niech tak dobréj doczeka się bitwy,
Aby mu się oglądać nigdy jéj nie chciało.
Odchodzę. Bądźcie zdrowi, dzielni wojownicy
W wojnie, a sprawiedliwi w pokoju sędziowie.

Akt pierwszy.

SCENA I.

Ergazil Pasorzyt.

Nierządnicy nazwisko dali mi młodzieńcy *)
Przeto, iż niewezwany na obiadach bywam.
Wiem, że się nie podoba ten dowcip trefnisiom **);
Ale mnie się podoba, bo gdy wśród biesiady
Młodzieniec rzuca kostki, wzywa swą kochankę,
Czyż przeto jest wezwaną, czy nie? Jest zaiste.
O ileż my jesteśmy więcéj, pasorzyci,
Których nikt ani wzywa, ani też nie wzywa:
Jak myszy żywimy się zawsze obcym chlebem.
Gdy w czasie świąt i feryj śpią wszystkie czynności ***),
A ludzie idą na wieś, wtenczas mają święta
I ferye nasze zęby. Jak się wśród upału

*) Miejsce to trudnem jest do przetłumaczenia, dla dwuznaczności słowa *invocare*, którego tu Plautus używa. *Invocare* znaczy bowiem *wzywać, przywoływać*, ale mogłoby téż znaczyć, jako złożone z *in* i *vocare*, *niewzywać, nieprzywoływać*. W tem tu miejscu jest ono w obydwóch znaczeniach z umysłu przez Plauta użyte. Nasze *wzywać* w części tylko oddaje myśl Plauta, ale nie znam wyrazu, któryby odpowiadał więcéj łacińskiemu słowu. Było zwyczajem, iż młodzieniec, grając w kostki, wymieniał jako dobrą wróżbę imię swojéj kochanki, więc ją *invocabat*, ale że dziewczęta bywały także na biesiadach z młodzieżą, nie będac wezwanemi, więc były *invocatae*. Ergazil biorąc to słowo w tém podwójném znaczeniu nie gniewa się na nazwę, jaką go młodzież ochrzciła.

**) T. j. rodzajowi pasorzytów.

***) Bogaci Rzymianie wyjeżdżali na wieś w czasie uroczystości religijnych i feryj, w których spraw publicznych nie odbywano.

Ślimaki w dziurach kryją, z swoich żyjąc soków,
Kiedy rosa nie pada, tak i pasorzyci
Kryją się w swoich norach, kiedy śpią czynności,
Biedacy, swoje własne spożywając soki.
Gdy na wsi żyją ludzie, których objadamy,
Kiedy śpią wszystkie sprawy, wtenczas pasorzyci,
Jesteśmy jako charty; lecz gdy znów są w biegu,
Jesteśmy jak buldogi, obmierzli, naparci.
Ale teraz pasorzyt, który znosić nie chce,
Aby mu pyski prano, rzucano w łeb garnkiem,
Może nawet o torbie wyjść za bramę miasta.
Takie niebezpieczeństwo mnie także zagraża,
Wpadł bowiem w nieprzyjaciół ręce mój dobrodziéj!
— Etolowie z Elami wojnę teraz toczą,
Gdyż to tu jest Etolia — tam w Elidzie wzięty
Filopolem, syn tego tutaj Hegiona
Starego, co tu mieszka. Dla mnie to dom żalu;
Ile razy nań wejrzę, łzy wylewać muszę.
On teraz podejmuje dla swojego syna
Robotę nieuczciwą i wcale niegodną
Jego duszy; bo oto zakupuje wszędzie
Niewolników, ażeby mógł jakiego znaleść,
Za któregoby może oddano mu syna.
Życzę mu, ażeby się powiódł ten interes:
Bo jeśli go nie znajdzie, nie wiem, gdzie się schronić.
Młodzież bo nic nie warta, siebie tylko kocha;
Ale on jest młodzieńcem jeszcze staréj daty,
Którego ja oblicza nie rozweseliłem
Nigdy jeszcze za darmo. Takiéj saméj myśli
Jest także ojciec jego. Pójdę więc do niego.
Lecz drzwi się otwierają, z których bardzo często
Wychodziłem pijany i syty po uszy.

SCENA II.

Hegio (wychodzi z domu), Niewolnik (strażnik), Ergazil.

Hegio (do niewolnika).

Hej! słuchaj i uważaj! Na tych tu dwóch jeńców,
Których wczoraj kupiłem od kwestorów z łupu,

Włóż tylko pojedyńcze łańcuchy; a te tu,
Któremi są związani, większe, zdejm z nich zaraz.
Pozwól im się przechadzać, kędy tylko zechcą,
Ale pod ścisłą strażą niech mi zawsze będą.
Wolny jeniec jest bardzo podobny do ptaka;
Niech tylko do ucieczki nada się sposobność,
Ucieka i już nigdy schwycić go nie możesz.

Strażnik.

Zaiste, bo my wszyscy wolimy być wolni,
Niż służyć.

Hegio.

Ty przynajmniéj tak się nie wydajesz.

Strażnik.

Kiedy ci nie mam co dać *), czyż chcesz, abym uciekł?

Hegio.

Ja mieć będę co ci dać, jeżeli uciekniesz.

Strażnik.

Zrobię się, jak powiadasz, podobnym do ptaka.

Hegio.

Prawda, bo gdy uciekniesz, zamknę cię do klatki.
Ale dosyć już na tém; zrób, co ci kazałem,
Odejdź. (strażnik odchodzi). A ja do brata pójdę, by zobaczyć
Resztę mych niewolników, czy czasem téj nocy
Co złego nie zrobili; a ztamtąd powrócę
Zaraz potém do domu.

Ergazil (na stronie).

Bardzo mi jest przykro,
Że ten biedny człowiek dla nieszczęścia syna
Handel niewolnikami tak teraz prowadzi!

*) To jest: kiedy się wykupić nie mogę. Musiałem się tu trzymać dosłownie oryginału, dla odpowiedzi Hegiona.

Lecz byle w jaki sposób on wrócił do domu,
Niech ten będzie i katem, mnie to wszystko jedno.

Hegio.

Kto tu jest?

Ergazil.

Ja, którego ten sam smutek dręczy.
Ja chudnę, starzeję się, schnę biedny z zmartwienia,
Kości tylko i skóra jest na mnie od suchót,
I nic mi na pożytek, cokolwiek jem w domu.
Ale bardzo pokrzepia, co jem po za domem,
Choćby było i najmniéj.

Hegio.

Witaj, Ergazilu!

Ergazil.

Niech bogi będą z tobą. (płacze).

Hegio.

Nie płacz.

Ergazil.

Nie mam płakać?
Ja nie mam opłakiwać takiego człowieka?

Hegio.

Zawsze o tém wiedziałem, że ty przyjacielem
Byłeś syna mojego, jak i on był twoim.

Ergazil.

Dopiero wtenczas ludzie umiemy ocenić,
Kiedyśmy postradali, cośmy dawniéj mieli.
I ja, odkąd się dostał syn twój do niewoli,
Wiem dopiero, com stracił; teraz za nim tęsknię.

Hegio.

Kiedy ty, obcy człowiek, tyle się tém trapisz,
Jakaż jest boleść moja po mym jedynaku!

Ergazil.

Co? ja obcy dla niego? i on obcy dla mnie?
Hegionie, tego nie mów, ani nawet pomyśl;
Jeśli on jedynakiem twoim, ileż więcéj
Moim on jedynakiem!

Hegio.

Chwalę, że tak bardzo
Niedola przyjaciela dotkliwie cię boli;
Ale bądź dobréj myśli.

Ergazil.

Ach! tego tu (wskazując na brzuch) boli
I już nie ma szeregów, któreby pożerał.

Hegio.

Czyż dotychczas nikogo nie znalazłeś jeszcze,
Coby ci rozpuszczone zebrał znów szeregi?

Ergazil.

Co myślisz? przed tą służbą uciekają wszyscy,
Odkąd twój Filopolem wzięty do niewoli!

Hegio.

Nie dziwić się zaiste, iż przed taką służbą
Uciekają; gdyż tobie potrzeba żołnierzy,
Jak różnego rodzaju, tak i bardzo wielu.
Najprzód bo ci potrzeba szeregów piekarskich *);
— A piekarskich szeregów jest kilka rodzai: —

*) W oryginale są wyrazy podwójnego znaczenia: t. j. znaczące pieczywo i dziczyznę albo mieszkańców miast włoskich i innych. Tak *Pistorienses* znaczy: piekarzy i mieszkańców miasta *Pistorium* w Etruryi; *Panicei* chlebowi i mieszkańcy miasteczka *Pana* w Samnickiem; *Placentini* plackowi (od placenta) i mieszkańcy miasta *Placenty*; *Turdetani* ci, którzy łapią i sprzedają kwiczoły i mieszkańcy Betyki w Hiszpanii zwanéj *Turdetania*; *Ficedulenses* (od ficedula) figojadki i mieszkańcy *Ficedulae*. W polskim języku nie znam wyrazów, którychby podobnie w dwojakiém znaczeniu użyć można.

Potrzeba ci chlebowych, potrzeba plackowych,
A potém kwiczołowców i figojadników:
Potrzebnem ci nareszcie całe wojsko morskie.

Ergazil.

Jakże często talenta marnieją w ukryciu!
Ten stworzony na wodza, — prostym jest człowiekiem.

Hegio.

Bądź tylko dobréj myśli, spodziewam się bowiem,
Że się jego powrotem w tych dniach cieszyć będę;
Gdyż oto mam tu teraz jeńca Elijczyka,
Młodzieńca z wysokiego rodu, bogatego.
Za niego, spodziewam się, że wymienię syna.

Ergazil.

O, dajcież to bogowie!

Hegio.

Lecz czyś zaproszony
Dziś do kogo na obiad?

Ergazil.

Ile wiem, nie jestem.
Ale czemu się pytasz?

Hegio.

Bo dziś urodziny
Moje, więc na obiad zaprosić myślałem.

Ergazil

Dobrze mówisz.

Hegio.

Jednakże, jeżeli mój obiad
Skromny tobie wystarczy.

Ergazil.

Choć i najskromniejszy,
Gdyż taki jest zwyczajnie na stole w mym domu.

Hegio

A więc cię proszę.

Ergazil.

Zgoda! Chyba, że kto lepsze*)
Poda może warunki dla mnie i przyjaciół,
Poddam się memu prawu, jakby grunt sprzedając.

Hegio.

Raczéj mi ty sprzedajesz przepaść,**) nie grunt przecież!
Lecz jeżeli masz przybyć, przybywajże wcześnie.

Ergazil.

O, mogę już i teraz.

Hegio.

Idź i złap zająca,
Gdyż mam tylko królika ***), mój też; zresztą pokarm
Po ostrej idzie drodze.

Ergazil.

Niczem, mój Hegionie,
Nie odstraszysz mnie nigdy; przybędę ja jednak
Z dobrze zaostrzonemi zębami do ciebie.

Hegio.

Bo też ostre zaiste są u mnie potrawy!

* Porównanie tu wzięte ze zwyczaju, jakiego się trzymano przy sprzedaży publicznéj.

* T. j. brzuch.

* W oryginale jest: venare leporem, nunc Cirim tenes. Zrozumienie tego miejsca jest trudniejsze dla tego Cirim, gdyż Ciris znaczy ptaka, albo rybę, w którą przemienioną została Scylla, córka Nizusa; dla tego różnie je też tłumaczą i rozumieją. Jak to Plautus rozumiał, trudno powiedzieć. Mnie się zdaje, iż Hegio radząc Ergazilowi, aby się obejrzał za obiadem lepszym, niż on sam dać mu może, powiada przez podobieństwo, aby złowił zająca, gdyż ma zapewnione dopiero coś, co gorszego jest od zająca i dla tego wyraz Ciris tłumaczę tu odpowiednio do zająca przez królika.

Ergazil.

Czy ty to ciernie jadasz?

Hegio.

Wiejski tylko obiad.

Ergazil.

Wieprzak jest wiejskie zwierzę.

Hegio.

Bardzo wiele jarzyn.

Ergazil.

Jarzyny chorym dają. Czy powiesz co jeszcze?

Hegio.

Przychodź wczas.

Ergazil.

Nie zapomnę. (odchodzi.)

Hegio.

A teraz do domu
Pójdę, by porachować, jaką u bankiera
Mam sumę i jak rzekłem, pójdę wnet do brata.

Akt drugi.

SCENA I.

Kilku niewolników i jeńcy: Filokrat i Tyndar.

Niewolnik.

Gdy bogom nieśmiertelnym tak się podobało,
Iż was to utrapienie spotkało tak wielkie,
Znoście je z cierpliwością; a jeśli będziecie,
Znośniejszą będzie boleść. W domu, jako sądzę,
Byliście pewnie wolni; a teraz w niewoli

Najlepiéj będzie dla was, stósować się do niéj,
Spełniać pana rozkazy i w ten sposób czynić
One łagodniejszemi, niewolę znośniejszą,
Bo co pan rozkazuje, sługa czynić musi.

J e ń c y.

O biada nam, biada!

N i e w o l n i k.

Te skargi niepotrzebne.
Cierpienia dodajecie tylko oczom waszym.
W nieszczęściu bo lekarstwem jest: być dobréj myśli.

J e ń c y.

Ale my się wstydzimy tych kajdan na rękach!

N i e w o l n i k.

A późniéj wstydziłby się nasz pan, gdyby zwolnił
Was z więzów, lub swobodnie chodzić wam dozwolił,
Których kupił tak drogo.

J e ń c y.

Czegóż nas się boi?
Znamy naszą powinność, gdyby nam zdjął więzy.

N i e w o l n i k.

Myślicie o ucieczce; wiem, co zamierzacie.

J e ń c y.

My myśleć o ucieczce? I dokąd uciekać?

N i e w o l n i k.

Do kraju!

J e ń c y.

Precz z tą myślą! nam to nie przystoi
Zbiegunów naśladować.

N i e w o l n i k.

Lecz przy sposobności
Nie miałbym tego za złe.

Jeńcy.

O jedno was tylko
Chcemy prosić.

Niewolnik.

I o co?

Jeńcy.

Byście nas bez świadków
Choć chwilkę zostawili; chcemy mówić z sobą.

Niewolnik.

Dobrze. (do innych niewolników) Wy tu ustąpcie! My pójdziemy tutaj.
Lecz krótko rozmawiajcie!

Filokrat.

O, z pewnością krótko.
(do Tyndara). Chodź tutaj!

Niewolnik.

Zostawcie ich.

Filokrat.

Wdzięczni wam jesteśmy
Teraz za to oboje, iż nam pozwalacie
Czynić, czego pragniemy. (do Tyndara.) Jeśli ci się zdaje,
Ustąp tu nieco daléj, aby jaki świadek
Słów naszych nie podsłuchał, aby nasz zamiar
Nie przeszedł między ludzi; gdyż zdrada nie zdradą,
Jeśli jéj nie utaisz przebiegle i mądrze,
Lecz nieszczęściem największem, gdy się stanie jawną.
Bo choć ty moim panem, a ja niewolnikiem
Twoim być się wydaję, jednak przezorności
Potrzeba, aby trzeźwo, bez świadków, dokładnie
Przeprowadzone było—a mądrze i zręcznie!
Bo wielkie przedsięwzięcie! A więc nie ospale
Do dzieła wziąść się trzeba.

Tyndar.

Będę, czem chcieć będziesz.

Filokrat.

Tego ja się spodziewam.

Tyndar.

Bo widzisz, że teraz
Za drogie twoje życie kładę życie moje,
Jakkolwiek jest mi drogiem, za nic je nie ceniąc.

Filokrat.

Wiem o tém.

Tyndar.

Lecz pamiętaj o tém, gdy mieć będziesz
To, czego sobie życzysz. Większéj części ludzi
Taki bowiem jest zwyczaj, iż dopóki dążą
Do tego, czego pragną, bardzo są dobrymi;
Lecz, gdy już mają w rękach, do czego dążyli,
Wtenczas z dobrych najgorsi bywają z nich ludzie,
Pełni zdrady i fałszu. Ciebie, jakim pragnę,
Za takiego uważam, wedle tego cenię.
Co tobie teraz radzę, radziłbym i ojcu.

Filokrat.

Gdyby mi wolno było, nazwałbym cię ojcem,
Gdyż po ojcu ty zaraz jesteś mi najbliższym.

Tyndar.

Wierzę ci.

Filokrat.

I dla tego upominam częściéj,
Abyś o tém pamiętał, że nie panem twoim,
Lecz jestem niewolnikiem. A teraz cię błagam
O to jedno: ponieważ nieśmiertelne bóstwa
Swą myśl nam objawiły i chciały, abym ja—

Niegdyś pan twój, w niewoli razem z tobą jęczał,
Jak dawniéj prawnie mógłem tobie rozkazywać,
Tak cię błagam i proszę na te zmienne losy,
I na dobroć mojego względem ciebie ojca,
I na wspólną niewolę z nieprzyjaciół ręki,
Ażebyś nie inaczéj uważał mnie teraz
Jak ja ciebie, gdy byłeś moim niewolnikiem;
I ażebyś pamiętał, czém ty byłeś dawniéj,
A czém jesteś w téj chwili.

Tyndar.

Wiem, że jestem tobą,
A ty teraz mną jesteś.

Filokrat.

Jeżeli to możesz
Jak najwięcéj zapisać sobie w swéj pamięci,
W tym jedynie fortelu błyszczy nam nadzieja.

SCENA II.

Ci sami, Hegio.

Hegio.

(stojąc we drzwiach — do niewolników w domu będących).

Niezadługo powrócę, skoro się wypytam
Tych o to, co chcę wiedzieć. Gdzież są niewolnicy,
Których tutaj kazałem przed drzwi domu wywieść?

Filokrat.

Zaiste pamiętałeś, byś nie potrzebował
Nas daleko gdzie szukać; tak nas otaczają
Tu dokoła strażnicy, kajdany krępują.

Hegio.

Kto się strzeże, ażeby nie był oszukanym,
Mało jednak się strzeże, jakkolwiek się strzeże.
Bo wtenczas, kiedy myśli, że jest najpewniejszym,

Wpada w łapkę i widzi, że się strzegł za mało.
Czyż to zresztą nie dosyć słuszna jest przyczyna,
Ażebym was strzegł pilnie, kiedy was kupiłem
Za tak wielkie pieniądze w gotówce złożone?

Filokrat.

Nie możemy, dalibóg, brać ci tego za złe,
Iż nas strzeżesz tak pilnie; jak ty nam nie weźmiesz
Za złe naszéj ucieczki, jeśli nam się uda.

Hegio.

Jak wy tutaj w niewoli strzeżeni jesteście,
Tak u was syna mego też z pewnością strzegą.

Filokrat.

Jest jeńcem?

Hegio.

Tak, jest jeńcem.

Filokrat.

To więc nie my sami
Byliśmy tylko tchórze.

Hegio (do Filokrata).

Przystąp bliżéj do mnie,
Gdyż chcę ciebie samego o niejedno spytać.
Ale chciałbym, abyś mi nieprawdy nie mówił.

Filokrat.

Nie będę, co mi znane; ale czego nie wiem,
Powiem zaraz, że nie wiem.

Tyndar (do siebie.)

Ot już ma starego!
Już nożyce zakłada, a nawet serwety
Na niego nie zarzucił, by nie splamić sukni.
Ciekawym, czy ostrzyże go do saméj skóry,
Czy też włosa zostawi. Jeżeli ma rozum,
Żałować go nie będzie, oberznie go dobrze.

Hegio.

Powiedz mi, czem być wolisz: wolnym, czy w niewoli?

Filokrat.

Ja sobie tego życzę, co najbliższe szczęścia,
Od nieszczęścia najdalsze, lubo mi niewola
Nie bardzo była przykrą; inaczéj mnie bowiem
Nigdy nie uważano, jak za swego syna.

Tyndar (podsłuchując.)

Wybornie! o, nie dałbym ani i talentu
Za Talesa z Miletu; gdyż co do mądrości
Był on z tym w porównaniu mizernym gadułą.
Jakże on to wybornie rozmowę skierował
Na niewolę.

Hegio.

Z jakiego rodu jest Filokrat?

Filokrat.

Z Bogackich,*) których ród tam przed innymi możny
I wielce szanowany.

Hegio.

A on sam, czy także
Czci tam wielkiéj zażywa?

Filokrat.

Bardzo wielkiéj, nawet
Pośród obywateli najznaczniejszych w państwie.

Hegio.

Kiedy on, jako mówisz, w takiéj czci w Elidzie,
Jakże jego bogactwa, — czy są okazałe?

Filokrat

Łój z nich stary wytapia.**)

Hegio.

A ojciec czy żyje?

*) W oryginale jest: Polyplusio.

**) Odpowiedź ta zastósowana do pytania. W oryginale pyta Hegio: *divitiae suntne opimae; opimus* znaczy właściwie tłusty i dla tego Filokrat odpowiada, iż są tak tłuste, iż z nich stary t. j. ojciec łój wytapia.

Filokrat.

Kiedyśmy wychodzili, był jeszcze przy życiu;
Ale czy teraz żyje, chybać piekło powie.

Tyndar.

Wybornie, bo i kłamie i filozofuje.

Hegio.

A jakże się nazywał?

Filokrat.

Skarbozłotołowski *)

Hegio.

Pewnie dla bogactw wielkich tak go nazywano?

Filokrat.

Tak zaiste, dla jego i chciwości wielkiej,
I dla wielkiego skępstwa; (Theororomedes
Było jego nazwisko prawdziwe, rodzinne) **)

Hegio.

Więc jak mówisz, był skąpym stary jego ojciec?

Filokrat.

O, nawet bardzo skąpym; byś go lepiéj poznał,
Powiem ci tyle o nim: jeśli Geniuszowi
Swojemu składa kiedy ofiary, używa
Jako naczyń ofiarnych, których potrzebuje,
Samickich ***), by ich czasem sam Geniusz nie ukradł.
Z tego łatwo odgadniesz, jak zaufa innym.

Hegio.

Chodźże więc teraz za mną, wypytam i tego
Tu jeszcze o to samo. (Zwracając się do Tyndara.) Filokracie, ten tu

*) Ile możności przełożone z oryginału, *Thesaurochrysonicochrysides.*

**) Wyrazy objęte nawiasem zdaje się że tu nie należą. Wiersz ten nie we wszystkich rękopismach się znajduje, jest pewnie dodanym przez jakiego przepisywacza.

***) To jest: prostych, z gliny wyrabianych na wyspie Samos, jakich do ofiar nawet i ubodzy ludzie nie używali.

Postąpił jak wypada na dobrego męża;
Bo z jakiego pochodzisz rodu, wiem od niego;
On mi to wszystko wyznał. Jeśli i ty zechcesz
Wyznać mi, jak należy, dobrze na tém wyjdziesz.
A pamiętaj, że ja to już wiem i od niego.

Tyndar.

Powinność swą wypełnię, wyznając, co prawda:
Chociaż sobie życzyłem, aby się ukryły
Moja godność i ród mój i moje bogactwa.
Hegionie, utraciwszy ojczyznę i wolność,
Uważam to za słuszne, że on więcéj ciebie
Lęka się i poważa, niż mnie niewolnika,
Gdyż przemoc nieprzyjaciół los nasz nam zrównała.
Pamiętam, że się nigdy nie odważył słówkiem
Mnie ubliżyć, a teraz — wolno mu i czynem.
Ale widzisz — fortuna tak się kołem toczy:
Niedawno byłem wolny — dzisiaj niewolnikiem;
Ze szczytu zepchnęła mnie, jak mogła najniżéj,
Rozkazywać nawykłem — dziś rozkazów słucham.
Lecz jeżeli takiego ja znalazłem pana,
Jakim dla niewolników moich sam bywałem,
Nie lękam się, aby mi krzywdę jaką czynił,
Lub był dla mnie surowym. Chciałem ci, Hegionie,
Jedno tylko powiedzieć, jeżeli pozwolisz.

Hegio.

Mów śmiało.

Tyndar.

Byłem wolny niegdyś, tak jak syn twój;
Tak mnie wolność wydarła, jako i onemu,
Nieprzyjacielska ręka; i on niewolnikiem
Jest tak u nas, jak ja tu u was niewolnikiem.
Zaiste, jest Bóg w niebie, który słyszy, widzi
Wszystko, co tu robimy. Jak się ty obchodzić
Będziesz ze mną, tak samo się i z twoim synem

Z woli Boga tam u nas będą obchodzili:
Dobre dobrem nagrodzą, złe złem mu wypłacą.
Jak ty tęsknisz za swoim, tak za mną mój ojciec.

Hegio.

Dobrze o tém pamiętam; lecz powiedz mi przecież,
Czy wyznajesz to samo, co mi ten tu wyznał.

Tyndar.

Wyznaję, że mój ojciec posiada bogactwa
Ogromne, i że z rodu jestem wysokiego;
Lecz cię błagam Hegionie, by moje bogactwa
Twej duszy nie zrobiły łakomszą i chciwszą:
Ażeby ojcu memu, lubom jedynakiem,
Nie zdało się być lepszą, abym służył tobie
Twym chlebem nasycony, twą przyodzian szatą,
Jak, bym żył jako żebrak tam na jego hańbę.

Hegio.

Ja jestem z łaski bogów i z łaski mych przodków
Dość bogaty i sądzę, że nie w ogólności
Zysk każdy pożyteczny; wiem i to, że wielu
Ludziom zyski znaczenie już nadały wielkie.
Lecz są chwile, iż lepiej nawet ponieść stratę,
Niż wielkie ciągnąć zyski. Ja pogardzam złotem;
Już ono wielu ludziom było złym doradzcą.
Więc uważaj, byś wiedział, co ja myślę o tém:
Syn mój jest tam w Elidzie u was jako jeniec,
Jeżeli mi go zwrócisz, nie dasz i szeląga,
Puszczę ciebie i tego: inaczéj, nie wyjdziesz.

Tyndar.

Żądanie twoje dobre i jest najsłuszniejsze,
A ty z ludzi najlepszy! Lecz powiedz, czy on tam
Niewolnikiem publicznym, czyli téż prywatnym. *)

*) T. j. własnością i w służbie państwa, czy téż własnością i osób prywatnych.

Hegio.

W prywatnéj jest niewoli lekarza Menarcha.

Filokrat (z radością)

On jest tego klientem! Z tą sprawą tak łatwo,
Jak nie trudno o wodę wtenczas, kiedy pada.

Hegio.

Więc ty o to się staraj, by był wykupiony.

Tyndar.

Dobrze, ale cię proszę. . . . . .

Hegio.

O co? chętnie zrobię,
Jeżeli nie od rzeczy.

Tyndar.

Słuchajże, a powiem.
Ażebyś mnie wypuścił, ażby on powrócił,
Nie żądam ja od ciebie; lecz o to cię proszę,
Daj mi tego, a ja go wyprawię do ojca,
Abyć syna wykupił.

Hegio.

Nie, poślę innego
Ztąd, skoro będzie rozejm, do twojego ojca,
Aby mu twe zlecenie zaniósł, jak chcieć będziesz.

Tyndar.

Na nic to nieznanego posyłać do niego;
Próżna praca i mozół. Poślij oto tego,
A on sprawę załatwi, skoro w domu stanie;
Nie możesz téż nikogo posłać wierniejszego,
Ani któremu więcéj ojciecby zawierzał,
Ni któryby niewolnik milszym był od niego,
Ni wreszcie, któremuby twojego powierzył
Syna śmieléj. Nie bój się, ręczę własną głową

Za wierność niezachwianą, za prawy charakter;
Ufam mu, bo wie dobrze, jak byłem łaskawy!

Hegio.

Zgoda; więc jego poślę na twe zaręczenie,
Na ciebie kładąc sumę wydaną za niego.

Tyndar.

I owszem; pragnę tylko, aby jak najprędzéj
Można się wziąść do dzieła.

Hegio.

I cóż? czy się zgodzisz,
Że mi dasz min dwadzieścia za niego, jeżeli
Nie powróci?

Tyndar.

I owszem.

Hegio (do niewolników drugich.)

Zdjąć z tego kajdany!
Z tego także!

Tyndar.

Bogowie niech ci błogosławią
We wszystkiem, czego pragniesz, iż mnie tak uczciłeś
I z tych więzów uwalniasz; wcale mi nie przykro,
Że nie mam na méj szyi więcéj naszyjnika.

Hegio.

Z dobrego, które dobrym wyświadczysz, wyrośnie
Pożytek i nagroda. Teraz więc, jeżeli
Chcesz go posłać do ojca, powiedz mu, objaśnij
I wyłóżże dokładnie, co mu ma powiedzieć.
Chcesz, bym go tu przywołał?

Tyndar.

I owszem, przywołaj!

(Hegio skinieniem przywołuje Filokrata stojącego w oddaleniu blisko domu).

Hegio.

Niech to wyjdzie na dobre mnie, wam i synowi!
Pan twój nowy chce tego, ażebyś dawnemu
Panu swemu wyświadczył, jak pragnie, przysługę
Wiernie; gdyż za dwadzieścia min mu cię oddałem,
On zaś chce ciebie posłać ztąd do ojca swego,
Ażeby mego syna uwolnił z niewoli,
Ażebyśmy ojcowie zamienili synów.

Filokrat.

Zwrócona jest myśl moja na obydwie strony,
Ku tobie i ku niemu; możecie używać
Mnie do woli jak koła, a jak rozkażecie,
Będę wam się obracał w tę i ową stronę.

Hegio.

Przez to usposobienie sam sobie najwięcéj
Pomagasz, bo niewolę znosisz, jak przystoi.
Chodź za mną! (do Tyndara.) Oto masz go.

Tyndar.

Ja ci składam dzięki
Za twą łaskę i możność, którą mi podajesz,
Iż wolno do rodziców posłać tego sługę,
Któryby ojcu memu wszystko opowiedział,
W jakim tu jestem stanie, czego sobie życzę.
Tyndarze, myśmy się tu dwaj na to zgodzili,
Iż cię ocenionego do Elidy poślę
Do ojca; a dwadzieścia mam mu min zapłacić,
Jeżeli nie powrócisz.

Filokrat.

To jest dobry układ.
Albowiem jego ojciec czeka pewnie na mnie
Lub innego posłańca, któryby ztąd przyszedł.

Tyndar.

Uważajże więc sobie, co chcę, abyś doniósł
Tu ztąd o mnie w ojczyźnie i mojemu ojcu.

Filokrat.

Będę czynił, jak dotąd czyniłem, dokładnie,
Drogi mój Filokracie, i będę się starał,
Myślą, sercem, siłami za tém będę gonił,
Co tobie na największy pożytek wyjść może.

Tyndar.

Czynisz tak, jak należy. A teraz uważaj:
Abyś mi przedewszystkiem pozdrowił rodziców,
Krewnych moich i kogo z przyjaciół zobaczysz,
A powiedz, że zdrów jestem, że jestem w niewoli
U najlepszego z ludzi, który mnie szanował
I wciąż jeszcze szanuje.

Filokrat (z uniesieniem.)

O, nie mów mi o tém:
Mam to bowiem w pamięci, nie zapomnę nigdy!

Tyndar.

Bo gdyby nie ten strażnik, uczułbym się wolnym.
A powiedz ojcu memu, jaki jest nasz układ
Pod względem jego syna.

Filokrat (niecierpliwie.)

Szkoda tylko czasu,
Bo to wszystko pamiętam.

Tyndar.

Aby go uwolnił,
A przysławszy go dotąd, nas wzamian odebrał.

Filokrat.

O tém ja nie zapomnę!

Hegio.

Ale jak najprędzéj!
Zależy bowiem na tém nam obydwom wiele.

Filokrat.

Nie więcéj pewnie tęsknisz ty za swoim synem,
Jak on tęskni za swoim.

Hegio.

Mnie, bo mój jest drogi,
Każdemu jego własny.

Filokrat.

Czy chcesz, bym powiedział
Twemu ojcu co więcéj?

Tyndar.

Że tu jestem zdrowy.
A nadto powiedz śmiało, że pomiędzy nami,
Tyndarze, była zgoda niczém nie zmącona,
Żeś w niczém nie zawinił, żem ja się nie gniewał,
I że byłeś posłusznym zawsze panu swemu
Nawet w ciężkiem strapieniu; że nie opuściłeś
Mnie nigdy, byłeś wierny, do pomocy gotów
W nieszczęściu i w niedoli. Tak wiedząc mój ojciec,
Jakie było twe serce względem jego syna,
A więc i względem niego, nie będzie tak chciwym,
Ażeby cię przez wdzięczność nie uwolnił chętnie;
A kiedy ja powrócę, uczyni to skorzéj
Za mojem się wstawieniem. Gdyż to ty sprawiłeś
Przez swą wielką usłużność, przez cnotę i mądrość,
Iż będę mógł powrócić do moich rodziców.
Bo wyznałeś tu przed tym mój ród i bogactwa,
A tak przez mądrość swoją uwolniłeś pana.

Filokrat.

Zrobiłem, co powiadasz; że pamiętasz o tém,
Cieszę się z tego bardzo. Lecz Filokratesie

Ty na to zasłużyłeś; bo jeżeli teraz
Mam mówić o tém wszystkiem, co zrobiłeś dla mnie
Dobrego, dnia niestanie. Choćbyś niewolnikiem
Był moim, posłuszniejszym być nie mógłeś nigdy.

Hegio (do siebie.)

O wy wielcy bogowie! ta szlachetność duszy
Łzy mi z oczów wyciska! Jakże się serdecznie
Między sobą kochają! Jakiemi niewolnik
Pochwałami swojego pana obsypuje!

Filokrat.

Na bogi ani setnéj części mnie nie chwalił,
Ile sam zasługúje, aby był chwalonym!

Hegio.

Więc kiedyś tak poczciwy, masz teraz sposobność
Pomnożyć dobrodziejstwa przez wierność dla niego.

Filokrat.

Więcéj już chcieć nie mogę, jak się starać będę,
Abym spełnił zadanie. A żebyś mi wierzył,
Jowisza najwyższego ot wzywam na świadki,
Hegionie, że dochowam wiary jemu stale.

Hegio.

Poczciwy jesteś człowiek!

Filokrat.

A cokolwiek zrobię,
Zrobię, jakobym robił dla samego siebie.

Tyndar.

Te słowa udowodnij czynem i dziełami!
A że jeszcze nie tyle mówiłem, co chciałem,
O tobie, więc posłuchaj; ale się nie gniewaj
O to, co teraz powiem. Pamiętajże, proszę,
Że jesteś oceniony i że życie moje
Za ciebie dane w zastaw. Gy mnie stracisz z oczu,

Niezapominajże o tém, że mnie niewolnika
Zostawiłeś za siebie tutaj w téj niewoli.
Siebie może samego uważając wolnym,
Nie zostawiaj zastawu; lecz staraj się o to,
Ażebyś w moje miejsce przyprowadził syna.
Wiedz o tém, że ocenion dwudziestu minami
Ztąd posłany odchodzisz. Wiernemu bądź wierny,
Nie zdradzaj zaufania, gdyż wiem, że mój ojciec
Wszystko zrobi, co tylko zrobić mu wypada.
Na wieki przyjacielem mnie sobie zachowaj
I tego tu (na Hegiona) pozyskaj. Na twoją prawicę,
Którą trzymam w méj dłoni, zaklinam cię o to,
Abyś mi tak był wiernym, jak ja jestem tobie.
Działaj więc! Tyś mi panem, opiekunem, ojcem;
W twoich rękach nadzieja moja, szczęście całe.

Filokrat.

Dosyć mi poleciłeś. Czy uczynię zadość,
Jeżeli polecenia twoje w czyn zamienię?

Tyndar.

Uczynisz.

Filokrat.

Więc powrócę wedle myśli waszéj.
Czy chcesz jeszcze co mówić?

Tyndar.

Wracaj jak najprędzéj!

Filokrat.

Z pewnością.

Hegio.

Chodźże za mną, abym od bankiera
Wziął dla ciebie nadrożne; a zarazem wezmę
I paszport od pretora.

T y n d a r (z zadziwieniem).

Paszport? i do czego?

H e g i o.

Ot dla niego, do wojska, by miał wolne przejście.
(do Tyndara) Ty idź teraz do domu.

T y n d a r.

Nó, szczęśliwéj drogi!

F i l o k r a t.

Bywaj zdrów (odchodzi).

H e g i o (do siebie).

Tak zaiste, uczyniłem dobrze,
Iż tych dwóch od kwestorów z zdobyczy kupiłem,
Przez nich syna mojego wyrwałem z niewoli,
Jeśli zechcą bogowie. A jednak się długo
Namyślałem, czy kupić ich, czy téż nie kupić.
(do niewolników).
Pilnujcież mi go słudzy, aby nie wychodził
Nigdzie sam bez strażnika. Ja nie długo wrócę;
Pójdę tylko do brata, aby niewolników
Innych moich zobaczyć i ich się wypytać.
Czy który nie zna może tego tu młodzieńca.
(do Filokrata). Ty pójdziesz teraz ze mną, abym cię wypuścił,
Gdyż to jest najpilniejsza ze wszystkich czynności.

Akt trzeci.

SCENA I.

E r g a z i l.

Jakże biedny ten człowiek, który szuka chleba
I ledwie go znajduje! Ale ten biedniejszy,
Który go skrzętnie szuka, a nic nie znajduje!
Jednak ten najbiedniejszy, któremu się jeść chce,
A nie ma co wziąść w usta. O, temu ja dniowi

Chętniebym wydarł ślepie, gdyby wolno było,
Iż taką dla mnie złością wszystkich on napełnił.
Nigdy bo nie widziałem dnia ani chudszego
Ani więcéj głodnego, ani w którymby mniéj
Dobrze się powodziło w moich przedsięwzięciach;
Dla tego teraz poszczą mój brzuszek i gardziel.
Niech wszyscy djabli porwą pasorzytnią sztukę!
Już się teraz młodzieńcy bardzo obywają
Bez błaznów i hołyszów; nie przyznają nawet
Choć miejsca ostatniego chłopaków spartańskich *)
Których bito rózgami, — tym co mają gęby,
Lecz nie mają śpiżarni i są bez pieniędzy.
Takich tylko szukają, którzy się najadłszy,
Do siebie zapraszają. Żywność zakupują
Oni sami, a dawniéj pasorzyt to robił **);
Sami chodzą bez wstydu z rynku do rajfurów,
Jak bez wstydu na sądzie winni potępiają;
Błazen u nich już niczem, bo dla siebie żyją.
Ot właśnie ztąd odszedłszy, spotkałem na rynku
Mnóstwo ludzi: „Witajcie“ mówię „gdzie będziemy
Dziś razem obiadować?“ Oni na to milczą.
„Któż powie, gdzie będziemy? albo kto zaprosi?“
Milczą wszyscy, jak niemi, ani się uśmiechną.
„Gdzież, mówię, jeść będziemy?“ Ale oni milczą,
A więc im opowiadam śmieszną anegdotę,
Z naszych lepszych anegdot, którym zawdzięczałem
Dawniéj często obiady na całe miesiące:
Ale nikt się nie śmieje. Widzę, że rzecz cała
Już z góry umówiona. Żaden nawet nie chciał
Naśladować choć suki podrzaźnionéj,
Ażeby zamiast śmiechu wyszczerzyli zęby.
Tak więc od nich odszedłem, widząc, że drwią ze mnie,
I poszedłem do innych; od nich znów do innych,
Wreszcie jeszcze do innych; lecz wszędzie tak samo,

*) T. j. że nie chcą ich żywić chociażby dla tego, aby ich bić i poniewierać. Mówi o tém Pasorzyt w akc. 1 sc. 1.

**) P. Terentii; Eunuch ak. 2 sc. 2.

Wszyscy są sprzysiężeni, jak baby na targu:
Teraz więc tu powracam, widząc, żem wydrwiony.
Tak samo jeszcze innych pasorzytów wielu
Prożno w rynku chodziło. Ale barbarzyńskiém *)
Prawem prawa mojego dochodzić tu będę:
Którzy myśl tę podjęli, aby nas pozbawić
I żywności i życia, tych wszystkich zaskarżę;
Karę taką wyznaczę: że dziesięć obiadów
Wedle mego życzenia dać mi każdy musi,
Chociaż drogość jest wielka. To ja przeprowadzę.
Teraz pójdę do portu: ostatnia nadzieja
Na obiad — tam jest jeszcze; jeśli ta omyli,
Powrócę tu do starca na jałowy obiad.

SCENA II.

Hegio, za nim Aristofont jeniec.

Hegio (do siebie).

Cóż słodszego, jak służyć ogólnemu dobru?
Tak ja wczoraj zrobiłem, gdym kupił tych ludzi.
Kogo tylko spotkam, zachodzi mi drogę
I winszuje mi szczęścia. Tak mnie zaczepiając,
Zatrzymując po drodze biednego znużyli...
Zaledwie się z tych życzeń wynurzyć zdołałem,
Dostałem się nareszcie przecież do pretora;
Wypocząwszy z znużenia, żądałem paszportu,
A skoro go dostałem, dałem Tyndarowi:
Już odjechał do domu. To więc załatwiwszy,
Idę spiesznie do brata, gdzie mam resztę jeńców,
I pytam, czy który znał Filokratesa
Z Elidy. Ten (wskazuje na Aristofonta) powiada, że to jego kamrat.
Ja mu na to powiadam, że właśnie jest u mnie;
Zaraz mnie tedy prosi i błaga na wszystko,

*) T. j. rzymskiém, wniesionem przez A. Variusza przeciwko tym, którzy się w państwie sprzysięgli lud pozbawić żywności, barbarzyńskiém dla tego, że to mówi Greczyn, a Grecy nazywali barbarzyńskiém wszystko, co nie było greckiém.

Ażebym im pozwolił zobaczyć się z sobą;
Rozkazałem zdjąć przeto z rąk jego kajdany.
(do Aristofonta) Chodźże teraz tu za mną, ażebyś osięgnął,
Czego pragniesz i widział się z twym przyjacielem.

(Odchodzą).

SCENA III.

Tyndar (wybiega w strachu).

Teraz wolałbym nie żyć, niż żyć na tym świecie!
Oto mnie opuszczają na zawsze nadzieja,
I pomoc i ratunek! Oto dzień ten nadszedł,
W którym dla mego życia już widoku nie ma!
Ani nie mam nadziei, coby strach odjęła!
Kłamstwo moje wykrętem już się nie ukryje.
Dla zdrad przebaczenia, dla złości ucieczki
Nie będzie, ma zuchwałość nie znajdzie przytułku,
Chytrość moja schronienia. Co było ukryte,
To jest teraz już jasném — odkryte szalbierstwo,
Już się wszystko wydało, już nie ma wątpienia,
Iż zmarnieję i zginę razem z moim panem.
Zgubił mnie Aristofont, który wszedł tu właśnie;
On mnie zna, przyjacielem jest Filokratesa,
A nawet jego krewnym. Już i sam Bóg nawet
Ocalić mnie nie zdoła, choćby chciał ocalić,
Jeżeli nie wymyślę jakiego fortelu.
Ale jakiż do kata? Cóż wymyślić zdołam?
Co pocznę? (Namyśla się i jakoby co był znalazł). To są żarty,
głupstwa! Ciężka sprawa!

SCENA IV.

Hegio wychodzi z Aristofontem. Tyndar.

Hegio.

Ale gdzież się ten człowiek nagle z domu podział?

T y n d a r.

Już po mnie, już Tyndarze godzi nieprzyjaciel
Na ciebie! I cóż powiem? Do czego się przyznam?
Albo co przeczyć będę? Wszystko jest niepewne!
Na czemże mam polegać? O żebyś był przepadł,
Nim wyszedłeś z ojczyzny Aristofontesie!
Który mi wszystkie moje połamałeś szyki.
Wszystko marnie przepadło, jeżeli nie znajdę,
Jakiém szczęściem, dobrego, pewnego wykrętu.

H e g i o.

Chodź za mną! Otóż i on! Zbliż się, mów do niego.

T y n d a r.

Któż jest pomiędzy ludźmi biedniejszym odemnie?

A r i s t o f o n t.

Dla czegóż to, Tyndarze, uciekasz przedemną,
I na mnie patrzeć nie chcesz, jakbym ci był obcym,
I jakobyś mnie nie znał! Choć ja teraz jestem
Tak jak ty niewolnikiem, przecież byłem wolny,
A ty zawsze w Elidzie niewolnikiem byłeś.

H e g i o.

Wcale mnie to nie dziwi, że unika ciebie,
Albo wzroku twojego, że cię nienawidzi,
Kiedy go zwiesz Tyndarem zamiast Filokratem.

T y n d a r (do Hegiona po cichu).

Hegionie, jego wszyscy za szaleńca mieli,
Dopóki był w Elidzie; nie wierzże niczemu,
Cobykolwiek ci gadał. Toż on w domu swoim
Godził dzidą i ścigał swą matkę i ojca.
Niekiedy miewa nawet także tę chorobę,
Którą to opluwają. Bądź zdala od niego! *)

*) Jest to choroba zwana zwyczajnie morbus Herculaneus, albo m. sacer, m. major, albo m. caducus, zwana wielką chorobą, albo bożą wolą. U starożytnych było wiarą, że pluć na chorych tego rodzaju pomagało.

Hegio.

Precz, z daleka odemnie!

Aristofont.

Co gadasz hultaju?
Że ja jestem szalony? że dzidą godziłem
Na ojca i matkę? że miewam chorobę,
Którą dla uleczenia ludzie opluwają?

Hegio.

Nie troszcz się, ta choroba bardzo wielu dręczy,
Którym wyszło na dobre, że byli opluci.

Tyndar.

O, Elijczykom także!

Aristofont.

Co? i temu wierzysz?

Hegio.

Czy wierzę?

Aristofont.

Żem szalony?

Tyndar.

Patrz, jak dzikim wzrokiem
Już na ciebie spogląda! Ustąp, to najlepsza:
Co mówiłem — już bliskie, wściekłość się w nim żarzy:
Strzeżże go się Hegionie!

Hegio.

Zaraz to widziałem,
Że musi być szalonym, gdy cię zwał Tyndarem.

Tyndar.

A toż często swojego on nazwiska nie wie,
Ani nie wie, kim sam jest.

Hegio.

Ale jednak mówił,
Żeś ty jego przyjaciel.

Tyndar.

Widziałem, niestety!
Ale tak to Alkmeon, Orestes i Likurg*)
Są mymi przyjaciołmi, jak on przyjacielem.

Aristofont.

Co? więc ty śmiesz wisielcze tak źle o mnie mówić?
Więc to ja ciebie nie znam?

Hegio.

Wyraźnie go nie znasz,
Kiedy go zwiesz Tyndarem, zamiast Filokratem,
Więc się mylisz w osobie, zmieniając nazwiska.

Aristofont.

Przeciwnie, ten przybiera nazwisko nie swoje,
A kim jest w rzeczy saméj, tego nie powiada.

Tyndar.

To więc ty więcéj prawdy mówisz, niż Filokrat?

Aristofont

A ty widzę, na Boga, chcesz prawdę zbić kłamstwem!
Ależ ja ciebie proszę, zajrzyjże mi w oczy!

Tyndar.

No?

Aristofont.

Powiedz, więc zaprzeczasz, że jesteś Tyndarem?

Tyndar.

Zaprzeczam.

*) Znane są to osoby w mytologii z szaleństwa, które przyszło na nich z woli obrażonego bóstwa.

Aristofont.

To więc twierdzisz, żeś Filokratesem?

Tyndar.

Tak, twierdzę,

Aristofont.

Ty mu wierzysz?

Hegio.

Więcéj niżli tobie,
Albo sobie samemu; ten bowiem, którego
Nazwisko tu powiadasz, odszedł do Elidy
Dzisiaj do ojca tego.

Aristofont.

Do czyjego ojca?
Tego tu niewolnika?

Tyndar.

I tyś niewolnikiem,
Choć byłeś dawniéj wolnym! a ja się spodziewam
Być wolnym, jeśli wolność przywrócić potrafię
Hegiona synowi.

Aristofont.

Co mówisz wisielcze?
Tyś się wolnym urodził?

Tyndar.

Nie mówię, żem wolny,
Lecz jestem Filokratem.

Aristofont.

Cóż to? ten wisielec,
Hegionie, jeszcze z ciebie żarty sobie stroi!

Gdyż sam jest niewolnikiem; prócz samego siebie
Nigdy on jeszcze w życiu nie miał niewolnika.

Tyndar.

Ponieważ i w ojczyznie sam jesteś biedakiem,
Ani nie masz w swym domu, cobyś wziął do gęby,—
Chcesz, aby wszyscy tobie podobnymi byli:
Taka bowiem natura prawie wszystkich nędznych,
Iż dobrych nienawidzą, nawet im złorzeczą.

Aristofont.

Hegionie, przestrzegam cię, abyś mu nie wierzył,—
Ale on tu, jak widzę, już ci spłatał figla:
Że mówi, iż twojego syna ma wykupić,
Wcale mi się nie widzi.

Tyndar.

Tak, bo nie chcesz tego,
Lecz ja to przeprowadzę przy boskiéj pomocy,
Temu oddam tamtego, on mnie ojcu memu.
Dla tego ztąd wysłałem do domu Tyndara.

Aristofont.

Toć ty jesteś Tyndarem, a w Elidzie całéj
Drugiego niewolnika Tyndara nie było,

Tyndar.

Czy mi więc nie przestaniesz wyrzucać niewoli,
Iż pojmany zostałem?

Aristofont.

Wstrzymać się nie mogę!

Tyndar.

Czy słyszysz, co on mówi? Czemuż nie uciekasz?
Już on na nas kamieńmi zaraz godzić zacznie,
Jeśli go nie pochwycą.

Aristofont.

Prawiebym oszalał!

Tyndar.

Oczy mu się już palą — powroza! — Hegionie!
Czy widzisz, jak po całym ciele występują
Już mu żółtawe plamy? żółć go czarna pali:

Aristofont.

O, ciebie to zaiste, jeżli starzec mądry,
Niech pali smoła czarna, i niech się zaświeci
Na twéj głowie u kata.

Tyndar.

Już gada w gorączce.
Ot widma już go dręczą.

Hegio.

Kazać go pochwycić?

Tyndar.

Natychmiast.

Aristofont.

Czemuż nie mam kamienia pod ręką.
Abym temu łotrowi mógł wybić mózg ze łba,
Który mnie swemi słowy chce zrobić szalonym.

Tyndar.

Słyszysz — już chce kamienia!

Aristofont.

Chcę z tobą Hegionie
W cztery oczy pomówić.

Hegio.

Mówże ztamtąd, co chcesz?
Słyszeć będę z daleka.

Tyndar.

Tak, bo niech się zbliży,
A nos ci z twarzy zgryzie; taki jest żarłoczny.

Aristofont.

Hegionie nie wierz temu, abym był szalony,
Ja nim nigdy nie byłem i nie mam choroby,
O którćj ten tu mówi. Jeśli mnie się boisz,
Każ mnie okuć w łańcuchy: dobrze! — ale okuj
tego razem ze mną.

Tyndar.

Tak, tak, Hegionie,
Każ go okuć w kajdany, kiedy tego żąda.

Aristofont.

Milczże ty Filokracie udany; ja sprawię
Dziś to jeszcze, iż w tobie Tyndara poznają:
I czemuż na mnie kiwasz?

Tyndar.

Ja kiwam na ciebie?
Widzisz oto, co plecie! Jakbyś tutaj nie był.

Hegio.

Co mówisz? Gdybym wziął się do tego szaleńca?

Tyndar.

Głupstwa ci gadać będzie, będzie plótł od rzeczy
Bez sensu i bez myśli. Daj mu ubiór tylko,
A zobaczysz Ajasa w nim zaraz drugiego*)

Hegio.

Mniejsza o to, jednakże do niego się zbliżę.

*) Wiadomo, że Ajax Salamińczyk, bohatér z pod Troi, wedle mytycznego podania oszalał, gdy mu Agamemnon nie przyznał broni Achillesa i w szaleństwie wpadłszy między trzody Greków, zabijał je w myśli, że zabija nieprzyjaciół swoich.

Tyndar (do siebie).

O, teraz już jest po mnie; mam już nóż u szyi
I nie wiem co mam począć!

Hegio.

No, Aristofoncie,
Słucham cię, jeżeli masz co do powiedzenia.

Aristofont.

Usłyszysz, że jest prawdą, coś za fałsz uważał;
Lecz chciałbym przedewszystkiem przekonać cię o tém,
Że szalony nie jestem, że choroby nie mam,
Chyba żem niewolnikiem. A jak pragnę tego,
By mi moją ojczyznę oglądać dozwolił
Nasz król bogów i ludzi, tak ten Filokratem
Z pewnością nie jest więcéj, jak każdy z nas obu.

Hegio.

To powiedz, któż on przecie?

Aristofont.

Już ci go nazwałem
Od samego początku. Jeżli to nie prawda,
Chcę u ciebie w niewoli być przez całe życie,
Rodziców i wolności nie oglądać nigdy!

Hegio.

A ty, co powiesz na to?

Tyndar.

Żeś ty panem moim,
A ja twym niewolnikiem.

Hegio.

Nie o to cię pytam;
Czy ty byłeś wolnym?

Tyndar.

Tak, byłem.

A r i s t o f o n t.

To jest kłamstwo.
Wolnym nie był.

T y n d a r.

Zkąd to wiesz? Czyś był przy méj matce
Wtenczas, gdy mnie rodziła, iż z tą bezczelnością
Śmiesz takie twierdzić rzeczy?

A r i s t o f o n t.

Toć cię znałem chłopcem!

T y n d a r.

Więc ja starszy od ciebie — widzę ciebie starszym;
Ale jabym cię prosił: najlepiej uczynisz,
Że się nie będziesz mieszał w moje interesa:
Ja się w twoje nie mieszam.

H e g i o (do Aristofonta.)

Zwie się ojciec jego
Skarbozłotołowski.

A r i s t o f o n t.

Nie, tego ja nazwiska
W mém życiu nie słyszałem. Filokrata ojcem
Był Teodoromedes.

T y n d a r.

O, teraz już po mnie!
Czemuż mi moje serce tak gwałtownie bijesz?
Idź do kata, powieś się! Ty skaczesz, ja biedny
Zaledwo się ze strachu już na nogach trzymam.

H e g i o.

Czy pewna, że w Elidzie był on niewolnikiem
I że to nie Filokrat?

A r i s t o f o n t.

Tak pewna, że nigdy
Inaczéj nie usłyszysz. Ale gdzież on teraz?

Hegio.

Gdzie ja nie chcę, aby był. On się z tego cieszy!
Więc jestem oszukany, zrujnowany, biedny,
Przez podstęp tego łotra, który mnie do woli
Wygłupił i oszukał. Ale czy to prawda?

Aristofont.

Bądź pewny. Niezawodnie jest tak, jak ci mówię.

Hegio.

Z pewnością?

Aristofont.

Mówię tobie, że większéj pewności
W żadnéj rzeczy nie znajdziesz. Filokrat już chłopcem
Był moim przyjacielem, gdy ja chłopcem byłem.

Hegio.

Lecz opisz Filokrata: — jakże on wygląda?

Aristofont.

Powiem ci: bladéj twarzy, nos ma zakończony,
Płeć białą, czarne oczy, włos nieco rudawy,
Wijący się w kędziory.

Hegio.

To się wszystko zgadza.

Tyndar (do siebie)

Jakże ja to dziś jeszcze, Boże, nieszczęśliwy
Za to wszystko odpowiem! Biada biednym rózgom,
Które na moich plecach rozbite zmarnieją!

Hegio.

Widzę, żem oszukany!

Tyndar.

Czemuż wy kajdany
Nie spieszycie się do mnie? Chodźcież prędko, chodźcie,
Skrępujcie moje nogi, abym was pilnował.

Hegio (w gniewie.)

Jakże mnie też te łotry jeńcy oszukali!
Ten grał rolę wolnego, a ów niewolnika;
A tak jądro straciłem, w zastaw mi zostawił
Lichą tylko łupinę. I tak mnie głupiego
Łatwo w pole wywiedli. Ten mnie nie oszuka!
Kotofie, Kordaljonie, Koraksie: przynieście
Zaraz mi tu powrozy!

Niewolnik do drugiego.

Czy we dwóch pójdziemy?

SCENA V.

Ci sami. (Niewolnicy z powrozami, krępujący Tyndara).

Hegio.

Włóżcie zaraz kajdany na tego hultaja!

Tyndar.

Dla czego? Com zawinił?

Hegio.

Ty się pytasz o to?
Ty, któryś zbrodnię zasiał, wypili, owoc sprzątnął?

Tyndar.

Czemuż jeszcze nie dodasz, żem ją ubronował?
Boć wieśniak wprzód bronuje, zanim pielę ziemię.

Hegio.

Ale z jaką śmiałością on mi czoło stawił!

Tyndar.

Bo niewolnik niewinny i czysty w swem sercu
Może być śmiałym zawsze zwłaszcza względem pana.

Hegio.

Lecz proszę tylko mocno skrępować mu ręce.

T y n d a r.

Twoją jestem własnością, każ mi je i obciąć,
Lecz dla czego to czynisz, czemu się tak gniewasz?

H e g i o.

Ponieważ poszarpałeś mnie i me zamiary,
O ile tylko mogłeś, przez zbrodnicze sztuczki;
Majątek mi zniszczyłeś przez kłamliwy podstęp,
Połamałeś mi szyki, popsułeś mi plany.
Przez swą chytrość wydarłeś mi Filokratesa,
Bom myślał, żeś ty wolny, a on niewolnikiem,
Wyście się tak pomiędzy sobą umówili:
Zmieniliście nazwiska.

T y n d a r.

Przyznaję, że wszystko
Tak się stało, jak mówisz: że on sobie poszedł
Precz od ciebie przez podstęp przy mojéj pomocy
I przez zabiegi; lecz, na bogi! proszę,
Powiedzże, czy dla tego ty się gniewasz na mnie?

H e g i o.

Na twoje to największe zrobiłeś nieszczęście.

T y n d a r.

Mniejsza o to, że zginę, bo zginę z honorem.
Jeżeli ja tu zginę, a on nie powróci,
Choć powrócić obiecał: toć to moje dzieło
Po śmierci nieskończoną przyniesie mi sławę;
Iż pan mój, jako jeniec, przez moją ofiarę
Wolny wrócił do kraju i do swego ojca
Z niewoli nieprzyjaciół, i że sam wolałem
Wystawić głowę moją na niebezpieczeństwo,
Jak aby on miał zginąć.

H e g i o.

A więc myślże o tém,
Aby cię u Plutona otoczyli chwałą.

Tyndar.

Nie ginie, komu cnota jest przyczyną śmierci!

Hegio.

Kiedy cię dla przykładu najsrożéj umęczę,
I śmiercią cię ukarzę za szalbierstwo twoje,
Niech tam mówią o tobie żeś zginął, żeś umarł,
Niech i mówią, że żyjesz, byle cię nie było.

Tyndar.

Jeżeli to uczynisz, kara cię nie minie,
Gdy on tutaj powróci; że powróci, wierzę.

Aristofont (do siebie.)

Bogowie nieśmiertelni! teraz to rozumiem,
Wiem teraz, o co idzie. Przyjaciel Filokrat
Jest wolny i u ojca, jest w kraju. Cieszę się.
Nie mam bowiem nikogo, coby mi był milszym.
Ale mi bardzo przykro, żem się tak przysłużył
Temu tu, który teraz i z mojéj przyczyny
I przez moje wyrazy okuty w kajdany.

Hegio.

Czym ci dziś nie zabraniał mówić mi nieprawdę?

Tyndar.

Zabraniałeś.

Hegio.

A jednak czemu śmiałeś kłamać?

Tyndar.

Byłbym bowiem zaszkodził, prawdę mówiąc, temu,
Którego byłem sługą. Kłamstwo mu pomogło.

Hegio.

Ale tobie zaszkodzi.

Tyndar.

Dobrze; ale pana
Mojego ocaliłem i z tego się cieszę;
Bo mnie stróżem uczynił jego pan mój starszy.
Lecz powiedz, czy uważasz czyn mój za niegodny?

Hegio.

O! za najniegodniejszy!

Tyndar.

Nie zgadzam się z tobą,
I uważam za dobry. Bo pomyśl, gdyby to
Twój niewolnik uczynił dla twojego syna,
Ile byłbyś mu wdzięcznym! Czybyś niewolnika
Obdarował wolnością, czy nie? powiedz, proszę.
I czyby ten niewolnik nie był ci najmilszym?

Hegio.

A może.

Tyndar.

Więc dla czegoż na mnie się tak gniewasz?

Hegio.

Dla tego, iż wierniejszym jemu, niż mnie byłeś!

Tyndar.

Co? więc tego żądałeś, bym przez jedną dobę,
Człowiek świeżo pojmany i świeżo nabyty,
Tak był usposobiony, abym lepiéj tobie
Życzył, niźli onemu, z którym od dzieciństwa
Życie moje spędziłem?

Hegio.

Więc od niego żądaj
Zapłaty za przysługę. (do niewolników). Wy go zaprowadźcie,
Gdzieby go w ciężkie, grube okuto kajdany.
A ztamtąd pójdziesz daléj do łomów kamiennych,

Jak inni wykopują po ośm kamieni,
Tak ty, jeśli połową więcéj nie wykopiesz,
Codziennie, nazwą ciebie sześćset-plag-biorącym *).

Aristofont.

Na bogów i na ludzi miłość błagam ciebie,
Hegionie, nie daj zginąć temu człowiekowi!

Hegio.

O to się starać będę; bo w nocy w łańcuchach
Leżeć będzie pod strażą, we dnie wykopywać
Będzie skały z pod ziemi. Ja go dręczyć będę
Długo i przez dzień jeden sprawa się nie skończy.

Aristofont.

I toż już rzecz jest pewna?

Hegio.

Śmierć jest pewniejsza.

(do niewolników).

Zaraz go do kowala Hipolita wiedzcie,
I każcie go w kajdany okuć jak najgrubsze;
A potém zaprowadźcie po za bramy miasta
Do mego wyzwoleńca, Kozdala, do łomów,
I powiedzcie, że każę, aby myślał o tém,
Iżby mu gorzéj było jeszcze niż najgorzéj.

Tyndar.

Czemuż miałbym zbawienia pragnąć bez twéj woli?
Utrata życia mego nie jest bez twéj straty.
Po śmierci, w saméj śmierci już niema nic złego.
Czegobym się miał lękać, bo chociaż dożyję
Nawet późnej starości, krótkim jednak będzie
Czas znoszenia tych cierpień, któremi mi grozisz:
Bądź mi więc zdrów na zawsze — choć nie zasługujesz.
I ty Aristofoncie, bądź zdrów wedle zasług
Koło mnie położonych — gdyż przez ciebie cierpię.

*) W oryginale stói: Sexcentoplago nomen indetur tibi.

H e g i o.

Odprowadźcie go teraz!

T y n d a r.

O to jedno proszę,
Ażebyś mi pozwolił, gdy Filokrat wróci,
Z nim się widzieć i mówić.

H e g i o (w złości do niewolników).

Ja was zabić każę,
Jeśli mi go natychmiast z ócz nie odwleczecie.

(Hegio pcha Tyndara, niewolnicy go ciągną).

T y n d a r.

To jest gwałt, na bogi! być wleczonym i pchanym.

H e g i o.

Prosto więc do więzienia jest odprowadzony
Tak, jak na to zasłużył. Przezeń dam naukę
Jeńcom innym, by żaden nie pomyślał o tem,
Zrobić coś podobnego. Bo gdyby nie tamten
Był mi to wszystko wykrył, byliby przez podstęp
Wodzili mnie aż dotąd, jak murzynek słonia,
To pewna, że nikomu już wierzyć nie będę!
Dość żem raz oszukany. Ja biedny myślałem,
Żem już syna mojego wykupił z niewoli. —
I zgasła ta nadzieja! Jednegom już syna
Czteroletniego stracił, którego niewolnik
Ukradł mi! — i już nigdym ani niewolnika
Ani syna nie widział, A starszy się dostał
W ręce nieprzyjacielskie! Jakież to nieszczęście!
Jakoby na to tylko byli przyszli na świat,
By mnie osierocili! (do Aristofonta.) Chodź za mną! powrócisz,
Zkąd przyszedłeś. Litości już ja mieć nie będę,
Gdyż dla mego nieszczęścia nikt litości niema.

A r i s t o f o n t.

Pozbyłem się łańcuchów, a oto, jak widzę,
Już znowu do łańcuchów powrócić mi trzeba.

Akt czwarty.

SCENA I.

Ergazil.

O wielki mój Jowiszu! tyś zbawienie moje!
Ty mnożysz moje szczęście, bo mi znowu dajesz
Pański przepych, pochwałę, zysk, żarty, zabawę,
Uroczystość, swobodę, wspaniałość, dostatek,
Napitek, pożywienie, rozkosze, biesiady.
Bez ofiar pozyskałem bogate dziedzictwo.
Już ja teraz z pewnością nie będę się prosił!
Przyjacielowi nawet pomocnym być mogę:
Nieprzyjaciela zgubić. Taką mnie obdarzył
Dzień ten błogą słodyczą i tak wielkiém szczęściem.
Teraz już do starego spieszę Hegiona,
Któremu tyle szczęścia w dom jego przynoszę,
Ile tylko sam pragnie, a nawet i więcéj.
Ot, najlepiéj uczynić to, co niewolnicy
Zwykli czynić w komedyi: rzucę płaszcz na szyję *),
Abym ja mu téj wieści pierwszym był zwiastunem,
A za nią się spodziewam wieczną mieć biesiadę.

(wychodzi i niezadługo wraca).

SCENA II.

Hegio, późniéj Ergazil.

Hegio.

Im więcéj w myśli mojéj tę sprawę rozważam,
Tém mi się większa w sercu mojém złość rozpala,
Żem się do tego stopnia dał im wywieść w pole
I tego nie spostrzegłem! Jakiż to śmiech będzie
W całém mieście, kiedy się wieść o tém rozejdzie,

*) Dla przyspieszenia kroku.

Gdy przybyli na rynek wszyscy mówić będą:
„Ot stary oszukany, wywiedziony w pole!“
Lecz czy to nie Ergazil, co go widzę z dala?
Jest w płaszczu podkasanym! I cóż to ma znaczyć?

Ergazil.

Nie zatrzymuj się wcale, daléj Ergazilu,
Weź się raźno do dzieła! Grożę i zabraniam
Każdemu, aby w drogę zajść mi się nie ważył,
Jeżeli nie czuje, że żył już za długo!
Nogami się nakryje, kto mi w drogę zajdzie.

Hegio (do siebie).

Co on tak szermuje?

Ergazil.

Tak, tak, więc niech wszyscy
Lepiej w domu zostaną, niech nikt na téj drodze
Nie postanie mi nogą ze swym interesem;
Bo pięść moja jest kuszą, łokieć jest mi procą,
Ramie moje taranem, a kogo uderzę,
Na ziemię go powalę! kogo spotkam,
Ten zęby zbierać będzie.

Hegio (do siebie).

Dla czegoż tak grozi?
Wcale go nie rozumiem!

Ergazil.

Już on popamięta
Dzień ten na wieczne czasy i mnie i to miejsce.
Kto mi tu w drogę wejdzie, wejdzie życiu swemu.

Hegio (do siebie).

Cóż wszystkie te tak wielkie groźby znaczyć mają?

Ergazil.

Zapowiadam to naprzód, aby z własnéj winy

Nikt nie popadł w nieszczęście. O zostańcie w domu,
Abyście na swym grzbiecie nie czuli méj ręki.

Hegio (do siebie).

Zapewne to brzuch pełen odważnym go czyni!
Biedny ten, czyim kosztem nabrał tyle ducha.

Ergazil.

Piekarze świniopasy, którzy otrębami
Wieprze wasze karmicie, koło waszych domów
Nikt dla smrodu nie chodzi: jeżeli maciorę
Którego z was zobaczę tutaj na ulicy,
Wytłukę z niéj pięściami otręby jéj pana.

Hegio.

Jako król albo hetman rozkazy wydaje,
Jest syty i brzuch pewnie odważnym go czyni.

Ergazil.

A rybakom, co dają ludziom zgniłe ryby,
Które szkapa kulawa do miasta przywłóczy,
A ich smród to aż za miasto zbijobruków pędzi,
Rybackimi koszyki wytłukę ja pyski;
Niech widzą, jaką przykrość robią nosom innych.
Rzeźników, którzy biją owce pozbawione
Swych dzieci i sprzedają mięso za jagnięce,
Którzy starym baranom dają nazwę skopów,—
Jeźli dzisiaj spostrzegę barana na drodze:
I baran i pan jego będą nieszczęśliwi.

Hegio.

Patrzcie! a toż edilów rozkazy wydaje! *)
Czy go może zrobiono rynku inspektorem?

Ergazil.

Nie jestem pasorzytem, lecz królem nad króli,
Tak wielkie są dla brzucha zapasy tam w porcie.

*) Rozkazy edilów t. j. tych urzędników w Rzymie, którzy mieli policyą w swéj ręce a więc i porządek na targach.

Lecz czegóż się ociągam Hegiona ucieszyć,
Od którego na świecie nikt nie jest szczęśliwszy?

H e g i o.

I jakaż to uciecha, którą ten ucieszny
Ma dla mnie?

E r g a z i l (idąc do drzwi).

Hola! gdzie wy? Czy drzwi kto otworzy!

H e g i o.

O! na obiad przychodzi do mnie ten tu człowiek.

E r g a z i l.

Otwórzcie mi podwoje, jeżeli nie chcecie,
Abym wam je pukając w kawałki zgruchotał!

H e g i o.

Przemówię już do niego. Ergazilu, słuchaj!

E r g a z i l.

Kto woła Ergazila?

H e g i o.

A toż się obejrzyj!

E r g a z i l.

Chcesz człowiecze, bym zrobił, czego nie uczynię
Ni czyni ci fortuna; ale któż to taki?

H e g i o.

A toż patrz! Hegio jestem.

E r g a z i l.

O jak w czas przychodzisz,
Ty, któryś wśród najlepszych najlepszym człowiekiem.

H e g i o.

Kogóż w porcie spotkałeś, co ci obiad kupił,
Że tak teraz zuchwalisz?

E r g a z i l.

Daj rękę!

H e g i o.

Dać rękę?

E r g a z i l.

Tak, rękę: zaraz rękę!

H e g i o.

Masz ją.

E r g a z i l.

Ciesz się, ciesz się!

H e g i o.

Dla czegoż mam się cieszyć?

E r g a z i l.

Bo ci rozkazuję!
Więc daléj: ciesz się! ciesz się!

H e g i o.

Ha! kiedy mi smutki
Uciechę wyganiają!

E r g a z i l.

Nie smuć się! ja wygnam
Wszystkie smutków plameczki zaraz z twego ciała:
Ciesz się śmiało!

H e g i o.

Cieszę się, choć nie wiem dla czego.

E r g a z i l.

Tak, dobrze! więc rozkazuj!

H e g i o.

Cóż mam rozkazywać?

Ergazil.

Rozniecić wielki ogień.

Hegio.

Co zaś? wielki ogień?

Ergazil.

Tak, mówię: wielki ogień!

Hegio (z gniewem).

Cóż się w nim ma spalić?
Czy myślisz, że dla ciebie ja mój dom podpalę?

Ergazil.

Ach toć się nie gniewaj! Każesz czy nie każesz!
Ot garnki porozstawiać i miski poczyścić,
Słoninkę i potrawy w rozgrzanych patelniach
Przysmarzać. Iść po ryby temu . . . .

Hegio.

On śni nie śpiąc.

Ergazil.

Innemu po świninę i po baraninę
I po młode kurczęta.

Hegio.

Jeść dobrze potrafisz,
Byle tylko zkąd było!

Ergazil.

Po szynkę, minogi,
Po jątrzyce, makrele, trygon, wieloryba,
Po tłusty, miękki serek.

Hegio.

Ładna to litania!
Wolno ci ją odmówić! ale wątpię bardzo,
Ażebyś te przysmaczki miał u mnie na stole.

Ergazil.

Czy myślisz, że dla siebie ja to wszystko mówię?

Hegio.

Coś bo u mnie zjeść możesz, lecz mało co nad to,
Więc nie drażnij języka i przynieś ze sobą
Brzuch ten, który u ciebie proste zna pokarmy.

Ergazil.

O, gdybym ci zabraniał, byś nie robił kosztów,
Wiem — nie zgodzisz się na to!

Hegio.

Co? ja się nie zgodzę?

Ergazil.

Tak ty, ty!

Hegio.

Toś ty pan mój?

Ergazil.

Lecz bardzo życzliwy.
Mam cię zrobić szczęśliwym.

Hegio.

Wolę, niźli biednym.

Ergazil.

Daj rękę.

Hegio.

Rękę?

Ergazil.

Bóstwa wszystkie cię kochają.

Hegio.

Lecz ja tego nie czuję.

Ergazil.

Bo nie jesteś w cierniu!
Ale wydaj rozkazy, by czyste naczynia
Zaraz były gotowe do ofiary bogów:
Każ przynieść tłuste jagnię, własne.

Hegio.

I dla czego?

Ergazil.

Abyś je ofiarował.

Hegio.

A któremu z bogów?

Ergazil.

Otóż mnie; gdyż ja tobie największym Jowiszem,
Ja ci jestem zbawieniem, ja szczęściem, ja światłem,
Ja radością, rozkoszą! Tego przeto boga (wskazując na brzuch).
Pozyskaj sobie łaski, karmiąc go i sycąc.

Hegio.

Zdaje mi się, żeś głodny.

Ergazil.

Jestem, lecz dla siebie.*)

Hegio.

Chętnie zadość uczynię.

Ergazil.

Wierzę, boś przywykły.

Hegio.

A niech cię djabli porwą!

*) Te słowa i następna odpowiedź mają dwuznaczne, trywialne znaczenie.

Ergazil.

To zamiast wdzięczności
Za wieść dobrą, którą ci od portu przynoszę:
Teraz mi się podobasz.

Hegio.

Głupiś, już za późno.

Ergazil.

Gdybym był przyszedł późniéj, byłoby za późno.
Słuchaj teraz, tę radość oto ci przynoszę:
Widziałem twego syna właśnie teraz w porcie
Na publicznym okręcie żywego, zdrowego,
A z nim razem owego drugiego młodzieńca
I twego niewolnika Stalagma, co uciekł
Z twego domu ukradłszy ci małego synka.

Hegio.

A niech cię djabli wezmą, tak sobie drwić ze mnie!

Ergazil.

Hegionie, niech bogini sytości mnie zawsze
Tak kocha i imieniem swojem mnie zaszczyca,
Jak, że ja go widziałem.

Hegio.

Czy mojego syna?

Ergazil.

Tak jest — twego syna, me bóstwo opiekuńcze.

Hegio.

I jeńca Elijczyka?

Ergazil.

Tak, na Apollina!

H e g i o.

Niewolnika Stalagmna, co mi ukradł syna?

E r g a z i l.

Tak jest, na Prozerpinę!

H e g i o.

Dawno?

E r g a z i l.

Na Preneste.*)

H e g i o.

Więc przybył?

E r g a z i l.

Tak, na Signią!

H e g i o.

Lecz czy tylko prawda?

E r g a z i l.

Klnę ci się na Fruzino!

H e g i o.

Czy tak?

E r g a z i l.

Na Alabium!

H e g i o.

Na miasta barbarzyńskie czemu się zaklinasz?

*) Dla czego się tu Ergazil zaklina na miasta w Kampanii będące, trudno powiedzieć. Dwuznaczności tu zdaje się nie ma żadnéj, chyba może, że mieszkańcy tych miast czy to dla gburowartości swojéj, czy dla przychylności okazywanéj Hannibalowi w wojnie Punickiéj weszli w przysłowie u Rzymian.

Ergazil.

Boć one tak są proste, jak potrawy twoje,
O których mi mówiłeś.

Hegio.

Jeśli tylko prawda?

Ergazil.

Kiedy mi nic nie wierzysz, choć ci szczerze mówię!
Stalagmus, gdy ztąd uciekł, z jakiego był kraju?

Hegio.

Z Sycylii.

Ergazil.

Dziś on nie jest już Sycylijczykiem,
Jest z Kejdan z kajdanami, któremi jak z żoną*)
Połączono go mocno. .

Hegio.

Powiedz, czy to wszystko
Mówisz mi w dobréj wierze?

Ergazil.

Tak jest, w dobréj wierze!

Hegio.

Bogowie! zdaje mi się, żem ja odrodzony,
Jeżeli prawdę mówisz!

Ergazil.

Będziesz jeszcze wątpił,
Kiedy ci się na wszystkie przysięgam swiętości?
Nareszcie, Hegionie, jeżeli przysiędze
Wiary już dać nie możesz, to idźże do portu!

*) W oryginale jest *Bojus est*, *Bojam terit*, a w tem leży tu dwuznaczność, że *Boja* znaczy *pęta*, rodzaj kajdan. Dla podobieństwa wybrałem w tłumaczeniu nazwisko miasta litewskiego Kejdan, które tu odpowiadać się zdaje.

H e g i o.

Tak jest, tak, ja to zrobię! A ty w moim domu
Myśl o tem, co potrzebne. Robię cię szafarzem.

E r g a z i l.

A jeżelim ci prawdy nie powiedział szczerze,
Możesz mnie kijem wytłuc.

H e g i o.

Jeżli prawdę mówisz,
Będziesz miał już na wieki wolny stół dla siebie.

E r g a z i l.

Od kogo?

H e g i o.

A odemnie i od mego syna.

E r g a z i l.

Czy mi to obiecujesz?

H e g i o.

Tak jest, obiecuję.

E r g a z i l.

Więc ja ci odpowiadam, że twój syn powrócił.

H e g i o.

Urządź więc jak najlepiéj.

E r g a z i l.

Idź zdrów i powracaj.
(Hegio odchodzi.)

SCENA III.

E r g a z i l.

On więc odszedł, mnie swoim zrobiwszy szafarzem.
Bogowie nieśmiertelni! jakże teraz będę

Łby od grzbietów odcinał! O jakaż na szynki
Przyjdzie teraz zagłada! Na słoninę jakie
Przyjdzie teraz zniszczenie! Wymion wymiatanie,
I jakież skór skurczenie! Jakież umęczenie
Rzeźników, zaganiaczy! Lecz szkoda i czasu,
Aby wszystko wyliczać, czem się brzuszek cieszy.
Teraz dalej na urząd! osądzę słoninę,
A szynkom, które biedne bez wyroku giną,
Przyjdę z moją pomocą: będę sprawiedliwy.

SCENA IV.*)

Niewolnik wybiega z domu Hegiona.

A niechże, Ergazilu, wszyscy djabli porwą
Ciebie, brzuch twój, i razem wszystkich pasorzytów,
I tego, który będzie posorzytom dawał
Jeszcze kiedy wieczerzę. Toć klęska, zniszczenie,
Grom i burza zwaliły się na biedny dom nasz.
Jak wilk jaki zgłodniały! Bałem się już o to,
Aby czasem i na mnie jeszcze się nie rzucił!
Zaiste zląkłem go się, tak zgrzytał zębami!
Przyszedłszy, całą z mięsem przewrócił śpiżarnię
Aż do góry nogami. Porwał miecz do ręki,
Oderznął od trzech grzbietów kawały najlepsze,
Potłukł garnki, naczynia, nie mieszczące garnca;
Kucharza wypytywał, czyby całych wołów
Ugotować nie można. U wszystkich komórek
Drzwi połamał i szafę otworzył, przetrząsnął!
(woła na niewolników w domu) Hej! pilnujcie go sładzy, ja pójdę po pana,
Powiem mu, aby inną urządził śpiżarnię,
Jeżeli jeść chcieć będzie. Bo ten gospodarzy,
Że z niej albo nic nie ma, albo nic nie będzie (odchodzi.)

*) Ta scena nie bardzo w swojem miejscu; do następnego aktu przyłączyć jéj nie można; a tak bezpośrednio po scenie poprzedniéj téż nastąpić nie może. Przypuścić więc należy, że pomiędzy nią a poprzednią zaszła jaka pauza.

Akt piąty.

SCENA I.

Hegio, Filopolem, Filokrat, Stalagmus.

Hegio (do Filopolema.)

Jowiszowi i innym bogom dzięki składam,
Że cię ojcu twojemu znowu przywrócili,
Mnie od wielu okropnych uwolnili cierpień
Które dotąd bez ciebie tutaj mnie dręczyły,—
Że tego tu oglądam teraz w naszéj mocy,
I że ten słowa swego tak święcie dotrzymał.
Dosyć już wycierpiałem, dosyć natrapiłem
Się łzami i troskami, dosyć już słyszałem
Tam w porcie o cierpieniach, które ty znosiłeś!
Teraz dosyć już na tem!

Filokrat.

Cóż więc powiesz na to.
Żem ci słowa dotrzymał, syna ci uwolnił,
Do ciebie odprowadził?

Hegio.

Uczyniłeś tyle,
Iż nigdy ci się dosyć wywdzięczyć nie mogę
Za zasługę, jaką masz względem mnie i syna

Filopolem.

Owszem możesz, mój ojcze, będziesz mógł i ja też
Módz będę; a bogowie dadzą tę sposobność,
Abyś za dobrodziejstwa dobroczyńcę tego
Wedle zasług nagrodził.

Hegio.

Czyż tu słów potrzeba
Cokolwiekbyś zażądał, odmówić nie mogę.

Filokrat.

A więc żądam od ciebie, abyś niewolnika
Oddał mi, którego tu zostawiłem w zastaw
Za siebie, który zawsze bywał dla mnie lepszym,
Niż dla siebie samego; ażebym za wszystko,
Co mi dobrego czynił, mógł mu się wywdzięczyć.

Hegio.

Za twoje dobrodziejstwo chętnie się wywdzięczę,
I czego teraz żądasz, czego żądać będziesz,
Wszystko dam ci, uczynię. Ale się nie gniewaj,
Że z nim źle postąpiłem uniesiony gniewem.

Filokrat.

I co mu uczyniłeś?

Hegio.

W łomach go kamiennych
Zamknąłem okutego, kiedym się dowiedział,
Że byłem oszukany.

Filokrat.

O ja nieszczęśliwy!
To więc z mojéj przyczyny ten przezacny człowiek
W takie popadł nieszczęście!

Hegio.

Za to mi za niego
Nie dasz ani szeląga; weź go i uwolnij!

Filokrat.

Dziękuję za twą łaskę; ale błagam ciebie,
Byś go tu przyzwać kazał.

Hegio,

Owszem! (do niewolników.) Gdzież jesteście?
Pobiegnijcie natychmiast! Niech tu Tyndar przyjdzie!

(do Filopolema i Filokrata.)
Idźcież teraz do domu, a ja tu wybadam
Ten tu słup biczowniczy, co się stało z małym
Moim synem; — tymczasem sprawcie sobie łaźnię.

Filopolem.

Pójdź ze mną Filokracie.

Filokrat..

Owszem, idę chętnie (odchodzą)

SCENA II.

Hegio i Stalagmus.

Hegio.

Zbliż się tu mój kochanku, mój ty miły sługo.

Stalagmus.

Cóż mnie czynić wypada, kiedy ty mąż taki
Nie prawdziwą rzecz mówisz? Ja nigdy nie byłem
Kochankiem, miłym, dobrym, ni byłem uczciwym,
Ani nigdy nie będę! Nie ciesz się nadzieją,
Bym kiedy był mściwym!

Hegio.

Łatwo pewnie zgadniesz,
Jaki los ciebie czeka. Jeśli prawdę powiesz,
Wyjdzie ci to na dobre, złą sprawę naprawisz:
Mów otwarcie, prawdziwie! Ale nigdy jeszcze
Nie działałeś otwarcie, ani też prawdziwie!

Stalagmus.

Czy myślisz, że się wstydzę przyznać, że tak mówisz?

Hegio.

Lecz ja ci wstydu nagnam, zlawszy cię czerwienią.

Stalagmus.

O wierz! znam ja chłosty, któremi odgrażasz.

To więc zostaw na później, a powiedz, co myślisz,
Ażebyś się dowiedział, czego wiedzieć żądasz.

Hegio.

Dosyć jesteś wymownym, lecz gęby oszczędzaj.

Stalagmus.

Jak każesz.

Hegio (do siebie).

Jako chłopiec był bardzo posłuszny,
Lecz teraz nie wypada *) (głośno). Uważaj i słuchaj,
A na moje pytania dawaj odpowiedzi.
Gdy prawdę mówić będziesz, naprawisz swą sprawę.

Stalagmus.

To żarty! czyliż myślisz, że nie wiem, com godzien?

Hegio.

Lecz możesz chociaż w części kary swéj uniknąć, —
Choć nie całéj.

Stalagmus.

Wiem, w części — gdyż mnie wielka spotka,
I na nią zasłużyłem, ponieważ uciekłem,
Syna twego ukradłem i sprzedałem.

Hegio.

Komu?

Stalagmus.

Teodoromedowi w Elis bogatemu,
Za sześć min.

Hegio.

Ha, na bogi! wszakże to jest ojciec
Tego Filokratesa.

*) W tych i poprzednich Stalagmusa wyrazach jest znów dwuznaczność trywialna.

Stalagmus.

A toż go znam lepiéj
Niż ciebie i widziałem go częściéj od ciebie.

Hegio.

O Jowiszu potężny, zachowajże, proszę,
I mnie i syna mego! Wyjdź Filokratesie,
Na bogi cię zaklinam, z tobą się chcę widzieć.

SCENA III.

Stalagmus, Hegio, Filokrat.

Filokrat.

Ot jestem, Hegionie, na twoje usługi.

Hegio.

Ten tu mi opowiada, że syna mojego
W Elidzie sprzedał za sześć min twojemu ojcu.

Filokrat.

I kiedyż to się stało?

Stalagmus.

Rok temu dwudziesty.

Filokrat.

Kłamie.

Stalagmus.

Ja? albo i ty. Gdyż czteroletniego
Tobie chłopcu małemu dał ojciec chłopczyka
Do zabawy.

Filokrat.

Jeżeli prawdę mówisz, powiedz,
Jak mu było na imię?

S t a l a g m u s.

Zwano go Pegnius,
Ale wy nazwaliście go późniéj Tyndarem.

F i l o k r a t.

Czemuż ja ciebie nie znam?

S t a l a g m u s.

Bo to zwyczaj ludzi
Zapominać o innych i wcale ich nieznać,
Gdy już są niepotrzebni.

F i l o k r a t.

Powiedzże mi jeszcze,
Czy ten, którego ojcu mojemu sprzedałeś,
I który mnie był dany, był tego tu synem?

H e g i o.

A czy żyje on jeszcze?

S t a l a g m u s.

Dostawszy zapłatę,
O nic już nie pytałem.

H e g i o.

Co ty mówisz na to?

F i l o k r a t.

To tylko, że nasz Tyndar jest właśnie twym synem
Wedle jego dowodów; gdyż on jako chłopiec
Wraz ze mną od dzieciństwa był wychowywany,
I dobrze i uczciwie aż do lat młodzieńczych.

H e g i o.

O jakem nieszczęśliwy i szczęśliwy razem!
Jeśli prawda to wszystko, co mi powiadacie!
Nieszczęśliwym się czuję, że mu dokuczyłem,
Kiedy jest moim synem! O czemuż czyniłem,
Więcéj jeszcze albo mniéj, jak co było słuszne!

Dręczy mnie, że mu tyle wyświadczyłem złego!
O gdyby, co się stało, odstać jeszcze mogło!
Lecz to on się zbliża w stroju i ubraniu
Nie takiém, jakie cnocie jego się należy.

SCENA IV.

Ci sami. Tyndar wychodzi w łańcuchach i z młotem.

Tyndar.

Obrazów widziałem już wiele, które męki
Piekielne przedstawiają; ale nie znasz piekła
Takiego, jak to miejsce, w którém teraz byłem
Tam w tych łomach kamiennych. To właśnie jest miejsce,
Gdzie praca precz wygania z ciała unużenie.
Skoro bowiem przybyłem, jak dzieciom szlacheckim
Dają kawki, lub kaczki, albo też przepiórki,
Z któremiby igrały, tak mnie dano zaraz
Oto dudka z żelaza, który mnie miał bawić.

(spostrzega Hegiona.)

Ależ pan przededrzwiami! (radośnie) i oto pan drugi
Już powrócił z Elidy.

Hegio.

Witaj, ty mój synu,
Upragniony!

Tyndar (zadziwiony.)

Co? synu? Ależ wiem, dla czego
Siebie ojcem nazywać możesz, a mnie synem:
Iż przez ciebie oglądać mogę światło dzienne,
Jak dziecko przez rodziców.

Filokrat.

Witam cię, Tyndarze.

Tyndar.

I ja ciebie, z którego to przyczyny znoszę
Te cierpienia.

Filokrat.

Lecz teraz sprawię, iż do bogactw
Przyjdziesz wolny, gdyż ten tu jest rodzicem twoim;
Ten niewolnik cię ukradł, gdy miałeś lat cztery,
I za sześć min w Elidzie sprzedał ojcu memu,
A ten cię maleńkiego mnie małemu chłopcu
Dał jako towarzysza. Tam on wszystko wyznał,
Gdyż myśmy go z Elidy tutaj sprowadzili.

Tyndar.

Co? tego jestem synem?

Filokrat.

Tam w domu jest i brat
Twój rodzony.

Tyndar.

Co mówisz? To więc sprowadziłeś
Jego syna z niewoli?

Filokrat.

Tak, on tam jest w domu

Tyndar.

Cieszę się, bo zrobiłeś dobrze i uczciwie.

Filokrat.

Teraz ten ojcem twoim, ten złodziejem twoim,
Który ciebie chłopczyka maleńkiego ukradł.

Tyndar.

To ja teraz dorosły jego dorosłego
Dam katu za złodziejstwo.

Filokrat.

I zasłużył na to.

Tyndar.

A więc dam mu nagrodę, na jaką zasłużył.

(do Hegiona). Ale mi powiedz, proszę, ty więc moim ojcem?

Hegio.

Ja nim jestem, mój synu.

Tyndar.

Ot teraz nareszcie,
Kiedy sobie rozważam, przypominam sobie,
Oto teraz nareszcie powraca mi pamięć,
Jakby przez sen, żem słyszał, iż ojca mojego
Nazwisko było Hegio.

Hegio.

I to ja nim jestem.

Filokrat.

Więc proszę, każ ze syna zdjąć zaraz kajdany,
A włożyć tu na tego.

Hegio.

Tak, to przedewszystkiém;
Więc chodźmy, aby kazać przyjść tu kowalowi,
Cobym z ciebie kajdany zaraz zdjąć rozkazał,
A dał temu.

Strobil (przerywając.)

Tak dobrze, nic ja bowiem nie mam.

EPILOG.

WSZYSCY.

Widzowie! w téj komedyi są ene obyczaje;
Gdyż w niéj nie masz wszeteczeństw, ni jakiéj miłości,
Nie masz ani podrzutka, ni skarbów skradzionych,
Nie masz rozkochanego młokosa, któryby
Bez wiedzy ojca swego dziewczynę wykupił.
Komedyi w tym rodzaju, by dobrzy lepszymi
Się stali, wymyślają nie wiele poeci.

A teraz, jeśli wam się podoba i jeśli
Podobaliśmy się wam i was nie znudzilim,
Okażcie to znakami, przyklaśnijcie szczerze,
Jeżeli wynagrodzić tę skromność zechcecie.



POTRÓJNY.

(TRINUMMUS.)

PRZEKŁAD PIOTRA CIEKLIŃSKIEGO.

(PRZEDRUK KSIĄŻKI WYDANEJ W ZAMOŚCIU ROKU 1597.)



Komedya Plauta Trinummus wydaną została w przekładzie polskim przez Cieklińskiego Piotra r. 1597 w Zamościu pod tytułem: Potróyny. Jest to książka dziś już bardzo rzadka. Wiszniewski opisuje ją w swéj Historyi Literatury, tom VII. str. 319. Jocher powiada, że jeden znany exemplarz tego tłomaczenia znajduje się w bibliotece uniwersytetu lwowskiego, ale go znać nie widział, gdyż Cieklińskiego Piotra przezwał Czeklińskim Danielem, wyraźnie przez zbyt wielką nieuwagę biorąc imię Daniel od Hermana Daniela, który w poemacie Rana et lacerta przemawia o téj komedyi do Zamojskiego — a nazwisko Czekliński wziął z téjże z pewnością przemowy, gdyż tam nazywa go Herman Daniel z niemiecka Czeklińskim. Trzeci exemplarz posiada pan Rymarkiewicz professor gimnazyum poznańskiego, a czwarty nareszcie bardzo piękny exemplarz nabyła świeżo biblioteka główna w Warszawie.

Taka rzadkość téj książki jest przyczyną niecałkiem prawdziwego sądu o Potrójnym. Wiszniewski podaje w Literaturze swojéj nawet wyjątki z niego; z oryginałem jednakże z pewnością go nie porównywał, gdyż niebyłby pewnie mówił, że Ciekliński naśladował w nim komedyą Plauta Trinummus — chcąc, jak słusznie dodaje, wyszydzić polskie marnotrawstwo, które Ateny i Rzym zgubiło, — i że w niéj chwalono dobry pomysł, dobrze utrzymane charaktery i wykończenie staranne szczegółów.

Autor artykułu o Cieklińskim Piotrze w Encyklope-

dyi Powszechnéj nie jest w zdaniu swojem jednostajnym; mówi bowiem raz, że Potrójny jest naśladowaniem, że Ciekliński oddał po polsku Plauta, a późniéj, że praca jego nie może się nazwać tłomaczeniem ani naśladowaniem; wziął bowiem tylko myśl z komika rzymskiego, przystósował ją do ówczesnych w kraju obyczajów, chcąc wyszydzić polskie marnotrawstwo.

Cieckliński porobił w Potrójnym wprawdzie zmiany pewne, nie są one jednakże tak ważne, ażeby całość można uważać za naśladowanie tylko. Osoby występujące w nim spolszczył — bez względu jednakże na znaczenie etymologiczne nazwisk oryginalnych, i tak: Megaronides nazywa się u niego Sędzisławskim, Kallikles Dobrochowskim, Liziteles Szczęsnym Złotogrodzkim, Filto Złotogrodzkim, Stasimos Pangraczem, Lesbonik Woytowiczem, Charmides Skarbkiem, Szalbierz zowie się Pierczykiem, a dodał jedną jeszcze osobę Philokierda, która mu się potrzebną być zdawała do przeprowadzenia małéj zmiany w treści oryginału.

Wierszy oryginalnych 1185 przełożył Cieckliński prawie dosłownie — z bardzo małemi tylko odmianami zastósowanemi do planu jego — w 1523 wierszach, wypuściwszy wierszy oryginalnych 25; dodał zaś własnego utworu wierszy 586, tak, że wszystkich wierszy w Potrójnym jest 2109. Biorąc na uwagę ten stosunek liczb można twierdzić, że Potrójny jest tłomaczeniem mającem dodanych kilkaset wierszy oryginalnych, zwłaszcza, iż treść jego wcale nie wielkiéj ulega zmianie. Polega ona zaś na tem, że marnotrawny Pangracz, strwoniwszy w krótkim czasie cały majątek swój i siostry, chce sprzedać ostatni jeszcze folwark, aby wedle polskiego zwyczaju za pieniądze wzięte za niego mógł wyprawić siostrze wesele i dać jéj jaką wyprawę. U Plauta zaś stara się Lesbonik skłonić Filtona, a następnie Lizitelesa, ażeby przyjęli ostatni jego folwark w posagu z siostrą jego, idącą za Lizitelesa. Cieckliński wprowadza przy traktowaniu o to osobę nową Philokierda Greczyna, który ma folwark kupić, ale nie mogąc się z tą zmianą utrzymać, przy któréj zresztą zachował prawie do-

słownie dialog Plauta, odstąpił wnet od niéj i powrócił dosyć niezręcznie do planu Plautowéj komedyi.

Inna jeszcze mała zmiana treści leży u Cieklińskiego w tem, że Plaut wysyła Charmidesa w drogę jako kupca za interesami handlowemi w celu zrobienia majątku; Cieklński zaś wysyła Skarbka jako szlachcica do Paryża z drugim synem, dla jego wykształcenia. Trzymając się jednakże z resztą ściśle planu Plauta, widzi się ostatecznie zmuszonym do oświadczenia, że jego Skarbek był w drodze dla interesów pieniężnych i dla poratowania przez to dzieci swoich.

Że się rzecz u Cieklińskiego dzieje w Polsce, u Plauta w Atenach, że dla tego w dodanych wierszach tło przybrało koloryt polski, to nie zmienia już wiele treści w ogóle.

Jakkolwiek Ciekliński wywiązał się pod wielu względami z zadania swego tak, iż współcześni mogli go uwielbiać, pokazuje się jednakże niekiedy niezręcznym, mianowicie tam, gdzie odstępując od planu przez Plauta zakreślonego, chce coś zupełnie nowego powiedzieć. Uderzającą jest szczególniéj niezręczność ta n. p. w scenie 10, gdzie Pierczyk zgaduje, przypominając sobie nazwisko Dobrochowskiego, które już dwa razy dopiero co był wymówił, zwłaszcza jeszcze, że tu wcale nie idzie o nazwisko Dobrochowskiego, ale o nazwisko Skarbka, od którego Pierczyk niby jako przyjaciel jego miał listy, a zapomniał jego nazwiska. Niezręczność ta jest tu tem większa, że Ciekliński każe Pierczykowi nieco niżéj drugi raz jeszcze zgadywać Skarbka nazwisko.

W wydaniu Potrójnego uderzać mogą przemówienia na początku drukowane: Jana Ostroroga Podczaszego Koronnego, Szczesnego Herborta, Szymona Szymonowicza, Andrzeja Średzińskiego — zalecające bardzo tę książkę. Mamy wprawdzie przykłady, że już pierwsze wydania wychodzą niekiedy z przemówieniem jakiéj drugiéj osoby, tak n. p. w Koszutskiego tłomaczeniu Cycerona de Officiis jest pomiędzy życiem Cycerona a textem kilka wierszy przemówienia z podpisem S. G. pewnie Stanisława Grochowskiego

drukowanych w r. 1576, kiedy text sam był drukowany r. 1575 — aleź zwyczajnie drukują się i drukowały pewnie drugie lub późniejsze dopiero wydania książek z przemówieniem lub krytyką pochwalną napisaną po pierwszem wydaniu. Możnaby się pewnie dla tego domyślać, że wydanie Potrójnego znane nam z r. 1597 nie było pierwszem wydaniem.

Poparciem przypuszczenia tego może być i to jeszcze, iż bardzo prawdopodobnie pisał Ciekliński Potrójnego o kilkanaście lat przed rokiem 1597. Rzecz bowiem dzieje się w Polsce w pierwszych latach panowania Stefana Batorego. Skarbek jest w drodze blisko rok jeden, a powróciwszy mówi o odjeździe Henrykowym, o nowo wybranym królu, podczas jego nieobecności o tém, że król właśnie na Moskwę się bierze — a wszystko to zdaje się dowodzić, że Ciekliński wspomina o tych właśnie wypadkach dla tego, iż patrzał na nie wtenczas, albo że były zupełnie świeżymi, kiedy Potrójnego pisał. Ponieważ zaś Henryk uszedł z Polski r. 1574, Batory wybranym został r. 1575, wojnę z Moskwą prowadzić zaczął r. 1578, — więc Potrójny był napisany blisko 20 lat przed wyjściem z druku, jeżeli wydanie z r. 1597 jest pierwszem wydaniem. Ale dziwną się wydać może, dla czego Ciekliński czekał tak długo z wydaniem, zwłaszcza, że on z pewnością nie napotykał trudności, jakie dziś zatrzymują nie jedno znakomite i pożyteczne dzieło czasem na zawsze w tece autora.

Ponieważ Potrójny Cieklińskiego zasługuje na uwagę pod wielu względami, umyśliłem go wydać obok mojego przekładu. W przywileju i w dedykacyi zatrzymałem dla przykładu ortografją oryginału — z wyjątkiem kreskowanego *a* i to przez wzgląd na trudności typograficzne.

Zakaz jest Jego Królewskiéj miłości naszego miłościwego Pana, aby żaden Potróynego z Plauta Piotra Ciekliń-skiego okrom Drukarza Academiey Zamoyskiéy nie drukował, ani indziéy drukowanego nie przedawał, pod winą opisaną w przywileju danym w Warszawie VIII dnia Miesiąca Czerwca Roku Pańskiego MDXCVII.

Jaśnie Wielmożnemu a mnie wielce Mśćiwemu Panu Jegomośći Panu Mikołaiowi Firleiowi z Dąbrowice, Woiewodźie Krakowskiemu. etc.

Firlci, co gdy mówię y z starożytnośći
Y z tey którą gniazdo twe zakwitło dzielnośći,
Zarazem ćię wystawiam: bo ludźie urzędy,
Y ludźmi dostoieństwa godnie stoią wszędy.
Potroyny przedtym z Skarbu Philemonowego
Plautus wyiął, y przekuł na xtałt oyczystego.
Gdy upadły Atheny, Rzym wyszedł z swey kluby,
Skarb zniszczał, a Potroyny uchowany zguby,
Dostał śię w obec kraie, y choć niepowinną
Ma przed śię cenę między monetą gośćinną.
Ten gdy mi wpadł trafunkiem jakimśi do ręku,
Słuszność wagi y własność nalazłem w nim dźwięku,
A iż do tey otwartey Rzeczypospolitey,
Naniesiono menice zewsząd rozmaitey:
Chćiałem y ia znak swoyey zabawy pielgrzymskiey
Położyć na tym groszu kuźni starorzymskiey,
Zwłaszcza że choć w nim różne śrebro i robota,
Zda się że z naszym wyszedł z pod iednego młota.
Oddawamći go tedy zacny Woiewoda,
Dar choć mały nie owszem wielkim nieochłoda,
Przyim z łaską; a podziel go miedzy przyiaćioły,
Gdyć się po pracach twoich uda dźień wesoły.

Nikomu y komu.

Wszystkim ogułem, y poiedynkiem,
Każdemu wdzięcznym być upominkiem
Chce móy Potróyny, gdyż nie przymawia,
Jedno zwierćiadło przed oczy stawia.

Jeśli się tu kto w czym poszlakuie,
Niech radniey milczkiem się poprawuie:
Nisz żeby się miał wydać przez znaki
Głupiego gniewu, być właśnie taki.

Tenże.

Wyśmiać złe obyczaie, gdy widział że środki
Insze nie szły, chciał z Athen Philemon w żart słodki.
Tymże xtałtem chciał Plautus Rzym opleć z rozpusty,
Ale rzadko koń ręki słucha twardousty.
To zgubiło Atheny y Rzymiany możne,
Co przed szkodą Polaki niech czyni ostrożne.
Późno szczędzić zaczyna marnotrawca na dnie,
Późno dom zły gospodarz wspiera gdy upadnie.

Do Plauta.

Jan Ostrorog, Podczaszy Koronny,
Któryś daremnym żartem Rzym strofował,
Bo on w swym szczęściu przed się poszwankował:
Wdziey giermak Plaućie, zwlokszy się z swey togi,
Zzuy swe, wzuy bóty kowane na nogi:
Y mów po polsku, aby zrozumieli
Naszy, w czym twoi słuchać ćię niechcieli.
Aza gdy uyźrzą przecz Rzym niepowolny
Zginął choć więtszy, i straćił stan wolny,
Zechcą podobno usłuchać Polacy:
Wżdy kiedy zbierzesz owoc swoiey pracy.

Potroyny o sobie, J. Szczęsnego Herborta!

Gdym Philemonem będąc w Atheniech żartował
Z obyczaiów, a w nich się nikt nie poprawował,
Przeniosłem się do Rzymů y tam Plautowymi
Usty daremnie mówiąc, kraymi podziemnymi
Przyszedłem na pułnocy wźiąwszy Cieklińskiego
Osobę zacną na się, wnuki przeważnego
Lecha przestrzedz, by lepiey ojczyzny swey strzegli,
A rozpustą w odmianę takąż nieprzywiedli.

O zacne plemię, czuy się, zleczyszli choroby
Które onych zgładziły, przeydźiesz ich ozdoby.

Za Potroynym
Symon Simonides.

Jeśli tu kogo karta która zarumieni,
Wszak się nikogo własnym nazwiskiem nie mieni:
Tylko się przetrząsaią różne obyczaie,
Złym przygana, a dobrym pochwała się daie.
Kto się przedtym nie spluskał, tu się nie umaże:
Y zwierciadło, kto blizny nie ma, nie ukaże.
Gniewać się nie masz mieysca: sam się winnym czyni
Kto się gniewa choćia go Poeta nie wini.
Więtsze ma sadno y tym znaczniey się odkrywa,
Kto inszem szczuie, sam się w rzeczy utaiwa.

Tenże.

Z Philemona Plautus bierze,
Cieklińskiemu w teyże mierze
Daie z swego, y tak płaci
Co wziął, a sam nic nie traći
Y owszem mu tym przybyło,
Bo co tylko Rzymskim było,
Uszam iawno: teraz wiedzą
Co nad Baltskim morzem siedzą.
Tak więc ogień nie ustawa,
Choć z śiebie zapalić dawa,
Y słońca na niebie zstaje
Choć promieńmi żyzność daie.

Andrzeia Średźińskiego,
O Potroynym.

Siła było Poetów, y iest, lubo żarty
Wielu z onych widzimy napełnione karty,
Więcey iednak co baiąc uszy zabawiaią
Pieszczone mniey co cnotę trefnuiąc włudzaią.
Z tey lepszey iest monety Potroyny, nie straći

Który centnarem miedźi funt złota zapłaci.
Żartuie pożytecznie, karząc złe przymioty,
Ukazuie gościniec niemylny do cnoty.

O comikach dawnych Polskich y teraźniejszym. Tegosz.

Którzy zamysłu sprawy w tref nie wyprawiwszy
Na ieden dzień wielu lat dzieie zgromadziwszy
O rzeczy, y podanie ich xtałtne, niedbaiąc,
Osob, y zapędów serc wyrazu chybiaiąc,
Własnych słów, gładkiej mowy, y w żarćiech wdźięczności
Do mowy pospolitey wierszów podobnośći,
Nie patrząc pisaliśćie: pisma w ogień dayćie,
Ani się Comikami więcey przezywayćie.
Tey w język nasz podaney, sprobuy, kto chce, sztuki.
Z Stagiry y z Venusy dwóch mistrzów nauki.

OSOBY.

Sędzisławski starzec. (Megaronides).
Dobrochowski starzec. (Callicles).
Szczesny syn Złotogrodzkiego. (Lisiteles).
Złotogrodzki starzec. (Philto).
Pangracz syn Skarbków. (Lesbonicus).
Wojtowic sługa. (Stasimus).
Philokierd Greczyn.
Skarbek starzec. (Charmides).
Pierczyk. (Sycophanta).

ARGUMENT.

Skarbek jadąc precz, w domu we Lwowie zakopał
Skarb, zwierzył go, i zlecił rząd przyjacielowi
Swemu Dobřochowskiemu. W jego niebytności
Gdy nowina, jakoby zejść miał z świata, przyszła,
Syn jego złotrowany poutracał wszystko:
Nakoniec i dom sprzedał; dom ten Dobrochowski
Kupił u niego z onym skarbem zakopanym.
Była i panna siostra utratnika tego,
Tej za mąż chciano, ale posagu nie było.
Dobrochowski na posag skarbu ruszyć musiał,
Lecz aby tym bezpieczniéj i bez podejrzenia
Mógł dać: naprawił kogoś jakoby od Skarbka
Pieniądze ze Francyi przyniósł: wtem sam Skarbek
Przyjedzie i kunsztuje z onym dobrym posłem.
Dobrochowski odnosi dank człeka dobrego.

PROLOG.

Rozpusta z Nędzą.

Rozpusta.

Podź za mną córko moja, wypraw sztukę swoją.

Nędza.

Pójdę, lecz co za koniec tego będzie, nie wiem.

Rozpusta.

Awosz jest. Tenci to dom, wnidź, wszak otworzone.
Napotym żeby żaden nie błądził, drogę mu
Ukażę, jeśli zechce dosyć czynić temu.
Ktom ja jest, i ta, co w dom dopieruszko weszła,
Kto jest powiem, jedno swe uszy ułacnicie.
Mnie Plautus Luxuria a tę Inopia
Przezwał: i przydał mi ją za córkę właściwą.
Teraz Polacy obie nas przebierzmowali,

Mnie Rozpusta, a córkę moję zowią Nędza.
Któréj, pocobym tam wniść kazała natychmiast,
Z ust moich usłyszycie, jedno słuchać chciejcie.
W tym domu mieszka teraz młodzieniec niejaki,
Który z mojéj przyczyny majętność utracił.
A iż już tyle nie ma, w czymbym daléj mogła
Kochać się, jakom dotąd, póki miał, kochała,
Dałam mu córkę swoją, żeby z niem mieszkała.
Lecz ci starzy powiedzą, którzy tu wynidą,
Coby ta Comoedia w sobie zawierała.
Philemo ją po grecku napisał i przezwał
Thesauron językiem swym. Tę do starorzymskiéj
Mowy Plautus przeniosłszy, Trinummem mianował,
A ten co ją do rzeczy, i do czasów naszych
Teraźniejszych stósował, nazwał ją Potrojnym,
Sprawa ta pod zjazd szlachty na rocech we Lwowie
Toczy się. Za samego naprzód Philemona
Była w Athenach: Plautus Atheny do Rzymu
Przeniósł; i na niewielkim placu był postawił.
U nas także to miasto malowane Lwowem
Niechaj będzie, acz i sam własny Lwów Poeta
Z murami radby z pod gór wyniosł i przestawił,
Tam, kędy Busko leży, by mógł temu sprostać.
Lecz nie moja o tym rzecz, gdyż ja z kochankami
Swojemi, nie jednom nic nie zwykła budować,
Ale, gdy z gotowego gonty lecą, drugich
Niepomyślam przybijać. Dobra noc drużyno.
Najdę ja insze miejsce sobie, wam też wolno
Nędzę ulepiać, wiedzcie się tam jako raczycie.
Tak ci. To mamy w zysku, co zaniesiem w pysku,
Tylosz: bądźcie zdrowi, a uciszcie się proszę.

Sędzisławski Starzec.

Sędzisławski.

Strofować przyjaciela, kiedy co przewini,
Nieprzyjemne to dzieło: ale w wieku ludzkim
Zdrowe i pożyteczne, i ja też swojego

Przyjaciela strofować słusznie wnetże będę,
O występek, którego dopuścił się. Wprawdzie
Niechce mi się, lecz wiara oto na mnie woła,
Bo już ten wrzód okrutnie dobre obyczaje
Zaraził, że nań wszyscy niemal obumarli,
I jako ci stękają, tak złe obyczaje,
Jako kąkol z pszenicą podrosły szkodliwie.
I nie masz nic tańszego nad złe obyczaje,
Których nająwszy, mógłby wielkie gumno nawieść,
A nawet, i stodołby i brogów niestało.
Jest wiele takich ludzi, ktòrzy mówić kwoli
Wolą, niźli to coby pożyteczno było
A zatym te folgi i przypodobywania,
Przemagają przytomność, i do wiela rzeczy
Są przekazą, hamują tak ludzkie domowe,
Jako i wszystkie sprawy Rzeczypospolitéj.

Dobrochowski, Sędzisławski, dwa starcy.

Dobrochowski.

W kupno nasze chciałbym wniść z dobrymi uroki.
Żono winszuj, żeby nam w tym domu mieszkanie
Zdrowiem, szczęściem, i z każdéj miary się nadało,
Ty też sama Orszulko byś co rychléj z listem
Jachała do Władzki do świętego Piotra,
Gniewliwa, uporczywa, zrzędna, markotliwa.

Sędzisławski.

Onoż jest, jużci w swojéj starości zdzieciniał.
Ba i zarobił słusznie na tęgą łacinę,
Przystąpię się ku niemu.

Dobrochowski.

Czyj ja to głos słyszę?

Sędzisławski.

Przyjacielski, zechceszli słuchać przyjaciela,—
Jeśli nie: rozumiej tak, że nieprzyjacielski.

D o b r o c h o w s k i.

O witaj przyjacielu i mój rowienniku.
Jak się masz Sędzisławski?

S ę d z i s ł a w s k i.

Służba, Dobrochowski.

D o b r o c h o w s k i.

A ty jako się miewasz?

S ę d z i s ł a w s k i.

Zdrowem chwała Bogu.

D o b r o c h o w s k i.

Żonka twa jako żywie? Czy zdrowa czy duża?

S ę d z i s ł a w s k i.

Lepiej niżbym ja chciał.

D o b r o c h o w s k i.

Radem iście temu.
Bodaj się dobrze miała, bodaj żyła z tobą.

S ę d z i s ł a w s k i.

Wierzę, że się ty cieszysz ze złego mojego.

D o b r o c h o w s k i.

Czego sobie, tegoż swym przyjaciołom życzę.
Ale czemu ją zowiesz swojem złem?

S ę d z i s ł a w s k i.

Zła bowiem,
Świegotliwa, będliwa, postawna, rozproszna.
A twoja jak się też ma?

D o b r o c h o w s k i.

I ta nieśmiertelna,
Żywie i będzie żyła.

Sędzisławski.

Radem to usłyszał,
I proszę o to Boga, aby cię przeżyła.

Dobrochowski.

I na tobym zezwolił, być się dostać miała.

Sędzisławski.

By jako się frymarczyć: pojąłbym ja twoję,
Tybyś też pojął moję. Lecz już tych mów dosyć.
Wiem, że mnie drzymiącego nigdy nie podmaniesz.

Dobrochowski.

I ty przyrzekę za to, że nie zwiesz co kupisz.
Lecz trzymaj, coś ułapił, zdrów znoś i zażywaj,
Złe im bardziej znajomsze, tem użyteczniejsze.
Gdybym ja miał wziąć inszą jaką nieznajomą,
Niewiedziałbym co czynić, przyjdzie już z tą przestać.

Sędzisławski.

Tak zaprawdę, ja mniemam, że kto dobrze żyje,
Tenże i długo żyje. Ale z wolną głową
Chciéj słuchać, a te żarty odrzućmy na stronę.
Bom ja umyślnie przyszedł do ciebie.

Dobrochowski.

A po cóż?

Sędzisławski.

Żebym wedle potrzeby mógł ci natrzeć uszy.

Dobrochowski.

Mnie?

Sędzisławski.

Aza tu prócz ciebie i mnie jest kto drugi?

Dobrochowski.

Niemasz, cóż tedy?

Sędzisławski.

Pytasz? przyszedłem cię karać.
Chyba żebyś rozumiał, że sobie mam łajać.
Albowiem jeślis w cnotach swych dawnych posłabiał,
Lub chciałbyś obyczajmi nowymi baczenie
Zatłumić, lub ci one przyrodzenie mienią:
Ciężki frasunek zadasz wszystkim przyjaciołom,
Że widząc cię i słysząc bardzo uboleją.

Dobrochowski.

Cóżci wzdy w głowę zaszło, że mię tem potykasz?

Sędzisławski.

Dla tego, że każdemu dobremu i każdéj
Dobréj na tem zależy, nie jedno występku
Ale i podejrzenia strzedz się wszelakiego.

Dobrochowski.

Trudno tego obojga ma się człek uchronić!

Sędzisławski.

Dla czegoż?

Dobrochowski.

Pytasz? jest to w sercu mem niegrzeszyć:
Lecz podejrzenie w sercu u obcych zasiadło.
Gdybym ja chciał o tobie robić podejrzeniem,
Żeś onegda z kościoła porwał kielich złoty,
Choćbyś ty dobrze nigdy nie był winien tego,
A mnie się tak zwidziało o tobie rozumieć,
Jako mi tego zbronisz, bym tak nie pomyślał?
Ale pragnę już wiedzieć tę winę od ciebie.

Sędzisławski.

Maszże ty przyjaciela albo domownika
Baczenia statecznego?

Dobrochowski.

Powiem ci dufale,
Są niektórzy, którychem doświadczył przyjaźni,
Są też drudzy, o których tylko mniemać muszę:
Których serc i umysłów nie mogę ja poznać,
Na tęli na owęli stronę je poczytać.
Tyś sam jeden z przyjaciół pewnych najpewniejszy
Przyjaciel mój, o tem wiem: przeto jeśli baczysz,
Żebym co albo nie w traf albo źle uczynił,
A nie przestrzegłbyś mię w tem, godzienbyś karania.

Sędzisławski.

Nie na tom ci ja przyszedł, abyś mię ty karał,
Ale ja ciebie: jednak i toby rzecz słuszna.

Dobrochowski.

Czekam, co mi powiadasz?

Sędzisławski.

Naprzód tak masz wiedzieć
Na wszystkie strony ludzie źle o tobie mówią,
Chciwym zysków szkaradnych zowią cię sąsiedzi.
Drudzy sępem drapieżnym, żebyś dla zdobyczy
Zgryzł każdego szlachcica jako poganina,
Albo nieprzyiaciela jakiego innego
Koronnego.
To gdy o tobie słyszę, trapię się nieborak.

Dobrochowski.

Onże to Sędzisławski, czy nie Sędzisławski?
Ktoby rzekł że nie, słusznie rzecze że nie ten jest.

Sędzisławski.

Skarbek nasz, byłże tobie dobrym przyjacielem?

Dobrochowski.

Był pewnie, żebyś temu tem większą dał wiarę,
Jednę rzecz, po której to obaczysz, powiemci,

Gdy Jana swego syna miał wieść do Paryża,
Poruczył mi córkę swą i wszystkę majętność,
I tego też skażonych obyczajów syna
Pangracza. Takich rzeczy gdyby przyjacielem
Nie był mi, pewnie żeby mi był niepowierzał.

Sędzisławski.

Czemuż ty nie starasz się, żebyś skażonego
Tego młokosa widząc, który jest zlecony
Wierze i dufności twej, przywiódł do naprawy?
Żeby wzdy obaczył się, i był go użytek.
Słuszniejsza to była mieć o tym większą pieczą,
Żebyś go do jakiego przywiodł był zlepszenia,
Niźli się do takowej niesławy przyczyniać,
Albo swe złe do jego złego przymierzywać.

Dobrochowski.

Cożem uczynił?

Sędzisławski.

Co człek niedobry zwykł czynić.

Dobrochowski.

Nie czuję się ja takim.

Sędzisławski.

Niekupiłeś domu
Ty u młodzieńca tego? milczysz? tego, w którym
Teraz mięszkasz.

Dobrochowski.

Kupiłem, i dałem mu zań cztery tysiące.

Sędzisławski.

Dałeś mu zań pieniądze?

Dobrochowski.

Dał, i nie żałuję.

Sędzisławski.

Nie leda ten młodzieniec poruczon opiece!
Właśnie jakobyś mu dał miecz żeby się zabił.
Nie masz żadnej rożnicy:.człowieku młodemu
Dać pieniądze do ręku, który za rozpustą
Idzie, i nie rządzi się rozumem, żeby czem
Miał swojej nałożonej posilić rozpusty.

Dobrochowski.

Nie miałem mu zapłacić?

Sędzisławski.

Nie miałeś, aniś miał
Nic u niego kupować, ani mu przedawać.
I na to, żeby jeszcze tem bardziej się skaził,
Nie miałeś mu dodawać, mogłeś się zachować
Temu coć iest zwierzony: ale drugich wszystkich,
Którzyć są powierzeni, razem i z tym któryć
Powierzył, prosto z domu wypchnąłeś na szyję.
Zaprawdę z rozsądkiem to poruczono było,
I ty czegoś się podjął, cnotliwieś odprawił,
Wierz ci drugi, posłużysz dobrze, ale sobie.

Dobrochowski.

Wyciskasz Sędzisławski przykrością słów swoich
To na mnie, że co memu milczeniu i wierze
Podufano, żeby to było w tajemnicy,
Odkryć ci to już wszystko i zwierzyć się muszę.

Sędzisławski.

To co mi zwierzysz, weźmiesz tak jako położysz.

Dobrochowski.

Najźrzy wszędzie, żeby nas kto tu nie wysluchał
I pozieraj na każdą stronę co raz, proszę.

Sędzisławski.

Słucham: coż mi powiadasz?

Dobrochowski.

Uciszcie się. Tak wiedz
Odjeżdżając nasz Skarbek w drogę przedsięwziętą,
O której jużeś słyszał nie dawno odemnie:
A nie masz że tu kogo?

Sędzisławski.

Ej nie bój się, niemasz.

Dobrochowski.

Skarb w tym domu w zawarciu pewnem zakopany
Ukazał mi: lecz przebóg, nie słuchali kto nas?

Sędzisławski.

Nie, pilnuję ja tego, mów śmiele, niebój się.

Dobrochowski.

Jest go blisko dziesięci tysięcy talarów:
Sam a sam zawarłszy się ze mną, przyjaźnią mię
I wiarą zawięzując, z wielkim płaczem prosił,
Żebym synowi jego Pangraczowi tego
Nie zwierzał się, a zgoła nikomu skądby to
Dojść go mogło, tak mówiąc. Wiesz mój przyjacielu,
Jakiem miał o tym synu niebacznym staranie,
Jakim nań nakład czynił, wedle swéj możności.
Gdy podrósł, a uczyć się gwałtem nie chciał w szkole,
Słałem go do różnych ziem i na zacne miejsca;
Ale i ztąd pociechy nie odniosłem żadnej.
Nigdzie miejsca nie zagrzał: a co się nadłużył,
Com zań długów zapłacił, tego niewspominam:
Takimże jakim wyszedł, wrócił się do domu,
Wyprawiłem go potem do dworu: tam miasto
Wysługi, com mu był dał, i com jedno kiedy
Posłał mu: przegrał, przepił, przestroił, przeflaszył,
Zbytkami, wszeteczeństwem zawsze się parając.
Takich tedy narowów, i tak skażonego
Widząc starszego syna, a mając drugiego

Jana, który z swej chęci naparł się do szkoły,
I prosił mię, abym go do Francyi posłał,
O którym jest nadzieja, że mojéj starości
Za czasem i podporą i ochłodą będzie:
I da Bog nie jedno mnie, i domowi swemu,
Ale godnym bydź może Rzeczypospolitej:
Umyśliłem go samże zawieść do Paryża,
A tam albo go oddać Gwizowi, albo więc
Zechceli się tak pilnie uczyć, jako prosi,
Nałożyć mu: niestraci nakładu nauka.
A tobie przyiacielu miłą córkę swoię,
I dom ten, i tę trochę pieniędzy zakrytych
Przed marnotrawcą synem, i wszystkie swe sprawy
Poruczam i zalecam w ojcowską opiekę,
Żeby córka, jeśli jej Bóg przejźrzał iść za mąż,
Miała posag: i Jan też miał co czem rozpocząć.
Te słowa jego były: zatem się oblawszy
Łzami, a mnie i córkę swoję obłapiwszy,
Pożegnał nas, i wsiadszy na koń jechał w drogę.
Tymczasem (a już blizko rok jako odjechał)
Przyszła nowina, żeby miał ubogi starzec
Tam kędyś w drodze umrzeć nazad się wracając.
Ale jesliże żyw jest, gdy się wróci: tudzież
Wrócę mu co jest jego: jeśliby też umarł
Będę miał skąd posag dać córce jego, któréj
Powierzył mi, żebym ją udał co nalepiéj.
A ostatka bratu jéj młodszemu dochowam.

Sędzisławski.

O Boże, tocieś mię wnet króciuchnemi słowy
Przerobił na inszego, niźlim się zszedł z tobą:
Ale już do ostatka prowadź jakoś począł.

Dobrochowski.

Dobrze, skoro wieść doszła tego nikczemnika
O śmierci ojca jego: zarazem we wszystkie
Wsi tak ojczyste jako i macierzyste wjechał.

Gruchnęło to daleko: a zatem do niego
Zlecieli się z Krakowa, z Wilna i z Poznania,
I drudzy co we Lwowie zwykły stroić młode,
Panięta, i z wiosek ich naszych wyprawować,
Których mógłbym mianować siła: chociaż oni
Mniemają iż łotrostwa ich ludzie nie widzą.
Zarazem go opadli, miłościwać jęli,
Z gospody na gospodę prowadząc po nocy:
I przywiedli go byli raz ci burkownicy
Na taki hak, że o włos garła i czci nie zbył,
Gdy z opilstwa od brony kłótki zodcinali.
Karałem go ojcowskie, gromiłem surowie,
Napominałem, aby poprzestał nałogu:
Niepomogło głuchemu, na ścianem groch miotał.
Przemogli burkownicy: nie jedno wsi, w które
Był wjechał poutracał: ale na zapisy,
I na membrany, kupcom tak się bardzo zdłużył,
Żeby i szyją tego nigdy nie zapłacił.
I iuż nie mając tylko dom z wioszczyną lichą
Nad samem miastem, co chciał z opatrzności swojéj
Ociec jego zachować, i czego mi zwierzył,
O mały włos wszystkiego z gruntu nie wywrócił.

Sędzisławski.

Jakoż to?

Dobrochowski.

Już był puścił na targ dom; co na targ:
Ba już go był owemu zgoła Greczynowi
Philokierdowi przedał, bez méj wiadomości,
Prawie w ten czas gdym sobie mieszkał w Miłopolu.

Sędzisławski.

Zgłodniał był i struchlał wilk, czychał gdy psi spali,
Chciał ozionąć, i wszystke trzodę w las zapędzić.

Dobrochowski.

To pewna, żeby tego był dowiódł, by byli
Psi przeczuwszy natychmiast nie odszczekali go.

Ale chcę ja też ciebie wzajem o to prosić,
Żebyś mię, com w tej mierze miał czynić, nauczył.
Słusznali to rzecz była, żebym mu ten był skarb
Ukazał, przeciw ojca jego zaklinaniu:
Albo jeślim miał cierpieć w tym domu innego
Pana, co go był kupił? temuli należeć
Z domem pieniądze miały? Wolałem własnemi
Odkupić go pieniędzmi, żebym skarb zwierzony
Oddał przyjacielowi i spełna i wcale.
Nie dla siebiem go kupił, nie na swą potrzebę:
Dla niegom go odkupił: swojem dał pieniądze.
Atoć jest, dobrzelim to albo źle uczynił,
Znam się, iżem uczynił, dobry Sędzisławski.
Otoż masz zły postępek i moje łakomstwo,
Słusznież ja ucierpiwam dla tego na sławie?

Sędzisławski.

Postój, zwyciężyłeś już tego, co cię karał,
I zawarłeś mu gębę: nie mam, cobym mówił.

Dobrochowski.

Gdziesz cię będę naleść miał?

Sędzisławski.

W mym dworze.

Dobrochowski.

Każesz co?

Sędzisławski.

Miej wiarę swą na pieczy.

Dobrochowski.

Będę.

Sędzisławski.

Masz co dalej?

Dobrochowski.

Pytasz o co?

Sędzisławski.

Gdzie teraz ten łotrzyk się bawi?

Dobrochowski.

Wymówił sobie u mnie izdebkę na tyle
I tu przedsię po większej części się wałęsa.

Sędzisławski.

Tom chciał wiedzieć, już idź zdrów. Ale słuchaj jeszcze.
A panna przy tobie jest?

Dobrochowski.

Tak jest: i chowam ją.—
Tak właśnie jako swoję.

Sędzisławski.

Bardzo dobrze czynisz.

Dobrochowski.

Będzieszże jeszcze pytał o co, niż odejdę?

Sędzisławski.

Już nie, bądź na mnie łaskaw.
Nie masz i po drugi raz niemasz nic głupszego,
Nie masz nic kłamliwszego, nic fortelniejszego,
Nic dufnomowniejszego, jako ci, których to
Jest rzemiosło, pokątnie dobrym ludziom szkodzić,
A samym się udawać: i dla tegoż zwykli
Puszczać o ludziach dobrych wieści rozmaite,
Twierdzić pod przysięgami rzeczy nieprawdziwe,
I nieszczere rozsądki przeciw cnocie czynić:
A zatém żeby sami cokolwiek urwali.
I jam się był tak bardzo za nimi zaciągnął,
Żem ich plotkom nikczemnym miejsce dał u siebie.
Którzy postawę czynią, iże wszystko wiedzą:
Co kto myśli, i o czém myślić ma, że wiedzą:
Co król królowej powie do ucha, że wiedzą:
Co w Kalkucie, co się w Ameryce dzieje:

Co poszły, i nowiny ze wszech ziem miewają:
Nakoniec, co sam w niebie Bóg Archaniołowi
Michałowi rozkaże: i to co nie było,
I co było, wszystko ci udają, że wiedzą.
Słusznieli, fałszywieli, winują lub chwalą:
Nie dbają, byle co chcą udali że wiedzą.
Niemal wszyscy mówili o tym Dobrochowskim
Po Koronie, że między ludźmi żyć niegodzien,
Że wyzuł tego głupca, młokosa z dóbr jego.
Ja niewiadomy sprawy, za słowy takowych
Nowiniarzów, tożem się puścił był niewinnie
Na swego przyjaciela.
By się dopytać, z kogo to najpierwéj wyszło,
Żeby ci, którzy rzeczy niepewne za pewne
Udają: a potem się prawdą nie pokażą,
(Acz często się odkrywa, że się w słowiech swoich
Nie iszczą, i zawodzą ludzie: jednak dziwna,
Jako częstokroć przecie i dobrzy im wierzą:)
Jako zdrajcy surowéj kaźni podpadli,
To gdyby się tak stało, byłoby to z dobrym
Pospolitym, mniéjby się takich najdowało.

Szczesny, Złotogrodzki.

Wiele rzeczy w sercu swém rozmyślam: a myśląc
Boleję, i samego siebie trapię, suszę,
Morduję. Mistrz rozum mię obraca: i ztądże
Pochodzi to; lecz jeszcze nie mogę obaczyć
I jeszczem się do końca nie namyślił, cobym
Z tych dwu rzeczy miał radniéj obrać sobie: coby
Trwalszego było, albo bardziéj należało
Do pożycia na świecie: a nawet w czém więcéj
Radości i pociechy: mamli za rozkoszą
Udać się, albo raczéj na sławę pracować.
Na to (jako powiadam) aczém się do końca
Nie namyślił, tak jednak uczynię: położę
Obie rzeczy na wagę, a sędzim i stroną
Samże będę téj sprawy: tak mi się podoba.

Naprzód wszystkie fortele niezbożnéj Venery
Wspomnę wedle potrzeby: nie utrapi ona
Nikogo, jeno tego kto się jéj sam poda:
Tych pragnie, tych pilnuje, tych ludzi zdradliwie,
Tych odwodzi pochlebstwem swém od rady zdrowéj.
Kania zażynająca, beczka jest dziurawa:
Kłamliwa, łakoma jest, skazicielka ludzi
Kryjących się przed światłem:
Pochlebnica, żebraczka, badaczka tajemnic.
Kogo ona strzałą swą postrzeli, ten wszystko
Co ma w sercu, zarazem wypowie, wynurzy.
Ale nie tyle jeszcze tego złego, jeszcze
Jest go więcéj: co się zwie, co się spije, co się
Kosztów, trudów podejmie, niewczasów użyje.
Przytém muzyki, tańce, karty, kostki, zwady,
Rany, mordy, zabójstwa: a gdy się zdać będzie
Że kto wskurał, skażenie zdrowia i kalectwo.
To gdy ja w umyśle swém rozbieram, rozczytam,
Widząc że w lekkiéj cenie gachowie na świecie,
Mówię tak:
Precz Venus, nie lubię cię, nie pożytecznaś mi.
Kładą smak jakiś w jadle i też w piciu: ale
Gorzkiemi potrawami ona karmi swoich,
Chroni się oczu ludzkich, odraża od ciebie
Powinne twoje, że się nie chcą znać do ciebie:
A nakoniec, i sama przed sobą ucieka.
Po tysiąckroć zła Venus odrzekam się ciebie,
Nie chcę o tobie wiedzieć, ani cię przypuścić
Do serca: owszem strzedz się pókim żyw jak ognia:
Bo kto kiedy w ręce twe wpadł, marniéj ten zginął,
Niż gdyby szyję złamał z skały się urwawszy.
Precz Venus lekkomyślna, miéj sobie swe rzeczy:
Nigdy mi do méj śmierci nie bądź przyjacielem:
Wszak masz drugich, którycheś sobie zhołdowała,
Te nędzniki miej sobie, i męcz jako raczysz.
Ja chcę do takich zabaw serce swe obrócić,
Któreby z mym uczciwym i pożytkiem były.

Wszyscy dobrzy takowych rzeczy sobie życzą,
Aby uczciwe mieli obeście na świecie:
Aby się cnotą, wiarą, statkiem popisali:
Aby do czci, zacności przyszli: sławę dobrą,
Zachowanie, i miłość ludzką, aby mieli.
A tać jest płaca dobrych, przeto i ja wolę
Żyć radniej z cnotliwymi, aniźli ze złymi.

Złotogrodzki starzec, Szczesny syn jego.

Złotogrodzki.

Kto się to tam przechadza?

Szczesny.

Ja to, panie Ojcze.
Rozkazuj, wszystkom gotów uczynić co każesz:
Nie będę się ukrywał przed obliczem twoim.

Złotogrodzki.

Uczynisz to przystojnie, jako zawsze czynisz,
I pobożnie: gdy ojca będziesz czcił swojego.
Nie chcę ja miły synu, żebyś ty ze złymi
Towarzyszył, i w żadne rozmowy się niewdał.
Wiem ja, jakie ma w sobie ten wiek obyczaje:
Zły będąc złym, chciałby złym dobrego uczynić,
Żeby mu był podobnym. Wszystko wywróciły,
Skłóciły, zamieszały dziś złe obyczaje,
Aż do gruntu. Łupiezca, łakomiec, zawisny,
Rzeczy od dobrych ludzi Bogu poświęcone
Ma za świetskie: a które Rzeczypospolitéj
Należą, za swe własne bez wstydu poczyta,
Naród, jako dzież, zawsze pyska otwartego.
Na to ja ubolewam, te rzeczy mię gryzą,
Tego we dnie i w nocy, abyś się wystrzegał
Przykazujęć: bo oni to tylko za słuszną
Mają, nie ruszać, czego zachwycić nie mogą.
Insze wszystko, drzeć, szarpać, a ukryć im nie grzech.
Te rzeczy mnie łzy z oczu moich wyciskają,

Żem się kiedy doczekał ludzi tak złośliwych,
I żem dawniéj nie poszedł za starszymi swymi,
Bo ci przodków swych sprawy, obyczaje, prawa
Chwalą, a sprawami je swymi mażą, łamią.
Takowych obyczajów, ja cię napominam,
Abyś się nie imował, i nie napijał się.
Moim ty żyj przykładem, moich obyczajów
Staroświetskich naśladuj i mocno się trzymaj:
A to coć przykazuję, pomni zawsze pełnić.
Nie kocham się ja w onych trefnych obyczajach
I bystrych, którymi się lżą i szpecą.
To tedy miej odemnie: a będzieszli tego
Mego napominania posłuszen, serce swe
Ugruntujesz i cnotą, i wiele dobrego.

Szczesny.

Wszak ojcze mój do tych lat od dzieciństwa mego
I służyłem, i byłem powolny ci zawżdy,
Strzegący zawsze pełniąc rozkazanie twoje:
W zamyśle swym uczynić to, albo więc owo,
Mniemałem, że mi wolno, ale kiedy twoje
Ojcowskie rozkazanie przystąpiło, zawsze
Miałem ja to za słuszną, i za rzecz powinną,
Abyć umysł mój służył, czynił wolą twoję.

Złotogrodzki.

Ktoby teraz z młodości swojéj z żądzą swoją
Uczynił sobie wojnę? toli obrać woli,
Aby go radniéj żądza jego sprawiedliwego
Sądziła, czyli aby rodzicy, powinni,
Za takiego go mieli? bo jeśli człowiekiem
Żądza kieruje, że go kędy chce napędzi,
Po nim; żądzej ten służy, nie samemu sobie.
Jeśli też on żądzę swą odpędzi od siebie,
Zwycięzcą nad wszystkimi zwycięzcami zawsze
Póki żyw słynąć będzie. Przeto jeśliś i ty
Zwyciężył także umysł swój, nie żądza ciebie,

Masz się z czego radować: słuszniejsza rzecz, żebyś
Takim był jako trzeba, niż jako się twojéj
Żądzy podoba; zawsze ci ujdą lepszymi
U mądrych, którzy umysł swój zwyciężą, niźli
Których żądza zwycięży, shołduje, zniewoli.

Szczesny.

Wszystko to coś tu jedno mój ojcze przypomniał,
Za szczyt młodości swojéj miałem zawsze sobie,
Żebym nie zabrnął, skądby szkoda urość mogła;
Żebym nigdy przechadzek po nocy nie czynił:
Żebym nikomu swego nic nie odejmował.
Awo zawszem pilnował i przestrzegał tego,
Bym cię nie zafrasował ojca swego nigdy.
Zawszem miał przed oczyma i chowałem twoje
Przykazanie: przyznasz mi wierzę skromność moję.

Złotogrodzki.

Cóż się chełpisz przedemną? uczyniłliś kiedy
Co dobrze, nie mnie, ale sobieś to uczynił,
Jużem ja na zgonie jest niemal wieku swego,
Tobie samemu na tym najwięcéj zależy.
Ten jest dobrym, kto tego nigdy nie żałuje,
Że jest dobrym, i kogo może być użytek;
Sprawy dobre drugiemi dobremi sprawami
Pokładaj, żeby na nie z wierzchu nie kapało.
Grunt baczenia założył, kto się nie wysoko
Niesie.

Szczėsny.

Dla tegom tu przytoczył te kilka słów ojcze,
Że jest rzecz, o którą cię chcę prosić, niektóra.

Złotogrodzki.

Cóż takiego? gotowym już do pozwolenia.

Szczesny.

Radbym mój ojcze, gdybyś na to chciał zezwolić,
Jednemu młodzieńcowi zacnego rodzaju

Przyjacielowi swemu i rówiennikowi,
Który przez nieostrożność i nierozmyślenie
Wszystką majętność swoją nieborak utyrał,
Dobrze uczynił: chciałbym ratować chudzinę.

Złotogrodzki.

Chyba z swego.

Szczesny.

Z mojego, bo to, co jest twoje,
Jest i moje, a moje zasię wszystko twoje.

Złotogrodzki.

Cóż albo niedostatni.

Szczesny.

Tak jest.

Złotogrodzki.

Miał imię — nie?

Szczesny.

Miał.

Złotogrodzki.

Jakoż je utracił? bawił się żołnierską,
Lub innemi służbami Rzeczypospolitéj?
Obrócił na ojcowskie długi, albo jego,
Dłużnicy zawiedli go? czy siostrom na posag
Wydał? czyli pogorzał? na czém wzdy utracił?

Szczesny.

Na żadnym z tych.

Złotogrodzki.

Na czémże?

Szczesny.

Przez swą ludzkość ojcze:
Więc téż i na biesiadach i w czasiech potocznych.

Złotogrodzki.

Zaprawdę przyjacielskie schwaliłeś człowieka,
Który stracił majętność i przyszedł do nędzy
Nie dla cnoty: nie stoję najmniéj o to, żebyć
Został kto przyjacielem z takiemi przymioty.

Szczesny.

Dla tego, iż chudzina nie był i dziś nie jest
Złośliwym, chciałbym jego ubóstwa ratować.

Złotogrodzki.

Zle się ten żebrakowi zachowuje, który
Tyle mu daje, co zje i wypije razem:
Bo i to co mu daje, traci, a onemu
Do nędzy i ubóstwa żywota przedłuża.
Nie dla tego to mówię, żebym nie chiał na to
Zezwolić, czego ty chcesz, z chęcią rad uczynię;
Ale gdy to do kogo mówię, tobie daję
Przykład, żebyć tak lito było inszych, abyś
Strzegł się, jakoby drugim lito cię nie było.

Szczesny.

Nie jest to chrześciańska, lecz pogańska, ojcze:
Poszło to na jałmużnę jednego z Wołoskich
Dawnych Wojewód, który chcąc pokazać swoją
Litość nad ubogimi, by nie pozdychali
Od głodu, kazał wszystkich, podczas zimy, w Jasiech
Na staw zagnać i w koło lód o nich obrąbać,
Że razem do jednego wszyscy potonęli.
Surowie przeciw temu doktorowie święci
Piszą ojcze.

Złotogrodzki.

Znać żaka szkoły Jezuickiéj.

Szczesny.

Radem je znać i najmniéj tego nie żałuję.
Bom się bojaźni Bożéj, cnót i obyczajów

I ciebie ojca swego czcić, ważyć, szanować,
I jeśli co dobrego nadto we mnie widzisz,
U nich nauczył, za twym kosztem, a ich pracą.
Ale do rzeczy naszéj wracając się: srom mię
Chudego przyjaciela w nieszczęściu opuścić.

Złotogrodzki.

Lepiéj się wstydzić synu, niż żałować, chociaż
Te oba słowa tyleż liter w sobie mają.

Szczesny.

Zaprawdę, z łaski Bożéj a za przodków naszych
Cnotami, i za twojem pobożném staraniem
Wiele dobrego mamy, ojcze mój najmilszy,
Gdy co przyjacielowi dobrego uczynisz,
Nie żałuj, wstydź się radniéj jeśli nie uczynisz.

Złotogrodzki.

Pytam, kiedy od wielkich bogactw co odejmiesz,
Ubędzie ich, czyli nie?

Szczesny.

Pewnie że ubędzie.
Ale słyszałeś piosnkę, którą wprzód w Athenach
Potém w Rzymie śpiewano o skąpym bogatym?
Co masz łakomcze nienasycony,
Bodajeś z tego był obnażony:
A czego nie masz, abyś co prędzéj,
Nieszczęścia, hańby miał co najwięcéj.
Ponieważ ani sobie samemu
Dobry jesteś, ani komu drugiemu
Chcesz, chociażbyś mógł, być pożyteczny,
Przepadnij ze wszystkiém w upadek wieczny.
I u nas chociaż jeszcze tego nie śpiewają,
Toż każdemu takiemu myślą, i także go
Przeklinają.

Złotogrodzki.

Wiemci ja, iż to tak jest: ale synu miły,
Ten jest wolny od tego, kto téj powinności
Wykonać nie przemoże.

Szczesny.

Mamy za łaską Bożą, czém ojcze i sami
Przystojnie żyć możemy wedle stanu swego
I drugim przyjaciołom naszym się zachować.

Złotogrodzki.

Zaprawdę żadnéj rzeczy, o którą mnie prosisz,
Odmówić ci nie mogę: ale kogoż to chcesz
Ratować z jego nędzy? powiedz ojcu śmiele.

Szczesny.

Pangracza nieboraka, syna Skarbkowego.

Złotogrodzki.

Który przepił co było i to co nie było.

Szczesny.

Nie urągaj mój ojcze, wiele na człowieka
Przypada, o czém myśli, i o czém nie myśli.

Złotogrodzki.

Nuż jedno powiedz, co byś mu chciał dać.

Szczesny.

Nic zgoła.
Mądrość latom przysmakiem, mądry karmia latem.

Złotogrodzki.

Bredzisz synu: czynisz to wprawdzie nad swój zwyczaj,
Bo mądry sam fortunę zawsze sobie tworzy,
Ztądże, czemuby nierad, nic nań nie przychodzi.
Garniec przeto zły bywa i prędko się pada,
Że go zły zdun ulepił: potrzeba baczenia

I pracy, kto chce tworzyć dzban, z którego losy
Żywota wedle bacznych szczęśliwie wychodzą,
Trzeba dobrego twórcę.

S z c z e s n y.

Młody jest chudzina.

Z ł o t o g r o d z k i.

Nie laty, lecz dowcipem i chęcią mądrości
Dochodzą.

S z c z e s n y.

Nie broń mi wziąć tego, co dać może.

Z ł o t o g r o d z k i.

Albo tém masz podźwignąć nędzę jego? gdy co
Weźmiesz od niego?

S z c z e s n y.

Tak jest, tém go mogę dźwignąć.

Z ł o t o g r o d z k i.

Chcę koniecznie, żebyś mi jaśniéj to powiedział.

S z c z e s n y.

Dobrze, wiesz wszak że w zacnym domu się urodził.

Z ł o t o g r o d z k i.

Wiem, i świadomym dobrze.

S z c z e s n y.

Ma siostrę dorosłą
Pannę, którą mój ojcze radbym wziął za żonę.

Z ł o t o g r o d z k i.

Bez posagu?

S z c z e s n y.

Choć i tak.

Złotogrodzki.

Za żonę.

Szczesny.

Tak ojcze.
Bez kosztu swego wielce tym kształtem go sobie
Obowiążesz, pożyczysz, i żadnym sposobem
Jako tak, nie możesz go lepiéj poratować.

Złotogrodzki.

Mam ci dopuścić pojąć żonę bezposażną?

Szczesny.

Dopuść, przyczynisz sławy tém gniazdu naszemu.

Złotogrodzki.

Pojmij Philokierdownę raczéj, siła zatém
Wnijść może w dom nasz synu, nie lada to grzanka.

Szczesny.

Onę krótką sprośnicę, mordałą Greczankę?
Uchowa mię Bóg tego, wieleż nas w swym domu
Jedno mnie masz jednego, a drugą siostrzyczkę?
To jest panienka twarzy człowieczéj, i wzrostu
Kształtnego, oczu cudnych, które człeka zdobią.

Złotogrodzki.

Te cię to oczy synu podobno zawodzą.

Szczesny.

Oczy wstydliwe ojcze zowię ja cudnemi:
Ale to samo nawet miałoby zalecić
Zamysł mój, iż z takiego małżeństwa możesz się
I domu pomnożenia, i wnuków roślejszych
Spodziewać. Pani matka że niewielka była,
Widzisz ojcze, żem i ja nie przerósł olbrzyma.
Po téj za się karlicy krzywéj, nie wiem cobyś
Miał sobie obiecować: to wiem, żeby zatém

I herb jeden przyszło nam stracić niepotrzebnie:
Wprawdzięćby przyjaciele nie uprzykrzyli się
Nam nigdy: ażby szukać ich w Thesalonice.

Złotogrodzki.

Mógłbym o tym szyroce mówić i przykładów
Siła starych przytoczyć do tego służących,
Które ta moja starość szczęśliwie pamięta:
Lecz iż widzę, że się masz z domem starożytnym
Do spowinowacenia, aczem ci dotychmiast
Był w téj mierze przeciwnym, toż rozumiem z tobą.
Dopuszczam ci, proś, pojmij.

Szczesny.

Boże mi cię chowaj!
Ale do téj łaski swéj przydaj jeszcze jedno.

Złotogrodzki.

To jedno co zaś będzie?

Szczesny.

Powiem, proszę żebyś
Sam w tém do niego poszedł, sam prosił, sam zjednał.

Złotogrodzki.

Wejże go.

Szczesny.

Rychléj to sam ty sprawisz, i wszystko
To gruntowniejsze będzie, co ty postanowisz,
Ważniejsze jedno słowo twe u niego będzie,
Niż sta przyjaciół innych.

Złotogrodzki.

Otóż, przez swą łatwość
Nalazłem sobie pracę: nu będę się starał.

Szczesny.

Żyj mi mój wdzięczny ojcze: ten jest dom, tam mieszka,
Idź proszę cię do niego, a sprawę tę odpraw,
A ja cię w dworze naszym niedługo zastanę.

Złotogrodzki, starzec.

Nie najlepszać to jest rzecz jako ja rozumiem,
Ale przecież lepsza jest, niźli co najgorsza,
Że syn mój upodobał sobie tę Skarbkownę.
Potrzeba téż cokolwiek pozwolić młodości,
Która, gdy ją ochełznać chcesz przykrym munsztukiem.
Wstręt jego przedsięwzięciu czém przemierzłém czyniąc,
Znakomicie, i rada prędko na kieł bierze.
Daléj oto będzie miał dzieweczkę cnotliwą,
Pokorną, urodziwą w starożytnym domu
Szlacheckim urodzoną, a co téż nie mniejsza
W skromności wychowaną, chociaż nie bogatą,
Co poniekąd przyczyną było niepoślednią,
Żem synowi małżeństwa tego bronił swemu.
Wprawdzieć Philokierdowna rodu i urody
Jest marnych: acz mogłem był i dobrze znaczniejszéj
I bogatszéj dostać mu żony w innym domu,
Ale postrzegłem się w tém, że bogate żony
Zwykły więc pospolicie w domy mężów swoich
Wnaszać zbyteczne stroje, wydatki niezmierne.
Widzimy, że dziś panie świecą się drogiemi
Alternbosy, puształmi, perłami, klejnoty.
Za przodków i rodziców naszych, i za naszych
Już téż dawniejszych czasów, bogata szlachcianka,
Dosyć miała gdy wzięła od rodziców swoich
Parę pektoralików, a choć jeden krzyżyk
Od męża, więc miewała dwoje zawieszenie,
Trzecią obzdłuż piszczałkę z rubinem dla dzieci.
Daléj Boże za wami napierać się było.
W powszedni dzień w letniczku, w koszuleczce białej
A sznureczka na szyi: teraz miary niemasz,
I niemasz ich wymysłom i utratom końca.

Daj mi to moje serce, jeśli mię miłujesz,
Mówi nocna kukułka, jeszcze o to cię proszę
Moje drogie oczeńki. A on: weźmij co chcesz.
Jak skoro go nachyli, już co chce uprosi.
Zatém co téj gawiedzi z domu się namnoży:
To już będą ochmistrze, baby i służbiste:
I służbistych służbiste, i tych téż służbisie:
To szwaczki, to hawtarki, dziewczęta, chłopięta,
Chłopiątcczka: wszystko to łuszczybochenkowie,
I wysysobeczkowie, wysysokufowie:
Nuż karłowie, kotkowie, papuszki, pieskowie.
Gdy przyjdzie do połogu, nie wiedzieć co pierwéj
Powiadać, zbytek zbytku, koszt koszta popycha.
Ujrzysz tam Niderlandzkie opony na ścianach
I kobierce Adziamskie, i włoskie szpalery.
Przy kącie pyszne łoże, nad nim zawieszony
Namiotek z rozmaitych utkany jedwabiów,
Maść od maści śliczniejszych, pościel hawtowana,
Kołdry albo drutowem złotem przeszywane,
Albo z brzegów drogiemi perłami osute.
Pójdziesz zaś do lektwarzów, do cukrów, małmazyi,
By z Indyi, z Candyi wszystkie wywieść mogły,
Radaby do połogu swego każda zniosła.
Przypadnieć kędy droga: ali ona z tobą.
Nie zostawiaj mię proszę bez siebie najmilszy,
Też no mię samėj duma, umrzeć mi bez ciebie.
To już mało kobiecie poczesne woźniki,
Ośmiu się chce wieść, i to nie lada jakiemi,
A dwa kotowie uwlec mogliby lichotę.
Wóz musi być z pokładem włoskim na kształt broszku,
Popona złotogłowem podszyta, a w koło
Frandzlami bogatymi pięknie lamowana,
Srebrne gałki muszą być, srebrne u ślėj przączki.
Dla bab służbistych zasię kolebki, karety,
Lokaje do dziecięcia, dla skrzyń skarbne wozy,
A pod skrzynki, skrzyneczki, pudła, pudełeczka,
Biednym chłopom rozbiorą konie na podwody;

Azatém omięszkawszy osiać wedle czasu,
W błoto sieją, kostrzew rzną, a niż kopy z pola
Zwiozą, tym w mokre lato od dżdżów pogniją.
Toć czasem żona z sobą bogata przynosi,
Mając to choć niesłusznie po sobie. A tyleś
Wziął po mnie, nie wiem czemu nie miałoby tak być.
Ta temu nieprzywykła, nigdy nie bywała
Po sejmach i po zjazdach, częściéj więc słyszała
Fuki, trzaski, gomony paniéj Dobrochowskiéj.
Otoż, acz się na więcéj z nią nie zdobędziemy:
Ale i to zysk wielki, że przez tę niewiastkę
Nie przyjdzie do zniszczenia dom nasz i do straty.
Ale widzę otwarty dom, a prawie na czas
Ba i wychodzącego Pangracza z swym sługą.

Pangracz Skarbków syn, Wojtowic sługa.

Złotogrodzki starzec.

Pangracz.

Ledwie jest piętnaście dni, jakoś do rąk swoich
Wziął za ten dom pieniądze od Dobrochowskiego;
Wszak tak jako powiadam?

Wojtowic.

Jeśli dobrze baczę,
Pamiętam, że tak było.

Pangracz.

A gdzież się podziały?

Wojtowic.

Przejadły się, przepiły, na stroje wydały;
Rzeźnik, piekarz, ogrodnik, szynkarz, ptasznik, rybitw,
Aptekarze, barwierze, inszy rzemieślnicy,
U których się potrzeby długo na borg brały,
Rozebrali; ostatek prędzéj się rozlazło,
Niż gdybyś głodnym mrówkom główkę maku cisnął.

Pangracz.

Przedsię nie mogła wyniść na to wszystka summa.

Wojtowic.

Albo mniemasz, żebym co urwał na swą stronę?

Pangracz.

To iście najpewnicjszy wydatek bez chyby.

Wojtowic.

Nie najdziesz tego: weźm to, jeśli przy mnie najdziesz;
A tego nie rachujesz, coś w karty i w kostki
Przegrał; coś rozdał szkortom.

Pangracz.

I to ja w to kładę.
Ale wszeteczniku ty, śmiałeś tak plugawie
Mówić; nie mogłeś tego powiedzieć z ogrodkiem,
Nie mogłeś na okunie Hiszpańskie rzec łotrze?

Wojtowic.

Słyszałem, kiedy twoi marni burkownicy,
Goliłbowie, gachowie, i stawipiętkowie,
Takci to powiadali: których odpędzając
Od ciebie, Dobrochowski mówił ci w te słowa:
Że Hiszpanie są stali, skromni, a tyś tylko
Nauczył się, coć ci tam twoi powiadali
Gachowie, a skromności i statku by namniéj.
A rzekłcibym był jeszcze na panienki: ale
Takie to są panienki, jako miejsca w mieściech
Niemieckich, gdzie pospólstwo na wczas zwykło chodzić.
Zdobyłeś się, dostałeś od nich za niemało
Jeszcze więcéj: bo na cię uderzyło było
Daleko większe wojsko, niż Orda Tatarska.
Ledwiem je żywem srebrem odpędził od ciebie;
Wysechłeś, skrzywiłeś się, zbladłeś, z gębyć śmierdzi.
Ty z ogniłym karasiem, coć go szczecinami

Albo skrzelami swymi okunie Hiszpańskie
Skłóły; aleć z przedmieścia Halickiego były.
Ba i onym ci się téż sprawki te znać dały:
Widziałem ongi jednę z wypadałą twarzą
Pod kościołem siedzącą; a drugą rózgami
Kat chwostał u pręgierza i z miasta wyświecał.
Jakoś majętność wszystkę przełotrował z temtam
Drugiem łotrostwem swojem, które cię odbiegło,
I teraz się naśmiewa z ciebie z kobietami;
Ja nieborak pod ratusz wstawszy rano bieżę,
To noszę, to szrotuję, to dźwigam, to robię:
A co zarobię, tem cię karmię, tem cię żywię:
Ażbyć się wzdy dostało co z tamtéj wioszczyny,
Którać sama została: a ty jeszcze tak mi
To oddajesz? tak mi chęć i uczynność płacisz?
Rozumiesz, że pieniądze twoje, któreś wydał,
Rozflarzył, wieczne były i nieporuszone,
Iże zawsze zostawać całe miały: choćbyś
Nabardziéj je był niszczył i rozpustą psował?
Osobny to pachołek, nie lada paniątko:
Przełotrowawszy wszystko, przegrawszy, przepiwszy,
Dopiero chce być rządnym: dopiero rachuje,
Dopiero kretę psuje; po obiedzie łyżka.

Pangracz.

Potrzeba tego przedsię, aby mi się liczba
Dostateczna ze wszystkiéj summy pokazała.

Wojtowic.

Liczbać się okazuje, lecz moszenka pusta.
Wziąłeś cztery tysiące od Dobrochowskiego;
A on też od ciebie wziął dom wieczystym prawem.

Pangracz.

Tak było.

Złotogrodzki.

Ba wejże ile mniemam nasz szwagraszek przyszły
Dom już przedał i połknął, choć onemu w brzuch

Przedsię tam wniść nie może ojciec i zmieścić się,
Gdy przyjedzie: przyjdzie mu albo na ulicy,
Albo stać na cmentarzu, jako niebieskiemu
Dziedzicowi.

W o j t o w i c.

Pamiętasz, co się zapłaciło
Philokierdowi, coś się ono był zadłużył,
Przedtém niźliś dom przedał? nie pamiętasz wyrwy
Onego, który tu był z Krakowa przyjechał
Z drumlami, z gwichtą; miał téż książki oprawione
Kamieńmi: chciałeś wszystko wziąść od niego na borg,
Żebyś to był zaś przedał: i ręczył był za cię
Philokierd.
I zaś to w połowicy wszystko wziął od ciebie;
Połowicęś mu winien został i zapisał:
I z tych pieniędzy, coś wziął za dom, musiałeś mu
Zapłacić, co na on czas nie podobało się
Mnie bynamniéj, a tobie bardzo podobało:
Terazem ja tobie krzyw: ale sameś zgrzeszył,
Sam téż cierp za swój głupi i uporny rozum.
A żyda Izaaka jużeś przepamiętał?

P a n g r a c z.

Pierwsze pomnę: to drugie podobno, com się był
Zapisał za Świetnosza.

W o j t o w i c.

I owszém mów radniéj,
Iżem się nie zapisał, alem już odłożył,
Wiesz dobrze, żeś je musiał za ono paniątko
Z dekretu dać, coś je zwał tak bardzo bogatym.

P a n g r a c z.

Uczyniło się.

W o j t o w i c.

Ba mów nie uczyniło się;
Ale zgubiło.

Pangracz.

Więc tak. I terazem widział
Nieboraka, i bardzo mię go serce boli.

Wojtowic.

Drugich żałujesz, a sam siebie nie żałujesz
Ani się wstydzisz.

Złotogrodzki.

Już czas, przystąpię ja do nich.

Pangracz.

Panże to Złotogrodzki idzie? ten zaprawdę.

Wojtowic.

Wierębym sobie życzył, żeby ten był moim
Kmiotkiem i z pieniążkami, które ma swojemi.

Złotogrodzki.

Panu i słudze życzy zdrowia Złotogrodzki,
Pangraczemu Skarbkowi i Wojtowicowi.

Pangracz.

Boże dajże to wszystko, czego sobie życzysz.
Co czyni syn twój proszę?

Złotogrodzki.

Jest ci przyjacielem.

Pangracz.

Zaprawdę wzajemna to jest obiema nama.

Wojtowic.

Marne imię przyjaciel, gdy dobrze nie czyni:
I ja urodziwszy się poddanym Skarbkowym,
Radbym był sobie wolnym i także szlachcicem
I dalej nic nie pragnę. Ten kiedyby mówił,
Że chce teraz być rządnym, błazeństwoby mówił.

Złotogrodzki.

Uprosił mnie Szczesny mój, masz wiedzieć Pangraczy,
Abym mu zjednał z tobą spowinowacenie.
Siostrę twoją w małżeństwo żąda: co téż i ja
Tak rozumiem i tak chcę.

Pangracz.

Znam cię panie miły.
Mając swoje szczęśliwe rzeczy, z nieszczęśliwych
Mych się śmiejesz.

Złotogrodzki.

I jam człek, i tyś człowiek, niechaj mię tak Bóg mój
Miłuje, jako niechcę ja urągać tobie,
I abym ci urągał mam za rzecz niesłuszną.
Powiadam ci to szczerze, że mię syn mój prosił,
Abym mu siostrę twoją żądał za małżonkę.

Pangracz.

Słuszna jest, jakie moje rzeczy są, abym znał,
I jako mię w mym stanie szczęście przycisnęło;
Nie równe nasze szczęście z wami jest, szukajcie
Indziej powinowactwa, nie zemną upadłym.

Wojtowic.

Przebóg, maszże co jeszcze zmysłu, że na stronę
Takie szczęście odrzucasz? bacz się, otoć posłał
Bóg jeszcze przyjaciela prosto jakoby już
Na marach będącemu.

Pangracz.

Idźże ztąd prosto won.

Wojtowic.

Bym chciał iść, wściągałbyś mię.

P a n g r a c z.

Jeśli daléj czego
Chcesz po mnie, nie wiem; na to com od ciebie słyszał,
Jużemci odpowiedział.

Z ł o t o g r o d z k i.

Rozumiem Pangraczy,
Że się ze mną obędziesz lepiéj, niźlim teraz
Doświadczył. Głupio mówić, nierozmyślnie czynić,
Oboje to Pangraczy w pożyciu szkodliwe.

W o j t o w i c.

Jasna to prawda.

P a n g r a c z.

Smrodzie byś jeszcze namniejsze
Słowo wyzionął, oko wykolęć zarazem.

W o j t o w i c.

Powiem ja przedsię prawdę, możeli być — mając
Obie oczy, jeśli nie — więc choć jednooki.

Z ł o t o g r o d z k i.

I tak ty mówisz, że nasz społek nie jest do was
Przyrównany, i możność?

P a n g r a c z.

Tak mówię.

Z ł o t o g r o d z k i.

A gdyby
Teraz jaki wielki pan do Lwowa przyjechał,
Tobie przedsięszlachcicem równym we wszem będąc,
Któremuby to Rajce, Ormianie i inni
Miąs, małmazyi, korzenia i innych nasłali
Potrzeb, i szafarze mu jego nakupili,
Obiadby był bogaty, do którego cię

Posadzono, pytam cię: jadłbyś, czy nie jedząc
Wstałbyś od stołu?

Pangracz.

Jadłbym, chybaby mi bronił.

Wojtowic.

Ja wierzę chociażby mi i niekazał, jadłbym,
I napełniwszy oba pucki, spiesznobym żarł:
I to coby on smaczniéj jadł, porwałbym przed nim,
Niebym dobrego bytu mego nie opuścił,
Nie ma żaden u stołu sromać się: różnaby
Praca i myśl o rzeczach duchownych i świeckich,
By się tam na każdy dzień człowiek nie posilał.

Złotogrodzki.

Mów rzecz samą.

Wojtowic.

Nie będę ja mówił fortelnie.
Ustąpię mu z pocienia z drogi: o urzędy
Nie będę się u dworu z nim ubiegał, nigdy,
Ale co się dotyczy potrzeby żołądka,
Téj nieodstąpię, ażby dobrze mię wybito.
Cześć pańska powszechny jest obrok, bez krewności
I herbu może zażyć kto tego dziedzictwa.

Złotogrodzki.

Czyń to Pangraczy, abyś zawsze o tem myślił,
Że być co najrządniejszym i co najznaczniejszym
Najlepsza rzecz jest: jeśli nie mogłoby to być,
Tedy tym być najbliższym, co najrzędniejszymi
I najznaczniejszymi są. Przeto coć podawam,
I o co żądam, przyjmij, pozwól z swéj strony.
Bóg jest bogaty, możny, i samemu tylko
Możność trzeba przyczytać: ale my ludkowie,
Gdy duszyczka z nas wyjdzie, która ciała nasze

Jako sól zadzierzywa: ciało każde martwe —
Tak ubogiego jako bogatego człeka
W błoto i w robaki się obróci: a tego
Rozumy, dostojeństwa, skarby nie obronią.

Wojtowic.

Dziwnaby mi to, żebyś ty i tam swych skarbów
Niemiał zanieść: i wtenczas tak bądź, jak cię zową.

Złotogrodzki.

Abyś już wiedział, że my zgoła nie patrzymy
Ani na mocność, ani na bogactwa żadne,
I że twoją nie lekce przyjaźń poważamy,
Proszę o twoją siostrę za syna swojego,
Odstępując posagu: czemu Panie Boże
Ty sam racz błogosławić. A jużże ją mam mieć
Za zmówioną? przecz milczysz?

Wojtowic.

O Boże jako to
Znamienite podanie.

Złotogrodzki.

Czemuż téż ty nie mówisz: co zdarz Panie Boże,
Pozwalam i przyrzekam.

Wojtowic.

Boże, kiedy było
Z jego szkodą, przyrzekał za Świetnosza, teraz
Z dobrem swem nie chce przyrzec?

Pangracz.

Gdy mię rozumiecie
Godnym być Złotogrodzki spowinowacenia
Z wami, dziękuję za to: pozwalam acz żądasz,
I obiecuję siostrę swoją za małżonkę
Dać synowi twojemu. Nu, już ja odejdę,
Pomyślę o weselu; a rozmówiwszy się
Z Dobrochowskim, damci znać o miejscu i czasie.

Złotogrodzki.

Nie zawódź się Pangraczy, wezmę ja to na się.

Pangracz.

Boże uchowaj, ja sam wesele swéj siostrze
Chcę sprawić, do ujźrzenia panie Złotogrodzki.

Złotogrodzki.

Stój Pangraczy, rozmyśl się jeszcze na to dobrze,
Łatwiéj mnie niźli tobie: zrozumiem się ja sam
Z Dobrochowskim, aby on sam domu użyczył,
A ja też potrzeb dodam.

Pangracz.

O Boże uchowaj
Ja sam chcę czcić.

Złotogrodzki.

Wierzę tak lepiéj, jakom już rzekł.
Idę do syna swego z wdzięczną mu nowiną.

Pangracz, Wojtowic, Philokierd.

Pangracz.

Dwu rzeczy do sprawienia wesela potrzeba,
Pieniędzy na potrzeby, o które najtrudniéj,
Na ochędostwo siostrze, na kuchnią, piwnicę,
A mniejsza: o to łacno, aza Dobrochowski
Domu, którym mu przedał, zechce mi pozwolić:
Ale kędy pieniędzy dostać, tu sęk na mię.
Wiem co uczynię: przedam tę ostatnią wioskę,
Pójdę do Philokierda, i będę go prosił,
Żeby ją u mnie kupił: bo niemasz tu teraz
Tak bardzo pieniężnego nikogo, jako on,
Coby mi ją gotowym groszem mógł zapłacić.
Bież naprzód Wojtowicze, proś żeby mię potrwał
Przed zamkiem, a ja pójdę za tobą po lekku.

Wojtowic.

Chcesz panie żywicielki naszéj pozbyć? przeBóg
Nie czyń tego, czemże się będziemy napotem
Żywić?

Pangracz.

Nie będziesz milczał? będęć się sprawował!
Biegajże szubienico co w skok.

Wojtowic.

Bieżę panie.
Zginęliśmy na głowę, jeśli ja sposobu
Do zabieżenia temu jakiego nie najdę.
Onoż idzie Philokierd, pospieszę się k'niemu,
Będę się starał, żebym zganił mu to kupno.
Bo jeśli ten nikczemnik mój zbędzie téj wioski,
Już po nim i po szyjej méj; trzebaby teraz
Jakiego Interregnum: ale przyjdzie nam iść
Albo na Niż, albo gdzie służyć za granice,
Albo rozbijać: potem nas obudwu powieszą,
Albo więc poczwiertują: tymczasem ja za nim
Nadźwigam się tłomoczka, zbroje i przyłbice;
Jestci tam zardzewiała w kącie, co w niéj pani
Dobrochowska sadziła kokoszy na jajcach.
Aleć już tuż Philokierd. Służba Philokierdzie.

Philokierd.

Czego chcesz Wojtowicze?

Wojtowic.

Trzeba mi cię trochę.

Philokierd.

Dobrze, słucham, powiadaj.

Wojtowic.

Mamci w tajemnicy
Nieco powiedzieć, jeno proszę, żeby tego
Nie wiedział ani pan mój, ani żywy człowiek.

Philokierd.

Puść się na mię bezpiecznie; wierz mi a mów, co chcesz.

Wojtowic.

Na Boga i sumienie swoje przestrzegam cię
I proszę, żebyś wioski u pana mojego
Nie kupował, który tu dla tego do ciebie
Idzie umyślnie, abyć przedał ją, i mnie wprzód
Posłał cię prosić, żebyś potrwał go przed zamkiem.
Chceszli słuchać, powiem ci przyczynę, dla czegoć
Nie życzę tego kupna.

Philokierd.

Rad to będę słyszał.

Wojtowic.

Naprzód taka jest rola, że kiedy ją orzą,
Woły na każdym piątym zagonie zdychają.

Philokierd.

Precz z tą rzeczą.

Wojtowic.

Ja wierzę, że w téj roli ujście jest do piekła.

Pangracz.

Pewnie Philokierdowi ten sprawca powiedział,
Z czem ja do niego idę; rozradza mu kupno:
Boję się, by Greczyna nie zwiódł ten bałamut;
Złośliwyć jest, lecz przecież nie jest mnie szkodliwym.

Wojtowic.

Słuchaj daléj: kiedy ją najlepiéj zasieją,
I gdy najlepsze żniwo będzie; wiele wróci,
Kiedy czwartą część wróci zasiewku którego.
Tęby rolą osiewać złemi obyczajmi
Gdyby mogły być siane. Czyjakolwiek kiedy
Ta wioska była, niemasz żadnego, któremu
Źleby się tam powodzić nie miało od dawna;

Jedni pomarli, drugich wywołano, trzeci
Sami się powieszali: widzisz jako się ma
I pan mój, co ją dzierzy, i tobie chce przedać.

Philokierd.

Precz z tą wioską.

Wojtowic.

Bardziéjbyś precz mówił, byś jeszcze
Odemnie wszystko słyszał. Gaj też tam jest, w którym
Są drzewa zarażone: świnie w nim zdychają,
I gardziele im puchną. Gdy gęsi nasadzisz
Na jajca, zaraz okną, kurczęta pypcieją:
Awo nie może się nic w téj wiosce uchować.
Nakoniec i Tatarów, który jest najdłuższy
I najcierpliwszy naród, nie najdzie się żaden,
Coby tam sześć miesięcy przetrwał i żyw został;
Wszyscy kadukiem zchodzą.

Philokierd.

Wierzę Wojtowicze,
Iż się to wszystko tak ma: ale Mazurowie
Trwałością przyrodzenia Tatary przechodzą.

Wojtowic.

Słusznaby na tę rolą wszystkie osądzone
Winowajce odsyłać: jako wspominają
Wyspy jakieś szczęśliwe, na które się wszyscy,
Co żywot swój w czystości prowadzili, zchodzą:
Także też na tę rolą takową słusznaby
Wszystkie złoczyńce syłać: a zwłaszcza lichwiarze.
Ale co wiele mówić? Gospoda tam biedy,
Gdybyś co największego nieszczęścia chciał szukać,
Tam je najdziesz.

Philokierd.

I tybyś też tam być zasłużył,
A bodaj nie gdzie gorzéj.

W o j t o w i c.

Nie wspominaj proszę,
Żebym ci to powiedział.

P h i l o k i e r d.

Będę to miał w sobie.

W o j t o w i c.

Dla tego pan mój nigdy żadnéj rzeczy z lepszym
Rozmysłem nie chciał przedać, jako téj wioszczyny:
Radby jéj zbył, by nalazł, kogoby podmanął.

P h i l o k i e r d.

Nie będzieć nigdy moją.

W o j t o w i c.

Będzieszli miał rozum.
Sztucznie zaprawdę tego starca od téj wioski
Odstraszyłem; bo gdyby miał ją pan utracić,
A temu w ręce wpadła: nie mielibyśmy już
Pomocy do żywienia się wżdy jako tako.

P a n g r a c z.

Witajże Philokierdzie.

P h i l o k i e r d.

Daj ci Boże zdrowie,
Miły panie Pangraczy.

P a n g r a c z.

Proszę cię, powiedz mi,
Co ten łotr z tobą mówił?

P h i l o k i e r d.

Cóż mniemasz mówić miał,
Człek też jest, chciałby żebyś wolnym go uczynił
Od służby swéj: lecz jako do tego przyjść, nie wie.

Pangracz.

I jabym chciał być bogaty, ale darmo mi się
Tego chce.

Wojtowic.

Wolnoć było być, byś był chciał: teraz
Późno już tégo pragniesz.

Pangracz.

Nu, ale co rychléj
Bież do Dobrochowskiego, powiedz siostrze mojéj,
Żem ją obiecał za mąż, i jako się stało.

Wojtowic.

Pójdę.

Pangracz.

Winszuj odemnie siostrze: a samego
Dobrochowskiego pilnie proś, aby się ze mną
Chciał ujźrzeć, żebyśmy się z sobą rozmówili
O weselu, i dzień mu społem naznaczyli.

Wojtowic.

Bardzo dobrze.

Pangracz.

Kup u mnie wioskę Philokierdzie.

Philokierd.

Wielęć nie mam pieniędzy.

Pangracz.

Albo tak rozumiesz,
Żeć się z nią będę drożył? łatwo jéj dostaniesz
U mnie, parę tysięcy daj mi za nią słowem.

Philokierd.

Prawdziwie żemci teraz nie jest przy pieniędzach,
Com ja troski miał, wszystkie udałem precz w tych dniach,
Azać o te pożyczki nie nabiegają mię:
Rzadki dzień, żeby kilka ich u mnie nie było:
Ten na zapis, ów zasię prosi na zastawę;
By się zawsze każdemu z nich miało dogodzić,
Fokarów pełne skrzynie nie wystarczyłyby,

Więc co mi po pieniędzach, któreby jak kamień
Leżały, mi pożytku żadnego nie czyniąc;
Gdzie z pożytkiem swym baczę, zaraz je udawam.

Pangracz.

Rozmyśl się jeszcze proszę, panie Philokierdzie.
Ale jużci precz idzie, podobno drugiego,
Choć taniéj puścić przyjdzie, kupca szukać musi.

Dobrochowski, starzec. Wojtowic, sługa.

Dobrochowski.

Jakoż tam Wojtowicze, cóżeś mi powiedział,
Że twój pan młodszy siostrę swoją zmówił za mąż.

Wojtowic.

Tak mówię.

Dobrochowski.

A za kogoż?

Wojtowic.

Za pana Szczesnego,
Syna Złotogrodzkiego, bez wszego posagu.

Dobrochowski.

Bez posagu ją wyda na takie bogactwa;
Niepodobną do wiary bracie rzecz powiadasz.

Wojtowic.

Już jako raczysz nie wierz: jeśli ty nie wierzysz,
Ja wierzę.

Dobrochowski.

Cóż?

Wojtowic.

Izaż mię tak sobie masz nizacz.

Dobrochowski.

Jakże teraz bardziéj jest obmyślny w swych rzeczach
Upadłych, niźli przedtém w całych był nasz Pangracz.!

Wojtowic.

Sam z swéj chęci, gdy o tém Pangracz nie myślił,
Złotogrodzki za synem przyszedł prosić swoim.

Dobrochowski.

Zaprawdę wielki to wstyd i niesprawiedliwość
Będzie, jeśli dzieweczce posagu nie dadzą.
Strzeż Boże, bez posagu żeby ją wydano
A mążby zatém umarł, miałażby dla Boga
Tylko trzydzieści grzywien marnych wziąć za wieniec —
Takiego rodu i tak osobna panienka?
Wszak teraz więcéj na rok myta praczkom dają.
Już téż to mnie samemu na koniec należy:
Pójdę do mego Karce prosić go o radę.

Wojtowic.

Ba rozumiem, dla czego kwapi się tam: pewnie
Chce z wioski wyposażyć Pangracza, tak jako
Wyposażył go z domu. O nieboże panie
Skarbku, jeśliś żyw, jako tu majętność twoję
Szarpają: by to Bóg dał, abyś się zdrów wrócił,
I nad nieprzyjacioły swojemi się zemścił,
A mnie wdzięczność za moją stateczność pokazał
Ku sobie. Trudna to rzecz, naleść przyjaciela
Takiego, jakiego to imię potrzebuje,
Żebyś poruczywszy mu sprawy swoje mógł spać
Bezpiecznie, jako mówią, na obiedwie uszy.
Ale oto naszego zięcia idącego
Z nowym szwagrem i o coś się niezgadzających
I widzę, że obadwa spieszno postępują,
A ten tego pierwszego chwyta za delią:
Ustąpię się na stronę, chce mi się rozmowę
Dwu nowych szwagrów słyszeć.

Szczesny Złotogrodzki. Pangracz, Skarbek.
Wojtowic, sługa.

Szczesny.

Stój tak Pangraczy, nie stroń, nie kryj się przedemną.

Pangracz.

Nie hamuj mię, żebym szedł tam, kędym się udał.

Szczesny.

Byle to było z dobrym i uczciwym twoim,
Zaniecham.

Pangracz.

To ty uczynisz, co jest najłatwiejsza.

Szczesny.

Co takiego?

Pangracz.

A cóż jest łatwiejszego, jako
Krzywdę uczynić przyjacielowi swojemu.

Szczesny.

Nie me to przyrodzenie, nie umiem ja tego.

Pangracz.

Nie umiejąc, a przecież umiejętnie czynisz.
Cóż gdyby cię był wprawił kto albo nauczył,
Abyś nieprzyjacielsko mię trapił: co gorzéj
Czyniłbyś? gdyż zmyślając, że mi dobrze czynisz,
Źle mi czynisz: źle o mnie z każdéj miary radzisz.

Szczesny.

Ja to?

Pangracz.

Ty pewnie.

Szczesny.

Cóżci złego czynię?

Pangracz.

Czego
Ja nie chcę.

Szczesny.

Twoich rzeczy radbym poratował.

P a n g r a c z.

Chcesz mi pożyteczniejszym być, niźlim ja sobie
Samemu jest. Baczę się ja i wglądam w swoje
Sprawy wedle potrzeby.

S z c z e s n y.

Toż to jest baczenie
Pogardzać uczynnością przyjacielską?

P a n g r a c z.

Nie mam
Ja tego za uczynność, co się nie podoba
Temu, dla kogo czynisz.

S z c z e s n y.

Już ja wiem, co czynię,
I poczuwam się dobrze w przystojności swojéj,
Ani mnie słowa twoje odrażą od tego,
Żebym nie miał zabiegać o sławie.

P a n g r a c z.

Co mówisz?

S z c z e s n y.

Nie mogę zdzierzeć, żebym nie miał ci powiedzieć,
Co tak na mnie wyciskasz. Taką wziętość twoi
Przodkowie, oni zacni Habdankowie, tobie
Zostawili, żebyś to, czego oni ciężkim
I krwawym potem swoim, dzielnością i męztwem
Dostali, wysłużyli i zagarłowali,
Na zbytkach, wszeteczeństwach, rozpuście utracił?
I potomstwu swojemu napotém zagrodził
Drogę do uczciwego? twój ojciec, dziad, pradziad,
Starożytni szlachcicy polscy, jako mieszkać
Tu w tych krajach poczęli, czyniąc ustawicznie
Ręką swoją z pogany, gościniec ci prosty
Przetarli do wszystkiego, któryś ty sam sobie
Zatrudnił gnuśnością twoją, i głupie postępki
Twe tenci dział obrali, żeś lżej cnotę, niźli

Zbytek, i niż rozpustę u siebie uważył;
Teraz rozumiesz, że tym kształtem błędy swoje
Masz pokryć?

Pangracz.

Inaczéj ja rozumiem.

Szczesny.

Obiema rękoma
Radzęć ujmij się cnoty, a z serca swojego
Wyżeń gnuśność, starać się chciéj o zawołanie,
I przyjaźń ludzi dobrych, nie małp, nie, jakoś zwykł,
Burkowników. Jedź radniéj na żołnierską. A to
Król cię teraz na Moskwę bierze; i tam w pracach
Lepszą zdrowie będziesz mieć, gdy zaniechasz biesiad,
Wszetecznic próżnowania: uproszę ja ojca,
Że cię wyprawi, i ja po weselu ten rok
Jeden z żoną zmieszkawszy, pojadę za tobą.
O koniach i rynsztunku nie myśl, i na strawę
Potka się co, zdarzy Bóg; zetrzeć się szczęśliwie
Z nieprzyjacielem, będziesz od wszech szanowany.
Przyjechawszy do domu — obiorą cię posłem,
Pojedziesz na sejm, i tam za sławą wojenną,
Za szczerym i cnotliwym postępkiem w złoconych
Rzeczách: dobre ojczyzny przed oczyma mając,
Z dobrem dalibóg swojem i z uczciwém tego
Użyciem, i my drudzy powinni z pociechą.

Pangracz.

Jakoby mię to przedtém już nie potykało
Pod obieranie Króla: albo mię do praktyk
I ci i owi panów obcych nie ciągnęli.
I teraz nie tłukąc się na wojnę, ja najdę
Obyczaj, że nie będę lekce poważony.
Będę umiał z innymi mówić na sejmiku,
Że drugim pójdzie w pięty: a przyłączywszy się
Do kogo ja wiem łatwie i posłem zostanę.
Muszą mi przecież co dać, choć z nie dobréj woli.

Szczesny.

O głupcze, wieleżeś ich widział, coby na tem
Wskórali? jam jest młody: za czasu mojego
Widziałem, że i w pisma, które o warunkach,
I obietnicach płonnych od Moluka były
Dawane, śledzie potém uwijano w jatkach;
Nawet i po odjeździe Henrykowym, aby
Kto wskórał, ja nie baczę: aboć bez przyczyny
Mówiono na niektóre, iże targowali?
Ale z historyi to wiem:
Że pod takowe czasy zawzdy i ci co więc
Obiecowali komu pomocy na państwo:
I ci którzy téż o nie starali się u nich,
Ludzili wzajem sobą: ci dym przedawali
Tamtym; a tamci zasię wiatrem im płacili.
A jeśli kiedy jaką trochę jako rybie
Na wędę wyrzucili, żeby je porwawszy
W ręku mieli ze wszystkiem, z garłem, z poczciwością:
Zaczém miasto ratunku, chciwi nieborzęta
Dostojeństwa i swoję majętność tracili:
Drudzy za zysk to sobie mieli, gdyby jedno
Z tego targu wrócić się z całą skórą mogli:
Nie wiem tego: ale być może, że kto taki
Czynił ci tę otuchę: iż gdy za nim pójdziesz,
Zatrudniając sejmiki i sejm, urośniecie.
Zdać się to sobie chytre i subtelne bardzo
Być błazeństwo: ale kto Warchoła do jakiéj
Władzy kiedy przypuszcza? nie tylo król każdy
W koronie swéj; ale i każdy w domu swoim
By najuboższy zawsze takiego się strzeże.
Stateczności, szczerością, Pangraczy, iść trzeba;
Pracy swéj dla ojczyzny i krwi nieżałować,
Takowy przystęp zawsze lepszy do wysługi,
I do zacności bywa, takowa wysługa
I sławna jest i trwała, i do potomstwa się
Podawa z ręku do rąk, aż na wieczne czasy.

Postawne, słowne służby, może być, że jako
Woda mrozem ujęta, albo śnieg od wiatru
W zamieci podniesiony, i na kupę wzdęty,
W niewczasie jakim trudnym Rzeczypospolitéj
Jakoby zimie potrwa; ale zaś na wiosnę
Rostaje. Z hańbą zawsze wiek swój każdy taki
Skończywał; i potomstwo jego z wymysłów się
Jego nie ucieszyło.

Pangracz.

Cóż? jako żebraczkę
Jaką, mam siostrę swoją dać za cię, na cudzym
Obiedzie, i jakoby niemal wyżebranym.
Niesprawić jéj najmniejszéj rzeczy, bez szat, koszul?
Dopierom k'sobie przyszedł. O to idzie tobie,
Żebyś tę wioskę moją, którąbym chciał przedać,
Na wesele siostrzyne i wyprawę wziął sam
W posagu. A toż weźm ją, ustępuję jéj już.

Szczesny.

Ani ojciec mój tobie nieupominał się,
Ani ja majętności i pieniędzy żadnych
W posagu: i nie myślę się nic upominać.
Wstyd, dobre wychowanie, tudzież urodzenie
Uczciwe siostry twojéj, droższe u mnie, niżli
Pieniądze z majętnością: a jako nie życzę
Tego, abyś miał na cześć utracać tę wioskę,
Tak ani téż na posag: owszem szczerze życzę,
Abyś przy niéj zostawszy, mieszkał między nami,
Żebyś zatém przystępu sobie do wszystkiego
Nie zagrodził; boć tego zadać nie można,
Żeś gołota.

Pangracz.

Wiem ja to wszystko, co powiadasz,
I uznawam, żem zawiódł majętność nieborak,
I sławy przodków swoich naruszył: wiedziałem,
Jakim mi być przystało; takim być nie mógłem
Nędznik: próżnowanie mię usidliło, Venus

Związała; i takem jest chudzina zdradzony.
Tobie bardzo dziękuję za napominanie,
Jakoś tego jest godzien.

Szczesny.

Niechcę, żeby praca
Moja daremna była, i ty żebyś słowy
Mojemi pogardzić miał, i to mię nie cieszy,
Że się jeszcze i teraz błędów swych nie sromasz.
Nie będzieszli mię słuchał i czynił, o co cię
Napominam: przyjdzieć się umknąć kędy z wielką
Niesławą; będziesz się kryć i tułać, kiedyć się
Najbardziéj widzianym być zechce; dobrzem się ja
Niepostanowionemu mózgowi twojemu
Przypatrzył. Skłonność twoja do złego, nie rozum
Twój, zwiodła cię: baczenie Venus i rozpusta
Zasłoniłać. Bóg mię jéj uchował, lecz przedsię
O jej wszystkich przeskokach słyszałem po trosze.
Tak jest ten djabeł żartki, że z nią żaden pułhak
By był nalepszym prochem nabity, niezrówna.
W kochankach swoich brzydkie i przemierzłe czyni
Obyczaje, co radzisz nie podoba się im,
Co odradzasz podoba: czego mieć nie mogą,
Pożądają; a kiedy dostaną, rzucają.
Tenci odgania, co więc nagania; i tenże
Zakazuje co radzi. Szalona rzecz bardzo
I zła stanąć w gospodzie u pożądliwości.
Ale i powtóre cię upominam, abyś
Rozważał wszystko pilnie sobie. Jeślić żądze
Dogarają, a ogień ten sam w sobie mnożysz;
Spłonąć ci z domem twoim i ze wszystkim rodem
Do szczątka: choć rozpustą nasycisz się, i tym
Ugasić będziesz to chciał; ochłoniesz bez chyby,
Ale wziętości twojéj i rodu twojego
I najmniejsza iskierka pewnie nie zostanie.

Pangracz.

Łatwo ognia, którymbyś zapalił się, dostać,
I u nieprzyjaciela uprosisz go sobie:

Ale ty strofując mię tak z występków moich,
Chcesz mię na gorszą stronę porwać: chcesz abym ci
Dał siostrę swą w małżeństwo,
Wesela nie sprawiwszy, nie dawszy wyprawy
Słusznéj, nie odliczywszy na koniec posagu.
Nieprzystojna to jest rzecz. Ja, którym utyrał
Tak nie małe imienie, mam przedsię mieć wioskę,
A ona ma na cudzym chlebie być wydana,
I jeszcze nic ma nic wziąć? słuszniebv mi iście
Była nieprzyjacielem.

Szczesny.

Nigdy się ten obcym
Źle nie zachowa, który swym ciężkim być nie chce.
Tak jakom rzekł uczynię, nie chcę, abyś się już
Dalej wahał. Więcby to było krzeczy, abyś
Dla siostry bez potrzeby nędzę cierpiał; a ja
Żebym tę wioseczynę miał? ty był ogołocon?

Pangracz.

Nie chcę ja, żebyś z strony podźwignienia mego
Ubóstwa tak radzić miał, wolę chociaż już tak
Sam nędznikiem zniżonym zostanę, aby mi
Przedsię sławy z téj miary nic nie uwłoczono,
Żem przeciwko siostrze swéj nie użył baczenia
Żadnego; i wiedz o tem, że ja tobie siostry
Nie dam za praczkę, albo za Nastkę z przedmieścia.
A ktoby gorszym nad mię mógł być poczytany?
Tobieby to cześć niosło, ale mnie zaś hańbę:
Tybyś z tąd miał uciechę; a mnieby zawsze czem
Miano oczy zaplusnąć.

Szczesny.

Coż? mniemasz, że we Lwowskim,
Albo Samborskim starostą przeto zostaniesz,
Kiedy czcić i kupować pasamany będziesz?

Pangracz.

Nie dbam, nie stoję, ani żądam o to namniej;
Jednak człeku, który wstyd chce zachować, jest to
Uczciwa, pomnieć zawsze na powinność swoję.

Szczesny.

Widzę na coś się zaniósł; zawoniałem, czuję.
To myślisz, skoroby ten związek między nami
Doszedł powinowactwa, zbywszy wioski, gdy już
Nie będziesz się miał o czem dzierzeć między nami,
W drogę gdzieś chcesz, jak łóżny odbieżesz ojczyzny
I krewnych i przyjaciół spowinowaconych:
A ludzie będą mniemać, żem ja ciebie swojem
Łakomstwem stąd wycisnął: na to żebym miał przyjść,
Nie spodziewaj się.

Wojtowic.

Zdzierzeć nie mogę się, żebym
Nie zawołał: O Szczesny, ty odniosłeś palmy
A ten przegrał; przemogła twoja komedja,
I wsporze ze wszystkimi komedjantami
Wedle rozsądku sędzi ów, nadewszystkie inne,
Którzy są i byli, masz być uznany więtszym:
I dar masz naznaczony odnieść, tak abowiem
I samo położenie i wszystka rozprawa
Téj komedyj przez cię w traf przystósowana
I wierszami wdzięcznymi, których żaden przedtem
Nie doszedł; obyczajów także wyrażeniem,
I brakiem znamienitych słów jest ozdobiona;
Bodaj tak nasz Potrójny.
A ty jeszcze w głupstwie swem obron sobie szukasz,
Czego radnie miałbyś się odżegnywać zawżdy.

Pangracz.

A ty po co się wtrącasz, i czemu do rady
Wrażasz się niewezwany?

W o j t o w i c.

Więc jakom tu przyszedł,
Tak odejdę.

P a n g r a c z.

Pójdź ze mną, Szczesny, ku domowi,
Tam się o wszystkiem z sobą szerzéj rozmówimy,

S z c z e s n y.

Nie nauczyłem się ja pokątnie nic czynić,
Co marzę w sercu, wymówię. Jeśli ty dasz za mię
Siostrę swoją bez utrat, i tych zabobonów,
Jako ja proszę, i tu będę cię przy sobie
Miał jako powinnego, i co będzie moje,
Będzie twoje: jeśliż téż skrycie co innego
Umyślił, Boże daj ci to na dobre wyszło.
Jam już tak postanowił u siebie samego,
Że inakszym sposobem przyjacielem tobie
Nie zostanę.

W o j t o w i c.

Jużci precz jeden poszedł. Słyszcie,
Trzeba mi was na jedno słowo, panie Szczesny.
Ba i drugi téż odszedł. Wojtowicze sameś
Został: cóż daléj będziesz czynił nieboraku,
Jedno żebyś tłomoki zbierał, a powiązał.
Pójdę biednik na rynek, abym się upomniał
Swoich dziesięci grzywien, którychem dziś tydzień
Pożyczył; żebym wżdy miał co na strawę w drogę.

S ę d z i s ł a w s k i, D o b r o c h o w s k i, dwa starcy.

S ę d z i s ł a w s k i.

Jako mi sprawę dajesz miły Dobrochowski,
Widzę, że to nie może być żadnym sposobem,
Żeby nie miał być dany posag téj panience.

D o b r o c h o w s k i.

To pewna, żeby to być z uczciwym nie mogło,

Abym jéj dopuścił iść za mąż bez posagu,
Gdyż to, co jéj należy, mam u siebie w domu.

Sędzisławski.

Miejże więc posag w domu pogotowiu, jeśli
Nie chcesz, żeby ją wydał brat jéj bez posagu.
Sam do Złotogrodzkiego pójdziesz i powiesz mu,
Że dasz posag, i że to czynisz dla przyjaźni
Z ojcem jéj, jedno tego obawiam się, żebyć
To podanie mniemania złego i niesławy
U ludzi nie zjednało: aby nie mówiono,
Iżeś nie bez przyczyny tak bardzo jest szczodrym;
I, że ojciec zostawił jéj przy tobie posag;
I, żeś z téj miary tak jest hojnym przeciwko niéj:
Że go nie dajesz spełna, żeś cokolwiek summy
Głównéj zwierzonéj urwał, a żeś tylko część dał.
Jeśli téż chcesz wrócenia czekać Skarbowego
Albo o śmierci jego pewności nowiny,
Boję się, by to w długą nie szło; a tym czasem
Chęci swéj nie odmienił Szczesny Złotogrodzki.

Dobrochowski.

Wszystko to przychodzi mi na myśl.

Sędzisławski.

Pomyśl o tém,
Jeśliby to nie było pożyteczniéj, abym
Ja doszedł do Pangracza i rozpowiedział mu,
Jako się rzecz ma.

Dobrochowski.

Żebym ja teraz powiedzieć
Miał cokolwiek o skarbie młokosowi temu
Niepostanowionemu? który za Venusem
I rozpustą udał się? nigdy, nigdy tego
Nie uczynię: bo pewnie wiem, żeby nie tylko
Ten skarb, ale i ziemię, w któréj zakopany,
Pożarł, którego kopać nie śmiem, żeby grzmotu

Nie usłyszał; gdyż w gmaszku na tyle mieszkanie
Wymówił sobie u mnie. Zaczém gdybym się z tém
Ozwał, że chcę dać posag, mógłby się domyślić
Łatwo, i tak rzeczy dojść.

Sędzisławski.

Jakimże sposobem
Sprawisz to?

Dobrochowski.

Cicho może wyjąć się, a póki
Do tego podobnego czasu nie upatrzę,
Tymczasem u którego z przyjaciół pieniędzy
Pożyczyć.

Sędzisławski.

A możesz ich dostać u którego?

Dobrochowski.

Mogę.

Sędzisławski.

Płotki to, radzęć nie spuszczaj się na to.
Ja prawdziwie nie mam ci pożyczyć.

Dobrochowski.

Wolę
Tak, że prawdę powiadasz, niż gdybyś pożyczył.

Sędzisławski.

Posłuchaj rady mojéj, jeślić się podoba.

Dobrochowski.

Co za rady?

Sędzisławski.

Jako ja mniemam — zdrową radę
Nalazłem.

Dobrochowski.

A jakaż to?

Sędzisławski.

Nająć by jakiego
Człowieka, którzyby mógł ujść za cudzoziemca.

Dobrochowski.

A ten co będzie czynił?

Sędzisławski.

Niech będzie ubrany
Właśnie po cudzoziemsku: niechaj będzie twarzy
Nieznajoméj, któraby do naszych podobna
Nie była: a żeby był wiernym w powiadaniu
Wszystkiego, jako się mu da o tém nauka.

Dobrochowski.

Daléj co?

Sędzisławski.

Żeby zmyślił sobie, iż od ojca
Przyjechał z Francyi do syna Pangracza
I żeby go imieniem ojcowskiem pozdrowił,
I powiedział, że mu się tam dobrze wodziło,
Że żyw i zdrów, i co rychło do domu się wróci.
Niech przyniesie dwa listy: jakoby od ojca
Jego były, które my zapieczętujemy;
Jeden onemu odda, a drugi że tobie
Odniesie, niechaj powie.

Dobrochowski.

Nuż jedno mów daléj.

Sędzisławski.

Niechaj powie, że pannie od ojca jej przyniósł
Kilka tysięcy złotych na posag, z tego co
Wziął był z sobą nieborak w drogę dla przygody:
I że ojciec kazał je oddać do rąk twoich.
Jużeś pojął?

Dobrochowski.

Pojąłem prawie, i rad słucham.

Sędzisławski.

Potem gdy panna za mąż już będzie wydana,
Dasz t pieniądze.

Dobrochowski.

Mądrze zaprawdę.

Sędzisławski.

Tym kształtem
Łatwo się u Pangracza uchronisz wszelkiego
Podejrzenia. Będzie on rozumiał, żeć pewnie
Te pieniądze od ojca jego przyniesiono
A ty je z skarbu weźmiesz.

Dobrochowski.

Iście prawie dobrze
I mądrze, acz w tych leciech wstyd mię nieszczerością
Robić: ale gdy listy zapieczętowane
Będą zwłaszcza; mająli być pieczętowane,
Rozumiesz tak, aby on nie poznał sygnetu
Ojcowskiego?

Sędzisławski.

Cóż jeszcze mówisz? sześćset przyczyn
I więcéj zebrać łatwo: o tamten, co go miał,
Powiedzieć, że go stracił, a inny dał sobie
Urobić na to miejsce;
A jeśli też nie będą zapieczętowane,
Może powiedzieć, że je na cle otworzono
Na granicy.

Dobrochowski.

Ale wszak my szlachcicy wolni
Od wszystkich ceł jesteśmy?

Sędzisławski.

O mój miły bracie,
Tak łowni są Celnicy teraz i z swoimi
Ogarami żydkami, że nam skrzynie nasze

Rozstrząsają, szperają, woły zabierają,
Na rzekach wolnych szkuty, komiegi hamują.
Niechaj powie: dla tego że po cudzoziemsku
Ujrzano mię ubranym, mniemano podobno,
Żem był kupiec albo żyd: lecz niech nie mówi żyd,
Niech radniéj mówi kupiec: bo mógłby mu zaś rzec,
Żeś wstęgę odwiązawszy naprzód mógł zarazem
Ukazać kwit: w prawdzie nie na papierze, ale
Na skórze, choć tak dobrze nie wyprawnéj jako
Pargamin. Lecz o podpis gdy będzie się pytał?

Dobrochowski.

Nie pisywałci Skarbek sam nigdy i przeto
Syna, któryby umiał pisać, radby był miał.

Sędzisławski.

Więc dobrze. W takiéj sprawie czas tracić mówieniem,
Gnuśność szczera, choćby się długo o tém mogło
I wiele jeszcze mówić. Idź a to zarazem
Cicho do skarbu, sługom i wszystkim precz z domu
Rozkaż: ba i rozumiesz?

Dobrochowski.

Co?

Sędzisławski.

I żonę nawet
Odeślij do kościoła na pacierze, żebyś
Tym skryciéj to uczynił.

Dobrochowski.

Iście tak: bo nie masz
Tego, czegoby mogła zamilczeć niewiasta.

Sędzisławski.

Cóż stoisz? nie ruszysz się, i czemu nie idziesz?
Otwórz, dobądź tyle, ile trzeba będzie.
A zapraw zaś zarazem, ale skrycie to czyń,
Jakom cię napominał, wyżen wszystkich z domu.

Dobrochowski.

Tak uczynię.

Sędzisławski.

Długą się mową zbytnie bawim,
Strawiliśmy czas na tem, z czem było pospieszyć.
Nie baczysz dnia na schyłku? coż ty o niem trzymasz,
Co o przyrodzeniu i o nałogu jego?
Już dawno jest pijany; i łatwie na wszystko
Pozwoli, gdyż to, co jest nawiętsza, ten poseł
Powie,
Że co niesie, nie po to przyszedł, żeby co wziął.

Dobrochowski.

Już dosyć jest.

Sędzisławski.

Pójdę ja do Sądu i najmę
Upatrzywszy jakiego Prokuratorczyka.
Nagotuję dwa listy i zapieczętuję
I poślęć go, dawszy mu naukę dokładną.

Dobrochowski.

Ja też pójdę, uczynię powinność swą: ty tam
Odpraw to.

Sędzisławski.

Uczynię tak.

Skarbek starzec.

Wszechmogącemu Bogu z weselem, zradością
Chwałę, dzięki oddaję, w któregom jest mocy,
I żywot mój i wszystko dobro moje, że mi
Dał tę drogę szczęśliwie odprawić i zdrowo
Wrócić się do ojczyzny, za co i powtóre
Tobie najwyższy Boże dziękuję i chwałę
Daję. Bo gdym puścił się z Roanu do Gdańska,
Nie niepogody morskie, któremi żeglarze
Straszą, że są smrodliwe, jadowite bardzo,
Okrutne i nieznośne, nie uczyniły mi
Szkodliwego.
Com tedy nędznik przedtym o twojej możności,

Na morzu, wielki Boże, od innych słychiwał,
Że ubogim folgować zwykłeś, a bogacze
Tłumić, zniżać, terazem sam doświadczył tego.
Wiesz wszystko, i we wszem rząd masz nieogarniony,
Właśnie to Boska — litość mieć nad żebrakami.
Okazałeś mi swoją życzliwość, choć drudzy
Na twoją nieżyczliwość czasem narzekają.
Wiem pewnie, że gdyby nie łaska twoja była
Nademną, dmy gwałtowne i wichrowie morscy
W sztukiby mię nędznego byli rozszarpali,
I roznieśli szkaradnie ze wszystkiem mem dobrem.
Właśnie jako psi wściekli już byli wichrowie
Okręt nasz obtoczyli, już dżdże już i szumy,
Nawałności wstawały, chcąc żagle zurywać,
Maszt ukręcić, okręt stłuc, by ich wczas twa łaska
Nieuciszyła była
Z Gdańska też kiedym bieżał do Rusi pospiechem,
I stamtądeś we zdrowiu mię tu przyprowadził.
Ale są rzeczy więtsze, za które ja tobie
Dziękować nie przestanę, szczodrobliwy Boże.
Dałeś jako pan na tej służbie w cudzéj ziemi,
Sobie i narodowi swemu dostać sławy:
I za baczeniem onego Gwiza, i nagrodę
Mam od niego samego i od wszego wojska;
Że mi to przyznał, jakom się przed wielą innych
W okrutnéj i wątpliwéj bardzo bitwie ważył.
Od tego czasu włóczyć więcéj się nie będę,
Ale już się na pokój udam, abym tobie
Służył: nabyłem z łaski twéj wiele dobrego.
Jakich trudów, niewczasów i trudnościm zażył,
Starając się o dzieci swych poratowanie?
Dajże mi jeszcze z Jana i z Anny pociechę
Dziatek mych; nie możnali, aby się obaczył
Pangracz; obaczę, jakim go teraz zastanę.
Ale któż ono w stroju jakoby Francuzkim
Dosyć poważnie kroczy? Zaprawdę, aczbym się

Rad prędko w domu ujźrzał, chcę mu się przypatrzyć.
Dowiem się, co zacz, i skądby był, i coby niósł.

Pierczyk, Skarbek.

Pierczyk.

Mily Boże, są jedni, którzy siła mają, —
A drudzy zasię mało: jedni dostawają
Siła, a drudzy zaś nic. Ja do tych należę,
Co mało i nic, na co serdecznie boleję.
Wprawdzie udałem ci się do rzemiosła, jako
Bardzo pożytecznego, tak niemniéj pewnego.
Żołnierzem być, szczere to bałamuctwo. Piszą
Żołnierzom paragrafy na gębie, a ze łba
I z ciała dobywają im rubryk żelazem
I ołowiem: nie idą już tam Clementiny.
Orać zaś, praca ciężka. Cóż czynić? lepsza jest
Ludzkie sprawy zawiedać: z tego łup bez krwi,
I żniwo bez przygody. Żołnierz wę złym razie
Albo zginie, albo więc szkoduje; na siewbę
Raz susza, drugi mokrość, to mrozy, to wiatry:
A spraw ludzkich u Sądu zawiedaczowi: im
Sprawa niesprawiedliwsza i gorsza, tym lepiéj:
Więcéj dadzą i słusznie; gdyż i ten woźnica
Lepszy, który ze złego razu wywieść umie.
Jeśli się sprawa przegra, nadzieje nie tracąc,
Choć najwiętszemu szkódzcy ludzkiemu, przedsię ty
Możesz być z pożytkiem: co oberwiesz, to twoje.
Bo i to przedsię dobrze: a zgoła jest słuszna,
Aby niesprawiedliwość pokarana była.
Acz się to rzadko trafia, i mniéj teraz o tém
Sądzą, kto źle lub dobrze uczynił i jeśli
Ma sprawiedliwość albo nie ma; więcéj o tém,
Kto błazen, a kto mądry: A głupiś pieniaczu,
Nie rozumiałeś i sam postępku prawnego,
Aniś się prawomędrców radził, aniś ich miał
W powadze, nie poczciłeś ich upominkami,
Atoż tobie; cierpże sam. Nie dziw tedy, że tak

Wiele się ich do tego rzemiosła ubiega,
Że przystępu mieć u niéj drudzy już nie możem.
Powiadano, że w Rusi nie miało być wiele
Tych, co się zawiedaniem spraw ludzkich parają;
I dla tego z Piotrkowa, nigdy tu nie bywszy,
Puściłem się: lecz baczę że i tu ich pełno,
A po chwili więcéj nas będzie, niż pieniaczów.
Czekam tu całe roki jeszcze mię nie wzywał
Żaden. Teraz sprawować rzecz mam nie przed sądem,
Ale snać wywieść w pole jakiegoś prostaka.
Z jednéj to wszystko przecież rozrywki pochodzi.
Wszak téż nie wszystko mądrzy na Sędziech siadają.
Dano mi tylko jeden potrójny: lecz i to
Lepiéj niż nic, a iżem się na bałamuctwo
Za ten isty potrójny najął: dzisiejszemu
Dniowi i Komedyi dam imię Potrójny.
Przyjeżdżam ze Francyi, tak wielką część świata,
I morza, i różnych ziem objechałem w koło,
Których oczy me jako żywo nie widziały,
I w żadnéj z nich noga ma nigdy nie postała.
Patrz, do czego przywodzi człeka niedostatek:
Jako ja dla trzech groszy teraz mam powiadać,
Żem wziął od człowieka te listy, którego ja
Co zacz jest nie wiem, nie znam; i jeśli się kiedy
Narodził, albo jeśli był na świecie, nie wiem.

Skarbek.

Zaprawdę musi ten być z rodzaju jakichsi
Grzybów, wszystek w głowę wrósł: z twarzy i z ubioru
Zda się być własny Francuz.

Pierczyk.

Ten, który mię najął,
Zawiodłszy mię do domu, powiedział mi, czego
Chce po mnie, i nauczył, jako mam co czynić:
A jeśli ja do tego co swojego przydam,
Tym pobożniéj stargował u mnie bałamuctwo.

Jako mię on przystroił, takem ustrojony.
Pieniądze to sprawują, samże na swe fanty
Strojów tych podostawał u żyda zastawnych.
Teraz będęli mógł zwieść ubiorem człowieka
Tego, którego trzeba: postaram się, żeby
I uznał, i miał mię za właściwego sprawcę.

Skarbek.

Im bardziéj się przypatrzam, tym mniej twarz człowieka
Tego mi się podoba: dziwna będzie, jeśli
Nie jest to sukniozdzierca nocny, albo jaki
Subtelny rzeżymieszek: miejsca upatruje,
Ogląda się i domy sobie znaczy: wierzę
Że ten na kradzież dybie, szpieguje oczyma
Wszystkie kąty: tym bardziej chce mi się pilnować,
I będę miał nań oko.

Pierczyk.

Jużci tu jest to miejsce, które mi ukazał
Najemca mój: w tym domu ja mam wyprawować
Swe sztuki, zakołacę we drzwi.

Skarbek.

Ku naszemuć
Domowi prosto się ma: płaci mnie téj nocy
Straż trzymać, chociam z drogi dopiero przyjechał.

Pierczyk.

Otwórzcie mi, otwórzcie, hej czy czuje tam kto?

Skarbek.

Czego szukasz młodzieńcze, czego chcesz, przecz we drzwi
Kołacesz?

Pierczyk.

Słuchaj starcze, jeślim obrachował
To dobrze, praworajców czynszu, którzy praktyk
Zażyć umieją, szukam tu pana Pangracza,

Któryby snać w tym domu mięszkać miał: a przytém
I drugiego z tak siwą głową, jakoś ty jest,
Którego Dobrochowskim, powiedział, mi zową,
Ten który mnie z listami do obudwu posłał.

Skarbek.

Mego syna Pangracza i Dobrochowskiego
Przyjaciela mojego ten szuka: któremuch
Ja dzieci swe i wszystko dobro swe poruczył.

Pierczyk.

Powiedz mi ojcze, wieszli gdzie oni mieszkają.

Skarbek.

Po co ich pytasz? albo ktoś jest, i skądeś jest?

Pierczyk.

O wiele razem pytasz: nie wiem, co mam pierwéj
Odprawić. Będzieszli mnie po jednemu pytał,
I z osobna o każdą rzecz gładce i mile,
Powiem ci i imię swe i sprawy i drogę.

Skarbek.

Uczynię tak, jako chcesz: nuże powiedzże mi
Naprzód, jako cię zową.

Pierczyk.

Od więtszego pytać
Zaczynasz.

Skarbek.

A czemuż to?

Pierczyk.

Dla tego, iż gdybyś,
Wstawszy przededniem, wyszedł w drogę, — usłyszawszy
Po pierwsze imię moje, zmierzchłoby się, niżbyś
Przyszedł do ostatniego.

S k a r b e k.

Toć tedy wedle twej
Powieści, trzeba z sobą wziąć na strawę, ktoby
Chciał dojść przezwiska twego.

P i e r c z y k.

Jest jedno pomniejsze
Jako bukłaczek z winem.

S k a r b e k.

Ten człek istny wyrwa.
Co młodzieńcze powiadasz?

P i e r c z y k.

Co jest?

S k a r b e k.

A po tychci
Co ludziach, których pytasz? powiedz.

P i e r c z y k.

Ociec tego
Młodzieńca te dwa listy mi dał.

S k a r b e k.

Przyjaciel to
Mój. Jużem go pojmał z licem: żem mu listy
Dał powiada; do woli naszydzę się z niego.

P i e r c z y k.

Jakom zaczął powiadać, jeśli będziesz słuchał,
Dopowiem.

S k a r b e k.

Będę z chęcią.

P i e r c z y k

Ten jeden list kazał
Pangraczowi synowi swemu oddać: a on
Drugi Dobrochowskiemu przyjacielowi swemu.

Skarbek.

Zaprawdę, ponieważ ten bałamuci, i ja
Potrzymam go na słowie.
Trafiło mięso na ząb. Gdzieżeś go odjachał?

Pierczyk.

Dobrze mu się wodziło.

Skarbek.

Ale wżdy mów, kędy?

Pierczyk.

We Francyej.

Skarbek.

Od niego samego żeś je wziął?

Pierczyk.

Z rąk swych podał je do rąk mych.

Skarbek.

Co za osoba?

Pierczyk.

Sześcią stóp od ciebie jest wyższy.

Skarbek.

Znaszże go ty?

Pierczyk.

Śmiesznie pytasz: siadam z nim u jednego stołu.

Skarbek.

Jakoż mu imię?

Pierczyk,

Jako dobremu człowieku.

Skarbek.

Radbym słyszał.

P i e r c z y k.

On, on, on, och biadaż mnie.

S k a r b e k.

Cóżci
Się dzieje?

P i e r c z y k.

Dopieruczko jakoś nie opatrznie
Połknąłem imię jego.

S k a r b e k.

I to nie foremna,
Co przyjacioły między zębami zawarte
Chowasz.

P i e r c z y k.

Dopieruczko mi u samych warg było.

S k a r b e k,

Nie omieszkałem czasu.

P i e r c z y k.

Jużem teraz w ręku.

S k a r b e k.

A zmyśliszże wżdy sobie dzisia jakie imię?

P i e r c z y k.

Prawdziwie, że mię Boga i ludzi wstyd bardzo.

S k a r b e k.

Patrz pilnie, wspomnij sobie, jeśli go znasz dobrze.

P i e r c z y k.

Jako siebie samego. Bywa tego siła,
Że szukasz tego, co więc w ręku trzymasz i na
Co oczyma poglądasz: z listów wnetże sobie
Przypomnię, bo obadwa na cle otworzono.

S k a r b e k.

Jestże tam na podpisie Dobrosławski?

P i e r c z y k.

Nie masz.

S k a r b e k.

Dobrodruski?

P i e r c z y k.

Ani ten.

S k a r b e k.

Dobrołucki?

P i e r c z y k.

Nie ten.

S k a r b e k.

Dobrowojski?

P i e r c z y k.

I nie ten.

S k a r b e k,

Dobrorządzki?

P i e r c z y k.

Próżno
Pracujesz się: nic tak też bardzo ja o to dbam,
Kiedym siebie samego niezapomniał.

S k a r b e k.

Jest tu
Siła bowiem Przegraczów; jeśli ojcowskiego
Nie powiesz mi nazwiska, nie mogęć tych ludzi
Ukazać, których szukasz. Masz wżdy podobieństwo
Jakie, byśmy przez znaki domyślić się mogli,
Na przykład: Skomp, Skarbek, czy nie Skarbek?

P i e r c z y k.

Ten jest, —
Bodaj przepadł.

Skarbek.

Jużem cię przedtem upominał,
Że słuszniejsza wspominać dobrze przyjaciela,
Niźli źle.

Pierczyk.

Długo mi się bo ta hańba świecka marna
Między zębami a wargami tłukła.

Skarbek.

Nie łaj przyjacielowi obecnemu.

Pierczyk.

Cóż ten
Leniwiec mi się plątał po gębie.

Skarbek.

Byś go był
Imieniem jego wołał, ozwałciby się był.
Ale kędyż wżdy on jest?

Pierczyk.

Jużem go odjechał
W Straszborku.

Skarbek.

I któż może być nad mię szaleńszy.
Sam o sobie, gdziebym był, pytam. Ale i to
Należy do téj rzeczy. Coż ty powiadasz?

Pierczyk.

Co?

Skarbek.

Pytam cię, na którycheś miejscach był?

Pierczyk.

Na bardzo
Dziwnych i rozmaitych.

Skarbek.

Radbym słyszał, jeślić
Nie przykrzy się.

Pierczyk.

I owszem powiem z wielką chęcią.
Naprzód przyjechaliśmy morzem do Paryża
Od Malty. Tam wysiadłszy na ląd, najęliśmy
Sobie koni, biorąc się ziemią ku Angliej.
Trzy mile za Kalesem ochromiał koń panu,
Musiał się nazad wrócić: i ku wieczorowi
Nazajutrz był w Straszborku, stamtąd mię odprawił.

Skarbek.

Miły bracie, azaż jest morze pod Paryżem?

Pierczyk.

Jest. By tak łatwo za Kalesem było ku Angliej,
Nie ochromiałby nam był koń, ale tam droga
Bardzo jest kamienista.

Skarbek.

Osobny to człowiek:
Temuby położenie świata dać drukować.
Alem ja jest szaleńszy, co się samego
Pytam go, skądbym jechał; to ja sam lepiéj wiem.
On niewie: jedno żebym rad doznał, na co wżdy
Ten czycha. Tobie jako imię, o młodzieńcze?

Pierczyk.

Pokój, to imię moje.

Skarbek.

Zaprawdę imię to
Jakieś trefne: jakobyś rzekł, że w pokoju nic.
Gdybym ci czego zwierzył, że to zaraz zginie.
Ale cóż mówisz? Stamtąd którędyżeś jechał?

P i e r c z y k.

Będzieszli słuchać, powiem. Byłem wprzód u zrzódła
Które z nieba wychodzi pod Seraphinami.

S k a r b e k.

Co? pod Seraphinami?

P i e r c z y k.

Tak mówię.

S k a r b e k.

I z nieba?

P i e r c z y k.

Ba właśnie z wysokiego.

S k a r b e k.

Nuże, i na niebie
Byłeś?

P i e r c z y k.

I owszem — stamtąd płynęliśmy rzeką
Tą na baciku ślicznym malowanym.

S k a r b e k.

Więceś
Widział i Seraphiny?

P i e r c z y k.

Cóż to są za dziwy?
I we Lwowie je najdzie: wszak i Sędzisławski
Ma kucharza, którego Seraphinem zowią,
I wszyscy znają dobrze też Feratowego
Pasierba Seraphina: a macierzynego
Kochanka.

S k a r b e k.

Niechcę, abyś więcej przepowiadał.

P i e r c z y k.

Będę, jeśli mi będziesz pytaniem dokuczał.

Skarbek.

Nie może być cnotliwy ten, kogo od ziemie
Podniosą ku niebiosom: bywa to na trąmie
Położonym obiema końcy na dwu sochach.

Pierczyk.

Więc zaniecham, gdyż tak chcesz; ale pokaszże mi
Te ludzie, których czekam, którym mam te listy
Oddać

Skarbek.

Cobyś ty teraz rzekł, gdybyś samego
Skarbka ujrzał, o którym powiadasz, że listy
Od niego niesiesz: znaszże go dobrze?

Pierczyk.

Baczę, że
Ty mnie masz za bestyą: jakobym nie miał znać
Tego, z którym wiek trawię; alboby tak głupim
On był, żeby mi był miał powierzyć tak wiela
Pieniędzy, które przez mię posłał córce swojéj
Na posag, bym je oddał przy Pangraczu, synu
Tego, Dobrochowskiemu, któremu, jako mi
Powiedział, wszystkie rzeczy swoje tu poruczył —
Gdyby mię i ja jego nie był dobrze świadom?

Skarbek.

Koniecznie ja pobłażać chcę temu frantowi,
Bym go temi pieniędzmi mógł ułowić, które
Powiada, żem mu ja dał; a ja go jako żyw
Nie znam anim go przedtem, prócz dnia dzisiejszego,
Nigdy oczyma swemi nie widział. Temu bych
Miał powierzyć pieniędzy? któremu, by nawet
Szło o głowę, drobnego pieniążka na wieki
Nie wierzyłbym. Muszę ja zajść na tego chłopa
Sztuką. Słuchaj Pokoju, jeszcze na trzy słowa.

Pierczyk.

Ba i na trzysta.

Skarbek.

Maszże te pieniądze, któreś
Wziął od Skarbka?

Pierczyk.

Mam: i sam je swą ręką liczył
W swojéj gospodzie.

Skarbek.

Sam ci je Skarbek oddawał?

Pierczyk.

Cóż? Miałem je od dziada i pradziada jego
Odbierać, którzy dawno już poumierali?

Skarbek.

Przyjacielu, ukaż mi te pieniądze, proszę.

Pierczyk.

Coć mam dać za pieniądze?

Skarbek.

Któreś wyznał, żeś je wziął
Odemnie.

Pierczyk.

Od ciebiem wziął?

Skarbek.

Tak mówię.

Pierczyk.

Któżeś ty?

Skarbek.

Jam ten Skarbek, którymci oddał te pieniądze.

Pierczyk.

Aniś ten jest, ani tym będziesz dziś i nigdy
Tym pieniędzom. Won płotko, co chcesz bałamutem
Bałamucić.

S k a r b e k.

Jam Skarbek jest.

P i e r c z y k.

Najmniéj nie jesteś,
Bo nie niosę pieniędzy żadnych. Na zbyt bardzo
Subtelnie chciałeś podejść mię za tą pogodką:
Skorom jedno powiedział, że pieniądze niosę,
Natychmiasteś się Skarbkiem uczynił, a przedtem
Nie byłeś nim, aż kiedym pomienił pieniądze.
Nic z tego przeto: jakoś się w skok w Skarbka obuł,
Tak się zaś z Skarbka wyzuj.

S k a r b e k.

Któżem wżdy tedy jest?
Jeślim tym nie jest, czymem jest?

P i e r c z y k.

Co mnie do tego,
Byleś nie był ten, którym ja ciebie być nie chcę,
Bądź, czymci się podoba, o mię nic; temeś
Był przedtem, którymeś był, a teraześ zasię
Uczynił się tym, którym na on czas nie byłeś.

S k a r b e k.

Czyń ato, co masz czynić.

P i e r c z y k.

A cóż ja mam czynić?

S k a r b e k.

Wróć pieniądze.

P i e r c z y k.

Czy śnić się starcze?

S k a r b e k.

Wszakeś przyznał,
Żeć Skarbek dał pieniądze.

P i e r c z y k.

Pisane.

S k a r b e k.

Won, zaraz
Won stąd, nocny szukajło, póki cię nie każę
Porwać i skarać dobrze.

P i e r c z y k.

Dla czegoż?

S k a r b e k.

Żem ja jest
Ten Skarbek, którego ty zmyślasz i powiadasz,
Żeć dał listy.

P i e r c z y k.

Tyś proszę Skarbek jest?

S k a r b e k.

Ten pewnie.

P i e r c z y k.

Twierdzisz przedsię, żeś ten jest?

S k a r b e k.

Twierdzę.

P i e r c z y k.

I tenżeś jest?

S k a r b e k.

Ten własny Skarbek jestem.

P i e r c z y k.

I pewnie własnyś jest?

S k a r b e k.

Najwłaśniejszy. Lecz pódź mi z oczu, ty mętlarzu.

P i e r c z y k.

Bez żartu mówiąc, żeś się śmiał w cudze pieniądze
Wtrącać, wnet cię ceklarze porwą i wyciosą

Tak jako ja będę chciał, ty Szocie: weźm ato
Swą opałkę i targuj; co ty masz za sprawę
Ze mną, który mam siła spraw ludzkich na sobie.

Skarbek.

Jeszcze łajesz?

Pierczyk.

I owszem: gdyś się zdrowo wrócił,
Bodajeś przepadł; albo bodajeś był dawniéj
Zginał; bo ja za fraszkę ciebie sobie ważę.
Wziąłem pieniądze na to, abym cię nieszczęściu
Oddał. Dla tego ktoś ty jest, albo ktoś nie jest,
I koczołabym nie dał. Pójdę, opowiem to
Temu, który potrójny dał mi, żeby wiedział,
Że nie wskórał. Odchodzę: bodajeś żył w biedzie
I źle zdrów był: bodajeś szyję złamał, albo
Przepadł był: niźliś nazad wrócił się, ty dziadu.

Skarbek.

Gdyż już odszedł: teraz czas mam wolny sam z sobą
Umówić się. Już dawno to mię w sercu bodzie,
Co za sprawę ten łotrzyk miał przed domem moim.
List mi ten całą rotę myśli i bojaźni
Gromadzi: i pieniądze te, na coby miały
Wyniść; nigdy nie brzęknie dzwonek, aż go musi
Kto pociągnąć. Ale któż ono tak pędem
Bieży ku téj ulicy: chcę się podziwować,
Co też będzie ten robił; ustąpię się w stronę.

Wojtowic sługa. Skarbek starzec.

Wojtowic.

Bież chutko Wojtowicze, wracaj się do pana,
By na cię i na grzbiet twój nie spadł pogrom z pukiem.
Poskakuj, pospieszaj się, jużeś dawno z domu
Wyszedł: patrz, żeby skóra twarda porzezana
Wołowa nie dojęłać aż do kości, jeśli
Na ten czas nie przybędziesz, gdy się pan o tobie

Będzie pytał, bież prędko, nie postawaj. Zły duch
Te wymyślił z torkmyszów puhy: Tatarski to,
Psi, pogański nalazek, nastawają na to
Miejsce korbacze, takiż niemal djabeł drugi.
Od Węgrów we trzy kije już się też bić uczą.
Mnie i jeden dębowy smagły bardzo przykry.
Pilniejby memu panu samemu używać
Drzewa albo szaruchą raczéj się pomazać.
Nikczemny Wojtowicze, zapomniałeś torby
W piwnicy, kiedyś sobie miodkiem gardło płókał.
Wróć się pytać za świeża.

Skarbek.

Ten człowiek, ktokolwiek
Jest, siekierze znać służy: gotuje go właśnie
Do zawodu.

Wojtowic.

Nie srom cię nikczemniku? trzema
Pełnemiś zapił pamięć? czyś pił z uczciwymi,
Których ręce na cudze mieszki nie czyhają?
Cygani, masztalerze, woźnice tam byli,
Kostyrowie, zwodnicy, złodzieje. Rozumiesz,
Że między takowymi ludźmi się dopytasz —
Zguby swéj, z których jeden tak żartkich był ręku,
Że gdy człowiek niektóry bieżał w zawód, ziemię
Tę, na którą przypadał stopą, ukradł pod nim.

Skarbek.

Dokładnie pod zbawieniem mem ten złodziéj mówi.

Wojtowic.

Cóż czynić? czy mam szukać tego, co zginęło?
Chybabym przydać jeszcze chciał pracy do szkody.
Czemu ty za zginione nie masz, co zginęło?
I nie wrócisz się radniéj? pódź ato do pana.

Skarbek.

Nie luźny to jest człowiek, bo na dom wspamiętał.

W o j t o w i c.

Daj Boże, żeby stare obyczaje z starą
Oszczędliwością w więtszym szanowaniu były,
Niźli złe obyczaje.

S k a r b e k.

Boże wszechmogący,
Prawie baczne są słowa to, i senatorskie,
Stare chwali, znać że mu stare obyczaje
Przodków naszych są miłe.

W o j t o w i c.

Już to dziś w obyczaj
Weszło, że nie to, co się godzi, ale co się
Komu podoba, czynią. Każdemu się panem
Zostać, złymli dobrymli sposobem, chce. Ten co
Jako żyw w wojsce nie był, i dobytéj szabli
Przeciw sobie nie widział nigdy, chce uganiać
Przed ludźmi rycerskimi, ten który popełni
Co największe łotrostwo, za godnego nagród,
Dostojeństw, udaje się.

S k a r b e k.

Właściwa to prawda.

W o j t o w i c.

Ludzi mężnych zasługi przed panem pokątnie
Tłumią domatorowie.

S k a r b e k.

Łotrowskie to.

W o j t o w i c.

Już się
Wzmocnił wszeteczny nałóg, podbił pod moc swoją
Prawa, że imi ludzi, nie inaczej jedno
Jako kto stary dziećmi. Snadź gdzieś był obyczaj,
Że prawo uchwaliwszy, przybijano je więc

Na tablicach miedzianych do ściany. Ach gdyby
Prawowładzców naszych samych, dla ich więtszéj
Uczciwości chocia już i na murowanych
Szubienicach wieszono; jednę rzecz raz chwalą,
Drugi raz zasię ganią; jeden raz na sejmach
I sejmikach tak radzą, drugi raz przeciwnie.
Ciż jeden z drugim czasem przeczą z sobą rano,
Przy ludziach, w wieczór zasię z sobą namawiają.

Skarbek,

Chce mi się już przystąpić i przeczec ku niemu.
Ale miło mi sluchać, boję się, gdybym co
Przemówił, żeby indzie rzeczy nie odwrócił.

Wojtowic.

Ciż nie mówią u siebie nic świętobliwego
W prawie; co się podoba onym, to jest prawo.
A nałóg taki: porwać u tego owego,
To tam, to sam, przenieść się, urwać i z poboru.
Ba i na Biskupa zajść, żeby mu wyskubnąć.
Kiedy się im podoba, to nie wedle prawa
Starosta Wojewoda: kiedy zaś podoba,
To wedle praw: nawet i prawo nie prawem.

Skarbek.

Zaprawdę pohamować złość taką potrzeba.

Wojtowic.

Zaż nie przypatrzyłem się temu, że takowi
Ludzie, kto chce rozsądzić dobrze, wszystkim innym
I przeciwnikami są, i zobopólnego
Dobra i bezpiecznego szkodzcami jawnymi.
Obłudnie się obchodząc, w wątpliwość przywodzą
Wiarę szczerych i dobrych ludzi: bo iż ci ich
Oszukiwają, przeto boją się, by także
Nie oszukiwali ich i drudzy, i stądże
Nie wiedzą komu wierzyć, a zatem raz do tych,
Drugi raz się do owych radzi przychylają.

To jako mi do myśli przyszło? dopiero mi
Sama rzecz przypomniała. Gdy kto komu czego
Pożyczy, traci to: i gdy się upomina,
Z przyjaciela nabędzie wnet nieprzyjaciela
Za onę swą uczynność: jeśli będziesz pilno
Nalegał, ze dwu rzeczy przyjdzieć obrać jednę,
Żebyś albo odbierał tego, coś pożyczył,
Albo onego sobie przyjaciela stracił.

Skarbek.

Mójci to sługa widzę Wojtowic, mój wierę.

Wojtowic.

Bo za te dzięsięć grzywien którychem pożyczył,
Nieprzyjacielam kupił, przyjacielam przedał.
Alem ja szalony jest, żem się mową o złych
Obyczajach zabawił Rzeczypospolitéj
Szkodzących: a co grzbiet mój potkać może, o tem
Pieczy nie mam. Pobieżę ku domu.

Skarbek.

Słuchaj ty,
Stój, tak, stój zaraz, ciebieć wołam: a słyszyszże?

Wojtowic.

Nie postoję.

Skarbek.

Ale ja chcę tak, żebyś postał.

Wojtowic.

A jeśli ja też nie chcę, żebyś ty chciał.

Skarbek.

Nazbyt
Zuchwale, Wojtowicze.

Wojtowic.

Przyjmi sobie sługę,
Chceszli mu rozkazywać.

S k a r b e k.

Już dawno takiego
Mam, i majętnościąm go za pieniądze dostał.
Ale gdy nie chcesz słuchać mię, co ja uczynię?

W o j t o w i c.

Źle, szkodliwie.

S k a r b e k.

Dobrze to mówisz: bo do tego
Pewnie przyjdzie,

W o j t o w i c.

Jeśliś sam jedno nie zawinił.

S k a r b e k.

Jeśliś dobrym człowiekiem, zawiniłem; jeśli
Łotrem, potka cię to, coś dopiero sam mówił.

W o j t o w i c.

Coż mnie do tego, jeśli ty masz dobre albo
Złe sługi.

S k a r b e k.

Bo też ty masz część we złem i w dobrem.

W o j t o w i c.

Tamtą część puszczam tobie przed sobą: a ty mnie
Owę drugą puść w dobrem.

S k a r b e k.

Jeśli to zasłużysz,
Będzie to, ale póżrzy sam na mię. Jam Skarbek
Pan twój.

W o j t o w i c.

Ach cóż to za człowiek jest, co wzmiankę czyni
Człowieka najlepszego.

S k a r b e k.

On jest człek najlepszy?

W o j t o w i c.

Czas Pański, o Boże mój: czy dobrze ja widzę:
Onże jest, czy nie? ten jest, ten własny jest, ten jest
Iście. O witaj, panie mój najpożądańszy.

S k a r b e k.

Witaj, mój Wojtowicze.

W o j t o w i c.

Raduję się z serca,
Że cię zdrowego widzę.

S k a r b e k.

Wiem i wierzęć pewnie;
Ale odłogiem insze rzeczy zostawiwszy,
Co działają dzieci me,, na to mi odpowiedz,
Syn i córka, którychem tu odjechał.

W o j t o w i c.

Żywi,
Zdrowi dobrze.

S k a r b e k.

Oboje?

W o j t o w i c.

Oboje.

S k a r b e k.

Bóg mię sam
Chowa, i opieka się ze mną. O insze rzeczy
Powoli będę pytał doma, pójdźmy teraz
Do domu, a ty za mną.

W o j t o w i c.

Dokądże się ty masz?

S k a r b e k

Dokądże indzie jedno do domu.

Wojtowic.

Rozumiesz,

Że tu mieszkamy?

Skarbek.

Kędyż indzie mam rozumieć?

Wojtowic.

Już ..

Skarbek.

Co już?

Wojtowic.

Nie nasz to już dom.

Skarbek.

Co to ja słyszę

Od ciebie?

Wojtowic.

Pangracz syn twój przedał go.

Skarbek.

Zginąłem.

Wojtowic.

Za gotowe pieniądze.

Skarbek.

Za wieleż?

Wojtowic.

Za cztery

Tysiące.

Skarbek.

Jużem umarł. Któż go kupił?

Wojtowic.

Twój

Dobrochowski, któremuś majętność swą zlecił.
Już tam sam mięszka, a nas wygnał precz.

Skarbek.

Gdzież teraz
Mieszka syn mój?

Wojtowic.

Na tyle w Indermaszku w tymże
Domu, którego mu wżdy pozwolił.

Skarbek.

Przepadłem.

Wojtowic.

Takem tuszył, że cię to miało nie pomału
Zaboleć, skorobyś się był o tem dowiedział.

Skarbek.

Ja nędznik, przez tak wiele srogich niebezpieczeństw
Przez morza: gdzie nie raz mi szło o gardło: przez ćmę
Zbójców morskich przebywszy, zdrowo zachowawszy
Żywot; tom teraz zginął: dla tych, dla którychem
Najwięcej w tym wieku swym tyle trudu podjął.
Mdleję: o Wojtowicze odratuj, a dzierz mię.

Wojtowic.

Każesz — przyniosęć wody?

Skarbek.

Gdy majętność moja
Tu mdlała i konała, wtenczas ją potrzeba
Było odlewać.

Wojtowic.

Jeszczeć i więcej jest tego,
Jedno nie chcę frasować cię, dowiesz się potem.

Dobrochowski, Skarbek, dwa starcy, Wojtowic
sługa.

Dobrochowski.

Co to za hałas słyszę ja przed domem moim?

Skarbek.

Ah, ah, o Dobrochowski, ah o Dobrochowski,
Dobrochowski. Jakiemuch ja przyjacielowi
Poruczył dobro swoje?

Dobrochowski.

Dobremu, wiernemu,
Statecznemu, i pewnie cale dufałemu.
Witam cię szczerem sercem, i żeś w dobrem zdrowiu
Wrócił się, raduję się.

Skarbek.

Także i ja tobie
Życzę zdrowia, jeśli to tak jest, jako mówisz.
Ale cóż to za ubiór na tobie?

Dobrochowski.

Powiemci:
Skarbum dobywał, żebym dał posag twéj córce,
Ale i to, i inne rzeczy rozpowiemci,
Wszedłszy w dom, jedno sam podź.

Skarbek.

Wojtowicze.

Wojtowic.

Panie —

Skarbek.

Bież rychło na gościniec prosto za przedmieście
Krakowskie: idzie tam wóz z rzeczami, a słudze
Mów, aby się pospieszał, i strzegł pilnie, żeby
Co niezginęło: wiezie go furman z Lublina.

Wojtowic.

Pobieżę co w skok.

Skarbek.

Biegaj, a wracaj się.

W o j t o w i c.

Prędzéj
Bydź nie może: bom i tam już wszystek jest myślą,
I tu zaś nazad jestem.

D o b r o c h o w s k i.

Podźmy my do domu.

S k a r b e k.

Idę.

W o j t o w i c.

Wieręć ten sam był całym przyjacielem,
Został panu mojemu i dotrzymał wiary,
I nie odmienił chęci swej przeciwko niemu.
Mniemam, że dla dobrego i pożytecznego
Domu jego, tę pracę i kłopoty podjął.

S z c z e s n y, młodzieniec.

Jam jest człowiekiem tym, co najobficiéj pociech
I rozkoszy zażywam. Tak wszystko co ku méj
Jest rzeczy, udaje się: i o co się staram
Tudzież przybywa.
Tak jedna radość drugą pomnaża. Dopiero
Powiedział mi Wojtowic, że pan Skarbek stary
Przyjechał, trzeba tedy być mi co najprędzéj
U niego: żeby to, co między mną a synem
Jego było, gruntowniéj sam on postanowił.
Pójdę. Lecz mię ten kołat we drzwi długo bawi,
Nie wiem, czemu nie rychło tak mi otwierają.

S k a r b e k, D o b r o c h o w s k i dwa starcy. S z c z e s n y,
P a n g r a c z, młodzieńcy.

S k a r b e k.

Nie było, ani będzie i teraz człowieka
Takowego, jako ja rozumiem na świecie,
Nie masz, któryby wiarą i dufnością swemu
Przyjacielowi równie dotrzymał. By nie ty,
Synek mój wyprawiłby mię był z tego domu.

Dobrochowski.

Jeślim przyjacielowi swemu co dobrego
Uczynił, i o rzeczach jego wiernie radził,
Nie baczę, żebym przeto zasłużył pochwałę:
Na winę też rozumiem, iżem nie zarobił,
Albowiem dobrodziejstwo, które właśnie komu
Jest oddane, może już przy nim zostać: ale
Co komu powierzono do rąk, może zasię
Wziąć to nazad ten, który powierzył, gdy zechce.

Skarbek.

Jest tak jako powiadasz: ale się ja temu
Nie mogę wydziwować, jako siostrę swoją
Do stanu małżeńskiego zmówił za Szczesnego
Syna Złotogrodzkiego, w dom tak zamożysty.

Szczesny.

Mnie mianuje.

Skarbek.

Zaciągnął dom niepospolity.

Szczesny.

Czemuż ja nie przemówię do nich? ale jeszcze
Poczekam, bo coś mówić potrzebnie zaczyna.

Skarbek.

Och.

Dobrochowski.

Co jest?

Skarbek.

Przepomniałem powiedzieć ci doma:
Gdym przyjechał do miasta, potkałem się w drodze
Z pewnym bałamutem, i sprawcą jakimsi,
Który powiedział mi, że odemnie do ciebie
I do syna Pangracza mego niósł pieniądze
Na posag córce mojéj, a jam go jako żyw
Nie znał i nigdy przedtem okiem swem nie widział.
Ale czemu się śmiejesz?

Dobrochowski.

Z mojéj szedł naprawy,

Jakoby mi od ciebie miał przynieść pieniądze,
Na posag córce twojéj, żeby syn twój wierzył,
Gdybym go jéj oddawał, iż jest przyniesiony
Od ciebie i żeby się nikt tego domyślić
Nie mógł, że twój skarb przy mnie jest, zaczemby mógł był
(Gdyż już o śmierci twojéj nie wątpiono) i ten
Chcieć ozionąć.

Skarbek.

Zaprawdę bacznie.

Dobrochowski.

Sędzisławski
Sposobny przyjaciel — i mój i twój — dał tę radę.

Skarbek.

Chwalę bardzo poradę i uznawam dobrą.

Szczesny.

I ja prostak bojąc sie przerwać im rozmowy,
Samiuczek jeden stoję i nie odprawuję
Tego, na com tu przyszedł? już do nich przemówię.

Skarbek.

Ktož ono ku nam idzie?

Szczesny.

Skarbka świokra swego
I wita i pozdrawia, Sczesny Złotogrodzki.

Dobrochowski.

Boże dajci to Szczesny, czego sobie życzysz.

Skarbek.

Nie mnie było wprzód witać.

Szczesny.

Służba Dobrochowski.
Pana Skarbkam miał pierwszy przywitać, bliższa jest
Koszula niźli suknia.

Skarbek.

Boże obróć w dobre
Nasze rady. Słyszę, że córka moja za cię
Zmówiona.

S z c z e s n y.

Chybabyś ty był przeciwko temu.

S k a r b e k.

I owszem chcę.

S z c z e s n y.

Jużże mi dać ją obiecujesz

Za żonę?

S k a r b e k.

Obiecuję: i damci z nią złotych
Czerwonych trzy tysięce.

S z c z e s n y.

Niedbam ja o posag.

D o b r o c h o w s k i.

Jeślić się spodobała panna i posagci
Ma się podobać przy niéj, któryć ojciec daje,

S k a r b e k.

Nie przyjdzieć to mieć, o co stoisz: jeśli tego,
O co niedbasz, nie weźmiesz.

D o b r o c h o w s k i.

Nie od rzeczy mówi.

S z c z e s n y.

Niechajże już tak będzie, ponieważ do tego
Wiedziesz mię, i rozsądek taki o tym czynisz.
Przyrzekaszże mi córkę swą dać w stan małżeński?

S k a r b e k.

Przyrzekam i zarazem dajęć na to rękę.

D o b r o c h o w s k i.

I ja za toż ci ręczę.

S z c z e s n y.

Bożeżci błogosław

Ojcze mój najmilejszy.

D o b r o c h o w s k i.

To już z łaski Bożéj
Hanuchna jest zmówiona, a Jachnika kędyś
Odjechał?

S k a r b e k.

W Paryżum go zdrowego zostawił
W Burgundzkim Collegium. Jać nie wiele umiem,
Ale mi powiadają, że już i tam zeszło
Na naukach: nie masz tam onych Turnebusów,
Nie masz już ani onych Carpentariusów,
I innych, co przedniejsi pomarli, o których
Przed laty słychać było.

D o b r o c h o w s k i.

Czemużeś go do Włoch
Nie posłał?

S k a r b e k.

I we Włoszech dają mi tę sprawę
Niemal także nauki upadły i że tam
Jako są wielkie cnoty, tak wielkie niecnoty.
Postanowionego tam posyłać potrzeba.
Aby od ksiąg, do strojów, do zbytków i do małp
Nie udał się. Niechaj już uczy się w Paryżu
Jako mogąc: skromnemu przedsięm go poruczył,
I cnotliwemu człeku: napiszę mu potem,
Aby z Szkoły do Gwiza jechał dla ćwiczenia,
I przypatrowanie się dziełu rycerskiemu.
Albo jeśli też ten król nasz, coście go tu w méj
Niebytności obrali, będzie tak wojownym,
Jako o nim nadzieja jest i nie będzie chciał
Często próżnować, niech mu jako panu swemu
Przyrodzonemu służy: i ćwiczy się w sprawach
Wojennych, i łaski się jego dosługuje,
Czyniąc z nieprzyjacielem przed oczyma jego.

D o b r o c h o w s k i.

Cóż wżdy też tam o naszéj Polsce było słychać?

Skarbek.

Nic dobrego nie tylko mówią, lecz i piszą,
Jako tu do Korony po odjeździe króla
Henryka kilka panów możnych posły swoje
Posłało, jakie handle, jakie targi były.
To wżdy jednak najlepiéj stało się; że skutek
Na tego Electiej tej padł, który najmniéj
Dać mógł. Słyszeć żeby chciał wojować: a że mu
Snadź wojny przekazają: dopierom przyjechał,
Nie wiem co się tu teraz między wami dzieje.
Lecz co to jest inszego jedno pomnożenie
Cnoty, męztwa hamować, przezkadzać wyparcia
Gnuśności, zbytków, — zabaw i mów wszystkich marnych,
Co to nawet inszego jest, jedno zatrudniać
Drogę do zabiegania wszem niebezpieczeństwom
Ojczyzny? i rozparać pomnożenie onéj,
I rozszerzenie sławy, granic i możności?
Ale czemuś wżdy tego mego jako mogąc
Pangracza nie hamował, miły Dobrochowski?

Dobrochowski.

Jam hamował, ale wiesz, jakiegoś odjechał.
Więc go nie mało inszych panów radnych było
Osiadło: a do tego przystąpiła była
Nowina o twéj śmierci, która do dzisiajdnia
Trwała. Wprawdzieć już części jego trzeciéj trudno
W macierzystym poścignąć: aleć zasię wolno
W ojczyznę, gdy chcesz, wjechać: i także w drugie dwie
Części macierzystego, Jana i Hanuchny.
A czy już podszalawszy sobie, gdy na oczach
Twych będzie, obaczy się. Tę część majętności,
Którą trudno wydźwignąć, nie tak wielce sobie
Uważaj; będziesz się ty przedsię mógł nie źle mieć.
I oto cię podpomógł Pan Bóg, i jeszcze cię
Podpomoże.

Skarbek.

Ba mamci ja w Bogu nadzieję;

Ale mi to nań przedsię żałosna, że prędko
Nowinie o méj śmierci uwierzył: podobno
Z radością onéj czekał. Za to słusznie w taką
Upadł nędzę, i będzie ją cierpiał aż do śmierci.
A panowie lichwiarze, co z nim handlowali,
I nieinaczéj jedno jako głodni krucy
Do ścierwu zbieżeli się, do pożarcia mojéj
Ubogiéj majętności, muszą te kawalce
Dusznie wyrzucić, które tak łakomie żarli.

Dobrochowski.

Miły Skarbku, przez naszę przyjaźń niech dziś jednę
Rzecz u ciebie uproszę.

Skarbek.

A cóż takowego?

Dobrochowski.

Abyś obrazę, którą masz przeciw synowi
Swemu, puścił mimo się. Co się bijesz w głowę?

Skarbek.

I gniewam i boję się.

Dobrochowski.

Co w tym jest?

Skarbek.

Gniewam się
O to, że takowym jest: boję się, jeślibym
Nie uczynił, o co mię prosisz, abyś o mnie
Nie rozumiał, że mało poważam cię sobie.
Nie będę się opierał dłużéj: tak jako chcesz,
Uczynię.

Dobrochowski.

Dobry jesteś. Pójdę, zawołam go.

Skarbek.

Bieda to wielka, kiedy tak się złe uczynki

Udają, jako jakie postępki cnotliwe,
Że ich karać nie możesz.

Dobrochowski.

Otwórzcie, otwórzcie
Rychło: a Pangracza sam, jeśliże jest w domu,
Zawołajcie. Pilno go.

Pangracz.

Któż mię to tak pilno
Potrzebuje?

Dobrochowski.

Życzliwy twój i przyjaciel twój.

Pangracz.

Jakoż się miewasz?

Dobrochowski.

Dobrze, Panu Bogu chwała!
Ojciec twój z łaski pańskiéj wrócił się zdrowo do nas,
Z czego się ja raduję,

Pangracz.

Któżci to powiadał?

Dobrochowski,

Ja.

Pangracz.

Widziałeś go ty sam?

Dobrochowski.

I ty łatwie możesz
Ujrzeć go.

Pangracz.

O mój ojcze, o ojcze, witaj zdrów
Z téj drogi.

Skarbek.

Zdrów bądź synu.

Pangracz.

A raczyszże na mię
Ojcze mój frasować się?

S k a r b e k.

Jestci o co, ale
Nie bój się; z łaski Bożéj poprawiwszy swojéj
Chudoby, nie z gołemi rękami do domu
Wróciłem się, byś jedno chciał się ty poprawić,
I być posłusznym. Daléj ukażę ja tobie
Jeszczę drogę nie trudną do postanowienia
Twego.

P a n g r a c z.

Uczynię ojcze, co każesz, i nigdy
W żadnéj rzeczy woli twéj potym nie przestąpię.

KONIEC.

Tymsamym nakładem wyszły:

Mowy M. T. Cycerona przełożone przez E. Rykaczewskiego. Paryż 1870—1871, in 8-vo, 3 tomy. Tom I str. XXXIX i 578, tom II str. 506, tom III str. 602. Cena 6 tal.

Listów M. T. Cycerona ksiąg ośmioro, przełożył E. Rykaczewski. Poznań 1873, in 8-vo, 2 tomy. Tom I str. XXVII i 733, tom II str. 735. Cena 3 tal. 10 sgr.

Wkrótce wyjdą:

M. T. Cycerona Pisma krasomówcze i polityczne, przełożone przez E. Rykaczewskiego. (Rozmowa o mówcy. Brutus czyli o sławnych mówcach. — Mówca Brutusowi poświęcony. — O doskonałych mówcach. — O Rzeczypospolitéj. — O prawach.)

Zygmunta Węclewskiego, profesora uniwersytetu lwowskiego, przekład Tragedyi Eschylosa.



Niżej wymienione księgarnie zgłosiły się z obietnicą sprzedawania po stałych cenach wszystkich nakładów Biblioteki Kórnickiej i odbierają je wprost od Zarządu zaraz po wykończeniu każdego tomu.

w WARSZAWIE	pp.	Gebethner i Wolff.
„	„	Michał Gluecksberg.
„	„	J. J. Okoński.
„	„	Maurycy Orgelbrand.
„	„	G. Sennewald.
w KRAKOWIE	„	Józef Czech.
„	„	D. E. Friedlein (Rynek, 11).
„	„	Stanisław Krzyżanowski.
„	„	Aleksander Nowolecki.
„	„	Fr. Trzecieski (księgarnia wydawnictwa dzieł tanich i pożytecznych).
we LWOWIE	„	A. D. Bartoszewicz (księgarnia Polska, ulica Kopernika l. 12.)
„	„	Gubrynowicz i Schmidt.
„	„	J. Milikowski.
„	„	F. H. Richter.
„	„	Karól Wild.
w POZNANIU		Mieczysław Leitgeber i Spółka.
„	„	J. K. Żupański.
w ŚREMIE	„	K. Gąsiorowski.
w BERLINIE	„	E. Bock (księgarnia Behra, ulica pod Lipami 27).
w PETERSBURGU i MOSKWIE	p.	B. M. Wolff.
w PARYŻU		Księgarnia Luksemburska, 16 rue de Tournon.

Z zamówieniami zgłaszać się należy do Zarządu Biblioteki Kórnickiej, pod adresem: Dr. Z. Celichowski w Kórniku (W. Ks. Poznańskie).